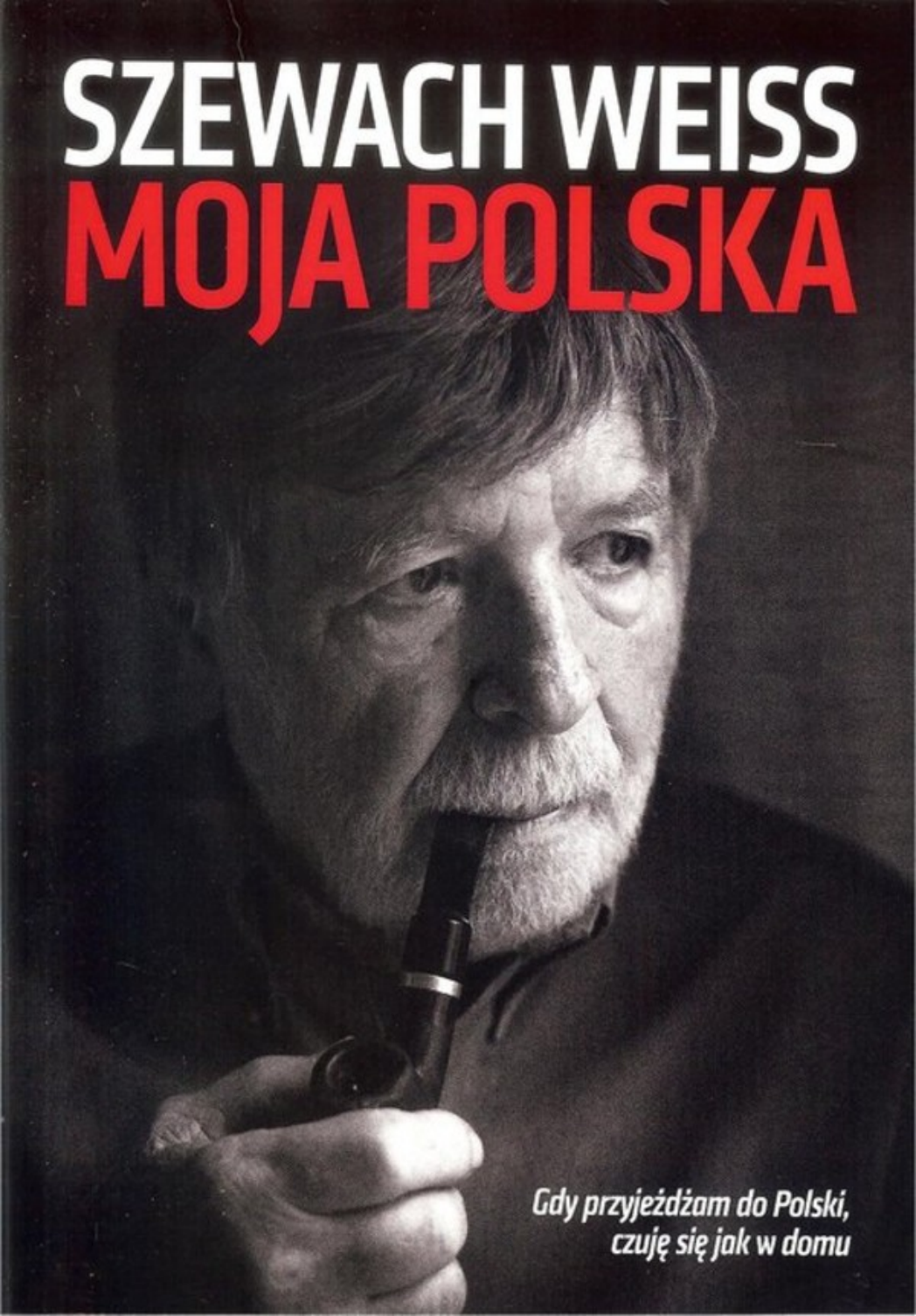


SZEWACH WEISS MOJA POLSKA

A black and white close-up portrait of Szewach Weiss. He is an older man with dark, slightly messy hair and a grey beard. He is looking directly at the camera with a serious expression. He is holding a dark smoking pipe in his right hand, with the pipe resting near his mouth. The background is dark and out of focus.

*Gdy przyjeżdżam do Polski,
czuję się jak w domu*

SZEWACH WEISS

MOJA POLSKA

Gdy przyjeżdżam do Polski, czuję się jak w domu

Felietony z „Do Rzeczy”

Redakcja: Radosław Wojtas

Współpraca: Urszula Kifer, Jacek Przybylski, Adam Tycner, Piotr Włoczyk

Projekt okładki:

Mariusz Daruk-Skarbek

Zdjęcie: Dariusz Golik/Forum

Layout: Mariusz Daruk-Skarbek, Wojtek Niedzielko

Studio graficzne: Edyta Bortnowska, Anna Sobieska-Wójtowicz,
Jacek Nadratowski, Przemysław Traczyk, Włodek Zakrzewski

Korekta:

Jadwiga Marculewicz-Olaś

Anna Zalewska

© Orle Pióro sp. z o.o., Warszawa 2017 r.

ISBN 978-83-938158-6-9

Orle Pióro sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01

Wydawca tytułu spółka Orle Pióro wchodzi

w skład grupy kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

e-mail: listy@dorzeczy.pl

www.dorzeczy.pl

Druk: Drukarnia Readme w Łodzi

ul. Olechowska 83

92-403 Łódź

SZEWACH WEISS

MOJA POLSKA

Gdy przyjeżdżam do Polski, czuję się jak w domu

Felietony z „Do Rzeczy”

Orle Pióro sp. z o.o., 2017 r.

Spis treści

Wstęp (<i>Paweł Lisicki</i>)	9
Między Polską a Izraelem	13
Moja Polska	15
Kawałek Izraela na Mazowszu	17
Kuchnia mojej Mamy	19
Spotkania raz jeszcze	21
Dziękuję za te spotkania	23
Filozofia upału	25
Odszedł symbol odwagi i wybaczenia	27
Z Moskwy do Tel Awiwu	29
Odszedł prorok nadziei	31
Żydowska sztuka przetrwania	33
Jakimi językami mówią Żydzi?	35
Tożsamość narodu rozproszonego	37
Nazwiska w żydowskiej tożsamości	39
Każdy Żyd wychodził z Egiptu	41
Kobiety mają siłę	43
Alfabet Szewacha Weissa	45
Do Chin nigdy nie pojedę	57
Nie zostanę już prezydentem Polski – wywiad	63
Dokąd zmierza świat	69
Zabawa państwem	71
Dajmy szansę planktonowi	73
Moralność prezydenta	77
Czy Ameryka przestała działać?	81
Obywatel imigrant	83
Pełne zwycięstwo to wybryk historii	85
Wojna psychologiczna	87
Sowieckie zombie zostaną w grobach	89
Lewica wszędzie przegrywa	91
Ja też byłem „nielegalny”	93
System wyborczy dla Polski	95

Hillary Clinton będzie rządzić światem?	97
Zachód ma już dość	99
Słownik obecnych czasów	101
Polityka konstytucyjna	103
Pragmatyczny Donald Trump	105
Lekcja dla liderów	107
Czy Stany są jeszcze zjednoczone?	109
Lewica z centrum	111

Gra mocarstw 113

Kto chciał zabić Arafata	115
Przebudzenie niedźwiedzia	119
Nowy wielobiegunowy świat	123
Rozbrajanie irańskiej bomby	127
Nie będzie powtórki z historii	129
Imperium w gruzach	131
Zachód kontratakuje	133
Irański szach	135
Wierzę, że Putin nie popełni samobójstwa	137
Irański poker	139
Wypuścić szpiega	141
Rosja nigdy nie opuściła Syrii	143
Iran w postsankcyjnym świecie	145
Rosyjski szach	147
Putin i jego świat	149

Blżej, niż myślisz 151

Pat w syryjskiej rozgrywce	153
UE niepotrzebnie prowokuje Izrael	155
Turcy rosną w siłę	157
Netanjahu i Palestyna	159
Bliski Wschód w ogniu	161
Krótkie mgnienie arabskiej wiosny	163
Cały naród wojskiem	165
Sztuczne granice, sztuczne państwa	167
Wojna z Hamasem	169
Czy Niemcy broniliby Hamburga?	171
Islamiści mogą sprawić, że Europa zrozumie Izrael	173
Izrael nie zniknie	175
Przedwczesna sukcesja	179
Arabowie i sekrety Izraela	181

Demokracja ze skazą	183
Czy Jerozolima się pali?	185
Bliski Wschód na drodze do pokoju?	187
Polska blisko Izraela	189
Donald Trump i stary Izrael	191
Kto służy w izraelskiej armii	193

Trzecia wojna światowa **195**

Policzone dni kalifatu	197
W cieniu islamistów	199
Jak namierzyć wroga	201
Dżihadyści jak naziści	203
Jak przeżyć trzecią wojnę światową	205
Sen o zniszczeniu islamistów	207
Zachód czeka trudny rok	209
Pamiętnik czasów terroru	211
Wojna bez końca	213
Wojna po nowemu	215

Pamięć i odpowiedzialność **217**

Słuszna zemsta	219
Dlaczego Żydzi nie wracają do Polski	223
Niemiecka ucieczka od odpowiedzialności	225
Wspólna przeszłość, wspólna przyszłość	227
Gdy zamilkną świadkowie	229
Na przeprosiny nigdy nie jest za późno	231
Odważny apel o pokój	233
Bolesna pustka	235
Co powinien powiedzieć nowy prezydent Izraela?	237
Znów jesteśmy sobie obcy?	239
Auschwitz koło Reichstagu	243
Żydzi i język niemiecki	247
Dlaczego od Polaków wymaga się więcej	249
Prawa autorskie do Holocaustu – wywiad	251

Postowie (Piotr Gabryel) **255**

Wstęp

Wiekowa mądrość pokoleń

Nikogo nie trzeba zapewne przekonywać o tym, że stosunki Polaków i Żydów są trudne, złożone oraz skomplikowane. Fascynacja miesza się z urazą, podziw z niechęcią, obcość z atrakcyjnością. W oczywisty sposób największy wpływ ma na nie obecnie też historia: to, co na ziemiach okupowanych przez Hitlera Niemcy zrobili przede wszystkim Żydom, a także Polakom. Można by nawet sądzić, że wraz z upływem czasu o tej przeszłości rozmawia się coraz trudniej.

Tuż po wojnie sprawa winy i odpowiedzialności wydawała się z grubsza jasna: po stronie sprawców byli Niemcy, hitlerowcy, niemieccy naziści, po stronie ofiar na pierwszym miejscu, ze względu na liczbę ofiar i nieznaną wyjątków eksterminacyjną politykę, Żydzi, a zaraz za nimi Polacy. Ten obraz jednak coraz częściej bywa wypierany przez inny, w którym to Polacy zaczynają występować nie w roli uciskanych, ciemnionych, wreszcie również systematycznie zabijanych ofiar, ale, za sprawą wszelkiej maści ideologów i modnych historyków, stają się albo biernymi i sympatyzującymi ze zbrodnią świadkami, albo nawet, w wersji skrajnej, współsprawcami. Ten nowy wizerunek, kreowany tak często z całkowitym pogwałceniem rzeczywistości historycznej, musi Polaków boleć. Więcej. Musi budzić złość i wściekłość. To nie są najlepsze emocje, ale całkiem, sądzę, zrozumiałe. niesprawiedliwość, a tym jest właśnie fałsz historyczny, musi wywoływać reakcję. Tym bardziej jeśli spotyka się ją niemal na każdym kroku, w filmach, gazetach, na portalach internetowych.

Dlatego tak ważne są osoby, które potrafią wczuć się w to, co myśli i mówi druga strona. Żydzi, którzy rozumieją Polaków i ich odczucia. Nie rezygnując z własnej tożsamości ani pamięci, umieją uchwycić wrażliwość innych. Pamiętam, jakie wrażenie zrobiły na mnie słowa Szewacha Weissa, kiedy to w apogeum debaty na temat Jedwabnego powiedział, że „były też inne stodoły”. Rzecz niby banalna i oczywista, a jednak wypowiedziana w tym kontekście i w tym momencie świadczyła o odwadze. A także o szacunku do prawdy. Niezależnie bowiem od tego, w jaki sposób ostatecznie doszło do zbrodni w Jedwabnem, jedno jest pewne: mimo świadomej i ludobójczej polityki niemieckich władz miejscowa ludność potrafiła w okresie okupacji zdobyć się na heroizm i chronić prześladowanych Żydów. To nie Jedwabne, ale setki, tysiące innych miejsc, innych stodoł, piwnic, nor, poddaszy, wszystkich tych miejsc,

gdzie ukrywano Żydów, są prawdziwymi symbolami przeszłości. To one pokazują prawdziwe człowieczeństwo i one świadczą o sile miłości bliźniego. W jednym z takich miejsc, w jednej z takich stodół ocalał przed zakusami zbrodniarzy sam Szewach Weiss.

Jest on jednak nie tylko, i nie przede wszystkim, „ocalałym”. Owszem, znaczna część jego publicznych wypowiedzi, felietonów, wywiadów, artykułów dotyczy czasów wojny, losu Żydów, pamięci o Zagładzie. Nie na tym jednak polega, mniemam, największa siła jego tekstów. Nie tu jest to, co najciekawsze. Owszem, Szewach Weiss pamięta o umarłych i ich cierpieniu, ale przede wszystkim fascynuje się ich życiem. Jeśli coś go boli, to to, że tyle jeszcze mogliby dokonać, gdyby nie ręka zbrodniarzy. Jeśli coś może wywołać zapał i entuzjazm Szewacha, to zawsze rozważanie o roli polskich Żydów: o ich dokonaniach, osiągnięciach, sukcesach, odkryciach. I o tym, jak bardzo przyczynili się do rozwoju Polski. A następnie także Izraela. Śmiałem się często z Szewacha i mówiłem mu, że kiedy się go tak słucha, można sądzić, że innych Żydów poza polskimi w Izraelu w ogóle nie ma. Albo jeśli są, to nie mają znaczenia.

Szewach Weiss to także obserwator współczesnego świata. Jest zresztą jednym z niewielu komentatorów, którzy znają najważniejszych aktorów życia publicznego nie tylko z telewizyjnych przekazów. Przeciwnie. Sam przecież, w latach 70. i 80., uczestniczył w najważniejszych rozmowach i spotkaniach dotyczących przyszłości Bliskiego Wschodu, odwiedzał Białą Dom i inne stolice. Politykę zagraniczną nie tylko zna zatem z zewnątrz, lecz także patrzy na nią przez pryzmat ludzi, ich słabości i cnót, charakterów i upodobań. Dzięki temu dostrzega to, czego inni nie widzą. I z pasją oraz tak potrzebnym poczuciem ironii potrafi to przedstawić. W polskiej literaturze powszechny jest topos starego, mądrego, znającego rzeczy świata i ludzi rabina, do którego wszyscy przychodzą po poradę. Szewach Weiss jest współczesnym wcieleniem tej figury. Tak jakby przemawiała przez niego wiekowa mądrość minionych pokoleń, co daje mu tak potrzebny dystans, spokój i przenikliwość.

Jestem pewien, że wszystkie te zalety jego twórczości znajdują państwo w publikowanych w tym tomie tekstach. Wszystkie one ukazały się wcześniej na łamach tygodnika „Do Rzeczy”. Z jednymi można się zgadzać, z innymi wadzić, ale wszystkie na pewno są godne uwagi i poznania. Przy najmniej dla tych, którzy nie chcą zamykać się w wąskim kręgu własnego świata, ale próbują dojrzeć coś więcej.

Paweł Lisicki

Między Polską a Izraelem

Moja Polska

Polska była dla mnie naturalnym wyborem, gdy po latach służby w Knese- cie, w tym byciu jego przewodniczącym, rozpoczynałem pracę ambasado- ra. Sam wybrałem właśnie Polskę. Był to powrót do mojej, a właściwie do kilku moich Polsk.

Jedną z nich jest Polska mojego dzieciństwa, która nigdy nie zniknęła z mojej pamięci i powraca w moich snach. Była bardzo ciekawa, czasami bardzo wesoła, czasami – gdy np. pomyślę o zamordowaniu moich dziad- ków – bardzo smutna i tragiczna. To Polska galicyjska, wielojęzykowa, wielokulturowa, bardzo ciekawa dla starszych ludzi, ale również niezwy- kłe interesująca dla dzieci. W czasie mojego dzieciństwa Borysław, gdzie przyszedłem na świat, liczył blisko 50 tys. mieszkańców, z czego może ok. 20 tys. stanowili Polacy, 15 tys. – Ukraińcy i ok. 15 tys. – Żydzi. Była to zatem prawdziwa i typowo galicyjska mieszanka kultur, języków, religii.

W przedszkolu, gdzie było dość dużo dzieci żydowskich, nauczyliśmy się piosenek i po polsku, i po ukraińsku, a czasami pielęgniarka czy ktoś inny narodowości żydowskiej uczył nas piosenek żydowskich w jidysz. Do dziś pamiętam z tamtych czasów: „Krakowiaczek jeden miał koników siedem, pojechał na wojnę, został mu się jeden. Siedem lat wojował, szabli nie wyjmował, szabla zardzewiała, wojny nie widziała”. Wróciłem do słów tej piosenki wiele lat później, gdy Polska kupiła od Izraela rakiety Spike. Po- wiedziałem wtedy, że życzę Polsce, by ta „szabla”, czyli rakiety, zardzewiała i nigdy nie zobaczyły wojny.

Tak, Polska mojego dzieciństwa żyje we mnie cały czas. Zawsze wra- żenie robiły na mnie chmury na polskim niebie. Czasami są one czarne i przywodzą na myśl ciemności miejsc, w których ukrywali nas Sprawiedli- wi wśród Narodów Świata. Wspominam podwójne ściany naszego domku, które pozwoliły nam się schronić i przetrwać. Kiedy podróżuję po Polsce i widzę wiejską kapliczkę, zawsze przypomina mi się kapliczka, w której naszą rodzinę ukryła rodzina Góralów. Pamiętam, że wchodziły do niej jaszczurki. Mówiłem wtedy do mojej mamusi: „Szkoda, że nie urodziłem się jaszczurką. Byłbym wtedy wolny, nie musielibyśmy tutaj siedzieć za- mknięci”. Jednak przebywając wtedy w tym zamknięciu, wszyscy czuliśmy, jak wiele zrobiła dla nas rodzina, która nas tam ulokowała.

Moja Polska to również polska młodzież. Do świata polityki wszedłem ze świata nauki. Mam zaszczyt – podkreślam, że jest to dla mnie zaszczyt – przyjeżdżać do Polski z wykładami. Młodzież, z którą się spotykam,

dla której prowadzę wykłady, jest moją nadzieją. To pokolenie, które staje przed realizacją wielkich celów i wyzwań związanych z przesłaniem: „Nigdy więcej!”. Czuje, że ci młodzi ludzie darzą mój naród sympatią i mają mnóstwo współczucia, świadomość tej wielkiej niesprawiedliwości i okropnej zagłady, która spotkała Żydów na polskiej ziemi podczas niemieckiej okupacji.

Ważną część mojej obecności w Polsce stanowią media. Prawie na początku służby ambasadorskiej spotkałem Piotra Gabryela i od tej pory w tytułach, w których on się pojawia, obecny jestem i ja. Teraz jesteśmy razem w „Do Rzeczy” – jestem pod wrażeniem poziomu intelektualnego tygodnika mojego przyjaciela Pawła Lisickiego. Czasem pytają mnie, dlaczego będąc powiązany z socjaldemokracją, publikuję w tytułach mających podejście konserwatywne, prawicowe. Przede wszystkim ze względu na przyjaźń, a poza tym nigdy nie spotkałem się z jakąkolwiek cenzurą.

Order Orła Białego jest pewnym podsumowaniem moich związków z Polską, jest to dla mnie odznaczenie niezwykle ważne. Jestem wzruszony i dumny. Został mi nadany w konkretnym kontekście – w kontekście mojej osobistej misji ambasadora Izraela w Polsce, człowieka, który urodził się w Polsce, był dzieckiem Holokaustu i został w Borysławiu uratowany przez Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Każdy z ambasadorów starał się, by skałeczone stosunki między Polakami i Żydami zostały odnowione. Po wojnie nie mieliśmy dość czasu na prowadzenie dialogu. Kiedy po 1989 r. Polska odnowiła swoją demokrację i parlamentaryzm, stosunki z Izraelem układają się bardzo dobrze. Dbamy o nie na podstawie pamięci, totalnej prawdy o tym, co było dobre, ale i co było złe, pamiętając zawsze o Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, którzy są moimi prywatnymi bohaterami, bohaterami narodu żydowskiego i stają się bohaterami całego moralnego świata.

Odnaczenie odebrane w Jerozolimie z rąk prezydenta Andrzeja Dudy nie jest nagrodą polityczną, nie pochodzi ze strony prawicy ani lewicy. Tyle lat żyliśmy obok siebie, potem przez sześć lat pod okupacją niemiecką prawie wszystko się skończyło. Teraz, na ruinach przeszłości, próbujemy odnowić te stosunki po to, by przyszłe pokolenia pamiętały, że naród żydowski przez wiele lat rozwijał się na ziemiach polskich. I, niestety, również umierał z powodu paskudnego faszyzmu, którego i Żydzi, i Polacy byli ofiarami.

„Do Rzeczy” 23–29 stycznia 2017 r.

Kawałek Izraela na Mazowszu

Zawsze jeżdżę tam z ogromną przyjemnością. Gdy byłem ambasadorem Izraela w Polsce, niemal każdy mój wyjazd na północ od Warszawy musiał się skończyć choćby króciutką wizytą w Płońsku. Działo się tak nie tylko z tego powodu, że jestem honorowym obywatelem tego miasta.

Płońsk to jedno z najbardziej znanych w Izraelu polskich miast. Dla bardzo wielu Izraelczyków będzie pierwszym miastem – nawet przed Warszawą – jakie przyjdzie im do głowy. Każda izraelska delegacja, każda wyprawa młodzieży izraelskiej obowiązkowo zatrzymuje się w tym uroczym miasteczku. Dziwi to państwa? Jeżeli tak, to spieszę wyjaśnić: Płońsk to miejsce urodzin Davida Ben Guriona, ojca założyciela Izraela. Nazwisko to znaczy dla Żydów mniej więcej tyle, ile Piłsudski dla Polaków czy Waszyngton dla Amerykanów.

Młody David Grün (tak nazywał się w pierwszym okresie swojego życia David Ben Gurion) już od młodości angażował się w działalność syjonistyczną. To w Płońsku zakiełkowało, a następnie zaczęło w nim dojrzewać wielkie pragnienie odbudowania żydowskiej państwowości po przerwie trwającej – bagatela! – niemal 2 tys. lat.

Płońsk jest dobrze opisany w każdej książce dotyczącej historii naszego państwa, bo przecież nie ma książki o Izraelu bez Davida Ben Guriona, a nie sposób opowiadać o tym wielkim człowieku bez Płńska. Wtedy w tym uroczym miasteczku żyło ok. 13 tys. mieszkańców: mniej więcej 7 tys. Polaków i ok. 6 tys. Żydów.

Zresztą sam główny bohater tego felietonu bardzo przysłużył się popularyzacji swojej małej ojczyzny w Izraelu: bardzo szczegółowo opisał bowiem w jednej ze swoich książek Płońsk, jaki pamiętał z czasów młodości. Z pamięci narysował mapę miasta ze wszystkimi ważnymi dla niego ulicami, synagogami. Znalazło się tam też jeziorko, nad którym lubił wypoczywać. Widzę w tym wielki żydowski sentyment do miejsc, z których przybyliśmy do Izraela, a także tęsknoty do ludzi, którzy nie przeżyli Zagłady...

Na początku kwietnia znów miałem okazję odwiedzić moje kochane miasteczko. Wpadłem tam na chwilę na spotkanie z czytelnikami. Przeprowadziliśmy przy tej okazji bardzo konstruktywną dyskusję na temat relacji polsko-izraelskich. Muszę w tym miejscu zaznaczyć, że władze samorządowe Płńska – z burmistrzem Andrzejem Pietrasikiem na czele – bardzo dbają o pamięć o Żydach.

Znów mogłem przejść się po pięknym płońskim ryneczku i spojrzeć na dom, w którym w młodości mieszkał pierwszy premier Izraela. W piwnicy mieści się małe muzeum poświęcone najśłynniejszemu mieszkańcowi tego domu. Wizyta w tym miejscu wywołuje we mnie zawsze głęboką zadumę. Za każdym razem, gdy tam jestem, myślę o tym niezwykłym okresie, gdy Polska była w „ciąży” z Izraelem – gdy tysiące syjonistów zamieszkujących te ziemie powoli przygotowywało się do wyjazdu na Bliski Wschód, by budować nową ojczyznę.

Niewiele zostało dziś w Płońsku po Żydach... Ostatnio pojawiło się nawet zagrożenie, że ważna część pamięci po nas może znaleźć się w niebezpieczeństwie (władze samorządowe nic tu nie zawiniły). Otóż na dawnym cmentarzu żydowskim w Płońsku miał zostać wybudowany supermarket. Społeczność żydowska w Polsce – ale nie tylko – głośno protestowała przeciwko temu. Również ja włączyłem się w tę akcję ratunkową. Wygląda na to, że udało nam się zabezpieczyć to święte miejsce. Jak bowiem poinformowała mnie ostatnio pani dr Magdalena Gawin, generalny konserwator zabytków, płoński cmentarz żydowski został objęty ochroną państwa polskiego. Jestem jej za to dozgonnie wdzięczny.

A państwa serdecznie zachęcam do odwiedzenia Płońska, do zajrzenia do domu, w którym kiełkować zaczął dzisiejszy Izrael.

„Do Rzeczy” 18–24 kwietnia 2016 r.

Kuchnia mojej Mamy

Kuchnia mojej Mamy, śp. Gieni Weiss, była podobna do kuchni mojej babci Minci, mojej babci Szejwy, a także kuchni moich cioci i wujów. Prawdopodobnie była taka jak kuchnie w innych żydowskich rodzinach.

W latach 30. większość Żydów żyjących na polskich ziemiach była bardzo religijna i wierna tradycji żydowskiej. 364 dni w roku jedliśmy, a w Jom Kippur pościliśmy. Jedzenie w naszym domu było koszerne. Wspomnienia mojego dzieciństwa to ludzie, którzy mnie otaczali, obrazy tamtych czasów oraz smaki i zapachy. Właśnie zapachy i smaki domowych potraw pamiętam tak, jakbym czuł je wczoraj. Doskonale pamiętam też skromną kuchenkę w naszym drewnianym domku na Dolnej Wolance w Borystawiu. Do dziś w myślach spoglądam w oczy moich dziadków, cioci, rodziców, siostry i brata. Wspominam ich ze smutkiem i wzruszeniem, bo większość z nich zginęła w czasie Zagłady.

Jedną z potraw mojego dzieciństwa jest czulent. W naszym domu gotowało się go przez dwa-trzy dni. Do jego zrobienia potrzebne były: jajka, mięso, fasola, groch i wiele innych składników.

U Żydów nie wyrzuca się jedzenia, dlatego w garnku, w którym przygotowywano czulent, przez kilka dni gromadzono różne składniki. Ponieważ w czasie szabatu nie wolno przygotowywać potraw na ogniu, czulent gotowano wcześniej, a potem wynoszono do kuchni należących do gminy, gdzie w specjalnych piecach podgrzewał się na sobotni obiad. To był cały festiwal gastronomiczny. Nieraz na czulent zapraszano sąsiadów niebędących Żydami, co było oznaką bliskiej przyjaźni. Taki obiad to była cała ceremonia, trwająca kilka godzin.

Tradycyjnie przyrządzany czulent jest mocno związany z historią żydowskiej kuchni. W najlepszych restauracjach na całym świecie podaje się go dziś jako prawdziwy rarytas. Z domowych potraw pamiętam jeszcze ruskie pierogi, świeży rosół, domowe makarony... W naszej kuchni królowała również kapusta. Wciąż czuję też smak grubych kromek świeżego chleba z masłem i ze śmietaną. Moja rodzina była właścicielem sklepu spożywczego, więc mieliśmy stały dostęp do świeżych produktów.

Zawsze z przyjemnością zjadam posiłki przypominające te przyrządzane w moim domu i szukam restauracji, w których je serwują. Chociaż nie zawsze łatwo takie znaleźć. Na przykład do rosółu moja Mama dodawała ogromne ziarna fasoli.

Co się piło? Herbatę z samowara, który stał w saloniku, pamiętam też kakao i soki, choć nie przypominę sobie już, jakie to były soki. Nie pamiętam też, abyśmy pili kawę. Najpopularniejszym napojem była jednak Naftusia – woda mineralna o zapachu nafty. Borysław był wówczas zagłębiem przemysłu naftowego, największym w Polsce i na zachodniej Ukrainie, a jednocześnie jednym z największych na świecie. Naftusia mi nie smakowała, podobnie jak tran. Jednak moja Mamusia potrafiła nas przekonać do ich picia. Nakazy matki były dla nas święte. Ja, moja siostra Mila i mój brat Lonek byliśmy bardzo zdyscyplinowani.

Na początku 2001 r. przyjechałem do Polski jako ambasador. Wróciłem tu na służbę dyplomatyczną, ale tak naprawdę wróciłem do polskich chmur, krajobrazów, zapachów i do mojego straconego dzieciństwa! A ważną częścią tego dzieciństwa jest kuchnia mojej Mamy.

W dalszym ciągu odwiedzam Polskę, już jako profesor – gość Uniwersytetu Warszawskiego oraz Akademii Pedagogiki Specjalnej, a także podczas konferencji. Jakiego jedzenia szukam w Polsce? Jakich zapachów? Odpowiedź jest oczywista. Szukam w miastach oraz miasteczkach – i na szczególności znajduję – kuchni mojej ukochanej Mamusi.

W Izraelu żyją Żydzi z 98 krajów. Każdy przywiózł tu swoje naleciałości gastronomiczne. Kuchnia izraelska ma w sobie np. dużo elementów bliskowschodnich, a w ostatnich latach popularność zdobywa kuchnia polsko-żydowska. Turyści przyjeżdżający do izraelskich miast mogą spróbować każdej z nich. Zderzenie tych kultur to piękna część naszego folkloru.

„Do Rzeczy” 8–15 sierpnia 2016 r.

Spotkania raz jeszcze

Borysław to jakby Nowy Jork – zauważam podczas rozmowy z sąsiadami w swojej nowej książce „Spotkania raz jeszcze”. Czy nie przesadzam? Nie, chociaż dzisiaj większość Polaków na pewno nie wiedziałaby nawet, jaką miejscowość mam na myśli. Młode pokolenie mogłoby pomyśleć, że chodzi o Wrocław, czyli dawny Breslau. Dużo bardziej znany jest współcześnie leżący blisko Drohobycz, bo właśnie tam urodzili się m.in. Bruno Schulz i Maurycy Gottlieb. Drohobycz – liczący przed wojną ok. 40 tys. mieszkańców – zawsze rywalizował z Boryslawem, który był miastem mniej więcej 50-tysięcznym.

W dwudziestoleciu międzywojennym to jednak Borysław był naftową potęgą niczym amerykański Teksas. Według statystyk w 1898 r. w Boryslawiu znajdowało się 7 proc. światowych zasobów ropy. Było to więc wówczas znane w całej Polsce miasto. Przed wojną żyło w nim mniej więcej 16 tys. Żydów, 20 tys. Polaków oraz 15 tys. Ukraińców. To było niezwykle romantyczne i wielokulturowe. Ludzie byli dość zamożni i każdy mówił chociaż trochę w trzech językach. Część Polaków o interesach rozmawiała więc z Żydami w języku jidysz.

W wyniku wojny Borysław – tak jak Lwów – stał się częścią Ukrainy. Po wojnie z miasteczka wyjechali ci Żydzi, którym udało się ją przeżyć, a także większość Polaków. I to dlatego dziś już mało kto w Polsce zna to miejsce. Ja oczywiście staram się to zmienić i dlatego w każdym wywiadzie oraz w każdej książce wspominam o moim rodzinnym miasteczku i chyba jak nikt inny na świecie dbam o wizerunek Boryslawia.

Właśnie dlatego moja nowa książka zaczyna się i kończy od spotkania z moimi dawnymi sąsiadami z Boryslawia. To kilkanaście osób, które znały całą moją rodzinę. Niektórzy, już ponad 90-letni, pamiętają nawet, jak ja się urodziłem. Pamiętają nasz rodzinny sklep ogólnospożywczy, który przed wojną był centrum życia. To tam wszyscy się spotykali. W tej grupie są trzy rodziny, które uratowały mnie i moich bliskich. Dlatego dla mnie słowo „sąsiedzi” – które za sprawą Jana Tomasza Grossa wielu Polakom kojarzy się ze strachem – mnie kojarzy się z odważnymi ludźmi, którzy nas uratowali. Dlatego przemawiając w Jedwabnem, podkreślałem, że ja znam też inne stodoły, takie, w których Polacy ratowali Żydów.

Mam już 80 lat i spotkałem bardzo dużo ciekawych ludzi. Jako przewodniczący Knesetu miałem okazję rozmawiać z wieloma światowymi przywódcami. Z samym Jasirem Arafatem spotkałem się aż sześć razy, m.in.

w Oslo, Waszyngtonie i Strefie Gazy. Pisałem już o tym we wcześniejszych książkach. W „Spotkaniach raz jeszcze” oprócz pogaduszek z sąsiadami są też zapisy rozmów z byłymi prezydentami – Wałęsą, Kwaśniewskim i Komorowskim – oraz ludźmi kultury. Jest też rozmowa z moim dawnym kierowcą, z którym jako ambasador przejechałem po Polsce ok. 230 tys. km. Ja mam bowiem duszę socjalliberalną i darzę ogromną sympatią ciężko pracujących ludzi, bez których wszyscy filozofowie i politycy nie byłiby w stanie żyć.

Wszystkie te rozmowy były już emitowane przez TVP Kultura i dzięki jej producentom z Artramy, dzięki którym zostały one zrealizowane.

W drugiej części książki „Spotkania raz jeszcze”, która ukaże się mniej więcej za pół roku, opublikowana zostanie także moja rozmowa z niesamowitym bohaterem Janem Karskim. Proszę sobie wyobrazić: ja, dziecko Holokaustu, gościłem w Knesecie tego niezwykle odważnego człowieka. W moim domu w Hajfie – jedząc polskie potrawy przygotowane specjalnie przez moją śp. żonę Ester – Jan Karski opowiadał mi o spotkaniach z Churchilllem i o obojętności Roosevelta. W drugiej części przeczytać też będzie można zapis mojej rozmowy z Wisławą Szymborską, z którą spotkałem się i w Krakowie, i w Izraelu. Słuchając jej słów, czytając jej wiersze, m.in. ten poświęcony terroryzmowi, szybko dochodzi się do wniosku, że nie przez przypadek zdobyła ona Literacką Nagrodę Nobla. Mam też piękne nagrania z panią Ewą Kopacz – która w czasie, gdy rozmawialiśmy, była jeszcze marszałkiem Sejmu – a także z prezydent Warszawy Hanną Gronkiewicz-Waltz.

Mam jeszcze długą listę osób, z którymi bardzo chciałbym spotkać się raz jeszcze. W tym gronie jest Jarosław Kaczyński, z którym znamy się osobiście. Z nowym prezydentem Andrzejem Dudą odbyłem w zeszłym tygodniu bardzo udane spotkanie, mam więc nadzieję, że z nim również uda mi się nagrać taką rozmowę.

Chciałbym też jeszcze spotkać się z Józefem Oleksym – to już jednak nigdy nie będzie możliwe – i z Jerzym Urbanem zawdzięczającym swoje nazwisko pomyłce urzędnika, który źle zapisał jego żydowskie nazwisko Urbach. Bardzo chciałbym też porozmawiać z Krystyną Jandą, a także zorganizować spotkanie z profesorami warszawskich uczelni i podebatować z nimi o tym, dlaczego w oficjalnych światowych rankingach polskie uniwersytety znajdują się w czwartej setce, choć moim zdaniem należą już do pierwszej.

„Do Rzeczy” 19–25 października 2015 r.

Dziękuję za te spotkania

Dzisiaj chciałbym się z państwem podzielić historią, dzięki której spokojniej patrzę w przyszłość.

Kilka tygodni temu odebrałem telefon od pana Krystiana Nehrebeckiego, promotora kultury z Pomorza. Pan Krystian zaprosił mnie na „Biesiadę literacką” – serię spotkań, na których autorzy rozmawiają z czytelnikami o swoich książkach. Na początku byłem sceptycznie nastawiony do tego pomysłu. Starałem się wymówić swoim wiekiem. Upierałem się, że nie mam już siły na spotkania z czytelnikami. Sięgnąłem też po – jak mi się wówczas wydawało – zestaw argumentów jak najbardziej racjonalnych. Pytałem: Kto przyjdzie na spotkanie z Szewachem Weisssem? Czy ludzie w tych czasach chcą jeszcze w ogóle rozmawiać o sprawach, o których pisać? Czy takie tematy wciąż są interesujące dla szerszej publiki? Generalnie starałem się użyć wszystkich argumentów przeciwko spotkaniu, jakie mi tylko przyszły do głowy. Pan Krystian wykazał się jednak wielką determinacją, był wręcz nieustępliwy. W końcu mnie przekonał.

W ten sposób spędziłem trzy dni na północy Polski. Przez ten czas wziąłem udział w siedmiu spotkaniach literackich: w Sopocie, Gdyni, Gdańsku, Wejherowie, Pruszczu Gdańskim, Słupsku i jeszcze raz w Gdyni. Pogoda nam ewidentnie nie sprzyjała, była po prostu fatalna. Mimo to w spotkaniach wzięło udział ok. 3 tys. ludzi, średnio na jednym było obecnych ponad 400 osób. Słuchacze tworzyli bardzo różnorodną grupę. Na widowni widziałem wielu staruszków, ale było też dużo młodzieży, co mnie szczególnie cieszyło. Spotykaliśmy się w bibliotekach, salach kinowych, centrach kultury, klubie Marynarki Wojennej, a także w słupskim teatrze Rondo. Każde spotkanie trwało mniej więcej dwie godziny. Wróciłem z tej wyprawy wymęczony, ale szczęśliwy.

Dlaczego niektórzy ludzie piszą książki? Odpowiedź jest prosta: bo muszą. To wewnętrzna potrzeba, żeby przekazać innym coś ważnego. Nie wiem, jak to wygląda u innych autorów, ale gdy ja piszę książki bądź felietony, często się zastanawiam, czy to ma sens. Czy ktoś to przeczyta? Czy w czasach Internetu, gdy nawet telewizja powoli wydaje się przeżytkiem, pisanie tekstów może coś zmienić? Który publicysta nie żyje taką nadzieją?

Wyjazd na Pomorze i spotkania z czytelnikami ugruntowały we mnie poczucie, że to, co robię od lat, ma sens. Dlatego wróciłem szczęśliwy. Nigdy nie zapomnę atmosfery tych spotkań. Nie pierwszy raz miałem wra-

żenie, że Polacy są narodem wyjątkowo wrażliwym. Tym razem jednak poczułem to bardzo intensywnie. Ta ciekawość w oczach czytelników, ta wielka potrzeba zrozumienia dziejów narodu żydowskiego, tak ściśle związanego z polsnością przez historię. Jeszcze raz uderzyło mnie to, jak wielu Polaków podświadomie widzi w Izraelu coś na kształt kontynuacji polskiego żydostwa.

Coś mnie chwytą za serce, gdy podchodzą do mnie przy okazji tych spotkań starszycy pamiętający jeszcze życie na kresach. Opowiadają mi o swoim Lwowie, o swoim Stryju, Drohobyczu albo Borysławiu. Pytają, czy pamiętam jeszcze zapach i smak Naftusi – wody mineralnej z Truskawca. Podchodzą do mnie młodzi ludzie i opowiadają o swoich żydowskich korzeniach. Niektórzy z nich wypytują mnie, w jaki sposób mogą dowiedzieć się więcej o historii swojej rodziny. Bardzo ciekawe są też te momenty, gdy młodzi pytają, czy ich nazwisko ma korzenie żydowskie. Nie brak w tym temacie niespodzianek.

W ogóle ciekawych pytań przy okazji spotkań z czytelnikami jest co nie-miara. Oto niektóre z nich: Czy Żydzi też czasami używają słów „polskie obozy zagłady”? Czy interesują się wciąż polską literaturą? Czy pamiętają Jankiela cymbalistę? Czy tłumaczą na jidysz wiersze Szymborskiej, Miłosa albo Mickiewicza? Czy pamiętają o polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata?

Przypominam moim rozmówcom, że co dwa tygodnie odpowiadam na podobne pytania w moich felietonach pisanych dla „Do Rzeczy”.

Jedno z najczęściej pojawiających się pytań, które jest bodaj najważniejsze, brzmi: „Czy można od nowa rozpocząć nasze relacje?”. Już dawno przekonałem się, że to możliwe. Pytania, które słyszałem podczas spotkań na Pomorzu, tylko utwierdziły mnie w tym przekonaniu.

„Do Rzeczy” 8–14 lutego 2016 r.

Filozofia upału

Często powtarzam, że przyjeżdżając do Polski, czuję się jak w domu. Tym razem jednak czuję się tu jak w domu aż do przesady, a państwo w końcu mogą poczuć, jak wygląda życie u nas, w Izraelu.

Z perspektywy obecnych tropików, które zawitały nad Wisłę, nierzezywista wydaje mi się sytuacja sprzed kilkunastu lat, którą czasem przywołuję ze śmiechem, wspominając czasy mojej służby ambasadorskiej w Warszawie. Tamtej zimy – musiało to być ok. 2002 r. – mróz był równie siarczysty jak w przedwojenne zimy, które pamiętam z czasów dzieciństwa spędzonego w Boryslawiu. Wylatując z Warszawy, spojrzałem na termometr: 21 stopni na minusie. Pewnie niejeden dyplomata z kraju leżącego w strefie subtropikalnej uznałby służbę w takich warunkach za zsyłkę. Dla mnie jednak nie był to duży problem – za młodu zahartowałem się w karpackim klimacie, więc ten siarczysty mróz był nawet do pewnego stopnia swojski.

Gdy trzy i pół godziny później lądowałem na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie, miałem wrażenie, że przekraczam bramy piekieł. Odwykły od upału wyszedłem z samolotu z grubą kurtką, szalikiem i czapką pod pachą wprost w 27-stopniowy skwar (tak mi się przynajmniej wówczas wydawało...). Śmieję się, że aż do tamtej pory nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak gorąco potrafi być w mojej ojczyźnie.

Wtedy wszystko było na swoim miejscu. W Polsce zimno, w Izraelu upalnie. Można byłoby powiedzieć: stereotypowo. A dziś? Gdy wylatywałem z Izraela, termometr wskazywał 31 stopni. Warszawa przywitała mnie 36 stopniami... Stereotypy runęły, a mój uporządkowany świat stanął na głowie.

Dlaczego poświęciłem ten felieton upałowi? Wszystko przez Monteskiusza. Dzięki niespodziewanemu pojawieniu się tropików w tej szerokości geograficznej przypomniałem sobie o tym słynnym filozofie, który zarówno lejącemu się z nieba poświęcił spory fragment jednej ze swoich prac.

Gdyby jego teoria na temat skwaru sprawdziła się w praktyce w XXI w., to pewnie nie byłoby mi dane latać co jakiś czas do Polski – będąc mieszkańcem kraju położonego w strefie piekielnych upałów, po prostu nie stać by mnie było na podróżowanie. Izrael byłby zacofanym krajem, a jego mieszkańcy ledwo wiązałiby koniec z końcem. Fragment o konsekwencjach upalnej pogody znajdziemy w dziele Monteskiusza pt. „O duchu praw”.

„Zimne powietrze ściąga zakończenia zewnętrznych żyłek naszego ciała; to pomnaża ich sprężystość i sprzyja dopływowi krwi od kończyn do serca. Zmniejsza długość tychże żyłek; przez co pomnaża ich siłę. Ciepłe powietrze, przeciwnie, zwalnia kończyny żyłek i wydłuża je; zmniejsza tedy ich siłę i sprężystość. Ludzie są tedy bardziej krzepcy w zimnych klimatach” – pisał Monteskiusz (tłumaczenie Tadeusza Boya-Żeleńskiego). Francuski myśliciel tłumaczył w ten sposób swoim czytelnikom, że narody zamieszkujące strefę umiarkowaną, w której upalna pogoda to tylko ewenement, lepiej się rozwijają, są bardziej twórcze i – mówiąc wprost – chce im się pracować. W odniesieniu do mieszkańców gorącego południa Monteskiusz mówił wręcz o „wrodzonym lenistwie”. „Gorąco klimatu może być tak nadmierne, iż ciało będzie zupełnie bez siły. Wówczas omdlałość przejdzie i na ducha; żadnej ciekawości, żadnego szlachetnego zamysłu, żadnego wzniosłego uczucia; skłonności będą tam zupełnie bierne; lenistwo będzie tam szczęściem [...]”. Przez długie lata teoria Monteskiusza mogła się wydawać bezbłędna. Faktycznie gorące południe tonęło w biedzie i zacofaniu w porównaniu z narodami żyjącymi w strefach wolnych od permanentnych upałów.

Ciekaw jestem, co dziś Monteskiusz powiedziałby na temat mojego Izraela lub prężnie rozwijających się południowych Chin (Tel Awiw jest niemal dokładnie na tej samej szerokości geograficznej co Szanghaj). Czy wielki myśliciel ugryzłby się w język i przyznał, że jego teoria ma pewne luki? Sami państwo pewnie widzą, że nawet jeżeli uwierzmy Monteskiuszowi, iż taki upał „zwalnia kończyny żyłek i wydłuża je”, to da się do niego przyzwyczaić, a i krzepkość jakoś strasznie na tym nie cierpi.

„Do Rzeczy” 17–23 sierpnia 2015 r.

Odszedł symbol odwagi i wybaczenia

W latach 50. XX w. zaczął się szybki proces dekolonizacji w Afryce. Ta dekolonizacja wyglądała wówczas bardzo różnie. W niektórych miejscach wiązała się z wojnami i ze zbrojnymi starciami, niekiedy bardzo krwawymi, które doprowadziły do przegranej nawet takie europejskie mocarstwa jak Francja. Wspomnę choćby o Algierii czy Tunezji.

Republika Południowej Afryki była państwem innego typu. Długie lata biała mniejszość okrutnie rządziła tam czarną większością. W tym kontekście należy więc docenić osobistą wielkość Nelsona Mandeli. Nieczęsto się zdarza, by wewnętrzna opozycja – większość obywateli niemających żadnego wpływu na rząd, za to terroryzowana ogromną siłą białych żołnierzy i tajnych służb – miała takiego lidera.

Charyzma Mandeli pozwoliła mu zorganizować wokół siebie wszystkie siły opozycyjne i zdobyć szerokie poparcie wolnego świata. Stał się tak znanym symbolem wolności, że nawet białe rządy RPA nie miały odwagi, by go zamordować.

Jego sukces był tym większy, że Mandela nie tylko zwyciężył, lecz także – używając polskich porównań – udało mu się stworzyć atmosferę Okrągłego Stołu i zrealizować marzenia śp. Tadeusza Mazowieckiego, czyli „grubą kreskę”. Mandela dał przykład, jak moralny, mocny, charyzmatyczny przywódca może stworzyć model transformacji, która unika rozlewu krwi i przebiega w sposób stabilny oraz spokojny. Zamiast zemsty wybrał wybaczenie.

Mandela stworzył państwo, w którym mogą współpracować ze sobą różne grupy etniczne. Jego zwycięstwo nie skończyło się wypędzeniem rządzących dotąd białych. Dzięki niemu RPA uniknęła tragedii gospodarczej oraz wieloletniej wojny domowej.

Wśród laureatów Pokojowej Nagrody Nobla nie ma człowieka, który na to wyróżnienie zasługiwałby bardziej niż Nelson Mandela. Dla walki o wyzwolenie swojego kraju, dla walki z rasizmem i dyskryminacją poświęcił własne życie. Trzy dekady przebywał w więzieniu.

Być może Bóg dał mu tak długie życie jako odszkodowanie, rekompensatę za te dziesiątki lat za kratami. A być może zostawił go na ziemi tak długo, aby mógł być strażnikiem wolności Republiki Południowej Afryki, strażnikiem balansu między etnicznymi grupami, strażnikiem wolności bez zemsty.

Nelsona Mandelę będziemy pamiętać jako symbol odwagi, wybaczenia i humanitaryzmu. Oby stał się on przykładem dla tych krajów, któ-

re przechodzą dziś tzw. wiosnę narodów. Żeby ta wiosna nie stała się okropną zimą. I chociaż w Libii, Egipcie, Jemenie czy Syrii nie ma zderzenia ras, a starcia są elementem walk grup etniczno-religijnych, to trzeba wiedzieć, że wojna na tle religijnym jest przeważnie najostrzejsza i najbardziej tragiczna w skutkach. Fanatyzm religijny jest bowiem brutalniejszy niż inny fanatyzm, nie zna w ogóle litości.

Oby zwycięzcy w tych krajach pamiętali o doświadczeniach Mandeli. My będziemy pamiętać.

„Do Rzeczy” 9–15 grudnia 2013 r.

Z Moskwy do Tel Awiwu

Wiadomość o śmierci Arika Einsteina nie pojawiła się na czołówkach gazet na całym świecie. Einstein nie był zbyt znany poza Izraelem. Nie dlatego, że brakowało mu talentu, by zrobić karierę międzynarodową. Po prostu chciał śpiewać po hebrajsku dla Żydów i o żydowskich sprawach. Nie interesowały go kontrakty w USA, nie chciał wyjeżdżać z ukochanego Tel Awiwu.

Byłem świadkiem początków jego kariery. W 1956 r. zorganizowaliśmy z kolegami imprezę na zakończenie służby wojskowej, na której Einstein, wówczas jeszcze szerzej nieznany, zaśpiewał kilka piosenek. Miał głos, który można by określić jako skrzyżowanie głosów Franka Sinatry i Binga Crosby'ego. Jednak jego kariera nie opierała się tylko na wyjątkowym talencie. Einstein doskonale wyczuwał oczekiwania krajowej publiczności, bo był typowym przedstawicielem izraelskiej elity pierwszych dziesięcioleci istnienia państwa. Ta elita kulturowa, ale również polityczna – bo do tego samego środowiska należeli nie tylko dziennikarze, pisarze, artyści i aktorzy, lecz także politycy, działacze społeczni – była skupiona w Tel Awiwie i składała się w przeważającej mierze z syjonistów i socjalistów.

Ci ludzie nie tylko kładli podwaliny pod nową-starą kulturę Izraela, przywracając do życia język hebrajski, lecz także budowali polityczne fundamenty państwa. Arik Einstein był więc dzieckiem swoich czasów. Był synem działaczki syjonistycznej i aktora Teatru Robotniczego, lewicowcem i humanistą, który śpiewał piosenki o pokoju. Chociaż był gwiazdą i najpopularniejszym piosenkarzem w kraju, do końca mieszkał w małym, skromnym mieszkanku w Tel Awiwie. Nie lubił udzielać się publicznie, wolał trzymać się na uboczu i wieść spokojne życie ze swoją żoną.

Einstein współtworzył razem ze swoim środowiskiem nowoczesną tożsamość izraelską, która jest wciąż bardzo problematyczna. Do dziś w Izraelu mało kto powiedziałby o sobie, że jest Izraelczykiem. Oprócz Żydów mamy izraelskich Arabów, chrześcijan, druzów czy Czerkiesów. Przedstawiciel żadnej z tych grup nie powiedziałby o sobie, że jest Izraelczykiem. Nie powiedziałby tego o sobie również żaden religijny Żyd. Nie ma więc czegoś takiego jak naród izraelski. Jest naród żydowski, w którym rysują się silne podziały ze względu na miejsce pochodzenia danej grupy Żydów. Tożsamość izraelskich Żydów jest więc w wielu aspektach bardzo niespójna i może łatwo ulec gwałtownej zmianie wraz z napływem dużej fali imigrantów z jednego kręgu kulturowego, którzy mogą łatwo zdominować podzieloną resztę społeczeństwa.

Taką właśnie falą jest migracja Żydów z byłego Związku Sowieckiego. Od rozpoczęcia pierestrojki do Izraela napłynęło 1,2 mln Żydów z Ukrainy, Rosji, krajów bałtyckich, Kaukazu i Azji Środkowej. Wcześniej mieliśmy już kilka migracji z ZSRS. W 1967 r., gdy Breżniew uchylił żelazną kurtynę, do Izraela przyjechało 300 tys. ludzi. Jednak wówczas byli to Żydzi, którzy mówili jeszcze w jidysz i byli mocno związani z kulturą żydowską.

Tym razem jest inaczej. Nowi imigranci są w dużej części świetnie wykształconymi ludźmi, lekarzami, prawnikami, naukowcami i wykładowcami uniwersytetów, ale reprezentują inną kulturę niż pierwsze pokolenia izraelskich socjalistów i kibucników, którzy przyjeżdżali przeważnie z państw Europy Środkowej. Odrębność kulturową Żydów z byłego ZSRS widać na każdym kroku. W Izraelu wychodzi dziś osiem dzienników po rosyjsku. W tym języku czyta dziś niemal połowa ludności kraju.

Nowi imigranci są świetnie zorganizowani. Chodzą karnie na wybory, mają własną partię Izrael Nasz Dom, która z roku na rok zyskuje na popularności. Święcą więc kolejne triumfy polityczne. Z byłego ZSRS pochodzą: obecny przewodniczący Knesetu Yuli Edelstein, minister spraw zagranicznych Awigdor Lieberman i kilkunastu posłów w Knesecie. Założony przez imigrantów z byłego ZSRS teatr Geszer jest obecnie największym i najprężniej działającym teatrem w kraju.

Zmiany postępują szybko. Rozpoczęły się na dobre niemal 20 lat temu, gdy zginął zamordowany przez fanatyka Icchak Rabin. Imigranci z ZSRS nie mieli oczywiście nic wspólnego z jego śmiercią. Jednak Rabin był podobnie jak Einstein jednym z symboli starego Izraela. Z dzisiejszej perspektywy widać, że jego śmierć stała się symbolicznym początkiem zmian, które dziś przypieczętowało odejście Arika Einsteina. Na pogrzeb Einsteina przyszły tłumy, a ich żałoba po nim była również żałobą po starych porządkach w izraelskim życiu publicznym.

„Do Rzeczy” 13–19 stycznia 2014 r.

Odszedł prorok nadziei

Szymon Peres, legendarny lider Państwa Izrael i narodu żydowskiego, zmarł 28 września, niecały miesiąc po swoich 93. urodzinach. Przyszedł na świat w Polsce w miasteczku Wiszniew. Kiedyś, gdy był w Polsce na oficjalnej wizycie, na kolacji u prezydenta powiedział: „W pewnym sensie moje losy są odbiciem historii Polski. Urodziłem się w Polsce, w Wiszniewie, ale mógłbym powiedzieć, że urodziłem się w Związku Sowieckim i mógłbym też powiedzieć, że urodziłem się na Białorusi. Jednak przyszedłem na świat w tym samym miasteczku, w tym samym domu na tej samej ulicy, obok tej samej synagogi i tego samego żydowskiego cmentarza”.

Na jednym z moich wykładów na Uniwersytecie Warszawskim spontanicznie powiedziałem studentom, że Polska była „w ciąży” z Izraelem. To dlatego, że większość twórców i liderów dzisiejszego Państwa Izrael jest żydowsko-polskiego pochodzenia. Szymon Peres już w wieku 23 lat był najważniejszym pomocnikiem Davida Ben Guriona, twórcy Państwa Izrael, który również urodził się w Polsce.

Jako 30-latek był już dyrektorem generalnym ministerstwa obrony. W wieku 32 lat odegrał czołową rolę we wspólnym dziele Izraela i Francji – stworzeniu największej mocy Izraela, o której się nie mówi ani nie pisze, ale każdy wie, że istnieje. Bez tej potęgi Izrael nie miałby możliwości istnienia na Bliskim Wschodzie (nie z powodu jej użycia, ale wyłącznie jej istnienia).

Peres był więc związany z losem Izraela od młodości. Sprawował funkcje ministerialne prawie we wszystkich izraelskich rządach. W Knesecie służył nieprzerwanie od 1959 r. aż do roku 2007, kiedy został wybrany na dziewiątego prezydenta Izraela. Premierostwo po raz pierwszy objął w 1984 r. w tzw. rządzie rotacyjnym.

Jako premier Szymon Peres zapisał się w historii izraelskiej gospodarki i to nie tylko jako człowiek, który był twórcą bardzo ważnego dla Izraela przemysłu zbrojeniowego. Objął urząd w czasie kryzysu ekonomicznego w Izraelu, kiedy mieliśmy ogromną inflację, a kraj był na skraju katastrofy gospodarczej. Przez półtora roku reform doprowadził do normalizacji sytuacji gospodarczej państwa.

Ten sam człowiek, już jako minister spraw zagranicznych w drugim rządzie Icchaka Rabina, razem z Palestyńczykami wypracował warunki, które umożliwiły rozpoczęcie procesów pokojowych prowadzących do podpisania porozumienia w Oslo w 1993 r., za co Szymon Peres, Icchak

Rabin i Jasir Arafat zostali uhonorowani Pokojową Nagrodą Nobla. Droga do pokoju nie jest jednak krótka. Szymon Peres do ostatnich dni życia był liderem tych procesów i prorokiem nadziei, który nigdy nie zrezygnował z marzenia o pokoju między Żydami i Palestyńczykami. To nie tylko jego dorobek, lecz także testament polityczny.

Jako przewodniczący Knesetu miałem zaszczyt uczestniczyć w uroczystości, podczas której Icchak Rabin, Jasir Arafat i Szymon Peres odebrali Pokojową Nagrodę Nobla. Pamiętam kolację w Oslo po tej historycznej uroczystości. Uczestniczyli w niej: premier Norwegii, prezydent Oslo, przewodnicząca norweskiego parlamentu, Jasir Arafat ze swoją małżonką Suhą, Icchak Rabin z małżonką Leah, Szymon Peres z małżonką Sonyą i ja. Szymon Peres, który miał fantastyczne i sarkastyczne poczucie humoru, powiedział: „Przy tym stole rządzą kobiety. Premier Norwegii, prezydent Oslo i przewodnicząca parlamentu to kobiety. Mówili mi, że Suha rządzi Jasirem Arafatem. A co do mojej Sonyi, to przecież nie ma żadnych wątpliwości, bo urodziła się w Polsce”.

Gdyby ktoś w bibliotece sięgnął po książkę o historii Państwa Izrael oraz biografię Szymona Peresa i porównał je, zobaczyłby, że są takie same. Historie Izraela i życia Szymona Peresa nie tylko się łączą. Prezydent Izraela był człowiekiem, który miał duży wkład w powstanie i istnienie państwa. Miał wielki wpływ na historię, a historia miała wielki wpływ na niego. Nigdy nie zostanie zapomniany, bo każdy, kto będzie związany z losem żydowskim, z losem Izraela, spotka tam Szymona Peresa.

Na jego pogrzeb przyjechali liderzy prawie wszystkich państw na świecie. W czasie politycznej izolacji Izraela spowodowanej konfliktem z Palestyńczykami Szymon Peres jest być może jedynym liderem, który za swojego życia, a nawet po śmierci, zwiększał moc moralną Izraela na całym świecie. Nie tylko jego życie, lecz także śmierć są symbolem nadziei.

W Izraelu zapanował smutek. Łączy wszystkich – prawicę, lewicę, centrum, Żydów i Arabów, tych żyjących zarówno w Izraelu, jak i w krajach arabskich. Wszystkich tych, którzy czuli, że z takimi liderami jak Icchak Rabin i Szymon Peres będzie można sprawiedliwiej oraz szybciej osiągnąć trwałą pokój.

„Do Rzeczy” 3–9 października 2016 r.

Żydowska sztuka przetrwania

Tydzień temu zakończyło się święto Pesach. Żydzi na całym świecie, od Kamczatki do Islandii i od Patagonii do Nowej Zelandii, ortodoksi oraz wyznawcy judaizmu reformowanego czytali w rodzinnym gronie hagadę, opowieść o wyjściu Izraelitów z Egiptu i plagach, które spadły na państwo faraona. Wspominali wyjście z niewoli i powrót do ojczyzny. Tuż przed Pesach Żydzi obchodzą rocznicę odzyskania niepodległości, a dwa dni, które dzielą oba te święta, poświęcone są pamięci ofiar Holokaustu i niemal 30 tys. Izraelczyków, którzy oddali życie za wolny i niepodległy Izrael. Radosne i smutne dni przeplatają się ze sobą, przypominając o zmiennych losach narodu żydowskiego.

Jak Żydom udało się przetrwać przez niemal 4 tys. lat? I co zrobić, by trwali oni nadal? Od setek lat głowią się nad tym zastępy historyków, filozofów, archeologów i etnologów. Mamy do wyboru dziesiątki rozmaitych wyjaśnień fenomenu przetrwania narodu żydowskiego, ale największą popularność zyskały trzy koncepcje: teologiczna, demograficzna i syjonistyczna. Spór o to, która z nich jest najtrafniejsza, nie jest tylko sporem akademickim. Od jego wyniku zależy bowiem, jaką strategię przetrwania i rozwoju obierze naród żydowski w przyszłości.

Zgodnie z koncepcją teologiczną Żydzi zawdzięczają przetrwanie judaizmowi. To dzięki swojej oryginalnej religii – głoszą zwolennicy tej teorii – Żydzi się nie zasymilowali, nie rozplynęli w morzu otaczających ich narodów. Nawet gdy zaczynali mówić językami krajów, w których mieszkali, i częściowo przejmowali lokalne zwyczaje, religia była gwarantem odrębności. Ortodoksyjni Żydzi do dziś zajmują się niemal wyłącznie swoją wiarą. Kwestie niepodległości i państwowości Izraela niezbyt ich interesują. Specyficznie pojmują też przynależność narodową. Jedynym jej kryterium jest dla nich wyznanie.

Inną teorię, demograficzną, rozwinęli w pierwszej połowie XX w. dwaj wybitni naukowcy żydowscy, profesorowie Szymon Dubnow i Salo Baron. Urodzony w Berlinie i zamordowany przez Niemców w 1941 r. Dubnow był jednym z najwybitniejszych żydowskich historyków. Jego monumentalne, 12-tomowe dzieło „Historia wiecznego narodu” do dziś inspiruje badaczy dziejów narodu żydowskiego. Dubnow pisał w nim, że po zburzeniu Drugiej Świątyni przez Rzymian i wygnaniu z Palestyny Żydzi przez setki lat tworzyli w różnych miejscach na świecie centralne ośrodki żydowskiego życia. Początkowo była to Babilonia, później Egipt, Hiszpania, a w końcu Europa Środkowa i Polska.

W tych ośrodkach żyło najwięcej Żydów, ale znaczenie miała nie tylko ich liczba. To właśnie tam rozwijała się żydowska kultura, tam pielęgnowano zwyczaje i tradycje religijne oraz dbano o przetrwanie języka hebrajskiego. Zarówno Dubnow, jak i podzielający jego poglądy Baron nigdy nie związali się z ruchem syjonistycznym. Na podstawie swoich badań doszli bowiem do wniosku, że państwowość nie jest Żydom niezbędna do przetrwania.

Dzisiaj się wydaje, że właśnie święci triumfy inna koncepcja syjonistyczna, w myśl której Żydom do przetrwania państwo jest niezbędne. Syjonizm narodził się w latach 70. XIX w., po głośnej w całej Europie sprawie Dreyfusa, francuskiego oficera żydowskiego pochodzenia, który został skazany za rzekomą zdradę. Afera Dreyfusa wywołała we Francji falę brutalnego antysemityzmu.

Żydzi zaczęli się zastanawiać, czy długotrwałe pokojowe współżycie z europejskimi narodami kiedykolwiek będzie możliwe. Narodził się ruch syjonistyczny, który ostatecznie odnowił państwowość Izraela.

Syjonizm wziął wprawdzie w ostatnich dekadach górę nad pozostałymi koncepcjami, ale spór wciąż jest żywy. Przybrał na sile kilka lat temu, gdy Shlomo Sand, profesor historii z uniwersytetu w Tel Awiwie, wydał nieprzetłumaczoną na polski książkę „Wymyślenie narodu żydowskiego”. Sand dowodzi w niej, że Żydzi nie są etnicznie jednorodni. Pisze, że rozmaite ludy przez wieki nawracały się na judaizm i dzisiejszych Żydów spaja nie wspólne pochodzenie, ale wyłącznie kultura i religia. Zwolenników jego teorii nazwano postsyjonistami. Wniosek z badań Sanda może być korzystny dla zwolenników koncepcji teologicznej: Żydzi przetrwali dzięki judaizmowi i to w nim należy pokładać nadzieje na przyszłość.

Sand ma jednak wielu krytyków, którzy próbują podważyć jego badania. Spór nie jest więc i zapewne nigdy nie będzie rozstrzygnięty. Wydaje się też, że nie trzeba się w nim opowiadać jednoznacznie po którejś ze stron. Odpowiedzią na pytanie o korzenie i przyszłość Żydów mogą być jednocześnie wszystkie cztery teorie (teologiczna, demograficzna, syjonistyczna i postsyjonistyczna), bo tożsamość każdego narodu jest najsilniejsza, gdy opiera się na wielu mocnych filarach.

„Do Rzeczy” 28 kwietnia–4 maja 2014 r.

Jakimi językami mówią Żydzi?

W 25. rocznicę wznowienia polsko-izraelskich stosunków dyplomatycznych do Izraela przybyła przed tygodniem oficjalna delegacja z Polski, z szefem MSZ Grzegorzem Schetyną na czele.

O współpracy politycznej, gospodarczej lub historycznej między naszymi narodami pisałem już wielokrotnie. Tym razem chciałbym się więc zająć zupełnie inną kwestią – językiem. I dla Polaków, i dla Żydów ma on ogromne znaczenie. To właśnie języki narodowe były naszą ojczyzną, kiedy nasi przodkowie żyli pod zaborami, gdy na mapach nie było naszych państw. To one pozwalały zachować odrębność od okupantów, to dzięki nim mogliśmy wyrażać nasz sprzeciw wobec wrogów. To one pozwalały nam przetrwać.

Wiele razy miałem zaszczyt brać udział w dyplomatycznych spotkaniach, na które zapraszani są między innymi członkowie elity Żydów polskich w Izraelu. I za każdym razem obserwowałem u moich przyjaciół Żydów ogromną tęsknotę za polskością. Oni ubierają się tak jak w przedwojennej Warszawie lub we Lwowie: elegancko, dostojnie, konserwatywnie. Obowiązują oficjalne, ciemne kolory garniturów. Również krawat nigdy nie jest zbyt kolorowy. Ich polszczyzna jest zaś wyjątkowo piękna. To nie są Żydzi z Polski, to są polscy Żydzi, którzy rozmawiają ze sobą, cytując Mickiewicza i Słowackiego.

W 1939 r., gdy na świecie żyło prawie 18 mln Żydów, niemal 5 mln z nich świetnie znało język polski i polską kulturę. Również 250 tys. Żydów mieszkających wówczas w Palestynie, chociaż modliło się w języku hebrajskim, politykowało i plotkowało albo po polsku, albo w jidysz. Po polsku lub w jidysz z zapożyczeniami z polskiego mówiło też wielu Żydów we Francji i w Niemczech.

Przed wojną najpopularniejsze wśród Żydów na świecie były trzy języki. Najczęściej używany był prawdopodobnie jidysz – powstały na podstawie języka niemieckiego z dodatkiem elementów hebrajskich, słowiańskich oraz słów z języków tych narodów, w których żyli Żydzi. Tym narodowym, tradycyjnym, matczynym językiem mówili przed wojną nie tylko Żydzi w Polsce, Rosji lub na Ukrainie, lecz także duża ich część w Rumunii, na Węgrzech oraz w wielu innych krajach świata.

W czołówce znajdowały się też polski i angielski. Ten ostatni ze względu na to, że w USA, Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Nowej Zelandii już wówczas mieszkało ponad 6 mln Żydów. Nawet w tych krajach członkowie

pierwszego pokolenia imigrantów mówili jednak czasem po rumuńsku lub niemiecku, ale najczęściej po polsku albo w jidysz z polskim akcentem!

O wiele mniej popularny był język hiszpański. Żydów z Królestwa Hiszpanii wypędzono bowiem na podstawie edyktu z Alhambry w 1492 r. Potomkowie tamtych Żydów rozwinęli język o nazwie ladino, który powstał jako dialekt hiszpańskiego. Żydzi w Iraku – w 1939 r. było ich ok. 150 tys. – używali mieszanki irackiego arabskiego oraz hebrajskiego. Z kolei Żydzi w Maroku – a było ich w tym kraju mniej więcej pół miliona – stworzyli wersję marokańsko-hebrajską.

A jakimi językami po Zagładzie i dramatycznych emigracjach mówią Żydzi dzisiaj? Szacuje się, że wśród 14 mln Żydów żyjących obecnie na świecie dominuje język angielski. Wynika to choćby z tego, że ponad połowa Żydów mieszka w krajach anglojęzycznych. A także z tego, że cała izraelska elita, a także mieszkająca w Izraelu młodzież, używa języka angielskiego w kontaktach międzynarodowych.

Na drugim miejscu – i jest to ogromne osiągnięcie syjonizmu – jest odnowiony język hebrajski. Język, w którym przez wieki modlili się Żydzi na całym świecie, stał się supernowoczesny.

Trzecią pozycję zajmuje obecnie rosyjski. Do Izraela w ostatnich trzech dekadach przybyło prawie 1,5 mln Żydów mówiących w tym języku. W Izraelu jest zaś dzisiaj więcej dzienników wydawanych w języku rosyjskim niż w hebrajskim. Pół miliona Żydów porozumiewających się po rosyjsku mieszka też w innych krajach świata: w Niemczech, USA i Kanadzie. Ze względu na Żydów pochodzących z Tunezji, Maroka lub Algierii dość popularny jest też język francuski.

Niestety, współcześnie zarówno polski, jak i jidysz schodzą na margines, choć w 1978 r. Isaac Bashevis Singer zdobył Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury właśnie za twórczość w tym ostatnim języku. Po polsku i w jidysz mówią już zazwyczaj tylko ortodoksi i przedstawiciele starego pokolenia emigrantów z Europy Środkowo-Wschodniej. Tylko część z nich przekazała te umiejętności następny generacji. Nauczanie dzieci polskiego nie było bowiem popularne, ponieważ większość Żydów emigrujących z Polski miała do Polaków głęboki żal.

Ostatnie dane – sprzed ośmiu lat – pokazywały, że po polsku mówi zaledwie ok. 75 tys. z ponad 6 mln Żydów w Izraelu. Dziś ta liczba jest na pewno jeszcze mniejsza. Aż serce boli.

„Do Rzeczy” 22–28 czerwca 2015 r.

Tożsamość narodu rozproszonego

Jak dobrze wiadomo, Żydzi mają swój hebrajski kalendarz. Na początku przyszłego tygodnia naród żydowski przywita nowy według naszej tradycji rok: 5777. Nie ma żadnej pracy naukowej, teologicznej, w której by wyjaśniono, dlaczego liczenie lat w hebrajskim kalendarzu zaczęło się właśnie wtedy. Ta tradycja jest jednak na tyle głęboka, że przestaliśmy się tym zajmować. Według żydowskiej tradycji 5777 lat temu Bóg stworzył nasz świat.

Uważając tę datę za ważną z punktu widzenia religijnego, warto podsumować sytuację narodu żydowskiego na świecie. Ilu nas jest? Nie znamy dokładnych liczb, ponieważ są państwa, np. Rosja, w których nie ma oficjalnej statystyki dotyczącej żyjących w nich grup etnicznych. Ponieważ na świecie żyje wiele rodzin mieszanych, dwureligijnych, te dane nie są dokładne nawet w takich krajach jak Stany Zjednoczone i Kanada. Nie znamy dokładnej liczby Żydów w Polsce. „Oficjalnie” jest nas mniej niż 1,5 tys. Jednak według gmin żydowskich w Polsce żyje ponad 3 tys. Żydów, a według innych statystyk – nawet 10 czy 15 tys.

Ocenia się, że na całym świecie żyje ok. 14 mln Żydów. Pojawia się pytanie: Kto jest Żydem? Według naszej religii jest to osoba mająca matkę Żydówkę. Sprawa oszacowania liczby Żydów na świecie staje się zatem jeszcze bardziej skomplikowana. Według najnowszych statystyk w Izraelu mieszka mniej więcej 6 mln 250 tys. Żydów. Z punktu widzenia ortodoksyjnego o 400–500 tys. mniej, bo osiedlają się tu pary mieszane z innymi krajów.

Ciekawe zjawisko jest związane właśnie z tzw. diasporą żydowską. Izrael istnieje już prawie 70 lat. Jest to państwo liberalne i demokratyczne, mające na wysokim poziomie edukację, kulturę, gospodarkę, rozwiniętą technologię. Jesteśmy także mocarstwem militarnym. Mamy bardzo rozwiniętą demokrację, wolność słowa, wolne media na wysokim poziomie i niezależne sądy. Chociaż proces tworzenia konstytucji jeszcze nie został zakończony, to podstawowe wartości i prawa człowieka są na poziomie najbardziej rozwiniętych na świecie państw demokratycznych. Dlaczego więc po tylu latach niespełna połowa narodu żydowskiego zdecydowała się powrócić do swojej odnawiającej się ojczyzny? Na to pytanie jest wiele odpowiedzi, ale można to wytłumaczyć tym, że świadomość narodowa i religia żydowska są nierozdzielne. To właśnie religia jest tym spoiwem, które łączy naród rozproszony po całym świecie.

Jak przedstawia się sytuacja w nadchodzącym 5777 r.? W Stanach Zjednoczonych, kraju będącym tygłem różnych nacji i religii, oraz w Kanadzie mieszka łącznie mniej więcej 6 mln Żydów. W Wielkiej Brytanii żyje blisko 300 tys. Żydów, a we Francji prawie pół miliona. Po ubiegłorocznych zamachach terrorystycznych w Paryżu, które miały również podłoże antysemityczne, premier Izraela Benjamin Netanjahu spotkał się z liderami francuskich gmin żydowskich. Powiedział im wtedy, że Izrael jest ich domem, co wywołało oburzenie. Na tym samym spotkaniu prezydent Francji François Hollande powiedział, że to nieprawda, a domem francuskich Żydów jest Francja. Co prawda w ostatnich latach migracja Żydów z tego kraju do Izraela wzrosła, ale wciąż niemal pół miliona pozostaje we Francji. Po latach życia tam nie czują się, jakby mieszkali za granicą.

Mimo życia poza Izraelem, rozproszenia po całym świecie Żydzi czują silną wspólnotę narodową. Mamy swoje: religię, tradycję, święta, język i historię – i piękną, i tragiczną. Najtragiczniejszą „religią” narodu żydowskiego jest Holocaust. Większość Żydów ma ogromny sentyment do Izraela, który także jest ważnym elementem naszej tożsamości.

Na początku października miliony Żydów zasiądą do noworocznej kolacji. Odmówią przygotowane specjalnie na tę okazję modlitwy, a na stołach pojawią się noworoczne specjały – m.in. rosół, makarony, karp, kompot i koszerne wino. Wśród milionów Żydów świętujących tego wieczoru będzie rodzina Clintonów, ponieważ córka Hillary i Billa – Chelsea Clinton – wyszła za mąż za Żyda (ślubu udzielali pastor i rabin). Być może świętować będzie również rodzina Trumpów. Wszak teść Donalda Trumpa również jest Żydem.

„Do Rzeczy” 25 września–2 października 2016 r.

Nazwiska w żydowskiej tożsamości

Słynna żydowska poetka Zelda napisała wiersz, który został przetłumaczony niemal na wszystkie języki świata, a w dniach pamięci, zwłaszcza związanej z zagładą Żydów podczas II wojny światowej, stał się ważnym hymnem. Zelda pisze w nim, że każdy człowiek ma imię i nazwisko, które dali mu Bóg, rodzina, krajobraz, pamięć i natura. Dotyczy to podstawowego prawa każdego człowieka – prawa do posiadania imienia i nazwiska oraz jego kontynuacji.

W instytucie Yad Vashem w Jerozolimie, który jest świątynią pamięci zamordowanych Żydów, znajduje się tzw. Sala Imion. Dotychczas zgromadzano w niej prawie 4 mln imion i nazwisk, ale praca naukowców, którzy starają się uczcić pamięć każdego zamordowanego, będzie trwała jeszcze długie lata i być może nigdy nie uda się ustalić każdego imienia ani nazwiska. Esencją tej okropnej tragedii jest pomnik w miejscu Umschlagplatz w Warszawie, na którym wyryto najpopularniejsze żydowskie imiona: Jankiel, Mojszele, Miriam, Ester, Hajka i Malka, a wśród nich: Tadek, Bronek, Elżbieta – polskie imiona, które przyjmowali Żydzi.

Każdy z tych Tadeków, Bronków i każda z Elżbiet mieli typowe żydowskie imię, ale w procesie asymilacji zaczęli używać polskich, judeochrześcijańskich imion i nazwisk. Ja sam w domu byłem Szejwach, ale miałem też drugie imię – Zenon – którego praktycznie nikt nie używał, ale które było wpisane w dokumentach.

Imię i nazwisko są najbardziej prywatnymi rzeczami każdego człowieka, mającymi moc fizyczną i metafizyczną. Religia żydowska, wywodząca się z niej religia chrześcijańska i wyrosły z tych źródeł system humanitarnej, demokratycznej, opierają się na założeniu, że każdy człowiek jest małym światem i kto ocala jednego człowieka, ten ocala cały świat. Tak jest zapisane w źródłach żydowskiej religii i to jest być może esencja, konstytucja praw człowieka i demokracji.

Żydowski naród przez 2 tys. lat życia w diasporze, wędrujący po całym świecie i adaptujący kultury i języki, będący typowym narodem migrantów oraz uchodźców, jest ciekawym przykładem pokazującym, jak ważne są dla ludzi imię i nazwisko. Według tradycji Żydzi przejmowali nazwisko po ojcu. W takiej sytuacji, jeśli moim ojcem był Meir, mnie nazwano Szewach Ben Meir („Ben” znaczy „syn”). W XVIII i XIX w. nowe nazwiska nadawano wielu Żydom, zwłaszcza mieszkającym na terenie imperium habsburskiego. Przyglądając się imionom i nazwiskom, możemy też zaobserwować ciekawe adaptacje innych kultur i języków. To dotyczy wszyst-

kich uchodźców świata, ale istnieje specyfika żydowska. Na przykład jeden ze stalinowskich ministrów w ZSRS, Żyd, nazywał się Łazar Kaganowicz. Imię Łazar pochodzi od żydowskiego nazwiska Lejzer, a to z kolei – z hebrajskiego Eliezer. Kaganowicz pochodzi od Kohen (czyli kapłan), które czasem występuje jako Kahan. Zrusyfikowane brzmi Kagan, ale żeby było jeszcze bardziej rosyjskie, dodano końcówkę i powstało Kaganowicz. W innych językach można zrobić inne kombinacje.

Twórca izraelskiego państwa, David Ben Gurion, na początku XX w. przyjechał z Płońska do Palestyny jako Dawid Green (Zielony), ale postanowił zmienić nazwisko na związane z żydowską tradycją. Jako premier naciskał, aby Żydzi wracający do starej ojczyzny pozbywali się swoich diasporycznych nazwisk i zmieniali je na hebrajskie. Nie zawsze to się udawało. Ben Gurion, tworząc swój pierwszy rząd, poprosił ministrów, by i oni zmienili nazwiska na hebrajskie. Na kilku z nich miał wpływ. Minister spraw zagranicznych Mosze Szertok zmienił nazwisko na Szaret, co ma ciekawe znaczenie – „służyć”. W innym rządzie minister Golda Meyerson, późniejsza legendarna premier Izraela, zmieniła nazwisko na Meir. Inny minister – Szneur Zalman Rubaszow – z liter swojego dotychczasowego nazwiska ułożył nowe – Zalman Szazar.

Były minister spraw zagranicznych w Polsce, dyplomata i naukowiec prof. Adam Rotfeld, był jednym z dzieci uratowanych w czasie wojny przez duchownego Klemensa Szeptyckiego. Po wojnie, kiedy odnalazła go siostra, wrócił do swojego nazwiska (Rotfeld – z niem. czerwone pole), nadanego pewnie jeszcze w XVIII czy XIX w., ale ukrywany był jako Adam Czerwiński, czyli pod nazwiskiem mimo wszystko niezbyt odległym od Rotfeld. Bardzo dużo ukrywających się Żydów przeszło podobny proces. Część po wojnie pozostała przy nowym, polskim nazwisku, co w czasach asymilacji w PRL było naturalne i – szczerze powiedziawszy – wygodne.

Nie brakuje też przykładów ludzi, którzy z różnych względów nie chcieli zmienić swoich nazwisk. Na przykład posłowie Knesetu, w tym pani poseł partii lewicowej Chajka Grossman, która walczyła w getcie warszawskim i w Białymstoku, i Szewach Weiss. Nie byliśmy posłami w tym samym czasie ani nie umówiliśmy się w sprawie zachowania swoich nazwisk. Jesteśmy przykładem tych ludzi, którzy po Zagładzie chcieli zostać kontynuacją pamięci dla przyszłych pokoleń.

Co do kontynuacji historycznej, kulturowej i tożsamościowej, każdy z nas – Żyd bądź nie-Żyd – który nosi imię Abraham, setki tysięcy Abrahamów na całym świecie, jest w jakiś sposób związany z Abrahamem, który według tradycji i religii był twórcą narodu żydowskiego oraz religii żydowskiej, twórcą monoteizmu.

Każdy Żyd wychodził z Egiptu

Według żydowskiej religii mamy dwa początki roku. Jeden wypada na początku jesieni, kiedy to zaczyna się nowy rok, ale nie jest to pierwszy miesiąc w roku. Pierwszy miesiąc rozpoczyna się bowiem na początku wiosny, kiedy to Żydzi obchodzą święto Pesach. Każde z tych świąt ma swoją specyfikę, ale z punktu widzenia religijnego i narodowego Pesach jest nawet świętem ważniejszym niż powitanie nowego roku.

Narodowość żydowska, samodzielność narodowa zawsze zaczynały się albo odnawiały za granicą. Kiedy Bóg zwrócił się do Abrahama i obiecał mu ziemię, nie nazwał jej jeszcze Izraelem. Nie wiemy konkretnie, jaki obszar Bóg obiecał, ale to jest ten kierunek, w którym podążali Żydzi. Abraham żył w tzw. Aram-Naharaim, czyli mniej więcej na terenie dzisiejszego Iraku. To tam usłyszał od Boga, by szedł do swojej ziemi. Drugi raz samodzielność narodowa odnawia się, gdy Żydzi wychodzą, uciekają z Egiptu. To wydarzenie upamiętnia święto Pesach. Żydzi odnawiają swoją narodowość na podstawie religijnych wartości, a ich narodowość zmierza znów w kierunku Palestyny, którą opuścili synowie Jakuba. Trzecie odnowienie samodzielności narodowej jest związane z ruchem syjonistycznym. Żydzi zachowywali swoją narodowość na podstawie religii, instytucji religijnych oraz społecznych i będąc pod wpływem społeczeństw, wśród których żyli. Zwłaszcza w Europie zaczyna się na nowo ruch narodowy, państwowy, właśnie ruch syjonistyczny, którego głównym celem jest powrót Żydów do swojej obiecannej ziemi.

Każdy z tych procesów wygląda inaczej. Pierwszy, dotyczący Abrahama, opiera się na tworzeniu religii. O drugim procesie, czyli wyjściu Żydów z Egiptu, mamy więcej informacji w Starym Testamencie i w innych źródłach. Ponieważ jest to drugi proces, mamy już doświadczenie historyczne. Jest nim przekonanie, że trzeba nie tylko odzwyczaić się od niewolnictwa i budować solidarność narodową i organizację narodową, armię oraz inne instytucje społeczne, lecz także przede wszystkim odnowić głębokie pragnienie wolności.

Z tego powodu do dziś, świętując Pesach, Żydzi na całym świecie, nawet ci mniej religijni, zasiadają do stołu, opowiadają w swoich domach historię wyjścia z Egiptu. Ma to swoją nazwę – hagada, co oznacza opowiadanie, opowieść przekazywaną z pokolenia na pokolenie.

Podróż z Egiptu do ziemi Izraela trwała 40 lat. Logistycznie, nawet w ówczesnych warunkach, drogę tę można było przebyć w blisko cztery

miesiące. Jednak ta podróż jest procesem zamiany pokoleniowej, odejścia tych, którzy wyruszyli z Egiptu z przyzwyczajeniem do niewolnictwa. Tak się dzieje z samym Mojżeszem, który spogląda na Ziemię Obiecana, ale nigdy do niej nie dociera. Ma to ogromne znaczenie m.in. podczas wieczoru Pesach i wyraża się w jednym z najważniejszych haseł narodu żydowskiego przypominającym o tym, że każdy Żyd powinien czuć się tak, jakby sam wyszedł z Egiptu. To poczucie wolności, ta walka o wolność, ta nadzieja są zatem bardzo osobiste. Z punktu widzenia moralnego, filozoficznego to jeden z fundamentów systemu demokratycznego, który zbudowany został na podstawie indywidualnej jednostki.

Co do trzeciej fali – syjonizmu – mimo że Państwo Izrael powstało blisko 69 lat temu, proces ten jeszcze nie jest zakończony. Ciągłe nie ma porozumienia, umowy z sąsiadami, na podstawie której Izrael miałby stabilne granice. Być może granice z Egiptem czy Jordanią możemy nazwać stabilnymi, ale biorąc pod uwagę sytuację z Palestyńczykami żyjącymi w Judei, Samarii i Strefie Gazy, te sprawy niestety wciąż są jeszcze otwarte, czasem nawet krwawe.

Ten proces jest bardzo długi. Z jakiego powodu? To nie jest tak, że naród osiedla się w próżni, najczęściej były w tym miejscu inne narody, o terytorium trzeba było walczyć. W przypadku pierwszego procesu związanego z Abrahamem nie mamy danych o długich walkach, ale z pewnością dochodziło do starć. Wędrówki narodów i plemion zawsze wiązały się ze zderzeniem z innymi narodami i plemionami. Tak było na całym świecie.

Jednak w tym kontekście zaszła głęboka zmiana. Za czasów Abrahama i wyjścia z Egiptu demografia żydowska miała model bliskowschodni, z różnych punktów widzenia było to społeczeństwo afroazjatyckie. Natomiast ten model nowoczesny, współczesny ruch syjonistyczny mniej więcej od lat 80. XIX w. stworzył zderzenie między kulturą afroazjatycką na ziemiach Izraela oraz między zwyczajami i kulturą europejską, judeochrześcijańską.

I to zderzenie jeszcze się nie skończyło. Istnieje w dalszym ciągu i analizując dzisiejszą sytuację na Bliskim Wschodzie, prawdopodobnie szybko się nie skończy. Miejmy nadzieję, że jednak przyjdą lepsze czasy, czasy dobrego sąsiedztwa i wolności – tak na poziomie jednostki, jak na poziomie narodowym.

„Do Rzeczy” 18–23 kwietnia 2017 r.

Kobiety mają siłę

Temat aborcji jest wzruszający, bo porusza podstawowe wartości ludzkie, podstawowe prawa kobiet, ma tło moralne, religijne, zdrowotne i egzystencjalne. Jeśli Donald Trump nie wygra nadchodzących wyborów, to przyczynią się do tego dwie kwestie – jego podejście do kobiet oraz do wieloetniczności społeczeństwa amerykańskiego.

W Polsce temat aborcji jest ostatnio często poruszany. Izrael jest zajęty dyskusją o aborcji cały czas, ponieważ religia ma w dalszym ciągu wielki wpływ nie tylko na społeczeństwo, lecz także na politykę państwa. W skład większości koalicji rządzących w Izraelu wchodziły partie religijne. Bez nich trudno było, i w dalszym ciągu jest, stworzyć jakąkolwiek koalicję.

Może to dziwne i niesprawiedliwe, ale kobiety zdobywały swoje prawa później od mężczyzn. Jeszcze na początku XX w. w Wielkiej Brytanii, która jest kolebką systemów demokratycznych, kobiety nie miały praw wyborczych. Taki stan rzeczy trwał długo również w innych krajach, chociażby w Stanach Zjednoczonych. Jednak w ostatnich dekadach kobiety zdobyły polityczną siłę. Na czele wielu państw stały i stoją kobiety: Korei Południowej, Australii, Nowej Zelandii, Filipin, Indii, Turcji, Bułgarii, Izraela i Polski. To jest naturalne zjawisko. Jednak kobiety pokazują siłę nie tylko w polityce. Spójrzmy na światową gospodarkę. Kobiety stają na czele banków narodowych, zarządzają ogromnymi firmami. Pod wieloma względami są w tym lepsze od mężczyzn.

Będąc parlamentarzystą w Izraelu, zawsze interesowałem się sprawami kobiet. Byłem nawet nazywany „zawodowym feministą”. Tak, jestem feministą i się tego nie wstydzę. Jestem z tego dumny. Przecież prawie każdy z nas kocha kobiety, żyje w związku, uwielbia swoje córki, wnuczki. Miłość między kobietami a mężczyznami jest jednym z filarów naszej kultury. Szacunek do kobiet lub brak tego szacunku są tematami naszych rozmów. Bycie feministą jest dla mnie czymś naturalnym, a skrzywdzenie kobiety – nienormalne i niewłaściwe.

Dlaczego temat prawa do aborcji powraca raz po raz? Duży wpływ mają tutaj religia, moralność nakazująca obronę życia człowieka. Nie wolno lekceważyć tej sprawy. Nie każdy, kto sprzeciwia się szerokiemu dostępowi do aborcji, jest człowiekiem niepostępowym, a „postępowość” nie zawsze jest szczerą. Trudno wyobrazić sobie świat demokratyczny bez podstaw moralnych i humanistycznych, a życie, zdrowie i prawa kobiet należą do najważniejszych jego elementów.

Dyskusje o aborcji od długich lat toczą się w izraelskim parlamencie, organizowane były demonstracje, tematem zajmowali się publicyści, powstawały artykuły prasowe i książki. W państwie, w którym ważną rolę odgrywają partie religijne, niektóre ortodoksyjne, w którym większość narodu spożywa koszerne jedzenie, a religia i tradycja odgrywają ogromną rolę, zwyciężyło podejście, które w sprawie aborcji bierze pod uwagę przede wszystkim głos kobiet. W Izraelu istnieją komisje, które zajmują się każdym potencjalnym przypadkiem aborcji. Należą do nich lekarze, rabini, autorytety moralne, ludzie etyki, starsi liderzy itd. Istnieją ograniczenia, ale bardzo ostrożne, przez co kobiety mają możliwość w większym stopniu decydować. W Izraelu, podobnie jak w wielu innych krajach, służba zdrowia umożliwia już na wczesnym etapie ciąży ocenę stanu zdrowia dziecka, co również ma ogromny wpływ na politykę aborcyjną.

Kobiety mają ogromną siłę, jeśli tylko zdecydują się jej użyć. Potrafią być niczym mitologiczna Lizystrata, która zorganizowała kobiety na rzecz pokoju. Mają ogromny wpływ na pokój jako matki, rodząc nowe życie. Strata życia jest dla nich największą tragedią. Nie tylko własnego dziecka, lecz także innych ludzi. Nie bez przyczyny większość Sprawiedliwych wśród Narodów Świata to właśnie kobiety.

„Do Rzeczy” 17–23 października 2016 r.

Alfabet Szewacha Weissa

Pisząc w dzisiejszych czasach o życiorysach innych ludzi, trzeba wziąć pod uwagę, że żyjemy w świecie, w którym wszystko wiadomo, a jeśli czegoś nie wiadomo, to można to sprawdzić w Wikipedii. Dlatego chcę przedstawić znanych ludzi, opowiadając o spotkaniach, rozmowach i wydarzeniach, które można by nazwać marginalnymi czy nieistotnymi. Czasem przytoczenie krótkiego dialogu albo opis zachowania człowieka w nietypowej sytuacji może powiedzieć o nim więcej niż setki encyklopedycznych faktów. Zdarza się czasem, że w błahych sytuacjach ludzie niespodziewanie otwierają nam drzwi do swojej duszy.

Anders Irena

Panią Irenę poznałem w 2004 r. w Londynie, gdy polska ambasada poprosiła mnie o wygłoszenie wykładu na spotkaniu z polską emigracją. Jego temat brzmiał „Pod jedną flagą”. W armii Andersa służyło kilka tysięcy polskich Żydów, którzy wspólnie z Polakami walczyli o wolną Polskę. Wielu z nich zginęło w tej walce. Jeden z żołnierzy armii Andersa, lider Betaru Menachem Begin, dostał w Palestynie urlop od swojego dowódcy. Oficer wiedział, że Begin nie wróci na służbę, a Begin wiedział, że oficer o tym wie. To było porozumienie bez słów, dzięki któremu Begin dołączył do prawicowego podziemia w Izraelu, a wiele lat później został premierem kraju. Ta spleciona polsko-żydowska historia była tematem mojego wykładu. Obecna na miejscu pani Anders była niezwykle wzruszona. Zostaliśmy razem po wykładzie i gdy tylko dowiedziałem się, że pani Irena jest słynną śpiewaczką, zaczęliśmy spontanicznie śpiewać. To był wzruszający wieczór. Tym razem pod trzema flagami – polską, żydowską i brytyjską – śpiewałem wspólnie z wdową po owianym legendą generale polskie piosenki legionistów Piłsudskiego. „Wojenko, wojenko”, „Przybyli ułani”. W polskiej ambasadzie zapanowała wówczas na moment ta niezwykła atmosfera polsko-żydowskiego braterstwa.

Bartoszewski Władysław

Bijąca z twarzy odwaga, inteligencja, typowa polska szlachetność, elegancja i dyscyplina myśli. Zawsze, gdy pojawia się gdzieś nazwisko Bartoszewski, od razu przychodzą mi na myśl te wszystkie cechy. Spotkałem go po raz pierwszy na otwarciu Muzeum Dziecka w kibucu im. Bojowników Getta w północnym Izraelu. Bartoszewski znał osobiście

współzałożycieli tego kibucu, Cywię Lubetkin i Antka Cukiermana, którzy po powstaniu w getcie walczyli w powstaniu warszawskim ramię w ramię z żołnierzami Armii Krajowej. Czasem mówię na Bartoszewskiego „Wartoszewski”, i nie jest to przejęzyczenie. Dla mnie i dla mojego narodu Bartoszewski jest człowiekiem niezwykle wartościowym. Spośród wszystkich spotkań z „Wartoszewskim” szczególnie zapadło mi w pamięć to ze stycznia 2001 r., gdy rozpoczynałem moją służbę ambasadorską w Polsce. Bartoszewski był wówczas ministrem spraw zagranicznych. Kilka miesięcy wcześniej z Drohobycza zniknęły freski Brunona Schulza. W czasie wojny pewien gestapowiec zmusił go do namalowania ich na ścianie zrabowanej Żydom willi, w której zamieszkał. Instytut Yad Vashem został oskarżony o kradzież tych fresków. Ponieważ byłem wówczas nie tylko ambasadorem, lecz także szefem Yad Vashem, wiedziałem dokładnie, co się wydarzyło. Otóż freski zostały po prostu kupione przez stronę izraelską, nie było żadnej kradzieży. Nie mogłem jednak ujawnić, jak dokonano tej transakcji. Sprawa nie schodziła wówczas z czołówek gazet i byłem pewien, że będzie ona pierwszym tematem mojej rozmowy z ministrem Bartoszewskim. Jednak w trakcie spotkania Bartoszewski nie zająknął się na ten temat. Rozumiał na pewno, że poza kradzieżą istnieje wiele sposobów na zdobycie fresków Schulza i że akurat te malowidła, wykonane przez Schulza-niewolnika na rozkaz gestapowca, powinny się znaleźć w świątyni pamięci narodu żydowskiego, którą jest instytut Yad Vashem. W trakcie tej rozmowy patrzyliśmy sobie z Bartoszewskim głęboko w oczy i dotarło do mnie, że przemilczenie sprawy fresków świadczy o jego wielkości i sile.

Cygan Jacek

Gdy byłem ambasadorem, mieszkalem na warszawskiej Sadybie. Była to trzykondygnacyjna rezydencja i miałem z nią wielki problem, bo była dla mnie o wiele za duża. Do ostatniego dnia mojej służby nie byłem ani razu na najwyższym piętrze. Obok mojej rezydencji stał mały, ładny domek z pięknym ogródkiem. Na werandę domku wychodził miły człowiek, który za każdym razem witał mnie serdecznie, tak jakbyśmy się znali od lat: „Dzień dobry. Co słyhać? Piękna pogoda. Czy orzeszki już dojrzały w ogrodzie?”. Tak dobrze się poznaliśmy, że głupio mi było pytać, kim ten mój sąsiad właściwie jest. Pod koniec czerwca 2001 r. zostałem zaproszony na otwarcie Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie. Na jednym z wieczorów w restauracji Klezmer Hois przy ul. Szerokiej na Kazimierzu zapowiedzieli, że pojawi się na scenie Jacek Cygan z ekipą. I kogo widzę? Mojego sąsiada. Wyściskaliśmy się jak bracia. Sąsiedzi bywają różni. Jacek Cygan zalicza się do tych najlepszych. Zawsze byłem i jestem poruszony jego tekstami. Czasem myślę, że nazwisko musi mieć ogromny wpływ na

duszę człowieka. Jacek Cygan nie jest Cyganem. Jest Polakiem, ale jestem pewien, że gdyby rzeczywiście był Cyganem, nie czułby się z tym źle. Nie czułby się też źle, gdyby był Żydem, bo jest poetą i pisarzem, ale przede wszystkim ma duszę człowieka wolnego. Ktoś, kto nosi takie nazwisko w Europie Środkowej, zmieniłby je pewnie, gdyby takiej duszy nie miał. Jestem pewien, że gdyby Jacek Cygan nazywał się Jacek Żyd, również by był z tego zadowolony.

Dąbrowski Waldemar

Waldemara Dąbrowskiego już pod koniec lat 90. spotykałem na różnych uroczystościach i spotkaniach polsko-żydowskich w Jerozolimie i Tel Awiwie. Nie mieliśmy wówczas okazji, by porozmawiać. Wiedziałem, że zajmuje się kulturą, i zapadł mi w pamięć z powodu swojego wzrostu, bo Dąbrowski jest wyższy chyba nawet od Marka Pola. Poznaliśmy się w 2001 r., a później spotykaliśmy się już regularnie, bo Dąbrowski był ministrem kultury w rządzie Leszka Millera. Zapamiętałem szczególnie jedno nasze spotkanie. Fundacja Shalom organizuje w Polsce kursy jidysz, które są wspierane przez polski rząd. Razem z Gołdą Tencer i grupą kursantów fundacji spędziłem kiedyś pół dnia u Dąbrowskiego w ministerstwie. Rozmawialiśmy po polsku i w jidysz, a ja byłem tłumaczem. Śpiewaliśmy cudowne, dziś już zapomniane piosenki w jidysz, a nawet jedliśmy w jidysz. Co to znaczy? To była typowa polsko-żydowska kuchnia, pierożki, barszcz, czulent, ryba po żydowsku, kapuśniak. Dąbrowski był wzruszony, zupełnie jakby był jednym z nas. Wiem, kiedy człowiek udaje albo przybiera pozę, ale jestem pewien, że Dąbrowski był w swoim wzruszeniu szczery. Dziś poza pełnieniem funkcji dyrektora Teatru Wielkiego-Opery Narodowej jest pełnomocnikiem Muzeum Historii Żydów Polskich, które wkrótce ma zostać otwarte. Od kiedy wiem, że zatrudnieni są w nim tacy ludzie jak Dąbrowski, jestem pewien, że to będzie świetne muzeum.

Edelman Marek

Zapytałem kiedyś Marka Edelmana, dlaczego to on nie został dowódcą powstania w getcie. Przecież był o kilka miesięcy starszy od Anielewicza. Odpowiedział mi: „Bo on bardzo chciał”. Więcej go o tę sprawę nie pytałem, a ta odpowiedź zapadła mi w pamięć. Edelman przez całe życie miał na głowie sprawę najważniejszą ze wszystkich: ratowanie innych i niesienie im pomocy. Był bezpośredni, miał niezwykłą odwagę mówienia prawdy. Czasem robiło to wrażenie pozy, ale prawda o Edelmanie jest taka, że był on do bólu szczerym i bezpośrednim człowiekiem, który niczego nie udawał. Do końca wspierał ludzi z niezwykłą skromnością, bezpłatnie. Spotykałem się z nim, kiedy tylko mogłem. Gdy TVP kręciła film z moim udziałem „Czas ambasadora”, pojechaliśmy do niego do Łodzi. Pamiętam,

co mi wówczas powiedział: „Tak, już prawie nie ma Żydów w Polsce i nie będzie. Demografia zmieniła się w martyrologię. Ale jest ogromny, znaczący dorobek kultury żydowskiej i żydowsko-polskiej na tych ziemiach. A ty jesteś strażnikiem tej pamięci i to ważniejsze niż cała twoja dyplomacja”. Wziąłem sobie jego słowa do serca.

Fliderbaum Jack

Jack Fliderbaum jest typowym polskim Żydem, a to znaczy, że jest człowiekiem eleganckim, niezwykle kulturalnym, erudytą, miłośnikiem sztuki, historii i kultury, Europejczykiem, który zna wiele języków. Ważne nie jest jednak to, że mówi w tych językach, tylko to, że w każdym z nich ma wiele do powiedzenia. Jest już niemłody, w czasie wojny zdążył się zasłużyć jako pilot w Wielkiej Brytanii. To twórca Instytutu Mordechaja Anielewicz na Uniwersytecie Warszawskim, człowiek o wielkich zasługach dla polskiej i izraelskiej kultury. W swojej rezydencji nad Morzem Śródziemnym stworzył nieoficjalny salon kultury polskiej, w którym gościł Wisławę Szymborską i Władysława Bartoszewskiego. Jego dom jest jednym z mostów łączących nasze kultury. To wszystko jest możliwe, bo Jack Fliderbaum zdążył poznać kulturę polską. Zawsze mu tego zazdrościłem. Pożegnałem się z Polską w wieku 11 lat. Wojna i Zagłada uniemożliwiły mi życie we wspólnym polsko-żydowskim świecie. Musiałem uczyć się go na nowo, podczas gdy dla Jacka Fliderbauma ten świat jest naturalnym środowiskiem. Działalność Fliderbauma to jeszcze jeden przykład tego, jak wiele straciliśmy po zagładzie tego świata.

Geremek Bronisław

W 1990 r. byłem izraelskim obserwatorem na szczycie Rady Europy w Warszawie. To była zima i chyba złapałem jakąś grypę. W przerwie obrad powiedziałem Geremkowi, który był wówczas posłem i przewodniczącym komisji spraw zagranicznych w Sejmie, że czuję się nie najlepiej. Poradził mi, gdzie znajdę lekarza, i dodał coś, czego nie zapomnę: „Będiesz mógł z nim porozmawiać w waszym języku”. Zrozumiałem, że lekarz jest Żydem mówiącym w jidysz. I rzeczywiście tak było. Do dziś się zastanawiam, dlaczego Geremek powiedział wówczas „w waszym języku”, a nie „w naszym języku”. Pamiętam dobrze jeszcze jedno nasze spotkanie. W 2002 r. gościł w Polsce dzisiejszy prezydent Izraela Szymon Peres. Peres koniecznie chciał się zobaczyć z Geremkiem, który był zachwycony tą propozycją. Byłem na tym spotkaniu. Peres ma słabość do filozofii i historii, a Geremek, wybitny historyk, miał słabość do polityki. To miało być ważne polityczne wydarzenie, do omówienia było wiele kwestii. I proszę sobie wyobrazić, że Geremek z Peresem spędzili ze sobą niemal półtorej godziny i nie zamienili ani słowa o polityce. Peresa ciekawiły gminy żydowskie

i stosunki chrześcijańsko-żydowskie w średniowieczu, a Geremek miał w głowie encyklopedię wiedzy na te tematy. Przysłuchiwałem się tej rozmowie zafascynowany. Takie przeżycia sprawiają, że człowiek zaczyna tęsknić za uniwersytetem.

Herzog Chaim

Długo nie mogłem sobie przypomnieć nikogo na literę H. Ostatecznie przyszedł mi do głowy Herzog. Z Polską łączą go więzy dość luźne, a mimo to czuje się on polskim Żydem. Zanim w 1983 r. objął na 10 lat prezydenturę, był generałem w armii izraelskiej. Podczas II wojny światowej był majorem w armii brytyjskiej. Opowiadał mi o tym wszystkim, gdy był już prezydentem, a ja jako przewodniczący Knesetu jego zastępcą. Ojciec Herzoga był rabinem w Łomży tak znanym w całej Europie, że zaprosiła go na służbę gmina żydowska w Dublinie. Tam urodził się Chaim Herzog. Jego ojciec dostał najbardziej honorową dla Żydów posadę naczelnego rabina Palestyny. Chaim Herzog, choć urodził się w Irlandii, czuje się związany z Łomżą i Polską. W 1992 r. towarzyszyłem mu w czasie oficjalnej wizyty w Polsce. Na jego prośbę pojechaliśmy do Łomży i tam na zrujnowanym cmentarzu prezydent Izraela z pierwszą damą, ja i jeszcze kilku członków delegacji szukaliśmy śladów rodziny Herzogów. Znaleźliśmy dwie tablice, które poświadczają, że Chaim Herzog i jego rodzina należą do tej bogatej polsko-żydowskiej kultury. Wydawałoby się, że w jego przypadku te powiązania należą już bardziej do świata mitów. Okazuje się jednak, że polsko-żydowskie więzy są czasem nie do rozerwania.

Indyk Martin

Pod koniec lat 90. zaprosiła mnie na wykłady federacja organizacji żydowskich w Australii. Po wykładzie spotkałem się z liderami żydowskiej społeczności w tym kraju. Tam przedstawił mi się szef jednej z organizacji australijskich Żydów nazwiskiem Indyk. Od razu wiedziałem, że to polski Żyd. Skąd mógłby bowiem pochodzić ktoś, kto nazywa się Indyk? Okazało się więc, że pan Indyk przeżył Holokaust i był jednym z 30 tys. Żydów, którzy po wojnie wyjechali do Australii. Opowiedziałem mu o innym Indyku, którego poznałem, Martinie. Martin Indyk był ambasadorem USA w Izraelu w burzliwym okresie lat 90., gdy podpisana została pierwsza umowa z Fatahem. Pan Indyk wypytywał mnie o Martina Indyka: Jakim był ambasadorem? Powiedziałem, że mieliśmy w Izraelu kilku ambasadatorów żydowskiego pochodzenia, ale Martin Indyk był najlepszym z nich. I wtedy pan Indyk z Australii powiedział mi, że Martin to jego syn! Mały jest ten świat. Człowiek leci 24 godziny z Izraela do Australii, by spotkać tam lidera żydowskiej społeczności, który pochodzi z Polski i którego syn jest ambasadorem USA w Izraelu. W trakcie takich spotkań polscy Żydzi wracają

do jidysz, a pan Indyk mówił pięknym dialektem jidysz z Radomia, bardzo podobnym do mojego. Pamiętam, że w tym samym radomskim dialekcie jidysz Martin Indyk na spotkaniach z premierem Icchakiem Rabinem opowiadał czasem żydowskie kawały. Rabin nie mówił w naszym języku, bo pochodził z rodziny syjonistów, którzy w domu mówili tylko po hebrajsku. Dlatego miałem wówczas przyjemność tłumaczyć z jednego mojego ojczystego języka na drugi.

Jankiel

Znam Jankiela tak samo, jak znają go miliony Polaków. Pierwszy raz zetknąłem się z nim w internacie rolniczym w Izraelu. Mieliśmy tam bardzo dobrą bibliotekę. Jej dyrektorka, pani Frei z Krakowa, podsunęła mi hebrajskie tłumaczenie „Pana Tadeusza”. Cieszyłem się wtedy, że taki wielki pisarz jak Mickiewicz opowiada o Jankielu z miłością. Zawsze nas to zachwyca, gdy Polak pisze o Żydach z miłością i sympatią. Wiele lat później, już jako dorosły człowiek, jeszcze raz zapoznałem się z Jankielem, gdy obejrzałem film Andrzeja Wajdy. Wówczas myślałem już o Jankielu inaczej. Przypominałem sobie te małe pomniczki żydowskich cymbalistów, które pojawiają się w polskich miasteczkach. Niezbyt je lubię. Moi zamordowani przez Niemców dziadkowie, za którymi tęsknię i których szanuję, właśnie tak wyglądali. Byli też inni Żydzi, którzy nie byli akurat właścicielami karczm ani klezmerami. Przecież wielu najznakomitszych skrzypków było Żydami, by wspomnieć Itzhaka Perlmana, Dawida Ojstracha, Franka Petera Zimmermanna czy Izaaca Sterna. To samo dotyczy pisarzy: Tuwima, Słonimskiego, zresztą długo można by wymieniać... Podobnie jest z pianistami. Pierwsze z brzegu nazwisko: Artur Rubinstein. Być może jednak w czasach Mickiewicza rzeczywiście najpopularniejszym Żydem był właściciel karczmy. Nie oskarżam Mickiewicza o jakiegokolwiek antyżydowskie odczucia. Broń Boże! W końcu ja też, mimo że chciałbym, by pamiętano również o tych wielkich Żydach, nadal lubię Jankiela.

Kopacz Ewa

Panią Kopacz poznałem dwa lata temu na wspólnym posiedzeniu rządów Izraela i Polski w Jerozolimie. Brali w nim udział premier Tusk, Władysław Bartoszewski, minister Sikorski i jeszcze kilku ważnych polskich polityków. Panowała tam typowo polska, serdeczna atmosfera. Kilku izraelskich ministrów nie potrzebowało tłumacza, bo rozumiało po polsku. Od początku zwróciłem uwagę na panią marszałek Kopacz. Emanowała jakąś niesamowitą ciekawością świata połączoną z lekarską skrupulatnością. Nasze najbardziej wzruszające spotkanie odbyło się w Polsce, gdy pani marszałek zaprosiła setki młodych uczniów do Sejmu na pokaz fil-

mu „W ciemności” Agnieszki Holland. Zostałem tam zaproszony jako gość, którego przeżycia podczas Holokaustu również wiążą się z przebywaniem w ciągłej ciemności. Pani Kopacz wygłosiła wówczas wspaniałe przemówienie, które jest najlepszym dowodem na to, jak wrażliwą ma duszę i jak wspaniale umie rozmawiać z młodymi ludźmi. W telewizji pani Kopacz wygląda na osobę bardzo twardą oraz zdyscyplinowaną i oczywiście taka jest. Warto wiedzieć jednak o jej drugiej, wrażliwej stronie.

Lepper Andrzej

Andrzej Lepper był, jak wiadomo, człowiekiem i politykiem bardzo żywiołowym oraz bezpośrednim. Wszystko, co robił i mówił, było prześiąknięte duchem narodowym. Nigdy nie zapomnę jego nieodłącznego biało-czerwonego krawata, który najlepiej oddawał charakter i przekonania Leppera. W 2002 r., gdy Jan Paweł II odbywał swoją ostatnią pielgrzymkę do Polski, zaproszono mnie do polskiej telewizji, bym opowiedział o wizycie papieża w Jerozolimie w 2000 r. Jako szef instytutu Yad Vashem miałem zaszczyt osobiście go wtedy u nas gościć. O Janie Pawle II zawsze mówiłem w samych superlatywach i tak było też tym razem w studiu polskiej telewizji. Tego samego dnia wieczorem poszedłem na uroczystość do ambasady ukraińskiej. Prowadziłem tam właśnie zwyczajową na takich imprezach rozmowę z innymi ambasadorami, gdy nagle w drzwiach pojawił się Andrzej Lepper. Jego wejście było, jak to zwykle w jego przypadku, niezwykle teatralne. Podszedł do mnie i zaczął głośno przemawiać, żywiołowo przy tym gestykulując: „Panie ambasadorze, panie profesorze! To, co pan powiedział dzisiaj w telewizji o naszym papieżu, było niesamowite! Nigdy tego nie zapomnę. Od dziś może pan być pewien, że jeśli tylko Izrael będzie mnie potrzebował, jestem do dyspozycji”. Muszę przyznać, że ta jego deklaracja mnie zupełnie zaskoczyła i jednocześnie rozbroiła. Odnotowałem później w mojej depeszy do izraelskiego MSW, że mamy w Polsce nowego przyjaciela, a trzeba zaznaczyć, iż wcześniej Lepper nie zawsze był pozytywnym bohaterem moich raportów. Dwa lata po naszym spotkaniu w ambasadzie ukraińskiej byłem na uroczystościach rocznicy wyzwolenia Auschwitz. Pojawili się tam liderzy dziesiątków państw. A z boku tego tłumu najważniejszych ludzi świata stał Andrzej Lepper.

Miller Leszek

Środek kampanii wyborczej 2001 r. SLD z 40-procentowym poparciem prowadzi w sondażach, a Leszek Miller szykuje się do objęcia stanowiska premiera. Trudno mi dziś o nim pisać „premier Miller”, bo jesteśmy na „ty”. Niedługo przed wyborami Leszek zaprosił mnie na rozmowę i powiedział, że izraelscy inwestorzy w Polsce zaprosili go do

Izraela. Zapytał mnie, co o tym sędzę. Muszę podkreślić, że taki wyjazd byłby dla mnie wówczas bardzo wygodny, bo jako ambasador mógłbym mu towarzyszyć i odwiedzić przy okazji rodzinne strony. Udzieliłem mu jednak szczerzej rady. „Taka wyprawa może cię kosztować 2 proc. straty” – powiedziałem Leszkowi. „Nie obraż się, ale istnieje pewna grupa twoich wyborców, której nie spodobałoby się, że jedziesz do Izraela na zaproszenie naszych inwestorów. Wygraj wybory, zostań premierem, a potem możesz jechać”. I Leszek nie pojechał, a niedługo potem wygrał wybory. Morał z tej historii płynie taki, że nie jest źle, gdy ambasador jest przy okazji profesorem politologii.

Naftusia

Nie mogę sobie teraz przypomnieć nikogo o nazwisku zaczynającym się na literę N. Dlatego postanowiłem poświęcić tę notkę Naftusi. Naftusia to popularna woda mineralna z Truskawca, małego miasteczka położonego niedaleko Borysławia i Drohobycza. Jak wiadomo, te okolice były przed wojną źródłem ropy nie tylko dla całego kraju, lecz także dla całkiem sporej części świata, która importowała ją z Polski. Naftusia miała posmak tej ropy i to właśnie temu specyficznemu aromатовi zawdzięczała sławę wody leczniczej. Gdy byłem dzieckiem, rodzice faszerowali mnie wszystkim, co uchodziło za zdrowe, więc regularnie podawany mi tran popijałem właśnie Naftusią. Opowiedziałem kiedyś o niej panu Zenonowi Sroczyńskiemu, który był wówczas prezesem producenta napojów Hellena. I po kilku tygodniach pan Zenon zrobił mi niespodziankę. Jeden z jego pracowników był w Borysławiu i przywiózł mi stamtąd 10 butelek Naftusi. To był niezwykle cenny prezent. Nic tak nie przypomina dzieciństwa jak smak, który się z nim najbardziej kojarzy. Nawet jeśli jest to smak ropy.

Oleksy Józef

W połowie lat 90. Józef Oleksy, wówczas marszałek Sejmu, przyjechał z wizytą do Izraela, a ja jako przewodniczący Knesetu byłem jego gospodarzem. Zorganizowaliśmy w Knesecie polską kolację. Początkowo wydawało mi się, że będzie z tym problem, bo na co dzień restauracje w naszym parlamencie nie podają kapuśniaku, barszczu, pierogów ani kompotu. Porozmawiałem wówczas z szefami tych restauracji i odpowiedź była zawsze ta sama: „Polska kuchnia? Żaden problem! Przecież to kuchnia mojej mamy”. Na kolacji śpiewaliśmy z polską delegacją polskie i żydowskie piosenki. Okazało się, że Oleksy i jego świta znają tradycyjną żydowską piosenkę „Hava nagila”. Po stronie żydowskiej nie było za to problemu, by przypomnieć sobie polskie piosenki, i międzyparlamentarynym chórem wyśpiewywaliśmy „Krakowiaczek jeden”. Wizyta polskiej delegacji przedłużyła się o jeden dzień, bo na lotnisku ktoś przypadkowo

uszkodził skrzydło jej samolotu. Oleksy oskarżał mnie w żartach, że to moja sprawka, bo chcę go zatrzymać w Izraelu, ale mogłem mu odpowiedzieć, że to raczej on dokonał sabotażu, bo jest zachwycony pobylem. Pojechaliśmy na wycieczkę nad jezioro Genezalet i ze zdziwieniem przekonałem się, że Oleksy ma ogromną wiedzę religijno-teologiczną. Zaskoczyło mnie to. Mówię mu: „Józef, co z ciebie za socjalista? »Kapitał« Marksa powinienes znać na wyrywki, a ty mi tu egzegezy Pisma Świętego dokonujesz”. Wtedy opowiedział mi, że skończył szkołę religijną i gdyby życie się inaczej potoczyło, może byłby dzisiaj księdzem. Ja jednak myślę, że z jego zdolnościami byłby już co najmniej kardynałem.

Penderecki Krzysztof

Na początku lat 90. w Jerozolimie odbyła się światowa premiera „Siedmiu bram Jerozolimy” Krzysztofa Pendereckiego. Utwór został u niego zamówiony przez władze samorządowe na jubileusz 3 tys. lat istnienia miasta. Tam poznałem Pendereckiego i jego piękną, elegancką żonę Elżbietę, dzięki której zrozumiałem, że mężczyzna o wybitnym talencie musi mieć przy sobie wybitną kobietę, by jego talent mógł eksplodować. Po premierze rozmawiałem z małżeństwem Pendereckich. Patrzyliśmy na tłum gości, izraelską elitę kulturalną, która w dużej mierze składa się z polskich Żydów. Pamiętam, że wszyscy odczuliśmy wówczas, jak wielką stratę poniosła Polska, gdy zabrakło jej tych ludzi, i jak wiele zyskał na ich obecności Izrael. Pociuszające jest to, że więzi nie całkiem się zerwały. Ta izraelska elita wciąż czyta polskie książki i gazety, interesuje się polskimi sprawami, a najlepszym dowodem na to był zachwyt, z jakim ci ludzie słuchali muzyki wybitnego polskiego kompozytora.

Rakowski Mieczysław

Na początku 2001 r. Marian Turski, jeden ze strażników pamięci o polskich Żydach, zaprosił mnie do redakcji „Polityki”. Przedstawiono mi tam byłego premiera i redaktora naczelnego „Polityki” Mieczysława Rakowskiego. Od razu przypomniałem sobie wszystko, co się o nim pisało w Izraelu. Duża część izraelskich dziennikarzy to ludzie, którzy wyjechali z Polski w latach 50. albo w 1968 r. Dlatego media do dziś interesują się polskimi sprawami, a o Rakowskim pisały na ogół dobrze. Na spotkaniu musiałem odpowiadać na mnóstwo pytań dziennikarzy „Polityki”. Bardzo interesowali się izraelską polityką społeczną, kibucami, działaniem związków zawodowych, Partią Pracy i jej stosunkami z polską lewicą, jednym słowem wszystkim, co było związane z naszą socjaldemokracją. Czuło się, że ci ludzie mają ogromną wiedzę, a jednocześnie wciąż chcą się dowiadywać czegoś nowego. Szczerze powiedziawszy, czułem się tam jak na posiedzeniu Biura Centralnego Izraelskiej Partii Pracy. A na-

wet lepiej, bo nie rozmawialiśmy o personaliach, wewnątrzpartyjnych intrygach ani sporach, tylko o czystej ideologii. Czułem, że rozmawiam z ludźmi, którzy zrozumieli błędy PRL, ale wciąż wierzą w socjalizm, tym razem już demokratyczny.

Sikorski Radosław

Na początku lat 90. przyjechała do Izraela delegacja parlamentarna z Polski, a wraz z nią polscy dziennikarze. To było tuż po odnowieniu stosunków między naszymi krajami, więc Izrael przeżył prawdziwy najazd polskich mediów. Radosław Sikorski, wówczas młody i energiczny dziennikarz TVP, umówił się ze mną na wywiad. Pytania dotyczyły mojego życiorysu i Sikorski ucieszył się, gdy opowiedziałem mu, że to Polacy uratowali mnie w czasie wojny. Widziałem, że jest z tego dumny. Rozmawialiśmy też o historii polsko-żydowskiej i Sikorski zadał mi jedno szczególnie ostre pytanie: „Czy nie myśli pan, że antysemityzm w Polsce został wywołany tym, że Żydzi na dużą skalę współpracowali z UB, w związku z czym niechęć do komunistów złała się z niechęcią do Żydów?”. Lubię takie pytania, jeśli są zadawane po to, by wyjaśnić fakty. A Sikorski właśnie w ten sposób je zadał. Odpowiedziałem mniej więcej tak: „Przecież reżim komunistyczny w Polsce, choć był narzucony przez ZSRS, opierał się jednak na poparciu milionów Polaków. Być może nie stanowili oni większości społeczeństwa, ale na pewno wielką jego część. W wolnych wyborach komuniści z pewnością zdobyliby wysokie poparcie. I wśród tych milionów Polaków na pewno znalazło się również wielu Żydów. Dlatego to nie tu należy szukać korzeni antysemityzmu”. Bardzo ciekawa była ta rozmowa z dziennikarzem Sikorskim.

Tusk Donald

Nie miałem wielu okazji do osobistych spotkań z Donaldem Tuskiem. Nie widywałem go na żadnych uroczystościach, nie przychodził, gdy zapraszały go ambasady. Podoba mi się to, bo widać, że Tusk nie jest typem człowieka, który spędza czas, popijając koktajle i prowadząc rozmowy na eleganckich imprezach. Pierwszy raz spotkaliśmy się w 2001 r. Tusk przyszedł do ambasady i półtorej godziny rozmawialiśmy niemal wyłącznie o historii. Później świetne wrażenie zrobiło na mnie jego przemówienie w ambasadzie polskiej w Izraelu podczas wizyty w 2008 r. W tym samym roku miałem okazję spotkać się z nim jeszcze raz, gdy śp. prezydent Lech Kaczyński gościł w Warszawie Szymona Peresa na uroczystościach rocznicy powstania w getcie. Przez te wszystkie lata Tusk się nie zmienił. Zawsze robił na mnie wrażenie człowieka rzeczowego, który wie, co i kiedy powiedzieć, zadaje dobre pytania, udziela celnych odpowiedzi, wychwytyje istotę skomplikowanych spraw. Jednym

słowem, Tusk jest w moich oczach człowiekiem, który urodził się, by być premierem.

Voelkel Piotr

V to litera rzadko w Polsce spotykana. W moim słowniku polsko-hebrajskim są tylko cztery polskie słowa na literę V: varia, varsaviana, vis-à-vis i volksdeutsch. Mnie udało się jednak poznać wspaniałego człowieka, którego nazwisko zaczyna się właśnie na V. Piotr Voelkel jest niezwykle prężnym polskim przedsiębiorcą z Poznania. Jego firmie Vox nie muszę tu robić reklamy, bo jest wystarczająco znana. Poznaliśmy się, gdy zaprosił mnie do założonej przez siebie Wyższej Szkoły Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu. Kilka lat temu Piotr Voelkel zamknął mnie w więzieniu. Było to najcudowniejsze więzienie świata. Drewniany domek nad Wartą otoczony piękną przyrodą, która przywodziła mi na myśl moje dzieciństwo w Polsce. Zamknął mnie tam razem z dominikaninem, o. Tomaszem Dostatnim, żebyśmy przez kilka dni rozmawiali o sprawach wiary i teologii. Z tych rozmów narodziła się książka „W dwóch światach”, która jest zapisem naszych konwersacji. Jeśli podobą się ona czytelnikom, to pragnę poinformować, że jest to zasługa Piotra Voelkela i jego wspaniałej żony Ani. Rodzina Voelkelów łączy w sobie to, co w Polakach najbardziej podziwiam: energię i zmysł przedsiębiorczości z erudycją, wielkim szacunkiem dla kultury i bogactwem życia duchowego.

Wałęsa Lech

O Lechu Wałęsie pisałem już dużo, ale o nim można pisać bez końca. Wałęsa przyjechał kiedyś do Izraela prywatnie. Spędziliśmy z nim jedną dobę w miasteczku chasydów Kfar Chabad. Było to kilka dni przed świętem Pesach. Rodzina, która gościła Wałęsę, przygotowała tradycyjną kolację i czytaliśmy hagadę, część Talmudu, którą tłumaczyłem Wałęsie na polski. W pewnym momencie mi przerwał: „Dlaczego Żydzi po ucieczce z Egiptu przez 40 lat wędrowali po pustyni Synaj?”. Wziął karteczkę, wyliczył dystans oraz średnie tempo marszu i wyszło mu, że powinno to zająć maksymalnie miesiąc. Do odpowiedzi zgłosił się od razu towarzyszący nam były rabin Izraela Israel Meir Lau. Tłumaczył, że Bóg chciał, by do Izraela wkroczył nie naród niewolników, który wyszedł z Egiptu, ale naród odmieniony, który od 40 lat zrzesza wolnych ludzi. Wałęsa był pod wrażeniem tego tłumaczenia i zaraz wyciągnął wnioski: „Aha! To znaczy, że Polska potrzebuje jeszcze 20 lat!”. Wtrąciłem się wówczas do rozmowy, zauważając niezbyt taktownie, że przewodzący Żydom Mojżesz widział Ziemię Obiecaną tylko z daleka i zmarł, nie dotarłszy do niej. Wałęsa zastanowił się i po chwili odpowiedział: „W tej sprawie Pan Bóg też miał

rację”. Później wszyscy przez godzinę pracowaliśmy z piekarzami w piekarni. Wałęsa zakasał rękawy i wziął się do roboty. Przez chwilę widziałem przed sobą dawnego Wałęsę – prostego elektryka ze stoczni, robotnika, który jeszcze nie wie, że zmieni świat. Widać, że nie zapomniał, jak się pracuje fizycznie. Był najlepszy z nas wszystkich.

Żyd

Do dziś na okładkach czasopism, które piszą o sprawach żydowskich, pojawia się stereotypowy Żyd. Z długim zakrzywionym nosem, pejsami, w kapocie podobnej do szlafroka, z długą brodą, oczywiście siwą, bo Żyd jest przecież zawsze stary i rodzi się już z siwą brodą. Tęsknię za takim Żydem. Tak właśnie wyglądali moi dziadkowie, tak wyglądali przodkowie niemal wszystkich europejskich i polskich Żydów. Gdy w Jerozolimie rozmawiam z ortodoksyjnymi Żydami, czuję się czasem, jakbym spotkał własnych dziadków, Icka i Hirsza, których zamordowali Niemcy. Prawda jest jednak taka, że Żydzi wyglądają bardzo różnie. Jak? Tak jak Karol Marks, tak jak Albert Einstein, prezydent Sarkozy albo Henry Kissinger. Jak Michael Douglas czy Warren Beatty. A żydowskie kobiety? Rzeczywiście, część z nich wygląda jak żona Tewje Mleczarza ze „Skrzypka na dachu”. Żydówki mogą jednak wyglądać tak jak była premier Izraela Golda Meir albo jak aktorka i śpiewaczka Gołda Tencer. Stereotypy mają w sobie coś z prawdy. Ważne, by nie zapominać, że jest to tylko jej część.

„Do Rzeczy” 25 stycznia–3 lutego 2013 r.

Do Chin nigdy nie pojadę

Gdyby psycholog przeprowadził badania związane z miejscami, które odwiedziliśmy dawno temu, a mimo to do dziś je wspominamy, doszedłby do ciekawych wniosków. Do mojego przewodnika wybrałem miejsca, które przywodzą mi na myśl stare, gorsze i lepsze czasy.

Ateny

Ateny znają wszyscy. Ci, którzy tam nie byli, z pewnością oglądali miasto w podręcznikach historii. W czasie mojej pierwszej wizyty w Atenach patrzyłem z góry na Agorę, czyli główny plac starożytnego miasta, na którym zbierali się obywatele, by wspólnie decydować o swoich sprawach. Przypomniałem sobie wygłoszoną tam ponad 2 tys. lat temu mowę Peryklesa na cześć poległych w wojnie peloponeskiej, która do dziś pozostaje jedną z najpiękniejszych pochwał demokracji. Nawiązywał do niej Abraham Lincoln w wystąpieniu gettysburskim, w którym padły pamiętne słowa: „Demokracja to rządy narodu, przez naród i dla narodu”. Gdy byłem w Atenach po raz pierwszy, krajem rządziła junta czarnych pułkowników. Słyszać było cyniczny śmiech historii – kilka kilometrów od ateńskiej agory swoją siedzibę mieli faszystci władający kolebką demokracji.

Bejrut

Na początku 1982 r., podczas pierwszej wojny z Libanem, Bejrut zajęła izraelska armia. Byłem wówczas w Knesecie członkiem parlamentarnej komisji bezpieczeństwa i pojechałem do Bejrutu służbowo. Jest to jedno z najpiękniejszych miejsc na Bliskim Wschodzie, miasto oaza położone na zielonych pagórkach i porośnięte drzewami. Można by pomyśleć, że to fatamorgana. W Libanie od lat 70. trwała wojna domowa, działo się tam to, co dzisiaj dzieje się w Syrii. Wojsko izraelskie wkroczyło do kraju, bo terrorystyczną bazę stworzył tam sobie Fatah. Nie czułem się wówczas jak zwycięzca. Przykro mi było, gdy chrześcijanie stojący przy drogach rzucali nam kwiaty i cukierki. Mieli nadzieję, że Izrael ich wyzwoli. Jednak my po kilku latach się wycofaliśmy. Nikogo nie wyzwoliliśmy. Zawsze, gdy jestem w Bejrucie, przypomina mi się ta skomplikowana i tragiczna historia konfliktów na Bliskim Wschodzie.

Genewa

Tuż po wojnie, podobnie jak tysiące innych Żydów uratowanych z Holocaustu, wędrowaliśmy po Europie, szukając okazji do zdobycia fałszywych papierów, z którymi moglibyśmy dostać się do Palestyny. Palestyna była wówczas brytyjskim terytorium mandatowym i jej granice były dla nas oficjalnie zamknięte. Tułaliśmy się po różnych krajach pieszo i pociągami, z Polski trafiliśmy do Czechosłowacji, później do Austrii i Włoch. Pod koniec 1946 r. zawędrowaliśmy do Genewy. W mieście funkcjonowała nieoficjalna baza działaczy ruchu syjonistycznego. Dostaliśmy tam fałszywe papiery i ubrani tak jak Grecy weszliśmy na zmierzający do Palestyny rumuński statek. W Genewie szczególnie w pamięć zapadł mi miejscowy cmentarz. Mówi się, że jest to najpiękniejsza nekropolia na świecie i rzeczywistość może tak być. Szkoda, że ci, którzy tam leżą, nie mogą wyjść na chwilę na zewnątrz, przewietrzyć się i zobaczyć, w jak pięknej okolicy spoczęli na wieczność.

Jerycho

Jerycho to jedno z najstarszych znanych miast. Ludzie żyją tam od tysięcy lat i jakoś nie przeszkadzają im temperatury sięgające często 45 stopni Celsjusza. Pierwszy raz byłem w Jerychu po wojnie sześciopodniewej, bo wcześniej miejscowość znajdowała się pod okupacją jordanąską. Spacerowałem w tym potwornym upale i zastanawiałem się, jak można w takich warunkach żyć, uczyć się, pracować. Przypomniałem sobie rozważania Monteskiusza, który twierdził, że chłodniejszy klimat północnych stref korzystnie wpływa na kondycję ludzi, co z kolei przekłada się na szybszy rozwój i lepszą organizację polityczną położonych w niej państw. W strefach gorących natomiast ludzie mieli być bardziej ospali, co prowadziło do stagnacji politycznej i gospodarczej. Jednak przecież cała judeochrześcijańska cywilizacja narodziła się w gorącym klimacie miejsc takich jak Jerycho. Również dziś życie bujnie tam kwitnie, ludzie spacerują z dziećmi, widać sady owocowe, drogi i jedno ze szczytowych osiągnięć naszej cywilizacji – płatne parkingi. Monteskiusz chyba się mylił.

Kostaryka

Do Kostaryki zaprosiła mnie miejscowa gmina żydowska. Gdy dotarłem na miejsce, okazało się, że w mieście, które jest tak małe, iż nie ma w nim nawet adresów, są dwie gminy żydowskie. Jedna to gmina niemieckich Żydów, emigrantów z lat 30., druga to Żydzi polscy. Musiałem wygłosić dwa wykłady. Niemieccy Żydzi mówili po hiszpańsku i angielsku, więc nie było problemu. Polskich Żydów zapytałem, w jakim ję-

zyku mam mówić: po polsku, w jidysz, po hebrajsku czy po angielsku? Zrobiliśmy głosowanie i wygrał jidysz. Dziecko Holokaustu wyjechało do Izraela i w podróży służbowej na Kostarykę rozmawia z polskimi Żydami w jidysz. Tylko wśród Żydów możliwe są takie sytuacje.

Mediolan

Jak już wspominałem, do Mediolanu trafiliśmy z Innsbrucku. Działacze Brichy wynajęli tam szkołę, w której mieszkali tysiące uchodźców, przeważnie z Polski. Bricha, czyli po hebrajsku „ucieczka”, była syjonistyczną organizacją, która pomagała Żydom przedostać się do Palestyny. Później wielu jej działaczy trafiło do Mossadu. Gmina żydowska tak o nas dbała, że w czasie dwumiesięcznego pobytu w mieście kilka razy odwiedziliśmy La Scalę i zdążyłem jeszcze posłuchać słynnego śpiewaka Beniamina Giglego. Dla nas to było niesamowite przeżycie. Jeszcze niedawno ukrywaliśmy się w wilgotnych piwnicach, a teraz siedzieliśmy na balkonie w La Scali i oglądaliśmy „Aidę”.

Oslo

10 listopada 1994 r. razem z premierem Icchakiem Rabinem, Szymonem Peresem i kilkoma innymi politykami pojechaliliśmy do Oslo na uroczystość przyznania Nagrody Nobla trzem bohaterom tamtych czasów: Peresowi, Rabinowi i Jasirowi Arafatowi. Byłem poruszony perspektywą spotkania z Arafatem. Człowiek, który stał na czele Fatahu, terrorystów mordujących kobiety i dzieci, miał właśnie dostać Pokojową Nagrodę Nobla. Wspaniale było patrzeć na dwóch polityków izraelskich i przywódcę Palestyńczyków, którzy wspólnie zaczęli budować pokój. Po uroczystości jedliśmy razem kolację. Siedziałem między Arafatem i Rabinem. Odezwałem się do Arafata: „Panie przewodniczący [Arafat był przewodniczącym Fatahu], mam nadzieję, że pańska córeczka urodzi się już w czasie pokoju”. Arafat się obruszył: „Skąd pan wie, że będę miał córkę?”. A ja wiedziałem, bo w Knesecie pracował wówczas ginekolog żony Arafata. „Już ja mu pokażę, na przyszłość nie będzie rozpowiadał takich rzeczy”. „Niech pan da spokój – odpowiedziałem – córka będzie wspaniałym symbolem pokoju”. W takiej przyjacielskiej atmosferze spędziliśmy ten niesamowity, pokojowy wieczór w Oslo.

Pekin

Nigdy nie byłem w Pekinie i nie zamierzam tam jechać. W 1994 r. dostałem oficjalne zaproszenie od chińskiego parlamentu. Wymówiłem się chorobą i wysłałem mojego zastępcę. Bardzo się cieszył, że pojechał do Chin. A ja nie chcę tam jechać. Życzę Chińczykom szczęścia i zdro-

wia, ale nigdy nie zaakceptuję systemu, w którym wąska elita oraz klasa średnia łatwo się bogacą i kupują kolejne samochody, a miliard ludzi żyje w nieopisanej nędzy. Moja noga nie postanie w takim państwie.

Rzym

Znów wracam do mojej powojennej tułaczki. 29 listopada 1948 r. siedzieliśmy z innymi uchodźcami w Rzymie, w stołówce domu dziecka, i słuchaliśmy radia. W Nowym Jorku odbywała się sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ, na której głosowano nad rezolucją w sprawie powstania Izraela. Żeby przeszła, potrzeba było 33 głosów. Siedzieliśmy w napięciu i liczyliśmy. ZSRS – za, BiałoRuś i Ukraina (które miały wtedy osobne głosy) – za, Wielka Brytania – wstrzymała się od głosu, Francja – za, Egipt – przeciw, Australia – za, Irak – przeciw. I w pewnym momencie się doczekaliśmy – jest 33. głos! Zaczęliśmy tańczyć i śpiewać w jidysz, po polsku i po rosyjsku. Następnego dnia odbyły się spontaniczne demonstracje poparcia dla Izraela. Przyszło sporo Włochów z izraelskimi flagami, w ogóle Włosi okazywali nam wówczas dużo sympatii. Szliśmy z demonstracją na Forum Romanum i po drodze przeszliśmy pod Łukiem Tytusa, który zbudowano dla uczczenia zwycięstwa cesarstwa rzymskiego nad Żydami w Palestynie. To wtedy Rzymianie zniszczyli Drugą Świątynię. Na Łuku umieszczono wizerunki niewolników, którzy trzymają wyniesione z niej menory. Prawie 2 tys. lat po tych wydarzeniach my, dzieci Holokaustu, przeszliśmy przez Łuk Tytusa w drodze powrotnej do Izraela.

Toruń

Pierwszy raz odwiedziłem Toruń latem 2001 r. Niewielu Polaków wie, że Toruń to nie tylko miasto pierników i Kopernika, lecz także rabin Cwi Hirsza Kaliszera, jednego z twórców syjonizmu. Kaliszer to ciekawa postać. Syjoniści byli w jego czasach skonfliktowani z religijnymi Żydami, bo czekali oni na Mesjasza, a syjoniści sami chcieli urzeczywistniać mesjanizm. A Kaliszer był równocześnie rabinem i syjonistą, godził w swoich naukach tę pozorną sprzeczność. Tak rozmyślając o Kaliszercie, spacerowałem z żoną po Toruniu. Byłem już wówczas dość rozpoznawalny i w sklepie jakiś paparazzo zrobił nam, piękne swoją drogą, zdjęcie, które następnego dnia ukazało się w jednym z brukowców z podpisem: „Ambasador Weiss z kochanką w Toruniu”. Napisałem wówczas list do redakcji: „Tak, moja żona całe życie była i jest moją kochanką. Spędziliśmy ze sobą pięćdziesiąt pięknych lat”.

Ulica Zielona

W Borystawiu, nieopodal drewnianego mostu, przy ul. Zielonej 1 do dziś stoi zaniedbany drewniany domek. W tym domku się urodziłem.

Mój ojciec miał w nim swój sklep. Spotykaliśmy się tam całą rodziną, jedliśmy rosół, cymes i rybę po żydowsku, modliliśmy się po hebrajsku oraz rozmawialiśmy o rodzinnych sprawach. Pamiętam to, jakby to było dziś. W 1941 r. w magazynie niedaleko naszego domu mój ojciec zbudował podwójną ścianę. Gdy wypędzano nas do getta, weszliśmy za tę ścianę i spędziliśmy tam osiem miesięcy. Pomagała nam Ukrainka, pani Lasotowa. Później ukrywaliśmy się w piwnicy, pomagali nam Polacy. Miałem wówczas sześć lat. Całymi dniami leżałem w wilgoci na deskach, patrzyłem przez kraty na polskie dzieci, które chodziły do szkoły, i zadrześciłem im. Myślałem sobie: „Dlaczego muszę być Żydem, a nie Polakiem albo Ukraińcem?”. Na szczęście czasy się zmieniły i dziś jestem dumny z tego, że jestem Żydem. Do dziś żyją w Warszawie i Wałbrzychu nasi sąsiedzi. Przyjaźnimy się, spotykamy co kilka miesięcy i śpiewamy wspólnie polskie piosenki.

Waszyngton

Umowę między Izraelem a Jordanią podpisywaliśmy w Waszyngtonie 11 lipca 1994 r. Król Husajn i Icchak Rabin wygłosili przemówienia w Kongresie. Przed kolacją z prezydentem Clintonem przyszli do nas oddelegowani przez Amerykanów specjaliści do spraw protokołu dyplomatycznego. Wymierzono nam smokingi. Pojawił się problem, bo nikt – ani ja, ani szef Mossadu, ani emerytowany szef sztabu – nie wiedzieliśmy, jak ten smoking nałożyć. Do kogo pójść po radę? Do Rabina, byłego ambasadora w USA, czy do Peresa? Poszliśmy do Peresa, bo był nie tylko niezwykle mądrym człowiekiem, lecz także elegantem. Zawsze był świetnie ubrany, zawsze miał modne krawaty. I Peres pomógł nam się ubrać w te smokingi. To była dyplomatyczna solidarność ludzi nieprzyzwyczajonych do takiego stroju. Bo, tak między nami, smokingi to ubranie dobre dla kelnerów.

Wilno

Przez wieki po ulicach Wilna spacerowały setki tysięcy Żydów. Tych Żydów wymordowali Litwini. Zbrodnia na Ponarach to właściwie drugi Babi Jar. Kolaboracja z nazistami była na Litwie niemal 100-procentowa. Dlatego tę zbrodnię przyporządkowuję nie polskiemu Wilnu, ale litewskiemu Vilnius. Wraz z niemieckimi i litewskimi zbrodniami zniknęło życie żydowskie w Wilnie. A przecież duchowa stolica Żydów była nazywana Litewską Jerozolimą. W Wilnie działał rabin Gaon, który zwalczał chasydyzm. Mój dziadek Hirsch, którego zamordowali Niemcy, był chasydem, a drugi dziadek, którego również zamordowali Niemcy, był miśnagdem, czyli zwolennikiem Gaona, przeciwnikiem chasydyzmu. Jednak dziadkowie pięknie ze sobą żyli. Rodzina mojej żony również była

misnagdyjska. Dlatego żona była niezwykle dokładna we wszystkim, co robiła. Ja natomiast jestem anarchistą z Galicji, co nie przeszkodziło nam się świetnie dogadywać. Korzenie naszych postaw życiowych zostały jednak odcięte wraz z Holocaustem, w którym Niemcom pomogli Litwini.

Xalon

Xil to po hebrajsku jedno ze słów, którym określa się głupca. Pod koniec XIX w. żydowski pisarz Mocher Seforim Mendeles napisał w jidysz „Księgę żebraków”, w której krytykował żydowskie społeczeństwo. Pisał, że Żydzi są nieproduktywni i że zbyt wielu z nich zajmuje się handlem. Opisywał nieistniejące miasteczko żydowskie Xalon, czyli miasto głupków, w którym mieszka tylko dwóch Żydów, obydwoj otwierają sklepy i wiodą absurdalne życie, sprzedając sobie nawzajem towary. Nie byłem w tym miasteczku, nikt tam nie był. Dzisiaj już nikt nie mógłby go wymyślić. W XX w. w Izraelu struktura społeczeństwa żydowskiego całkowicie się zmieniła. Żydzi parają się wszystkimi zawodami.

„Do Rzeczy” 22–28 lipca 2013 r.

Nie zostanę już prezydentem Polski

Z Szewachem Weisssem, byłym przewodniczącym Knesetu i ambasadorem Izraela w Polsce, publicystą „Do Rzeczy”, rozmawia Jacek Przybylski

JACEK PRZYBYLSKI: W Izraelu też śpiewa się „Sto lat”?

SZEWACH WEISS: Nie. Według żydowskiej tradycji życzymy sobie 120 lat.

Życzę więc panu co najmniej 120 lat w dobrym zdrowiu. Wraca pan przed urodzinami myślami do dzieciństwa, do pożółkłych przedwojennych zdjęć?

Tak. Od kilku lat żyję w dwóch światach. W dzień w Izraelu, w dynamicznym państwie, w którym co rusz dzieje się coś ważnego. A gdy zapada noc, niemal zawsze wracam w swych snach do przedwojennej Polski. Widzę mojego dziadka Icka, babcię Mincię, dziadka Hirsza. Nie pamiętam babci Szejwy, bo umarła przed moimi narodzinami, ale nazwano mnie po niej Szejwach – po hebrajsku „sława”. Można więc powiedzieć, że jestem Sławomirem. Dali mi też bardziej europejskie imię: Zenon. Jako mały chłopiec byłem więc Zenonem Szejwachem Weisssem.

Śnią mi się też tata, który zmarł w 1992 r. w wieku 90 lat, i mamusia, która odeszła w 1999 r., gdy miała lat 97. Tata był pedantem. Szczególna dbałość o porządek to chyba zresztą cecha charakterystyczna dla Polaków, bo gdy teraz odwiedzam moich przyjaciół, też zawsze jest niezwykle czysto. Borysław był niewielkim pięknym miasteczkiem. Wprawdzie daleko mu było do Lwowa, Krakowa czy nawet do Przemysła, ale panował w nim porządek. Mieszkało tam wówczas wielu zamężnych ludzi, bo w okolicach była ropa. Pamiętam świeże jedzenie, które rano do naszego sklepu ogólnospżywczego przynosili okoliczni rolnicy, oraz moich rodziców ubranych tak, jakby pracowali w aptece. Nie zapomnę nigdy smaku świeżego polskiego chleba, masła, szprotek oraz czosnku i smalcu.

Silnie zapadły mi też w pamięć zapachy i kolory. Do dziś podziwiam polską jesień, śnieżnobiałą zimą i tę wspaniałą zieloną wiosną. Uwielbiam patrzeć na polski krajobraz. Wpatruję się w polskie chmury i szukam namalowanych na niebie portretów moich rodziców lub pochodzących z Polski izraelskich polityków. Z tymi widokami nie potrafię się pożegnać i nie chcę się z nimi żegnać.

To nie przypadek, że przez kilkaset lat właśnie tu żyło najwięcej Żydów w całej Europie. Coś w tym kraju jest. I nie chodzi tylko o to, że Polacy udzielili Żydom schronienia. I że nawet w trudnych czasach pełnych antysemityzmu przykazanie „Nie zabijaj” miało ogromną wartość. Przed wojną Polak mógł nienawidzić Żyda, ale nie wolno mu go było zabić.

Dużo zapamiętałem z czasów przedwojennych. Nasz mały drewniany domek, konfitury na kredensie, różowe i białe firanki, no i radio. Mieliliśmy jeden z nielicznych w tamtych czasach radioodbiorników. Moja mamusia uwielbiała słuchać Paula Robesona. Ol’ Man River, ta dam, Ol’ Man River (śpiew). Mój tata z kolei zakochany był w muzyce słynnego tenora z Sosnowca Jana Kiepury. Rodzice słuchali też muzyki poważnej i oper.

W piątki spotykała się zaś cała nasza rodzina. Pamiętam ten kidusz – piątkową modlitwę – i typową kolację. Domowej roboty makarony, rosół, pierożki, rybę po żydowsku, słodkie wino. O dietę wtedy nikt nie dbał, bo uważano, że dla zdrowia trzeba jeść dużo tłuszczu.

Chodziliśmy do synagogi. Tata miał dużą bibliotekę, w której były polskie encyklopedie, książki Mickiewicza, Sienkiewicza i innych polskich pisarzy. Były też książki po niemiecku, bo tata skończył szkołę po niemiecku.

Po wybuchu wojny musiał się pan ukrywać. Jak rodzice zdołali panu – wówczas kilkuletniemu chłopakowi – wytłumaczyć, że aby uratować życie, przez kilkadziesiąt miesięcy nie może pan nawet zakasłać?

Do dziś nie wiem, jak udało nam się przeżyć. I dlaczego my przeżyliśmy, ale mój dziadzio, drugi dziadzio, ciocia Hana, dzieci dwóch wujków już nie. Dlaczego Niemcy zabili ciotkę Fajgę, przepiękną kobietę w ciąży? Jeśli to był cud boski, to dlaczego Bóg wybrał nas? Przecież moi rodzice nie byli wyjątkowo religijni. Zarówno dziadkowie, jak i moi kuzyni byli bardziej pobożni. To co? Bóg powołał do siebie szybciej tych bardziej religijnych? A może właściwsze byłoby inne pytanie: Gdzie w tych strasznych czasach podziwiał się Bóg?

To, że ludzie nam pomagali, to nie był przypadek. Moi rodzice zawsze mieli ze wszystkimi dobre stosunki. Mieli przyjaciół i wśród Polaków, i wśród Ukraińców, i Żydów. I to nam uratowało życie. W czasie każdego pogromu chowaliśmy się gdzieś indziej. Podczas pierwszego pogromu schronienia udzieliła nam Polka, pani Potężna. Pani Anna Góralowa, katoliczka i koleżanka mamy ze szkoły, ukryła nas w kapliczce i w stodole rodziny Góralów. Dlatego przemawiając w Jedwabnem w 2001 r., powiedziałem, że „znam też inne stodoły”. Pomagała nam również Ukrainka, Julia Lasotowa.

Uratowały nas też spryt i mądrość moich rodziców. Już po wejściu Niemców mój ojciec zrobił kryjówkę między sklepem a magazynem. Przez siedem miesięcy chowało się w niej w sumie dziewięć osób. Z getta udało

się nam uciec tuż przed jego likwidacją tylko dzięki temu, że od pierwszego dnia zaczęliśmy tam sobie kopać mały tunel. To nim uciekliśmy do pani Góralowej, a potem do naszej kryjówki. Nie wolno było mówić. Nie wolno było kaszleć. To tam raz zacząłem krzyczeć: „Chcę cukierka! Chcę cukierka!”. Miałem wtedy sześć lat. Tata powiedział mi wtedy: „Szewciu, cukierka nie ma, a jak będziesz krzyczał, to będę cię musiał udusić, bo tu ukrywa się jeszcze osiem innych osób i ty nas wszystkich zabijesz”. Zrozumiałem to natychmiast. To była dramatyczna lekcja życia.

Dokładni i uporządkowani Niemcy wiedzieli, że rodzina Weissów gdzieś żyje, więc zaczęli mierzyć ten dom, zadawać pytania sąsiadom. Przenieśliśmy się wówczas do piwnicy zbudowanej pod ochronką przez mojego dziadka Icka. Dziadzio już nie żył. Zabili go Niemcy. W tej ślepej piwnicy najwyższy punkt miał 60 cm. Spędziliśmy tam 21 miesięcy. Codziennie przez niewielką szparę patrzyliśmy, jak polskie i ukraińskie dzieci chodzą do przedszkola. Przez tę szparę widziałem też po raz ostatni moją pierwszą miłość: przepiękną pięcioletnią Bellę z cudownym warkoczem. Podczas trzeciego pogromu widziałem, jak wiozą Żydów samochodami do lasu. Potem słyszeliśmy strzały. W jednym z samochodów była Bella i od tego czasu śniła mi się długie lata. Po wojnie dowiedzieliśmy się, że w tym lesie w jednej mogile odnaleziono szczątki 3 tys. Żydów, a w drugiej – 8 tys.

Każdy dzień spędzaliśmy na czworakach. Tata cicho opowiadał nam o tym, co się dzieje na świecie. Dzięki niemu jako sześciolatek byłem już politykiem. Sporo też czytaliśmy. W piwnicy poznałem między innymi „Hrabiego Monte Christo” i inne książki, które przyniosła pani Lasotowa. Wraz z moim ukochanym kuzynem zabijaliśmy też wszy, których mieliśmy mnóstwo, i na mapie z encyklopedii toczyliśmy bitwy. Czekaliśmy na Mesjasza, ale on nie przychodził. Nasza walka o życie – przypominająca momentami słynny film „Życie jest piękne” Benigniego – trwała do 14 sierpnia 1944 r., gdy wyzwoliła nas armia sowiecka.

Po tym wszystkim, co pan przeszedł, nie stracił pan wiary w Boga, w ludzi?

To było straszne, okropne, nieludzkie, ale myśmy to przeżyli. Gdy wyszliśmy z piwnicy, byliśmy chudzi jak szkielety i zarośnięci jak małpy. Byłem pewien, że nie ma na świecie już żadnego innego Żyda, że jesteśmy ostatni. Potem do Borysławia zaczęli wracać nasi krewni. Oczywiście wielu nie przeżyło. Nie straciłem jednak wiary w ludzi, bo wiedziałem, że są też takie osoby jak pani Potężna, jak jej syn Tadek. Jak rodzina Góralów. Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Szanowałem ich tak bardzo, że choć wiedziałem, iż w piwnicy, w której my się ukrywaliśmy, po wejściu Armii Czerwonej ukrywał się syn pani Lasotowej – ukraiński żandarm, który

prawdopodobnie był mordercą – i tak nosiłem mu jedzenie. Wiedziałem, że był synem kobiety, która uratowała życie mnie i mojej rodzinie.

W przeciwieństwie do moich rodziców nie jestem jednak optymistą. Chociaż potrafię żartować, to jestem smutnym człowiekiem, co z pewnością wiąże się z tym okropnym dzieciństwem. I choć jestem pesymistą, to muszę przyznać, że dzisiejszy świat jest – mimo terroryzmu i ciemnych chmur nad Izraelem – lepszy niż w latach 40. XX w.

Pana rodzina uciekła z Polski w 1946 r. Gdy wpłynął pan do Hajfy, pomyślał pan: to ziemia obiecana?

To było uczucie nie z tego świata. Esencja naszego żydowskiego życia. Czułem się niczym Mojżesz. Początkowo w Izraelu patrzono na nas – dzieci z Holokaustu – z góry. Niektórzy pytali: „Dlaczego nie walczyliście?”. Miałem więc w sobie wielką chęć pokazania, ile jestem wart. Poszedłem do szkoły rolniczej, kilka lat byłem traktorzystą. A traktorzyści to była elita wśród uczniów szkoły rolniczej. Byłem jednym z najlepszych lekkoatletów. Służyłem też w armii, w której poznałem moją ukochaną Ester. Wykładałem na uniwersytecie, w parlamencie byłem posłem i przewodniczącym Knesetu. Pracowałem też jako prezes Yad Vashem.

Na ambasadora w Polsce namaścił pana sam Jan Paweł II?

Pamiętam, gdy w marcu 2000 r. złożył wizytę w instytucie Yad Vashem, którego byłem wówczas prezesem. I chociaż nie jestem bardzo religijny, to były to chyba najważniejsze chwile w moim życiu. Dla nas Jan Paweł II był symbolem dobrego Polaka. Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, odważnego, który nigdy nie miał stereotypowego podejścia do Żydów. To był „nasz papież”. Spędziłem z nim półtora dnia. Rozmawialiśmy po polsku. Szymon Peres zapytał go wówczas, jak ocenia mój polski, bo zamierza mnie wysłać do Warszawy na ambasadora. Jan Paweł II odpowiedział wówczas, że to dobry pomysł, abym wyjechał na placówkę, jeśli zaś chodzi o znajomość polskiego, to jest dobra, ale będzie lepsza (śmiech). I rzeczywiście teraz po polsku mówię o wiele lepiej.

Dlaczego wyjechał pan jako ambasador akurat do Warszawy?

W 2000 r. Ehud Barak zaproponował mi wyjazd do Moskwy. Odpowiedziałem: „Ale w Moskwie taki mróz”. Premier namawiał mnie też, abym jako pierwszy ambasador Izraela pojechał na placówkę do Berlina – gdzie niemiecki rząd przenosił się z Bonn. Przekonywał, że to ważne, aby Niemcy zobaczyli, na kogo wyrosło dziecko Holokaustu. Odparłem, że choć rozumiem niemiecki, który przecież przypomina jidysz, nie jestem jeszcze gotowy do pracy w okolicach dawnego Reichstagu. Nie wiedziałbym bo-

wiem, który z napotkanych starszych Niemców był gestapowcem, który wymordował moich krewnych.

Zażartowałem jednak, że jeśli premier chce mnie wyrzucić poza granice Izraela, to ja wybieram Warszawę. Zdziwił się, bo mogłem zostać nawet ambasadorem przy ONZ. Wtedy zapytałem: „Ehud, a skąd pochodzi twoja rodzina?”. „Z Polski” – odpowiedział i już mnie rozumiał.

I chociaż wcześniej byłem nie tylko profesorem i wykładowcą, lecz także przewodniczącym Knesetu, a pod nieobecność w kraju prezydentów Izraela pełniłem również obowiązki głowy państwa, to właśnie bycie ambasadorem w Warszawie uznaję za najważniejsze stanowisko w mojej karierze.

Dlaczego?

Miałem poczucie misji. Czułem się nie tylko izraelskim dyplomata, lecz także delegatem wszystkich polskich Żydów – zarówno tych żyjących, jak i nieżyjących. Gdy wylądowałem na polskiej ziemi jako ambasador Izraela, miałem więc jeden cel: doprowadzić do pojednania. I wziąłem się do jego realizacji, gdy tylko wysiadłem z samolotu.

Pamiętam, gdy pierwszy raz brałem udział w uroczystościach przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Ja – dziecko Holokaustu z małego Borysławia, któremu każdego dnia niemieckiej okupacji groziła kara śmierci. Dziecko, które wyszło z ciemnej piwnicy, pełnej szczurów, wszy i innego robactwa. Po tylu latach stałem oto w Warszawie przed kompanią reprezentacyjną obok ministra spraw zagranicznych. Wiesz, ile to dla mnie znaczyło?! „Mazurka Dąbrowskiego” odśpiewałem wówczas – i nadal go tak śpiewam – tak jak Polak. Tyle że ja zamiast z ziemi włoskiej do polskiej – z ziemi polskiej dotarłem do palestyńskiej. Pamiętam spotkania z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim, z Lechem Wałęsą. Miałem zresztą okazję do tylu spotkań z wieloma wielkimi Polakami, że napisałem o tym książkę. Najbardziej się jednak cieszę, że w ciągu trzech lat jako ambasador mogłem dobrze poznać polski naród. Będąc ambasadorem, bardzo dużo jeździłem po Polsce – i po dużych miastach, i po małych miasteczkach. Odwiedziłem wielu ludzi. Występowałem w telewizji. Rozmawiałem z czytelnikami przy okazji promocji moich kolejnych książek. I muszę powiedzieć, że czuję się niezwykle związany z narodem polskim.

Kiedy Szymon Peres jako szef izraelskiej dyplomacji spotkał się z prezydentem Kwaśniewskim, ten ostatni powiedział po angielsku: „Wiesz, Szymon, gdyby Szewach chciał przyjąć polskie obywatelstwo, to ja bym mu je przyznał natychmiast, bo mu się należy. I gdyby wówczas kandydował na prezydenta Polski, to Szewach by te wybory wygrał. Nawet antysemita by na niego głosował”.

Spróbuje pan jeszcze?

Nie, nie zamierzam już kandydować na prezydenta Polski. Na stare lata nie będę wracał do polityki. Cały czas się nią jednak interesuję. Jestem między innymi dyrektorem Centrum Badań nad Współczesnym Izraelem na Uniwersytecie Warszawskim. Mam setki studentów. Dużo też piszę o polityce i sprawach międzynarodowych.

Jak patrzy pan na przyszłość Polski w kontekście wydarzeń na Ukrainie?

Zdaję sobie sprawę, że Polacy obawiają się agresji ze strony Rosji. Rosyjski napad na Polskę wydaje mi się jednak mało prawdopodobny. Putin działa tam, gdzie mu nikt nie zagraża, w strefach przy rosyjskiej granicy, w miejscach, gdzie większość ludności mówi po rosyjsku. Dzięki temu, jeśli Ukraina zmieni konstytucję, Moskwa będzie miała ogromny wpływ na nowo powstałe federacyjne minipaństwka. Nie wyobrażam sobie jednak rosyjskiej inwazji na Polskę.

W latach 50. XX w. słynny amerykański Żyd pochodzący z Polski, pisarz, filozof i działacz syjonistyczny Hayim Greenberg, ostrzegł, że jeśli zgaśnie amerykańskie światło, to na całym świecie zapanuje ciemność. Podobnie jest teraz z bezpieczeństwem w Europie. Gdy zgaśnie światło USA i NATO, zapanuje ciemność na całym świecie. Napad Rosji na Polskę mógłby być przyczyną III wojny światowej, wojny atomowej. Putin nie podejmie takiego ryzyka.

Rząd w Warszawie nie powinien oczywiście liczyć tylko na pomoc sojuszników. Przykład Izraela pokazuje, że warto zadbać o własną armię. Warto też wzmocnić rezerwę, aby w razie potrzeby – tak jak w Izraelu – móc w ciągu jednego dnia zmobilizować setki tysięcy ludzi. Chociaż nie sądzę, aby Polacy musieli się dzisiaj bać o swoje bezpieczeństwo, to troszczyć się o nie warto codziennie.

29 czerwca–5 lipca 2015 r.

Dokąd zmierza świat

Zabawa państwem

Istnieje wiele sposobów, by za pieniądze kupić sobie udział we władzy: przekupstwo, finansowanie kampanii wyborczych, lobbying... Po co jednak zabiegać o przychyłność poszczególnych polityków, skoro można wpływać na całą opinię publiczną?

Takie pytanie zadał sobie kilka lat temu Sheldon Adelson, amerykański Żyd zajmujący obecnie 24. miejsce na liście najbogatszych ludzi na świecie. Biznesowe osiągnięcia Adelsona można tylko podziwiać.

Swoją pierwszą w życiu wypłatę dostał w wieku 12 lat, gdy rozpoczął pracę jako uliczny sprzedawca gazet. Imał się przeróżnych zajęć: handlował cukierkami, był brokerem, doradcą finansowym, sprzedawał przybory kosmetyczne i chemikalia.

Majątku szacowanego na ponad 21 mld dol. dorobił się na organizowaniu targów komputerowych i na stworzonej od podstaw sieci kasyn, hoteli i restauracji. Szacuje się, że dziś zarabia ok. miliona dolarów... na godzinę.

Kilka lat temu miliarder Adelson znalazł sobie nowe hobby – media. Choć na stałe mieszka w USA, to żywo interesuje się sprawami izraelskimi. Jego poparciem zawsze cieszył się Likud, prawicowe ugrupowanie obecnego premiera Beniamina Netanjahu.

W 2007 r. Adelson założył w Izraelu nową, jednoznacznie prawicową gazetę o nazwie „Israel HaYom” („Izrael Dziś”). Po sześciu latach istnienia „Israel HaYom” jest już największą gazetą w kraju. Okazało się, że recepta na sukces w tym biznesie jest banalnie prosta: wystarczy wyłożyć kwoty, o których konkurencja może tylko pomarzyć.

Adelson nie liczy na zyski ze sprzedaży gazety, więc jest ona darmowa. To, co go interesuje, to urabianie opinii publicznej. Dlatego właśnie zatrudnił w „Israel HaYom” kilku bardzo znanych dziennikarzy i publicystów, zapewniając im bardzo wysokie wynagrodzenia.

Gazeta oczywiście przynosi straty, ale Adelsona z tego powodu głowa nie boli. Są to sumy, które multimiliarder z łatwością i bez mrugnienia okiem pokrywa z własnej kieszeni.

W Likudzie istnieją dwie główne frakcje. Na czele jednej z nich stoi premier Netanjahu, druga skupiona jest wokół ministra rozwoju regionalnego Silvana Shaloma. Stosunki Netanjahu i Shaloma można porównać do relacji premiera Donalda Tuska z Grzegorzem Schetyną, z tą różnicą, że w Izraelu obydwaj konkurenci mogą liczyć na wsparcie medialne.

Shaloma popiera drugi co do wielkości dziennik „Yedioth Ahronoth”, Netanjahu natomiast ma oparcie właśnie w gazecie Adelsona, „Israel HaYom”. Mamy więc do czynienia z bardzo nietypową sytuacją. Spór między dwiema największymi gazetami w kraju jest odbiciem walk frakcyjnych w łonie jednej partii.

Przed wejściem Adelsona na rynek medialny wszystkie liczące się nury polityczne były reprezentowane w mediach mniej więcej proporcjonalnie do swojego znaczenia i swojej wielkości.

Dzisiaj mamy do czynienia z patologią: zagraniczny miliarder ma praktycznie nieograniczony wpływ na izraelską opinię publiczną. Może w każdej chwili przekonać setki tysięcy czytelników do dowolnego pomysłu albo zojdyzić im opozycję.

Może również wpływać na polityków. Trzyma ich w szachu. Może grozić im wycofaniem poparcia gazety lub kusić perspektywą publikacji przychylnych artykułów.

Nie ma bowiem wątpliwości co do tego, że Adelson swoim dziennikiem zarządza osobiście. Sam wyznacza aktualną linię publicystyczną.

Izraelskie gazety zmagają się z tymi samymi problemami co prasa na całym świecie. Mniejsza sprzedaż, spadające nakłady. Redakcje biednieją i zwalniają dziennikarzy. W takiej sytuacji wejście na rynek tytułu, za którym stoi miliarder z praktycznie nieograniczonym kapitałem do dyspozycji, musi zachwiać równowagę medialną.

Adelson, rzecz jasna, jeśli tylko ma na to ochotę, może wydawać gazety. Jego działalność jest zgodna z literą prawa. Nie mogą się jednak nie pojawić pytania o to, czy rynek prasy nie powinien podlegać jakimś specjalnym regulacjom, które chroniłyby go przed podobnymi przedsięwzięciami. Czy każdy miliarder powinien mieć wpływ na medialny porządek?

Czy powinniśmy dopuszczać do sytuacji, w której media z czwartej władzy zamieniają się w pierwszą? W której polityka państwa przestaje być domeną pochodzących z wyboru polityków, stając się zabawką w rękach zagranicznych bogaczy?

Wprawdzie do takiej skrajności jeszcze nie doszło, ale w Izraelu niebezpiecznie zbliżyliśmy się do granicy, której nie powinno się przekraczać. Sytuacja w kraju jest tylko przykładem i przestrogą przed procesami, które równie dobrze mogą zająć w każdym innym demokratycznym państwie.

Warto się więc poważnie zastanowić nad tym, czy media nie są tak ważnym elementem demokracji, że należy zostawiać ich los wyłącznie prawom wolnego rynku.

„Do Rzeczy” 18–24 marca 2013 r.

Dajmy szansę planktonowi

Chociaż w ostatnim czasie notowania ekipy rządzącej Polską nieco dołują, to na tle politycznej historii kilkunastu lat polskiej demokracji, a także na tle targanych kryzysem krajów europejskich rządy PO i PSL są wyjątkowo stabilne. W Polsce przycichła więc głośnie nigdy dyskusja na temat tego, jak urządzić państwo, by rządzący zamiast na politycznych targach, personalnych rozgrywkach i kłótniach wewnątrz koalicji mogli skupić się na niezbędnych reformach i sprawnym administrowaniu krajem. Jednym słowem, ucichła dyskusja o reformach ustrojowych. Stan względnego spokoju i stabilności nie będzie jednak trwał w nieskończoność. Nagły spadek notowań rządu, przyspieszone wybory, brak zdolności koalicyjnej zwycięskiej partii – w takich okolicznościach mogą wrócić pomysły zmiany konstytucji.

Ponieważ w wielu krajach taka debata trwa właściwie bez przerwy, a w ostatnim czasie, w dobie kryzysu, stała się wyjątkowo intensywna, można z łatwością wypunktować najważniejsze osie sporu i obalić kilka mitów, które często przytaczają jej uczestnicy. Przede wszystkim należy wyjść z założenia, że pewien brak stabilności jest właściwie wbudowany w najgłębsze fundamenty systemu demokratycznego i wynika z zasady reprezentatywności. Istnieje cienka granica, po której przekroczeniu większą stabilność rządu można uzyskać już tylko poprzez ograniczanie demokracji. Czy warto w ogóle zbliżyć się do tej granicy? Są przesłanki, które wskazują na to, że nie warto, a nawet że stabilność rządu nie musi iść w parze z jego skutecznością.

Często można spotkać się z opinią, że systemem, który zapewnia ekipie rządzącej największy spokój i trwałość, jest system prezydencki, czyli taki jak w Stanach Zjednoczonych, w wielu krajach Ameryki Południowej i w Rosji, której chyba nie należy brać tu pod uwagę ze względu na jej specyficzną kulturę polityczną. Amerykanie – mówią zwolennicy systemu prezydenckiego – aby zapewnić swoim rządzącym jak największą stabilność, wybierają w powszechnym głosowaniu nie tylko prezydenta, lecz także wiceprezydenta. Są przykłady zarówno tego, że ten system rzeczywiście świetnie działa, jak i tego, że nie jest on idealny.

Gdy Franklin Delano Roosevelt zmarł na początku swojej czwartej kadencji (wtedy jeszcze konstytucja USA dopuszczała pełnienie tego urzędu przez więcej niż dwie kadencje), zgodnie z regułami amerykańskiego systemu jego następcą został wiceprezydent Harry Truman. Truman

rzędził niemal cztery lata, a był to wyjątkowo burzliwy okres. Kończyła się II wojna światowa, trzeba było podjąć decyzję w sprawie zrzucenia bomb atomowych na Japonię, dogadywać się ze Stalinem i decydować o kształcie powojennego świata. Można oczywiście krytykować różne decyzje Trumana, ale stosując kryteria politologiczne, przejęcie przez niego władzy i sprawowanie rządów to największy przejaw stabilności, na jaką stać demokratyczne państwo.

Jednakże USA borykają się z problemami, z których często nie zdają sobie sprawy ci, którzy nie interesują się amerykańską polityką. Co rusz zdarza się sytuacja, w której partia prezydenta nie osiąga większości w Kongresie, a ponieważ republikanie i demokraci w wielu sprawach nie są w stanie osiągnąć kompromisu, amerykański parlament jest opozycją wobec prezydenta i jego administracji. Efekt jest taki, że ważne reformy są odwlekane, modyfikowane tak, że tracą sens, albo całkiem się je zarzuca. Dochodzi więc do sytuacji, która na przykład w Polsce jest praktycznie niemożliwa, bo w polskim systemie utrata większości w parlamencie skutkuje zmianą rządu albo przyspieszonymi wyborami. To dobry przykład tego, że stabilność nie musi iść w parze ze skutecznością.

Innym systemem stawianym często za wzór jest system brytyjski. Jego filarami są dwie dominujące partie, które po wygranych wyborach wyłaniają ze swoich szeregów obdarzonego dużą władzą premiera. W teorii wygląda to bardzo dobrze. Laburzyści i konserwatyści nie muszą wchodzić w koalicje, a premier ma wsparcie silnego zaplecza parlamentarnego.

Gdy jednak przyjrzyć się brytyjskiemu systemowi bliżej, okaże się, że również na nim znajdziemy liczne rysy. Przede wszystkim jego dwupartyjność jest oparta na jednomandatowych okręgach wyborczych, które być może mają liczne zalety, ale mają również wadę – nawet jeśli przegrany kandydat dostanie w swoim okręgu prawie połowę głosów, to ci, którzy na niego głosują, są pozbawieni reprezentacji w parlamencie. To przykład tego, że stabilność negatywnie odbija się na zasadzie reprezentatywności.

System brytyjski jest jednak coraz mniej dwupartyjny i rząd Camerona jest drugim w ciągu ostatnich trzech dekad rządem koalicyjnym. Brytyjscy premierzy i tak mają problemy. Stabilność ich rządów zależy bowiem od dyscypliny partyjnej, z którą w ostatnim czasie są kłopoty. Przykładem jest bunt konserwatystów w sprawie referendum unijnego.

W debacie na temat najlepszego ustroju największe cięgi zbiera system wielopartyjny, w którym trzeba tworzyć koalicje. Znamy to z Polski. W imię stabilności tworzy się różne progi wyborcze i tak ustala się zasady finansowania partii, by jak najbardziej utrudnić wejście do par-

lamentu małym ugrupowaniom. Przekonanie o tym, że tzw. plankton polityczny psuje demokrację i że właściwie lepiej by było, gdyby nie istniał, jest chyba najszkodliwszym z politycznych mitów. Są setki przykładów, że najciekawsze idee, nieszablonowe pomysły nie powstają w partiach wielkich i ociężałych, ale właśnie w małych ugrupowaniach. W każdej chwili ich protest może stać się inspiracją do wielkich, ciekawych zmian.

„Do Rzeczy” 3–9 czerwca 2013 r.

Moralność prezydenta

Ameryka nie jest żandarmem świata. W wielu miejscach dzieją się okropne rzeczy, a naprawienie każdego zła przerasta nasze możliwości. Jednak uważam, że jeżeli podejmując skromny wysiłek i ponosząc niewielkie ryzyko, możemy zapobiec zagazowywaniu dzieci i tym samym sprawić, że nasze własne dzieci będą bezpieczniejsze, to powinniśmy działać. Właśnie to wyróżnia Amerykę. To sprawia, że jesteśmy wyjątkowi”. Tak mówił Barack Obama w ubiegły wtorek w swoim przemówieniu do Amerykanów.

Obama starannie dobrał argumenty, tak by trafiły do wszystkich sceptyków. Przekonywał na przykład część niechętnych interwencji republikanów, że zdecydowana reakcja na użycie broni chemicznej poprawi bezpieczeństwo amerykańskich żołnierzy w punktach zapalnych na świecie i Amerykanów w kraju. To prawda, ale warto zwrócić uwagę, co było osią przemówienia. Najważniejszymi przesłankami interwencji w Syrii są moralność, prawa człowieka i zwykła ludzka powinność reagowania, gdy niewinnym dzieje się krzywda. Obama jest przekonany, że USA jako lider wolnego świata mają obowiązek rozliczać kraje łamiące międzynarodowe normy.

Amerykanie mają długą tradycję prowadzenia polityki zagranicznej na podstawie uniwersalnych wartości. Po I wojnie światowej Thomas Woodrow Wilson, przemawiając w Kongresie, nakreślił program uporządkowania powojennego świata. W Polsce pamięta się o nim, bo Wilson ogłosił wówczas, że jednym z warunków tego pokoju jest utworzenie niepodległego państwa polskiego. Jednak jeśli spojrzymy na orędzie z szerszej perspektywy, to zobaczymy, że amerykańskiemu prezydentowi nie chodziło o zwykłe regulacje granic ani ustalenie wysokości odszkodowań. Chodziło o stworzenie lepszego, sprawiedliwszego i bezpieczniejszego świata.

Można powiedzieć, że Wilson był naiwny, że zamiast roztaczać wizję światowego pokoju, powinien skupić się na rozgrywce między mocarstwami. Dzisiaj wiemy, że 20 lat po jego przemówieniu rozpoczęła się II wojna światowa, a Niemcy przeprowadzili Holokaust. Być może Wilson wyprzedził swoje czasy. Politykę międzynarodową opartą na moralności, która w 1918 r. okazała się jedynie utopijną wizją, dziś, gdy jesteśmy mądrzejsi o koszmarnie doświadczenia nazizmu, komunizmu, zagłady Żydów i innych ludobójstw, trzeba traktować poważnie. Nie-

przypadkowo Obama w swoim przemówieniu odwoływał się do Holokaustu. Nie sposób mówić o używaniu gazów bojowych, nie wspominając o niemieckich zbrodniach. To za ich sprawą potępienie krwawych dyktatorów, którzy dokonują masowych mordów, stało się dominującą postawą zachodnich społeczeństw. Obecnie polityk, który chce kierować się moralnością, ma ułatwione zadanie i to, czy będzie działał na rzecz pokoju, zależy wyłącznie od jego dobrej woli oraz sprawności.

Nie znaczy to rzecz jasna, że można uniknąć krytyki. Obama również nasłuchiwał się nieprzyjemnych uwag. Jeden z kongresmenów oskarżył go o cyniczne wykorzystywanie dzieci do usprawiedliwienia akcji wojсковej. Jeśli gdzieś można się tu doszukać cynizmu, to właśnie w tych zarzutach. W Syrii wojska Baszara al-Asada naprawdę zagazowały setki dzieci. Zdumiewające jest to, że cynizm zarzuca się komuś, kto nie chce dopuścić do powtórki tej zbrodni. Jednak Obamie zarzuca się przede wszystkim naiwność. Słysząc głosy, że moralność nie powinna być podstawą prowadzenia polityki, że skoro USA nie mają ważnych interesów w Syrii, to nie powinny się syryjską wojną zajmować. Jednak przecież to, że uzasadnieniem interwencji wojсковej nie miały być roszczenia terytorialne, tylko ochrona życia i wartości, jest właśnie ogromną zaletą całego projektu.

Amerykański prezydent niejednokrotnie udowodniał, że trudno oskarżać go o niskie pobudki. Po wyroku w głośnej sprawie Trayvona Martina, czarnego nastolatka, który zginął zastrzelony bez wyraźnego powodu przez ochroniarza na osiedlu jednego z miasteczek na Florydzie, poruszony prezydent powiedział: „35 lat temu to ja mogłem być Trayvone Martinem”. To zdanie trzeba rozumieć nie tylko jako komentarz do bieżących wydarzeń, ale przede wszystkim jako deklarację solidarności z ofiarami przemocy, aktualizację słynnego oświadczenia: „Jestem berlińczykiem”, które w 1963 r. wygłosił John F. Kennedy.

Głównym problemem Obamy jest dziś obojętność reszty świata. Typowe dla USA przekonanie o konieczności obrony mordowanych cywili napotyka mur „realizmu politycznego”. Jego głównymi orędownikami są Chiny i Rosja, których przywódcy nie przejmują się ofiarami tak bardzo jak perspektywą utraty wpływów. To nastawienie współgra z ostrożnym podejściem państw europejskich. W Europie politycy wciąż postrzegają wojny domowe jako coś całkowicie normalnego, pewien historyczny rytuał, który co jakiś czas się powtarza w kolejnym miejscu na Ziemi. Chociaż społeczeństwa są oburzone i potępiają drastyczną przemoc, to politycy są chyba za bardzo ostrożni.

Ojciec prawa międzynarodowego, holenderski filozof Hugo Grocjusz, już w XVII w. pisał w swojej rozprawie „Wolność mórz”, że każde państwo i każdy człowiek mają prawo wszelkimi środkami zwalczać piratów, bo

stanowią oni zagrożenie dla powszechnego ładu. Dzisiaj takim piratem jest Baszar al-Asad. Mamy dziś wszystkie możliwości techniczne, dyplomatyczne i prawne, by pomóc Syryjczykom. Jeśli ich nie użyjemy, to za kilkanaście lat trudno będzie wytłumaczyć kolejnym pokoleniom, dlaczego świat odwrócił wzrok, gdy ginęły dziesiątki tysięcy ludzi, a człowiek, który próbował coś zrobić, obwołaliśmy naiwniakiem.

„Do Rzeczy” 16–22 września 2013 r.

Czy Ameryka przestała działać?

Czy światowe mocarstwo może sprawnie funkcjonować, jeśli ustroj jest tak skonstruowany, że spór między prezydentem a parlamentem może doprowadzić do paraliżu państwa? Po ostatnim kłinczu politycznym w USA na całym świecie odezwał się chór socjologów i politologów, którzy twierdzą, że amerykański ustroj hamuje rozwój kraju oraz prędzej czy później stanie się dla Ameryki kulą u nogi. Czasem za tymi opiniami kryje się niechęć do Stanów Zjednoczonych, a czasem autentyczna troska o przyszłość świata, w którym USA zaczną odgrywać coraz mniejszą rolę.

Jeśli Amerykanie rzeczywiście mają w swojej konstytucji zakodowany błąd, który kiedyś doprowadzi ich do katastrofy, to już chyba nic ich nie zdola uratować. Ustawy zasadniczej niemal nie sposób zmienić. Każdą poprawkę musiałyby poprzeć obydwie izby Kongresu większością dwóch trzecich głosów, co przy obecnej temperaturze sporu politycznego jest nie do wyobrażenia. Na tym jednak nie koniec, bo później musiałyby ją jeszcze ratyfikować parlamenty 38 stanów.

W praktyce oznacza to, że Amerykanie po wsze czasy zostaną ze swoją konstytucją w obecnym kształcie i z głębokimi podziałami między prezydentem, Kongresem i Sądem Najwyższym. Tylko czy to rzeczywiście jest problem? Wręcz przeciwnie. Tworzenie konstytucji pod koniec XVIII w. było procesem bardzo burzliwym. „Musimy trzymać się razem, bo inaczej z pewnością będziemy wisieć oddzielnie” – mówił wówczas Benjamin Franklin. Tylko co zrobić, żeby stany były zjednoczone? Jak rządzić społeczeństwem tak zróżnicowanym etnicznie i religijnie?

Rozwiązaniem było nadanie ogromnych uprawnień prezydentowi, które zbalansowano silną kontrolą parlamentu. Pieczę nad całością powierzono Sądowi Najwyższemu. Zastanówmy się, gdzie byśmy dziś byli i jak wyglądałby świat, gdyby ojcowie założyciele zorganizowali unię tak, jak dziś zorganizowana jest Unia Europejska. Ameryka ze słabą władzą centralną byłaby dziś cieniem samej siebie, a światem rządziłyby totalitaryzmy, którym żadna demokratyczna siła nie byłaby się w stanie przeciwstawić.

Kryzysy już się zdarzały. W latach 30., gdy prezydent Roosevelt wprowadzał swój New Deal, miał za sobą większość w Kongresie, ale na drodze do śmiałych reform stanął Sąd Najwyższy, który orzekł, że są one niekonstytucyjne. Roosevelt ostro krytykował wówczas sędziów. W radiowym orędziu do narodu powiedział, że „wszyscy podlegamy konstytucji, ale

o tym, co mówi konstytucja, orzekają sędziowie”. Konflikt zakończył się dopiero, gdy dwóch sędziów zmarło i Roosevelt przevorsował na ich miejsce kandydatury swoich zwolenników, uzyskując większość wśród składu sędziowskiego.

Tamten spór również spowodował krytykę ustroju z tą różnicą, że wówczas nie oberwało się Kongresowi, tylko Sądowi Najwyższemu. Były pomysły, żeby jeszcze bardziej usztywnić konstytucję, tak żeby sądy nie mogły jej w tak dowolny sposób interpretować. Później zaniechano tych pomysłów i – jak się okazało – był to dobry wybór, bo swoboda w interpretacji konstytucji do dziś jest wentylem, który pozwala wprowadzać śmielsze reformy.

W USA nawet w czasie największych konfliktów zwyciężało przekonanie, że system stworzony przez ojców założycieli jest dobry, że daleko posunięta stabilność, siła władzy i wzajemna kontrola, ten słynny „government by checks and balances”, czyli system mechanizmów zapewniających równowagę polityczną, są świętościami, których naruszenie spowoduje katastrofę. Byłaby to zresztą katastrofa na ogólnoświatową skalę. Wystarczy sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby w 1945 r., gdy Roosevelt zaczynał czwartą kadencję, w USA trwała kampania wyborcza i trzeba było wybierać nowego prezydenta.

Reforma zdrowia Obamy to tak naprawdę tylko przygrywka do tego, co będzie się działo w następnych dekadach. Ogromna imigracja Latynosów i zmiany demograficzne już doprowadziły do głębokiego pęknięcia wewnątrz amerykańskiego społeczeństwa. Powoli można zacząć mówić o zderzeniu cywilizacji w USA. Na razie zyskują na nim demokraci. Głosuje na nich miazdżąca większość nowych imigrantów, ale w zamian za swoje głosy oczekują oni coraz dalej idących reform socjalnych. Demokraci będą więc skrecać na lewo, podczas gdy republikanie i ich wyborcy nie mają najmniejszej ochoty na rezygnację z tradycyjnego amerykańskiego modelu, w którym państwo nie miesza się do spraw obywateli. Ten konflikt może tylko narastać. Porządek wymyślony 250 lat temu zapewne jeszcze nieraz będzie krytykowany i zapewne znów zda egzamin.

„Do Rzeczy” 14–20 października 2013 r.

Obywatel imigrant

Cieśnina Sycylijska, a zwłaszcza morze wokół włoskiej wyspy Lampedusa, powoli zamienia się w największy podmorski cmentarz Europy. Kolejne przeładowane łodzie z imigrantami na pokładzie regularnie idą na dno. Ludzie toną, a politycy wciąż obiecują, że znajdą sposób, by te tragedie się nie powtarzały. Jednak realia są nieubłagane. Świat jest w ostatnich latach bardzo niespokojny. Coraz więcej krajów staje się niebezpiecznych nie tylko dla podróżnych i turystów, lecz także dla miejscowych. Emigrację do Europy Zachodniej, która nawet w spokojnych czasach jest spora, napędzają dziś dodatkowo: arabska wiosna, niepokoje w Egipcie, interwencja kenijska w Somalii i działalność organizacji terrorystycznej Asz-Szabab, a także wojna domowa w Syrii.

Od afrykańskich brzegów odbijają więc setki łodzi wypełnionych ludźmi pełnymi nadziei na lepsze życie. Większość z nich nie wie, że nawet jeśli uda im się przeżyć, to Europa nie będzie miała zamiaru ich przyjąć. Unia nie chce już imigrantów. Hiszpańskie statki pilnie patrolują wybrzeże kraju, Grecja uszczelnia granicę z Turcją, a włoskie wybrzeże pozostaje jedyną luką w pilnie strzeżonej Unii Europejskiej. Krajowe policje nasilają kontrole, państwa strefy Schengen zaostrzają przepisy migracyjne i bardzo łatwo jest dziś deportować nielegalnego imigranta w trybie natychmiastowym. Coraz szerszy strumień imigrantów rozbija się o coraz solidniejsze mury europejskiej twierdzy.

Czy podwyższanie tych murów to dobry kierunek? Spójrzmy na historię ostatnich 200 lat. Gdy rewolucja społeczna i przemysłowa umożliwiła rzeszom ludzi przemieszczanie się za chlebem, rozpoczęły się migracje na skalę, jakiej świat wcześniej nie widział. Setki tysięcy ludzi swobodnie przenosiły się z jednego europejskiego kraju do drugiego, ale przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych. Dla USA imigranci wszelkich możliwych ras i wyznań byli siłą napędową. I nie chodzi tu tylko o siłę roboczą. Przyjezdni współtworzyli potęgę gospodarczą kraju, uczestniczyli w tworzeniu systemu demokratycznego i kultury. Pierwsze ograniczenia migracyjne USA zaczęły wprowadzać dopiero w latach 20. XX w., co oznacza, że przez ponad 150 lat Ameryka przyjmowała każdego, kto chciał do niej przyjechać, i dawała mu szansę, której nie dostałby w swoim rodzinnym kraju. Imigranci potrafili się za to odwdziżyć i chyba nikt nie ma dziś wątpliwości, że bez tej gigantycznej migracji przez pierwsze 150 lat istnienia USA Stany nie miałyby szans zostać światową potęgą.

Dzisiejsza imigracja do Europy wygląda rzecz jasna nieco inaczej. Wewnątrz Unii jej obywatele emigrują na potęgę. Dziesiątki tysięcy Hiszpanów wyjeżdżają za pracę do Niemiec, po kontynencie rozjeżdżają się młodzi Portugalczycy, setki tysięcy Polaków przeniosły się do Wielkiej Brytanii i nikt poważnie nie myśli o ograniczeniu tych fal migracyjnych. A jednocześnie zewnętrzne granice stają się coraz szczelniejsze, bo panuje powszechne przekonanie, że imigrantów spoza Unii przyciągają nie wolność, bezpieczeństwo i możliwość rozwinięcia skrzydeł, jak to było w przypadku USA, tylko korzyści, które mogą czerpać z systemu opieki socjalnej. Jeśli tak rzeczywiście jest, to warto się zastanowić, jak zmienić ten stan rzeczy.

Jak sprawić, by ci, którzy przyjeżdżają, nie uzależniali się od państwowej pomocy? Stawianie murów na wzór żelaznej kurtyny to najłatwiejsze, ale też najgorsze rozwiązanie tego problemu. Tysiące ludzi pozbawi szansy na godne życie, a Europie odbierze zastrzyk świeżej krwi.

Dobrze przyjęty imigrant potrafi odwdziżyć się ciężką pracą. Wiem coś o tym, bo po wojnie ja i moja rodzina również byliśmy uchodźcami. Tużaliśmy się po Europie razem z innymi ocalonymi z Holocaustu i próbowaliśmy przedostać się do Palestyny. Oczywiście nielegalnie, bo Brytyjczycy nie chcieli wtedy wpuszczać tam Żydów. Dzisiaj obserwuję kraj zbudowany przez imigrantów, których wprowadzie łączy wspólne wyznanie czy tradycja, ale różni niemal wszystko inne. Żydzi w Izraelu pochodzą z całego świata, ich rodzice i dziadkowie mówili przeróżnymi językami, wyznają różne odmiany judaizmu, są zróżnicowani nawet rasowo. Potencjał konfliktów jest więc olbrzymi, a mimo to udało się im stworzyć silne, demokratyczne państwo. Bardzo często się zdarza, że wybitnymi jednostkami zostają dzieci imigrantów, chociażby Alan Greenspan, były szef amerykańskiej Fed, który jest potomkiem polskich Żydów z Buczacza. Jeśli będziemy przyjmować imigrantów na uczciwych, przestrzeganych przez obie strony zasadach, to możemy się spodziewać, że zyskamy oddanych obywateli.

„Do Rzeczy” 28 października–3 listopada 2013 r.

Pełne zwycięstwo to wybryk historii

Większości dzisiejszych konfliktów na świecie nie da się rozwiązać. Można je załagodzić, wstrzymać na jakiś czas przemoc, ale nie da się trwale pogodzić zwaśnionych stron. Z ostatecznym rozwiązaniem konfliktu mamy do czynienia wtedy, gdy jedna ze stron odnosi decydujące zwycięstwo nad drugą i może narzucić jej dowolne warunki. Tak było w Chinach, gdy Mao Tse-tung zajął ostatni metr kwadratowy kraju, albo w 1945 r., gdy Armia Czerwona zdobyła Berlin, a USA zwyciężyły Japonię.

Ostateczne rozstrzygnięcia to jednak sytuacja wyjątkowa, wybryk historii. W dzisiejszym świecie takich rozwiązań już nie zobaczymy. Nie będzie ostatecznego zwycięstwa Izraela nad Palestyńczykami ani Palestyńczyków nad Izraelem. Nie będzie też ostatecznego triumfu Zachodu w Afganistanie i Iraku. W Europie separatyści hiszpańscy czy republikanie z Irlandii Północnej mogą uzyskać dla siebie większą autonomię, ale ich prawdziwe cele są nie do zrealizowania. Większość dzisiejszych konfliktów tli się od dziesiątków lat. Czasem udaje się je nieco ucywilizować, wstrzymać rozlew krwi, czasowo zażegnać, ale nie da się ich rozwiązać poprzez doprowadzenie do zwycięstwa jednej ze stron.

Osiągnięcie kompromisu jest zwyczajowym postulatem społeczności międzynarodowej: niech strony przestaną do siebie strzelać, niech usiądą do stołu i pójdą na ustępstwa. Te ustępstwa powstrzymują przemoc, ale kompromis jest na ogół tymczasowym zawieszeniem broni. W ciągu ostatnich lat takich konfliktów przybywa. Po 1989 r. przez kilkanaście lat USA były jedyną liczącą się na świecie potęgą. Dzisiaj powrót do globalnej rozgrywki Rosji spowodował, że wracamy do sytuacji sprzed 50 lat. Rosja próbuje odbudować strefę wpływów, a jeśli w konflikcie po dwóch stronach stoją dwa wielkie mocarstwa, to jego sensowne zakończenie jest niemal niemożliwe. Tak było w latach 50. w Korei, tak jest dzisiaj w Syrii.

Tłumienie konfliktów wymaga ogromnego wyczucia. W dzisiejszym świecie czystą siłą nikt nikogo skutecznie nie doprowadzi do stołu negocjacyjnego, nie mówiąc już o zagwarantowaniu takimi metodami trwałego pokoju. Właśnie dlatego, jeżeli chodzi o rozwiązywanie trapiących świat konfliktów, z uznaniem można patrzeć na starania prezydenta Obamy. Niestety, wciąż w wielu miejscach Europy przedstawia się amerykańskiego przywódcę jako człowieka, którego idealistyczne spojrzenie na istotę stosunków międzynarodowych krępuje potęgę USA. Gdyby tylko Białym Domem rządził ktoś inny, bardziej skory do uderzenia

pięścią w negocjacyjny stół, Ameryka już dawno zakończyłaby konflikty, które od lat zatruwają dobre samopoczucie mieszkańców Zachodu (tak zdaje się myśleć wielu Europejczyków). To oczywiście chybione zarzuty, osadzone w realiach rodem z minionej epoki.

Dziwi też wyraźnie widoczne w Europie sarkanie na rolę USA w konflikcie na Ukrainie. Część Europejczyków jak w bęben uderza w amerykańską dyplomację, zapominając jednocześnie o podejściu, jakie w tej kwestii prezentuje UE. Wystarczy choćby porównać europejską debatę nad sankcjami wobec Rosji z amerykańską. Europa niestety nie idzie w tej kwestii z Ameryką w jednym szeregu, lecz pozostaje wyraźnie o kilka kroków za swoim partnerem zza oceanu. Czy w takich warunkach rzeczywiście można oczekiwać od prezydenta Obamy cudu w postaci szybkiego załagodzenia kryzysu ukraińskiego? Niestety, w takich okolicznościach nikt nie byłby w stanie wykazać się większą skutecznością. Wciąż nie wiadomo, jak skończą się zabiegi amerykańskiego przywódcy w sprawie tłumienia pożaru, który wybuchł tuż za wschodnią granicą Polski, jednak efekty jego dotychczasowej polityki wygaszania konfliktów pozwalają raczej optymistycznie spoglądać w przyszłość.

Historia z pewnością zapamięta 44. prezydenta USA jako tego, który w przemyślany sposób wyprowadził amerykańskich żołnierzy z Iraku. Wszystko wskazuje na to, że również sytuacja w Afganistanie zmierza w pożądanym kierunku. Największym sukcesem Baracka Obamy byłoby oczywiście definitywne przerwanie irańskiego programu nuklearnego. Gdyby udało się to osiągnąć, świat byłby dużo bezpieczniejszy. Wiele osób wskazuje wprawdzie na wypalenie amerykańskiego przywódcy, ale pamiętajmy, że ma on jeszcze ponad dwa i pół roku kadencji, w czasie których wiele może się jeszcze wydarzyć. Wierzę, że będziemy świadkami postępu w sytuacji na Bliskim Wschodzie. Skąd ten optymizm? Ponieważ wyraźnie widać, że miękka siła, której z wyczuciem używa duet Obama – Kerry, to w rzeczywistości najskuteczniejsza siła.

„Do Rzeczy” 19–25 maja 2014 r.

Wojna psychologiczna

Wizyta prezydenta Stanów Zjednoczonych w Polsce, lidera takiego mocarstwa, byłego naczelnego policjanta wolnego demokratycznego świata, ma większe znaczenie niż tylko symboliczne. Nie ma polityki bez psychologii ani nie ma polityki bez osobistej dyplomacji. W demokratycznym świecie, w którym parlamenty mają ogromny wpływ na politykę wewnętrzną, polityka zagraniczna, mimo rozwiniętego aparatu dyplomatycznego, znajduje się przeważnie bezpośrednio w rękach liderów państw.

Barack Obama z tego punktu widzenia jest najpotężniejszym człowiekiem na świecie. W kontekście środkowoeuropejskim i bliskowschodnim także Władimir Putin jest bardzo ważnym graczem. Można nawet powiedzieć, że obaj zajmują równorzędną pozycję.

Jeszcze niedawno Stany Zjednoczone używały siły wojskowej jako narzędzia dyplomacji międzynarodowej. W ostatnich trzech dekadach tak działał prezydent Bush senior, tak działał Bill Clinton w kontekście byłej Jugosławii i oczywiście prezydent Bush junior. Prezydent Obama doszedł jednak do wniosku, że ten styl uprawiania dyplomacji jest bezowocny. Jest przekonany – i nie tylko on – że przekształcenie niedemokratycznego, totalitarnego reżimu przy użyciu siły wojskowej to niewykonalna misja. Na początku swojej służby Obama dostał specyficzną zaliczkę w postaci Pokojowej Nagrody Nobla. Z mojego punktu widzenia należała mu się ona nie dlatego, że uspokoił konflikty na świecie, ale dlatego, że zmniejszył ryzyko zaostrzenia się sytuacji, do której mogłoby dojść w wyniku nieumiarowanego używania siły.

Europa jeszcze nie jest przyzwyczajona do tej nowej epoki, ponieważ Stany Zjednoczone zawsze były globalnym policjantem i wykonywały czarną robotę dla całego świata niekomunistycznego. Nie ma drugiego narodu, który po II wojnie światowej poświęciłby tyle wysiłku i, niestety, krwi na rzecz obrony niekomunistycznego świata. Amerykanie nie byli tym może zachwyceni, ale przez długie lata nie było w USA politycznej siły, która by systematycznie walczyła o powrót do samoizolacji. Tymczasem do tego właśnie zmierza Obama. Jego podejście można ująć w kilku punktach:

1. Czynna wojna, stosowanie siły to ostateczność. Nawet w przypadku ryzyka regionalnej czy światowej tragedii Obama używa siły w ograniczony sposób. W Libii większości pomocy militarnej udzieliły Francja, Wielka Brytania i Włochy. W Syrii, która jest przykładem ciekawej kombinacji dyplomatycznej, Rosjanie i Amerykanie zatrzymali się przed pierwszym strza-

łem. Po pierwszym bowiem strzale byłyby drugi, trzeci... Nie ma takiej siły wojskowej na świecie, która mogłaby mądrze i humanitarnie zakończyć tę wojnę domową. Użycie siły zewnętrznej doprowadziłoby do kolejnych setek tysięcy zabitych i totalnego zniszczenia kraju. Tak wygląda sytuacja z Syrią, Iranem, Koreą Północną. W Polsce i krajach nadbałtyckich po ostatniej interwencji Rosji na Krymie i wschodnio-południowej Ukrainie zapanał strach. Z kolei wizyta prezydenta Obamy, przysłanie kilku samolotów i wspólne ćwiczenia wywołały euforię. Zarówno ta euforia, jak i strach są zrozumiałe, ale wracając do realnej polityki, musimy przyjąć, że polityka samograniczenia stanie się obowiązującą ideologią w USA.

2. Naród amerykański liczy dzisiaj ok. 350 mln obywateli. Zaczynają oni tworzyć zupełnie nowe społeczeństwo, w którym siła tzw. WASP (White Anglo-Saxon Protestant – biali Anglosasi wyznania protestanckiego) się zmniejsza. Naród amerykański staje się w coraz większym stopniu chrześcijański i latynoski. Jego poczucie przynależności do kręgu europejskiego, to, co wiązało się z określeniem „nowy świat”, już nie należy do głównej narracji kultury amerykańskiej. Wybór Obamy był nieprzypadkowy, to ogromne zwycięstwo nad rasizmem, pokazanie potencjału mniejszości. Jeśli teraz kobieta, Hillary Clinton, zostanie wybrana na następnego prezydenta Stanów, wówczas będzie to dalszy ciąg liberalnej rewolucji. A ten liberalizm ma także przełożenie na politykę międzynarodową i wojskową, na używanie siły.

3. Cały świat ma świadomość – Stany Zjednoczone, Rosja, a nawet Chiny – że nie ma silniejszego mocarstwa na świecie od USA. Naród amerykański jest przekonany o swojej sile, o tym, że nikt tak naprawdę nie zagraża jego bezpieczeństwu. Genialne hasło, którym Obama wygrał wybory: „Yes, We Can”, było do głębi prawdziwe. Amerykanie mają poczucie, że tak, mogą zrobić bardzo dużo. Wszyscy przecież widzą, że są ogromną siłą, największą gospodarką, mają najsilniejszą armię. Dlatego nie muszą używać siły, sam fakt jej posiadania jest potężną bronią psychologiczną.

Spędzam dużo czasu w Polsce i Izraelu. W mojej ojczyźnie obawiamy się, że zostaniemy sami. Zastanawiamy się, czy Stany Zjednoczone nam pomogą, jeśli Iran skonstruuje bombę jądrową. Polska jest w sytuacji trochę lepszej i Polacy to wiedzą. Martwią ich interwencja Rosji na Krymie i to, co może wydarzyć się dalej. Jednak nie wyobrażam sobie, żeby Putin przekroczył granicę NATO. On wie, i Obama też wie, że w takiej sytuacji wróci do aktywnej polityki ogromna siła Zachodu, ze Stanami Zjednoczonymi na czele. Musimy się tylko modlić, żeby nie dożył takich czasów.

„Do Rzeczy” 16–22 czerwca 2014 r.

Sowieckie zombie zostaną w grobach

Putin chce wskrzesić Związek Sowiecki. Od kiedy Rosja anektowała Krym, ta teza robi coraz większą karierę, szczególnie w Europie Środkowo-Wschodniej.

Czy historia lubi się powtarzać? Być może. Jednak żeby stwierdzić, czy dzieje się tak w konkretnym przypadku, trzeba trochę więcej niż tylko pobieżnej analizy kilku historycznych zbieżności. W 1920 r., a później w czasie II wojny światowej, Związek Sowiecki robił wszystko, żeby przesunąć swoje granice jak najbardziej na zachód. Dziś Rosja Putina również napiera na swojego zachodniego sąsiada – Ukrainę. Na tym jednak historyczne analogie się kończą.

Sytuacji geopolitycznej z pierwszej połowy XX w. nie da się porównać do obecnej. Wielobiegunowy świat, w którym Rosja, a później ZSRS były mocarstwami równorzędnymi z Wielką Brytanią, Francją, Niemcami, w którym dopiero rodziła się potęga Stanów Zjednoczonych i w którym pokój gwarantowała krucha równowaga sił, nie ma nic wspólnego z obecnym porządkiem. W powojennym wyścigu mocarstw Związek Sowiecki został tak daleko w tyle za USA, że dystans jest już nie do nadrobienia. Niemal czterokrotnie większy PKB na mieszkańca i 10-krotnie większe wydatki na zbrojenia zapewniają Ameryce przewagę, której Rosja nie będzie w stanie zniwelować przez dziesięciolecia. Żyjemy w świecie zdominowanym przez jedno państwo. Być może za kilkadziesiąt lat się to zmieni, ale konkurentem USA będą prędzej Chiny, a nie Rosja.

Jednak różnica potencjałów to nie wszystko. Związek Sowiecki zdołał opanować Europę Środkowo-Wschodnią wyłącznie dlatego, że zaistniały bardzo specyficzne okoliczności geopolityczne. Trwała II wojna światowa i Zachód zgadzał się na ogromne ustępstwa, byle tylko Stalin nie przerywał walki z Hitlerem. Czy można sobie wyobrazić, że gdyby nazistowskie Niemcy nie rozpętały globalnego konfliktu, Wielka Brytania, Francja czy USA przystąpiłyby na to, by komunistyczne mocarstwo bezkarnie powiększało swoje strefy wpływów o kolejne państwa? W normalnych warunkach żaden zachodni przywódca nie podpisałby umowy z Teheranu czy Jałty.

W 1848 r. Karol Marks pisał w „Manifeście komunistycznym”, że proletariatus nie ma nic do stracenia oprócz swoich kajdan. Przez niemal 100 lat takie podejście było jednym z głównych napędów procesów historycznych. Jednak świat, w którym ogromne rzesze ludzi nie mają nic do stra-

cenia, odszedł w przeszłość. Dziś zarówno Rosja, jak i Zachód mają do stracenia zbyt wiele, by ryzykować nie tylko III wojnę światową, lecz także nową zimną wojnę. Rosjanie wprawdzie nigdy nie przyswoili sobie zasad liberalnej demokracji, ale system kapitalistyczny uważają już za swój. Rosyjscy oligarchowie i rosnąca w siłę klasa średnia mogą przyklasnąć poszerzeniu granic o parędziesiąt kilometrów czy jakiejś niewielkiej aneksji, która pobudza ich narodową dumę, ale nigdy nie zgodzą się na to, by ich dzieci szły na regularną wojnę, ani nawet na to, żeby za tę wojnę płacić. Putin jest autokratą, ale jednak daleko mu do Stalina, który był w stanie w imię swoich planów terroryzować własne społeczeństwo.

Dlatego Putin może wcielać w życie swoje hucpiarskie plany na ukraińskim pograniczu, ale nie odważy się tknąć granic NATO. Tym bardziej że wizyta prezydenta Obamy w państwach bałtyckich i zapowiedzi wzmocnienia oddziałów sojuszu w Polsce świadczą o tym, że Zachód po chwilowym oszołomieniu niespodziewaną rosyjską ekspansją już się ocknął i zaczyna reagować coraz bardziej stanowczo.

To, że snucie wizji przywrócenia granic i potęgi ZSRS można dziś zostawić pisarzom science fiction, nie znaczy jednak, że nie mamy problemów do rozwiązania. Rosja, podsycając konflikt na Ukrainie, podkopuje fundamenty ukraińskiej państwowości i burzy poczucie bezpieczeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej. By powstrzymać Putina, trzeba wykazać się stanowczością i rozumą. W dyplomacji każdy kolejny krok powinna poprzedzać solidna analiza bieżącej sytuacji. Roztaczanie apokaliptycznych wizji najazdu rosyjskiego na byłe państwa bloku wschodniego nie ma z taką analizą wiele wspólnego.

„Do Rzeczy” 8–14 września 2014 r.

Lewica wszędzie przegrywa

Chociaż przedwyborcze sondaże wskazywały, że współrządząca Partia Konserwatywna i opozycyjna Partia Pracy mają wyrównane poparcie, ostatecznie wyraźnie zwyciężyli konserwatyści.

Tak wielkiej różnicy między przedwyborczymi przewidywaniami a wynikami nie było w Wielkiej Brytanii od 1945 r. Duże odstępstwa, znacząco wykraczające poza dozwolony margines błędu, zdarzały się w ostatnim czasie również w innych krajach. Tak było w Grecji i Izraelu, gdzie według sondaży pierwszy raz od lat rządy miała przejąć izraelska Partia Pracy. Okazało się jednak, że premier Benjamin Netanjahu zwyciężył po raz czwarty.

Wygląda na to, że ludzie mają dość nachalnego prorocstwa sondażowego i nie chcą szczerze mówić ankietantom, na kogo zamierzają głosować. W wielu krajach pracownice sondażowe wywierały zbyt duży wpływ na wyniki wyborów. Część wyborców, gdy orientowała się, że ich kandydat nie cieszy się zbyt dużą popularnością, wołała oddać głos na kogoś z tzw. mainstreamu. Sądzę, że ten trend powoli się zmienia. Dlatego uważam, że lekcja, której wyborcy udzielili instytutom badania opinii publicznej, sprzyja umocnieniu demokracji.

Wracając do wyników czwartkowych wyborów w Wielkiej Brytanii... Jedną z przyczyn tak wielkiej różnicy między sondażami a rezultatami głosowania może być brytyjski system wyborczy. Kraj jest podzielony na 650 jednomandatowych okręgów wyborczych. Każda partia wystawia w nich po jednym kandydacie. Kto uzyska najwięcej głosów, ten zdobywa mandat. To maksymalnie uproszczone rozwiązanie sprawia, że po wyborach partia, którą popiera więcej Brytyjczyków, otrzyma więcej mandatów w parlamencie niż ugrupowanie, które w całej Wielkiej Brytanii cieszy się mniejszym poparciem. Sam fakt, że Brytyjczycy utrzymują ten system od ponad stu lat, świadczy o tym, że to bardzo konserwatywny naród. Wątpię, czy w innym kraju taki system wyborczy przetrwałby aż tak długo.

Drugim powodem sromotnej porażki brytyjskiej Partii Pracy może być to, że lewica traci poparcie w bardzo wielu demokratycznych krajach. Ten trend jest widoczny niemal w całej Europie: w Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Niemczech, Polsce i innych krajach. Nawet w Skandynawii i w państwach Beneluksu socjaldemokraci nie mają już w wyborach zagwarantowanego zwycięstwa. Wygranej socjalistów w wyborach prezydenckich we Francji wielu Francuzów już bardzo żałuje. Najprostszym wytłumaczeniem tej

antysocjaldemokratycznej fali w Europie jest poziom życia, który w krajach Starego Kontynentu jest tak wysoki, że z punktu widzenia sprawiedliwości społecznej nie ma już różnicy, czy rządzi lewica, czy prawica. Praktycznie każde państwo można uznać za „welfare state”. Zarówno liberałowie, jak i konserwatyści – którzy chcą być częścią mainstreamu – wyglądają, zachowują się i mówią bardzo podobnie. Już Richard Crossman, brytyjski dziennikarz i polityk brytyjskiej Partii Pracy, zwrócił uwagę na to, że w krajach demokratycznych, które mają za sobą rządy i socjalistów, i konserwatystów, dochodzi do tego, że ugrupowania po obu stronach politycznej barykady zaczynają się do siebie upodabniać.

Kolejnym powodem zwycięstwa współrządzących Wielką Brytanią konserwatystów jest zjawisko, które opisał socjolog Max Weber. Mówiąc w skrócie, zauważył on, że zadowoleni nie chcą zmiany.

I chociaż Wielka Brytania od lat nie jest już mocarstwem kolonialnym, to Brytyjczycy nie mają powodu do narzekań. Premier David Cameron – pozostając sojusznikiem Stanów Zjednoczonych i ostrożnego Baracka Obamy – sprawił, iż Brytyjczycy przestali brać udział w interwencjach zbrojnych na wielką skalę. Gospodarka brytyjska dobrze się rozwija, a i sektor bankowy trzyma się mocno. Brytyjscy wyborcy nie mieli więc poważnego powodu do zmiany rządzących.

Na koniec zwróćmy uwagę, że od Brytyjczyków warto się nauczyć honoru i sportowego podejścia nawet do demokracji. Przegrywasz – podajesz się do dymisji. Po czwartkowych wyborach niemal natychmiast z funkcji partyjnych liderów zrezygnowali szef Partii Pracy Ed Miliband, lider eurosceptycznej Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP) Nigel Farage oraz przywódca Liberalnych Demokratów Nick Clegg. To kolejny dowód na to, jak wysoka jest w Wielkiej Brytanii kultura demokratyczna. To dzięki niej system rządów jest w tym kraju wyjątkowo stabilny.

„Do Rzeczy” 11–17 maja 2015 r.

Ja też byłem „nielegalny”

W 2014 r. na Morzu Śródziemnym życie straciło 3,5 tys. osób, które chciały się nielegalnie dostać do Europy. Wygląda na to, że ten rok będzie jeszcze bardziej tragiczny pod tym względem – jeżeli nic się nie zmieni, to do końca 2015 r. morze dzielące ubóstwo od dobrobytu pochłonie 4 tys. istnień ludzkich. Na skraju Czarnego Łądu czekają tysiące ludzi gotowych wsiąść na pokład rozpadających się łajb, byle tylko jak najszybciej zostawić za sobą niestabilny i pełen nędzy świat.

Nie potrafię przejść obok tego tematu obojętnie, bo na własnej skórze odczułem, co to znaczy być nielegalnym imigrantem. Tuż po wojnie tysiące Żydów, w tym ja, opuściło Europę, bo nie wierzyło, że będzie możliwe życie tam po ludzku. Trauma II wojny światowej nie dawała nam nadziei na spokojną przyszłość na Starym Kontynencie. Do Palestyny (była ona wówczas brytyjskim terytorium mandatowym) dotarłem w grudniu 1947 r. wraz z jedną z fal migracji, którą – używając obecnej terminologii – powinniśmy nazwać nielegalną. My też docieraliśmy do naszej ziemi obiecanej łódkami i rozklekotanymi stateczkami. Do mojej przyszłej ojczyzny wjechałem, posługując się fałszywymi dokumentami. Mój starszy brat za pierwszym razem miał mniej szczęścia – Brytyjczycy odesłali go do obozu dla nielegalnych imigrantów żydowskich, który utworzyli na Cyprze. Do Izraela dotarł dwa tygodnie po utworzeniu Państwa Żydowskiego.

Byliśmy więc równie „nielegalni” jak tysiące ludzi, którzy dziś próbują się dostać do spokojnej i dostatniej Europy. Co zrobić z tą rzeszą nieszczęśników? Niestety, UE nie jest w stanie przyjąć ich wszystkich – to byłoby samobójstwo i nikt tego od Europy nie wymaga. Część z nich jednak, przynajmniej ci w najbardziej dramatycznej sytuacji, powinna znaleźć schronienie w Europie. To po prostu humanitarny obowiązek.

Takim samym obowiązkiem – jeżeli nie większym – jest ratowanie tych, których życie zostanie zagrożone na Morzu Śródziemnym. Europę stać na monitorowanie tego akwenu i wyciąganie z opresji ludzi, którym grozi zatonięcie. Tyle można zrobić doraźnie, ale aby rozwiązać problem, potrzebne jest myślenie strategiczne.

UE czeka na rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ, która pozwoliłaby na użycie siły w walce z gangami przemytników. Rosja może blokować takie rozwiązanie, ale każde narzędzie, które pozwoli na walkę z bandytami i niszczenie ich śmiercionośnych łajb, powinno zyskać międzynarodowe wsparcie.

Za wszelką cenę trzeba też ustabilizować sytuację w Libii, której wybrzeże jest usiane bazami przemytników ludzi. Dziś w tym kraju działają dwa walczące ze sobą rządy. Należy wesprzeć legalne władze tego kraju, by kontrolowały to, co się dzieje na ich wybrzeżu. UE nie stać na dalsze zwleknięcie z działaniem w tej kwestii.

Bliski Wschód pełen jest obozów dla uchodźców. Wielu pozbawionych nadziei mieszkańców stara się dotrzeć do Europy. W Jordanii, Libanie i Turcji znalazło się 4,4 mln Syryjczyków wypędzonych z domów przez wojnę domową. W jednym z jordańskich obozów, Zaatari, mieszka 100 tys. uchodźców! Jeżeli bogaty świat nie chce, żeby zdesperowani uchodźcy wieszali się na klamce jego drzwi, to powinien im stworzyć ludzkie warunki życia w tych obozach. Taka inwestycja szybko zmniejszy liczbę nielegalnych imigrantów.

Najtrudniejszym, ale jednocześnie najbardziej palącym problemem jest walka z Państwem Islamskim, którego działalność terrorystyczna zmusza ludzi do migracji. Bez wyeliminowania tego „kalifatu”, który wciąż się rozrasta, Zachód nie rozwiąże imigracyjnego węzła gordyjskiego.

„Do Rzeczy” 25–31 maja 2015 r.

System wyborczy dla Polski

W Polsce trwa dyskusja o tym, jaki system wyborczy byłby najlepszy. Niektórzy postulują wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych. Taki system jest rozpowszechniony w krajach anglosaskich. Trudno jest w nim jednak stworzyć nową partię, może też zwyciężyć mniejszość. W regionach wielopartyjnych może wygrać kandydat, który zdobył na przykład zaledwie 20-procentowe poparcie. Problemem jest też to, że jeśli w danym okręgu któryś z kandydatów wygra jednym głosem, to osoby głosujące na zdobywcę drugiej pozycji nie będą miały swojego reprezentanta. Zarówno w USA, jak i w Wielkiej Brytanii wielokrotnie zdarzało się już, że większość parlamentarną miała partia popierana przez mniejszość wyborców.

Klasyczne systemy proporcjonalne istnieją dziś już tylko w Holandii i Izraelu. W tych państwach jest wiele partii i choć koalicje bywają trudne, są już stałą częścią kultury politycznej. A wiele nadziei, w przeciwieństwie do Brytyjczyków i Amerykanów, obywatele wiąże z rozwiązaniami politycznymi.

Systemy wyborcze innych państw to połączenie dwóch wymienionych modeli. System belgijski można nazwać superreprezentatywnym. W każdym regionie wybiera się 10 posłów. Obywatel wskazuje partię i konkretnego kandydata. Z kolei w Niemczech połowa deputowanych do Bundestagu jest wybierana w jednomandatowych okręgach wyborczych, a druga połowa miejsc jest rozdzielana na szczeblu krajowym według systemu proporcjonalnego.

Moim zdaniem, jako politologa, jednomandatowy system wyborczy w Polsce mógłby tworzyć większe problemy niż obecnie obowiązujący model. Daje on szansę lokalnym siłom na stworzenie klubów, które przepchną popularnych w danym regionie kandydatów. Do parlamentu może wejść wiele małych partii, co będzie wymagało podniesienia progu wyborczego nawet do 15 proc. To doprowadzi do poczucia niesprawiedliwości i braku reprezentacji wielu wyborców.

Jako obcokrajowiec nie mieszam się do polskiej polityki, bo byłoby to niemoralne i nieetyczne. Jednak jako naukowiec badający zagadnienia polityczne uważam, że zmiana systemu wyborczego jest na tyle poważna, iż należy ją najpierw szczegółowo przeanalizować.

„Do Rzeczy” 8–14 czerwca 2015 r.

Hillary Clinton będzie rządzić światem?

Amerykański wyścig do Białego Domu nabiera tempa. Kto wygra? Próba odpowiedzi na to pytanie półtora roku przed głosowaniem to czysta spekulacja. Nie wpływając na decyzję wyborców, możemy jednak podzielić się swymi marzeniami. Myśląc o tym, jaki powinien być następca Obamy, można kierować się osobistymi sympatiami, interesem państwowym lub religijną solidarnością.

Pamiętam radość wśród katolików na świecie, gdy w 1960 r. wybory prezydenckie w USA wygrał syn irlandzkich imigrantów John Kennedy. Pierwszy i jedyny jak dotąd katolik w Białym Domu. Czy chciałbym, aby to Żyd był prezydentem USA? Wcale nie jestem tego pewien. Amerykańscy Żydzi są bowiem takimi patriotami, że prowadząc politykę na Bliskim Wschodzie, na pierwszym miejscu stawiać będą interes Stanów Zjednoczonych, a nie Izraela. Tę obserwację potwierdza zachowanie ministrów pochodzenia żydowskiego. Najśłynniejszym z nich był Henry Kissinger – niezwykle wpływowy szef dyplomacji, laureat Pokojowej Nagrody Nobla. W kilku sprawach był ostry wobec izraelskiego państwa. Trzeba jednak przyznać, że w krytycznym czasie, podczas wojny, Jom Kippur bardzo Izraelowi pomógł.

Kto będzie następnym prezydentem USA? Na jego wybór wpłynie między innymi polityka prowadzona przez Baracka Obamę, który w ciągu dwóch kadencji doprowadził do dramatycznej zmiany polityki międzynarodowej. Wiedząc, że naród ma już dość wojen, i mając głębokie przekonanie, że nie można narzucić siłą systemu demokratycznego, obiecał wycofanie amerykańskich wojsk z Afganistanu i Iraku. I obietnicy dotrzymał. Przeciwnicy zarzucają mu jednak, że doprowadził w ten sposób do pogłębienia kryzysu w Pakistanie i Iraku, wybuchu tzw. arabskiej wiosny oraz gwałtownego wzrostu siły islamskich fundamentalistów. Krytycy Obamy przekonują także, że to właśnie zmiana w polityce USA może być przyczyną konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. Jednak również prezydenci Niemiec i Francji próbują rozwiązać ten najważniejszy obecnie kryzys w Europie za pomocą sankcji gospodarczych i politycznych, a nie przy użyciu siły. Światowi przywódcy wiedzą bowiem, że wojna z Rosją miałaby dla świata katastrofalne skutki. Dotychczas żaden z potencjalnych kandydatów z ramienia Partii Republikańskiej nie powiedział więc, że zamierza wrócić

do wojennej retoryki, tak dobrze znanej z czasów rządów prezydentów George'a H.W. Busha i jego syna. A jeśli któryś polityk obieca, że będzie prowadził politykę zagraniczną opartą na armii, to te wybory przegra. Amerykanie, którzy brali udział w wojnach w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie, pamiętają bowiem własną walkę w imię krzewienia demokracji oraz zachodniego modelu świata i nie pozwolą na powrót tego typu polityki.

Szanse na wygraną kandydata Partii Demokratycznej mogą również zwiększać rozwijająca się gospodarka i spadające bezrobocie. Z kolei wynik reprezentanta Partii Republikańskiej osłabić może postawa kongresmenów i senatorów tej partii, którzy po zdobyciu większości w Kongresie zbyt często próbowali patrzeć z góry na Obamę, pokazując, że nie są skory do współpracy. Taka postawa może się nie spodobać wyborcom, a zwłaszcza tym, którzy doprowadzili do tego, że Ameryka pierwszy raz wybrała czarnoskórego prezydenta.

Tym razem istnieje duże prawdopodobieństwo, że wybory prezydenckie w USA pierwszy raz wygra kobieta. Największe szanse na to ma oczywiście Hillary Clinton. Czy większość społeczeństwa Ameryki jest już gotowa wybrać kobietę na lidera USA i jednocześnie na przywódcę całego świata? Niewykluczone. W końcu Europą już rządzi kobieta: kanclerz Niemiec Angela Merkel, a wcześniej ogromny wpływ na losy Starego Kontynentu miały między innymi Margaret Thatcher oraz caryca Katarzyna.

Jednocześnie rodzi się pytanie: Czy większość Amerykanów będzie skłonna głosować na kolejną osobę z rodu Clintonów? Niewykluczone, że anglosaskie społeczeństwo zagłosuje na „tak”, wyrażając pewną tęsknotę za „królestwem Ameryki”. Na kontynuację dynastycznych rządów spore szanse ma jednak również trzeci Bush. Jeb Bush – były gubernator Florydy – jest symbolem nowego społeczeństwa amerykańskiego. Nie tylko płynnie mówi po hiszpańsku, lecz także ma kolumbijską małżonkę. Może więc przyciągnąć Latynosów, którzy dotychczas masowo głosowali na Partię Demokratyczną.

Trzeba również pamiętać, że do listopada 2016 r. może się jeszcze wiele wydarzyć. Na szanse kandydatów może wpłynąć na przykład nagłe pogębenie się konfliktu między Rosją a Zachodem. Wśród możliwych do przewidzenia scenariuszy można też wymienić rozprzestrzenienie się kryzysu greckiego na całą UE, a także ataki terrorystyczne podobne do zamachów z 2001 r. Próba przewidzenia, kto będzie następcą Obamy, jest obecnie tylko intelektualną zabawą.

„Do Rzeczy” 6–12 lipca 2015 r.

Zachód ma już dość

Gdy w latach 60. XX w. wybitny amerykański socjolog Martin Lipset prowadził badania dotyczące warunków powstania stabilnej demokracji, było tylko 36 państw spełniających ustalone przez niego kryteria.

W 1963 r. ukazała się książka „The Civic Culture” Gabriela Almonda i Sidneya Verby’ego – dzieło kluczowe dla zrozumienia procesów demokratycznych, którego autorzy dokonali analizy systemu rządów w pięciu krajach: w USA, Niemczech, Meksyku, we Włoszech oraz w Wielkiej Brytanii. Doszli do wniosku, że wśród elementów leżących u podstaw demokratycznego państwa najważniejsze nie są wcale konstytucja, parlamenty, sądy etc. Najważniejsza jest kultura polityczna rozumiana jako dziedzictwo wartości obywatelskich i instytucjonalnej przeszłości. Takiej kultury politycznej, gwarantującej wolność i prawdziwy podział sił między sądownictwem a parlamentem, nie da się stworzyć szybko. Właśnie dlatego, choć w państwach afrykańskich w wyniku dekolonizacji powstały parlamenty czy konstytucje, kraje te długo nie mogły wypracować prawdziwie demokratycznych systemów rządów. Jeden z poziomów tej demokratycznej konstrukcji to prawa człowieka, które są gwarantowane przez ONZ od 1946 r.

W świecie obecnym Lipset – gdyby żył – doliczyłby się na pewno ponad 100 państw demokratycznych oraz kilkudziesięciu dążących do demokracji. Chociaż w wielu krajach, takich jak Chiny, Rosja, Iran, Arabia Saudyjska, Korea Północna i Egipt, ludziom nadal daleko jest do wartości demokratycznych, a zwłaszcza do kultury politycznej wskazanej w książce Almonda i Verby’ego. W efekcie podczas wolnych wyborów Egipcjanie wybrali Bractwo Muzułmańskie, które stworzyło reżim o wiele bardziej okrutny i dziki, niż panował w tym kraju za czasów dyktatury Hosniego Mubaraka. Demokratyczny eksperyment w Egipcie trudno więc uznać za udany.

Mimo deklaracji dotyczących praw człowieka miliony ludzi na świecie straszliwie cierpią też z powodu wojen. Jednocześnie przywódcy i mieszkańcy zachodniego świata spierają się, czy przyjmować uchodźców, czy muzułmanie zagrażają chrześcijanom etc. Ta dyskusja pokazuje, że wolne demokratyczne kraje z USA na czele – po wojnach w Wietnamie czy Iraku – są już zmęczone ideą interwencji wojskowych, prowadzących do obalenia dyktatur i przeprowadzenia demokratycznych transformacji. W zachodnich demokracjach nie ma już zgody na to, aby w tym celu narażać życie żołnierzy. Mieszkańcy tych państw głośno pytają: Dlaczego to

my mamy poświęcać swoje dzieci? Co zaskakujące, w dzisiejszych czasach przeciwko zbrojnym interwencjom opowiadają się przedstawiciele lewicy, która niegdyś hołdowała ideom internacjonalistycznym. Obecnie osoby wspierające ten narodowy egoizm, który nie pozwala wysyłać wojsk do krajów takich jak Syria i Jemen, nazywane są „postępowymi”.

Taka postawa społeczeństw ma ogromny wpływ na politykę międzynarodową. Zwłaszcza że minęły już czasy, gdy porządku na świecie pilnował jeden policjant. Stany Zjednoczone nie chcą już być bowiem jedynym stróżem prawa. Poza tym w USA doszło do istotnych demograficznych przemian, w wyniku których rosnąca część społeczeństwa nie jest już tak emocjonalnie zaangażowana w szerzenie wartości białego człowieka i czuje coraz większą sympatię również do ludzi innych kolorów skóry. Europa jest zaś zajęta swoimi sprawami, a zwłaszcza ratowaniem tej ciekawej struktury politycznej i gospodarczej, jaką jest Unia Europejska.

W takiej sytuacji w ostatnich pięciu latach znacząco wzrosły wpływy Rosji i Chin. Obecnie żadnej ważnej umowy na Bliskim Wschodzie nie można zawrzeć już nie tylko bez zgody Waszyngtonu, lecz także bez wsparcia Moskwy i Pekinu. Świat wraca więc – choć historia nigdy nie powtarza się dokładnie – do dwóch bloków politycznych: Europy i USA z jednej strony oraz Rosji i Chin z drugiej.

Zbyt szybko bowiem przywódcy Zachodu oraz członkowie zachodnich społeczeństw zaczęli świętować zwycięstwo praw człowieka oraz triumf świata opartego na chrześcijańskich i demokratycznych ideałach. O takim świecie wciąż możemy jednak marzyć.

„Do Rzeczy” 14–20 września 2015 r.

Słownik obecnych czasów

Uchodźca

Cały świat jest światem uchodźców. To oni zbudowali Kanadę oraz Stany Zjednoczone, współczesne państwa w Ameryce Południowej i Centralnej, a także Australię i Nową Zelandię. Uchodźcy stworzyli i nadal budują Izrael. Historia pokazuje, że znakomita ich większość nie miała nic wspólnego z terroryzmem. Najczęściej imigranci to ludzie, którzy zostali wygnani z domu lub zmuszeni do tego, aby w innych krajach szukać lepszej przyszłości. Uchodźcy nie tylko szukają lepszego miejsca na ziemi, lecz także często już w nowych miejscach próbują budować lepszą rzeczywistość.

Analizując dorobek uchodźców w wielu krajach, trzeba zauważyć, że niemal zawsze wzbogacali oni państwo, które zdecydowało się ich przyjąć. Wynosili na wyższy poziom świat nauki, wzbogacali kulturę i napędzali rozwój gospodarczy. Bez imigrantów gospodarki państw takich jak Niemcy, Francja i Wielka Brytania nie mogłyby się tak szybko rozwijać. Izrael bez uchodźców nie mógłby zaś w ogóle istnieć.

Islam

Na świecie żyje obecnie ponad 1,5 mld muzułmanów. W samej tylko Indonezji jest ich ponad 250 mln, w Malezji ponad 30 mln. Nie słyszymy jednak o zamachowcach pochodzących z tych krajów. Świat nie ma też problemu z muzułmanami pochodzącymi z Indii lub Turcji. Łączenie islamu z terroryzmem – co po ostatnich atakach w stolicy Francji zdarza się często – jest więc nieuprawnione i groźne. Warto zauważyć, że po zamachach w Paryżu najważniejszy francuski imam wraz z naczelnym rabinem modlili się o pokój i sprawiedliwość. Nawet Izraelczycy, którzy od lat atakowani są przez Palestyńczyków – od kilku tygodni trwa nowa intifada – muszą pamiętać, by nie oskarżać o terroryzm całego islamu. Stereotypy doprowadzają do nienawiści, a ta prowadzi do wybuchu nowych walk. W ten sposób nakręca się bardzo niebezpieczna spirala przemocy.

Terrorysta z Państwa Islamskiego

Skąd się wziął? Wojny domowe w Syrii i Iraku doprowadziły do powstania najgroźniejszej organizacji terrorystycznej. Państwo Islamskie nie ma wprawdzie dokładnych granic, ale sprawuje rządy na terenach o powierzchni większej niż Syria lub Irak. Liczba ofiar w tym konflikcie jest tak duża, że można już mówić o ludobójstwie.

A ilu jest terrorystów? Naukowcy i eksperci wojskowi szacują ich liczbę na 50–100 tys. osób. To niemało. Nie jest to jednak cały świat islamski. Nie jest to nawet znaczący ułamek muzułmańskiej społeczności. To, co jest wyjątkowo groźne w działalności PI, to fakt, że po stronie Państwa Islamskiego walczą m.in. obywatele różnych krajów zachodnich, którzy po odpowiednim przeszkoleniu wracają do rodzinnych państw i rozwijają w nich siatkę terrorystyczną. Ich cel to powrót do XII-wiecznego islamu, gdy zaczął się muzułmański imperializm, który zdobył władzę na całym Bliskim Wschodzie, w Turcji oraz na Bałkanach i zagroził państwu europejskim.

Celem PI nie jest walka o wolność, lecz zniszczenie zachodnich demokratycznych społeczeństw, likwidacja kultury judeochrześcijańskiej i wymordowanie „niewiernych”. Grozi nam więc nowe ludobójstwo. Trzeba zatem podjąć walkę. Trudno jednak wygrać wojnę z Państwem Islamskim, prowadząc ją jedynie z powietrza. Operacja lądowa jest zaś związana z ofiarami. A to oznacza, że trudno będzie zmobilizować opinię publiczną do tego typu działań, ponieważ rodzice na Zachodzie nie chcą wysyłać swoich dzieci na wojnę ani czekać na ich trumny na lotniskach.

Z jednej strony mamy więc świat praw człowieka, a z drugiej totalny terroryzm. Terroryzm, który jest trudny do wypłenienia, ponieważ terrorystyczne komórki – niczym wirus – zniszczone w jednym miejscu potrafią szybko namnożyć się w innym regionie świata.

A przecież aby zasiać strach w całej Europie, nie trzeba wielkiej armii. Wystarczy kilku terrorystów, którzy są gotowi dokonać samobójczego ataku. To rodzaj bomby jądrowej w rękach islamistów, która sprawi – niestety – że tej walki nie da się szybko zakończyć.

Wartości demokratyczne

Zachodowi nie wolno się zmienić. Jeśli zrezygnujemy z naszych wartości, wówczas będzie to równoznaczne z poddaniem się, jednoznaczne ze zwycięstwem terrorystów. Nie możemy więc zmienić naszej demokratycznej i humanistycznej polityki.

Jeśli powiększą się grupy nacjonalistów, jeżeli częściej zaczną się pojawiać hasła: „Polska dla Polaków”, „Francja dla Francuzów”, „Niemcy dla Niemców” i „Izrael dla Żydów”, to zaczną rosnąć nienawiści. Spalenie kukły Żyda we Wrocławiu można traktować jako papiererek lakmusowy pokazujący, co może się zdarzyć – nie tylko w Polsce, lecz także na całym świecie – jeśli nie powstrzymamy takich nastrojów. Politycy, dziennikarze, artyści lub po prostu sprawiedliwi ludzie mają więc obowiązek stać na straży demokratycznych wartości i podstawowych praw człowieka. Na straży naszego świata.

„Do Rzeczy” 30 listopada–6 grudnia 2015 r.

Polityka konstytucyjna

W wielu krajach świata między większością parlamentarną a sądami konstytucyjnymi dochodzi do sporów na tle politycznym i kulturalnym. Konstytucja to bowiem zazwyczaj bardzo krótka opowieść o anatomii, fizjologii i duszy konkretnego państwa. Opowieść o tożsamości kraju.

Większość współczesnych konstytucji w naszym postkolonialnym świecie została napisana po dramatycznych wydarzeniach: wojnie domowej, powstaniu, odzyskaniu niepodległości. Istnieją także ustawy zasadnicze, które tworzą nie tylko państwowość, lecz także narodowość. Przykładem takiego dokumentu jest najmocniejsza konstytucja w najmocniejszym mocarstwie i najbardziej stabilnej demokracji na świecie – w Stanach Zjednoczonych. Amerykańska ustawa zasadnicza ma taką moc, że można ją umieścić na poziomie dziesięciorga przykazań.

Nie we wszystkich krajach najwyższy akt prawny ma aż taką siłę. Z licznych badań naukowych wynika, że ustawy zasadnicze możemy podzielić na konstytucje formalne oraz konstytucje realnie obowiązujące. Często zdarza się bowiem, że w danym kraju istnieje ustawa zasadnicza, w rzeczywistości nie jest ona jednak przestrzegana. Bardzo często jest też tak, że w krajach autorytarnych i totalitarnych powstają najcudowniejsze konstytucje, w których dużo pisze się o wolności, niepodległości, prawach człowieka i niezawisłości sądów. Szkoda tylko, że te zasady nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Przykład: konstytucja stalinowska z 1936 r., zwana konstytucją zwycięskiego socjalizmu. Po jej lekturze można by pomyśleć, że Związek Sowiecki był krajem swobód i wolności. Ustawa dawała przecież wszystkim obywatelom mnóstwo praw: do głosowania, do pracy, do bezpłatnej nauki i leczenia, gwarantowała swobodę wypowiedzi i zgromadzeń. W rzeczywistości prawo do demonstracji polegało na tym, że na pierwszomajowy pochód musiał iść każdy.

Wracając do teraźniejszej Europy i Polski – konstytucja wszędzie ma ogromne znaczenie. Niezwykle ważną kwestią dla działania trybunałów konstytucyjnych jest odpowiedź na pytania, kim są sędziowie, kto ich wybiera i nominuje. Trzeba też rozstrzygnąć, czy taki sąd ma być z założenia partyjny (usługujący aktualnej większości parlamentarnej), czy w miarę możliwości apolityczny. To kluczowa sprawa. Bez odpowiedzi na to pytanie cała dyskusja o statusie trybunału traci bowiem wartość.

W przypadku Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych (Supreme Court) – organu władzy sądowniczej, którego rola w życiu politycznym

USA jest trudna do przecenienia – sędziów wybiera prezydent i jest to jedno z jego najważniejszych uprawnień. Mogą oni sprawować funkcję dożywotnio lub do czasu rezygnacji. Orzekają tam więc 70-latkowie, a nawet 80-latkowie. Jest to czasem przyczyna ostrych konfliktów politycznych. Na przykład w latach 30. XX w., gdy prezydentem został demokrat Franklin Delano Roosevelt, wiele ustaw związanych z „Nowym Ładem” zostało unieważnionych przez Sąd Najwyższy, ponieważ większość sędziów była zwolennikami republikanów i jako konserwatyści uważali oni „postępowe” ustawy Roosevelta za niezgodne z konstytucją. Wygłaszając swe słynne radiowe przemówienia do Amerykanów (tzw. pogadanki przy kominku), Roosevelt powiedział ostre słowa skierowane przeciw Sądowi Najwyższemu. Próbował więc przeprowadzić reformę Sądu Najwyższego. Nie udało mu się jej przeforsować. I choć był za swoje pomysły bardzo krytykowany, miał rację.

W Wielkiej Brytanii w ogóle nie ma konstytucji w znaczeniu formalnym. Podstawy ustroju określają m.in. normy prawa pisanego. I choć nie ma tam ustawy zasadniczej jako takiej, to tradycyjna brytyjska kultura polityczna sprawia, że żadna większość parlamentarna nie pozwoli sobie na „zamach” na demokratyczne normy.

Z kolei Ben Gurion – „twórca Izraela” i „ojciec narodu” – będąc liderem dominującej wówczas Partii Pracy (mojej partii), chciał, aby Sąd Najwyższy, pełniący m.in. funkcję trybunału konstytucyjnego, najwyższego sądu apelacyjnego i administracyjnego, był możliwie najbardziej bezpartyjny. Pierwszych sędziów wybrał Kneset. Obecnie członkowie tego sądu są powoływani przez prezydenta. Kandydatów wybiera zaś specjalny komitet, który składa się m.in. z ministra sprawiedliwości, członków Knesetu oraz sędziów Sądu Najwyższego. Oczywiście nie oznacza to, że komisja ta jest zupełnie apolityczna, bo coś takiego jest po prostu niemożliwe! Polityka jest przecież centralną częścią naszego współczesnego życia. Człowiek bez żadnej ideologii nie nadaje się zaś na żadne publiczne stanowisko, bo idee stanowią podstawę mapy moralnej każdego człowieka.

Apolityczność sądu nie oznacza, że nie dochodzi do konfliktów. Gdy w grę wchodzi rozstrzygnięcia dotyczące wojny czy pokoju lub podziału między religią a państwem, te zderzenia są bardzo głębokie. Strażnicy konstytucji są jednak zawsze bardzo potrzebni. Jest ona bowiem zbiorem najważniejszych przykazań w każdym demokratycznym kraju.

„Do Rzeczy” 14–20 grudnia 2015 r.

Pragmatyczny Donald Trump

Prezydent Donald Trump. Jeszcze pół roku temu brzmiało to jak żart, na który można by zareagować machnięciem ręki. To Jeb Bush uważany był za murowanego kandydata republikanów. Dzisiaj role się odwróciły. I to prawyborcza kampania Busha zostanie zapewne zapamiętana przez Amerykanów jako jeden wielki żart. Mimo wydania ok. 130 mln dol. krewny dwóch byłych prezydentów zyskał poparcie w okolicach błędu statystycznego.

Wiele wskazuje na to, że lekceważony długo przez zawodowych polityków narcystyczny miliarder z showmańskim zacięciem zbudował machinę wyborczą, której żadna siła na amerykańskiej prawicy nie jest już w stanie zatrzymać. Donald Trump uwiódł republikańskich wyborców czymś, co w skrócie można nazwać kowbojskim urokiem. Ten kandydat nie sili się na udawanie intelektualisty, wyborcy widzą w nim za to mnóstwo życiowej, praktycznej mądrości.

Jego hasło: „Make America great again” („Jeszcze raz uczynimy Amerykę wielką”) wydaje się bardzo proste i zarazem bardzo podobne do innych haseł głoszonych przez polityków z Waszyngtonu. Jednak z jakichś względów to właśnie na nie stawiają prawicowi wyborcy. Być może czują, że energiczny Trump, który całe życie budował (dosłownie) różne rzeczy, daje gwarancję realizacji swojego hasła? Ostro antyimigrancki przekaz, który był dużym ryzykiem, ostatecznie opłacił się Trumpowi. Jest przez to postrzegany jako kandydat, który bez ogródek mówi to, o czym zawodowi politycy boją się nawet pomyśleć, dbając o swój uładzony wizerunek.

Trump nie musi wydawać grubych milionów na zaistnienie w mediach. Wystarczy, że od niechcienia rzuci kolejny niepoprawny politycznie tekst, a amerykańskie media do znudzenia będą go komentowały.

Na razie ta prosta jak budowa cepa taktyka wyborcza przynosi Trumpowi prawie same sukcesy. Rozgromienie rywali w ostatni wtorek (tzw. Super Tuesday) oznacza, że republikańską nominację ma już prawie na wyciągnięcie ręki. Wydaje się, że tylko kosmiczna wpadka albo cud mogą go zatrzymać. Czy rozpędzony miliarder utrzyma tak wysokie tempo aż do listopadowych wyborów? Dzisiaj trudno sobie wyobrazić, by – o ile faktycznie przypieczętuje zwycięstwo wśród republikanów – mógł pokonać doświadczoną i zdeterminowaną Hillary Clinton. Trump przyzwyczaił nas jednak do tego, że możemy się po nim spodziewać wszystkiego. Może warto więc zastanowić się przez moment nad tym, jak mogą wyglądać porząd-

ki w Białym Domu pod rządami człowieka, który zapowiedział przeobrażenie amerykańskiej sceny politycznej? Czy prezydentura Donalda Trumpa rzeczywiście mogłaby się skończyć dla USA katastrofą, jak myślą miliony Amerykanów?

Moim zdaniem nie ma takiego zagrożenia. Spójrzmy choćby na liczbę głupot, które wypowiada Donald Trump. Czy zauważyli państwo, że im bliżej tych „prawdziwych wyborów”, tym mniej plecie andronów? Droga do Białego Domu jest bardzo długa, w tym czasie nawet najbardziej wyrazisty kandydat, chcąc poszerzyć bazę wyborczą, zaczyna mówić coraz bardziej sensownie.

Mądry człowiek – choćby nie wiadomo, jakie rzeczy opowiadał podczas kampanii – zmienia się pod wpływem odpowiedzialności, która spada na niego w Gabinetcie Ovalnym. A człowiek, który stworzył miliardowe imperium, nie może być głupi. Musi być pragmatykiem gotowym na kompromisy. I dlatego nie widzę potencjału, żeby w polityce wewnętrznej czy zagranicznej Ameryce Trumpa groziły rewolucyjne zmiany.

Co do jednego jestem pewien: w przypadku wyboru Trump zrealizuje swoją najważniejszą obietnicę. Na granicy amerykańsko-meksykańskiej zbudowana zostanie bariera z prawdziwego zdarzenia. Być może będziemy ją znali pod nazwą „mur Trumpa”. Jednak czy można się spodziewać, że świat zatrzęsie się z oburzenia? Trudno to sobie wyobrazić w obecnym klimacie, gdy Europa zamyka swoje granice, a administracja Obamy deportuje dużo więcej nielegalnych imigrantów niż poprzednie administracje.

Żeby było jasne: w sprawach politycznych bardzo daleko mi do Trumpa. Jeżeli ten miliarder celebryta nie zwolni tempa i w listopadowych wyborach uda mu się jednak wdrzeć do Białego Domu, to na pewno nie będę otwierał szampana. Jednak z pewnością nie pójde też do synagogi, by modlić się o ratunek dla ludzkości. Trump jaki jest, każdy widzi, ale świata – ani Ameryki – na pewno nie wysadzi w powietrze.

„Do Rzeczy” 7–13 marca 2016 r.

Lekcja dla liderów

Prawdopodobne wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej to niezwykle dramatyczny moment nie tylko z punktu widzenia gospodarczego czy politycznego. Ma już właściwie znaczenie historyczne. Nie wiadomo, czy będzie jakakolwiek możliwość powrotu Wielkiej Brytanii, czy Brytyjczycy pójdą na nowe referendum, a jeśli tak, to jakie będą jego wyniki. Ze względu na uwarunkowania konstytucjonalne, wewnątrzbrytyjskie, prawdopodobnie nie jest możliwe, by Szkocja mogła zostać w Unii Europejskiej. Czy w najbliższej przyszłości dojdzie do nowego referendum w sprawie pozostania Szkocji w Zjednoczonym Królestwie? Prawdopodobnie to Królestwo już nie będzie zjednoczone – jeśli nie „jutro”, to „pojutrze”.

Trwają dyskusje o Unii Europejskiej w stanie postbrytyjskim. Mówi się o reformach. Te reformy częściowo i dość ostro forsują Polska, Czechy, Słowacja i te kraje, które nie zostały w ostatnich dniach zaproszone do dialogu po Brexicie – ta „obrażona część UE”. Czy postbrytyjska Unia Europejska wprowadzi reformy dla głębszej integracji, czy pójdzie w kierunku odwrotnym, dając państwom większą suwerenność? To są sprawy nie tylko gospodarcze, lecz także ideologicznie bardzo głębokie, sprawy tożsamościowe.

Wiele lat temu miałem zwyczaj spotykać się ze śp. prof. Markiem Edelmanem. Jak wiadomo, Marek Edelman był jednym z liderów żydowskiego ruchu Bundu. Ideologia Bundu była oparta na zmniejszeniu wartości narodowych i zwiększeniu samodzielności kulturowej, tożsamościowej oraz językowej. Przedwojenni bundyści w Polsce, gdzie było ich najwięcej, czuli się Żydami polskiego pochodzenia, a nawet prawie Polakami pochodzenia żydowskiego. Ich idea była związana ze zdobyciem większej autonomii kulturowej. Byli natomiast przeciwko odnowieniu suwerenności żydowskiej w swoim państwie. Pamiętam, kiedy Marek Edelman powiedział: „Bundystów już prawie nie ma, Niemcy nas wymordowali. Tu i tam są jeszcze jakieś grupy bundystyczne, ale nasza ideologia zwyciężyła”. Miał na myśli właśnie ideologię świata bez granic, ale z wielką suwerennością kultury i tożsamości historycznej narodów. Był przekonany, że właśnie w tym kierunku idzie zjednoczona Europa.

Prawdopodobnie moc, siła, dusza narodowościowa są większe i silniejsze od wszystkich motywacji duchowych, nawet od religijnej. Nie wiadomo, jaka będzie przyszłość Katalonii, która od dawna dąży do niepodległości i rozdzielenia się z Hiszpanią. Nie wiadomo, jak będą wyglądały Stany

Zjednoczone, jeśli Trump wygra wybory prezydenckie. Czy to będą Stany Zjednoczone nacjonalistyczne, które wrócą do jakiejś izolacji, czy stosunki z Europą ulegną zmianie? Jeśli tak, to Europa będzie musiała poradzić sobie z mniejszą pomocą Ameryki w sprawach obronności. Jak będzie wyglądało w takiej sytuacji NATO? Jak będzie wyglądała Polska w tej nowej postbrytyjskiej Europie?

Pytań jest wiele, świat zachodni po wyjściu Wielkiej Brytanii przechodzi bowiem do innej epoki. To może być proces ewolucyjny, ale może być też bardzo szybki – rewolucyjny. Trzeba wziąć pod uwagę, że w epoce Internetu wszystko dzieje się szybko. To jest swoisty powrót do demokracji bezpośredniej, jakbyśmy żyli w permanentnym referendum. I wywiera ogromny wpływ na polityków, zmniejsza ich cierpliwość i skraca możliwość wykonania planów przez jedną kadencję, dwie czy trzy. Nawet wtedy, gdy nie dochodzi do przyspieszonych wyborów.

Jak to rozpraszanie się świata wpłynie na międzynarodowe umowy dotyczące walki z terroryzmem? W tych sprawach potrzebna jest bardzo głęboka i oparta na zaufaniu współpraca, bo ta wojna toczy się na całym świecie i nie zna granic. Mam nadzieję, że po tych zdarzeniach emocjonalnych zachodni świat wróci do racjonalizmu politycznego. Nie można tracić nadziei na lepszy, tolerancyjny świat, mający moc przeciwstawienia się terroryzmowi.

Ludzie działają spontanicznie. W grupie czasami są podobni do tych mas kibicujących podczas trwającego we Francji Euro 2016. Ich zachowania przeważnie nie są racjonalne, ale emocjonalne. Tam widzimy patriotyzm narodowy, natomiast liderzy powinni prowadzić sprawy światowe wewnętrzne i zewnętrzne na chłodno, analizując skutki każdej decyzji. Z tego punktu widzenia David Cameron popełnił poważny błąd. Pozwolił sobie na pewną osobistą spontaniczność i doprowadził do referendum. To powinna być lekcja dla wszystkich liderów.

„Do Rzeczy” 4–10 lipca 2016 r.

Czy Stany są jeszcze zjednoczone?

Kampania wyborcza w Stanach Zjednoczonych jest najdłuższa w całym demokratycznym świecie, ponieważ ma konkretny harmonogram i nie ma tam możliwości przeprowadzenia przyspieszonych wyborów. Jeżeli dochodzi do sytuacji, w której pilnie trzeba wybrać prezydenta, to procedura toczy się w Kongresie. Cały proces ma stabilne reguły, nie prowadzi się w takiej sytuacji kampanii wyborczej. W przypadku śmierci lub wystąpienia innych powodów uniemożliwiających pełnienie obowiązków prezydenta funkcję tę automatycznie zaczyna sprawować jego zastępca. Tak było w 1945 r. po śmierci Franklina Delano Roosevelta (zastąpił go Harry Truman), po zabójstwie Johna Fitzgeralda Kennedy’ego w 1963 r. (zastąpił go Lyndon Baines Johnson) oraz po rezygnacji Richarda Nixona w 1974 r. (zastąpił go Gerald Rudolph Ford).

Naród żydowski w kontekście religijnym nazywany jest narodem wybranym. Amerykanów można nazwać „narodem wybierającym”. Wybierającym cały czas. Co dwa lata odbywają się wybory dwóch trzecich Senatu i części gubernatorów, a co cztery lata wybory prezydenta. Niemal wszystkie stanowiska administracyjne i sędziowskie obsadzone są poprzez wybory. Każdy stan ma też własny parlament, czasami dwuizbowy.

Trwająca w Stanach Zjednoczonych kampania wyborcza nie jest pierwszą toczącą się na granicy „kampanii wojennej”. Jednak naród amerykański wybiera nie tylko prezydenta swojego kraju, lecz także lidera całego świata, bo przecież USA to pod każdym względem najsilniejsze mocarstwo na świecie. Amerykanie wybierają więc człowieka, który będzie miał osobisty wpływ na wiele najważniejszych spraw na świecie, mając – mimo ograniczeń konstytucjonalnych – bardzo duże prerogatywy w polityce wewnętrznej i zagranicznej USA.

Osiem lat temu, wybierając afroamerykańskiego prezydenta Baracka Obamę, amerykańskie społeczeństwo zrobiło ogromny krok w „postępowym” kierunku w sprawie, która zawsze była skomplikowana i bolesna w Stanach Zjednoczonych – w kwestii stosunków etnicznych. Tym razem ten „naród wybierający” znów stoi przed dwoma możliwymi precedensami. Pierwszy z nich to pytanie: Czy kobieta może zostać liderem Stanów Zjednoczonych? To egzamin polityczny, który inne kraje, np. Wielka Brytania, Indie, Niemcy, Brazylia, Argentyna, Chile, Australia, Irlandia, Izrael, no i Polska, już przeszły. Jednak w historii USA to się jeszcze nie zdarzyło.

Drugi precedens jest związany z kandydatem republikanów. Jak wiadomo, Donald Trump nie wywodzi się z establishmentu politycznego. W przeszłości takim kandydatem był Ronald Reagan, ale ten znany aktor i przewodniczący Amerykańskiego Stowarzyszenia Aktorów miał doświadczenie polityczne jako gubernator Kalifornii. Jednak Donald Trump również nie jest obcy politykom, zajmuje specyficzne miejsce w amerykańskich mediach. Nie jest też pierwszym kandydatem o tak ostrych i radykalnych poglądach na różne sprawy. Podobna sytuacja była w 1964 r., kiedy o urząd prezydenta ubiegał się Barry Goldwater, pierwszy kandydat na prezydenta USA żydowskiego pochodzenia.

Jednak obecne wybory wyglądają jak wewnętrzne zderzenie cywilizacji amerykańskiej. Sprawiają wrażenie ostrej, radykalnej reakcji po ośmiu latach prezydentury Afroamerykanina i z tego powodu zawierają element rasistowski.

Kto zostanie nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych i w styczniu przyszłego roku wprowadzi się do Białego Domu? Jeszcze nie wiadomo, ale wygląda na to, że Hillary Clinton ma większe szanse. Teoretycznie istnieje też możliwość, że trzeci z kandydatów, Gary Johnson, zdobędzie takie poparcie, iż nikt nie będzie mógł osiągnąć niezbędnej, konstytucjonalnej większości głosów i wybory rozstrzygną się w Kongresie. Wtedy może dojść do niespodzianek ze strony republikanów, np. natychmiastowego wysunięcia kandydatury Paula Ryana, przewodniczącego Izby Reprezentantów. Stany Zjednoczone i świat mają bardzo różne doświadczenia związane z wyborami i ze sprawowaniem funkcji prezydenta USA – bardzo efektywne i udane, przykre i tragiczne oraz niespodziewane. Obywatele USA mają jednak również pewność stabilności całego systemu.

Po 8 listopada, gdy poznamy nazwisko 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych, dowiemy się, czy rodzina Clintonów wraca do Waszyngtonu, czy jednak stanowisko to obejmie człowiek, po którym nie wiemy, czego można się spodziewać.

„Do Rzeczy” 29 sierpnia–4 września 2016 r.

Lewica z centrum

Po zapowiedzi podania się do dymisji przez włoskiego premiera Matteo Renziego i rezygnacji z urzędu premiera Francji Manuela Vallsa nie brakuje analiz bazujących na dawnych kryteriach podziału sceny politycznej. Prawie wszyscy analitycy po ogłoszeniu wyniku wyborów w USA mówili, że zwyciężyła skrajna prawica. Jednak to określenie nie pasuje do Donalda Trumpa. On nie jest politykiem prawicowym, ale nie należy też do lewicy. Kim zatem jest? Jest trybunem ludu. Grał na emocjach niezadowolonych ludzi, zmęczonych establishmentem politycznym. W jego partii, a nawet wśród demokratów są politycy bardziej prawicowi od Trumpa w klasycznym rozumieniu pojęcia prawicy.

Wciąż mówi się o lewicy i prawicy, ale świat się zmienił i będzie się zmieniał w dalszym ciągu, więc i słownik opisujący politykę powinien ulec zmianie.

Zyskujący coraz większą popularność we Włoszech Beppe Grillo to polityk, który wpisuje się jeszcze w klasyczną definicję prawicy, nawet na granicy nacjonalizmu. Popularność takiej ideologii nie jest we Włoszech niczym nowym, ale pewną kontynuacją kultury politycznej. Grillo to również trybun ludowy, doskonały mówca, populistą niewywodzący się z polityki, były aktor i komik.

Prawica prawdopodobnie zdobędzie też niebawem władzę we Francji. Jeśli prezydentem zostanie François Fillon, to do głosu dojdzie umiarkowana prawica. Jednak nawet postrzegana jako bardziej radykalna Marine Le Pen (realnie mająca małe szanse na zwycięstwo) ostatnio również nie próbuje trafiać do elektoratu skrajnie prawicowego. Raczej zwraca się do szerszego grona wyborców, również z centrum – do ludzi zmęczonych dotychczasowymi rządami.

Lewicowe ruchy, lewicowe idee i marzenia o sprawiedliwości społecznej istnieją, ale szukają innego sposobu funkcjonowania, bliżej centrum. Już 60 lat temu brytyjski polityk Richard Crossman zauważył, że w Wielkiej Brytanii nie ma już klasycznej lewicy ani prawicy, ale wszystkie partie oscylują wokół centrum, przechylając się jedynie w lewo bądź prawo. Tendencje, które zauważył wtedy Crossman, są dziś jeszcze wyraźniejsze. Ponieważ nie ma dziś partii klasycznie lewicowych, wszystko, co znajduje się z lewej strony prawicy, jest nazywane lewicą.

Wyborcy w coraz większym stopniu kierują się nie wartościami lewicowymi czy prawicowymi, ale np. swoimi odczuciami i sympatiami dla

konkretnych liderów politycznych. Przekonuje ich nie ideologia, ale deklaracje: „My będziemy lepsi”, „Dzięki nam Ameryka będzie silniejsza”, „Uzdrawimy włoską gospodarkę” itp. W pokoleniu Facebooka i bezpośrednich kontaktów międzyludzkich aparaty partyjne tracą na znaczeniu. Ludzie nie przyjdą na zebranie partyjne, ale pojawią się, by wysłuchać swoich liderów. Kto przeanalizuje przemówienia dzisiejszych liderów politycznych, ten zauważy, że są to jedynie hasła, obietnice. Każdy może wybrać kilka nośnych haseł i wygrać na fali populizmu.

A populizm nie jest nowym zjawiskiem. Kiedyś przyczyniał się do powstawania różnych totalitaryzmów i tyranii. Obecnie jest mniej groźny niż wtedy, gdy był używany przez skrajnie prawicowe lub skrajnie lewicowe siły zdobywające władzę w XX w.

W całej historii ludzkości każdy lider, polityk, prorok miał talenty aktorskie. Bardzo trudno bez takich zdolności i charyzmy zdobyć zaufanie oraz poparcie mas. Część elity politycznej mogłaby się za takie stwierdzenie obrazić. Jednak aktorstwo to bardzo ciekawy zawód, którym zajmuje się wielu niezwykle inteligentnych ludzi.

„Do Rzeczy” 12–18 grudnia 2016 r.

Gra mocarstw

Kto chciał zabić Arafata

Gdy w październiku 2004 r. Jasir Arafat odlatywał jordańskim śmigłowcem wojskowym do Ammanu, na lądowisku w Ramallah zęgały go tłumy. Ze stolicy Jordanii miał polecieć do Paryża na leczenie. Na zdjęciach widać, że palestyński przywódca ściska jeszcze wyciągane do niego ręce i dziękuje za życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Był już wówczas jednak w złym stanie. Od dawna uskarżał się na różne dolegliwości, a kilka dni przed odlotem do Paryża, w trakcie jednego ze spotkań, nagle zaczął wymiotować i stracił przytomność. Konsylium lekarzy z Tunezji, Egiptu i Jordanii orzekło wówczas, że trzeba wysłać Arafata do paryskiej kliniki. Strona izraelska obiecała, że wpuści palestyńskiego przywódcę z powrotem do kraju, i Arafat odleciał do Francji.

Wrócił w trumnie. Kilka dni po przybyciu do Paryża zapadł w śpiączkę, z której już się nie obudził. Jego żona, Suha, nie zgodziła się na sekcję zwłok i jak to zwykle bywa w takich przypadkach, spekulacjom na temat przyczyn śmierci Arafata nie ma końca.

Lekarze, którzy się nim zajmowali, nie mogli dojść do porozumienia i francuska prokuratura wszczęła postępowanie w sprawie jego śmierci. Wśród możliwych przyczyn zgonu lekarze wymieniali chorobę krwi, a niektórzy podejrzewali, że Arafat chorował na AIDS. Jeszcze inna teoria pojawiła się rok po jego śmierci, gdy „The New York Times” dotarł do dokumentacji medycznej z paryskiego szpitala. Miało z niej wynikać, że Arafat cierpiał na zaburzenia krzepliwości krwi, które doprowadziły do wylewu. Owe nieprawidłowości miały być wywołane tajemniczą infekcją, której przyczyn nie ustalono.

Wśród Palestyńczyków popularny jest pogląd, że Arafat został po prostu otruty. W ubiegłym roku wyznawcy tych teorii spiskowych dostali mocny argument. Szwajcarscy naukowcy, którzy na zlecenie telewizji Al-Dżazira zajmowali się sprawą śmierci przywódcy Fatahu, ogłosili bowiem, że badania jego szczoteczki do zębów i ubrań, które nosił przed śmiercią, wykazały podwyższoną zawartość radioaktywnego polonu-210, czyli tej samej substancji, którą otruty został Aleksander Litwinienko. Oczywiście zaraz pojawiły się wątpliwości. Badania zostały przeprowadzone osiem lat po śmierci Arafata i należące do niego przedmioty mogły zostać skażone już po fakcie. Francuska prokuratura wszczęła jednak śledztwo w sprawie morderstwa, a wdowa po Arafacie zmieniła zdanie i zgodziła się na ekshumację. Jego grób w Ramallah został otwarty, a próbki przekazano eks-

pertom z Rosji, Francji i ze Szwajcarii. W najbliższych miesiącach mają oni ogłosić wyniki swoich badań.

Dopóki ich nie poznamy, dopóty możemy jedynie zastanawiać się, czy komukolwiek mogło zależeć na śmierci przywódcy Fatahu.

Ci, którzy są przekonani o nienaturalnych przyczynach śmierci Arafata, wskazują zazwyczaj dwóch głównych podejrzanych: Hamas i Mossad. Dlaczego Hamas? Kiedy w 1993 r. rozpoczęły się w Oslo rozmowy pokojowe między Izraelem a Arafatem i innymi liderami Fatahu, zarówno w Izraelu, jak i w Palestynie rozpoczęło się prawdziwe wrzenie. Izraelska prawica oskarżała premiera Icchaka Rabina o to, że dąży do zagłady własnego kraju i uczestniczy w „drugim Monachium”. Ekstremiści i radykałowie wywołali burzliwe protesty przeciwko układaniu się z Fatahem. Również Palestyńczycy byli podzieleni. Arafat przeszedł bowiem w ciągu swojego życia długą drogę od prób całkowitego zniszczenia Izraela do pokojowego dialogu. Na początku lat 60., gdy zakładał swoją organizację, jego celem była likwidacja państwa żydowskiego. Fatah nie przebierał w środkach. Jego akcje wymierzone były w izraelskich cywili, a jedną z jego odnóg była organizacja Czarny Wrzesień, której członkowie w 1972 r. podczas olimpiady w Monachium uprowadzili i zamordowali 11 izraelskich sportowców.

Arafat latami tułał się po różnych krajach arabskich, kierując walką z Izraelem z zagranicy. Po wojnie sześciodniowej bazą Fatahu stała się Jordania, w której Palestyńczycy stworzyli państwo w państwie i zostali ostatecznie przepędzeni przez miejscową armię w sposób bez porównania brutalniejszy, niż postępuje się z nimi w Izraelu. Arafat przeniósł się do Libanu, skąd z kolei musiał się ewakuować po wojnie izraelsko-libańskiej w 1982 r. Zgodziła się go przyjąć Tunezja. Izrael powoli normalizował stosunki z sąsiadami, podpisywał umowy z Egiptem, Jordanią i Syrią, a walka z Fatahem wciąż trwała.

Jednak nastawienie Arafata powoli zaczęło się zmieniać. Pod koniec lat 80. zaczął obiecywać, że odrzuci terror i uzna prawo Izraela do istnienia. Przez jakiś czas deklaracje pozostawały na papierze i ani Żydzi, ani Palestyńczycy nie wierzyli zbyt mocno w to, że Fatah naprawdę się zmieni. Dlatego początek rozmów w Oslo był prawdziwą dyplomatyczną bombą atomową. Mimo protestów i licznych trudności umowa została podpisana.

Przez chwilę wydawało się, że nastąpił przełom. Arafat, Ariel Szaron i Icchak Rabin dostali Pokojową Nagrodę Nobla. Arafat wrócił do swojej rodzinnej Strefy Gazy i został prezydentem nowo powstałej Autonomii Palestyńskiej. Terror jednak nie ustawał. Izraelczycy wciąż ginęli w zamachach, a Arafat tłumaczył, że nie może zapanować nad wrogami pokoju we własnym kraju. W 2001 r. po rozmowach w Camp David sytuacja

się powtórzyła. Nadzieja na pokój szybko prysła, terror przybrał na sile, wybuchła intifada.

Czy Arafat rzeczywiście nie mógł opanować terroru? Czy może wcale nie chciał tego zrobić? Tego się nigdy nie dowiemy. Wiadomo jednak, że narobił sobie wrogów. Palestyńczycy opowiadający się za Hamasem uważali go po prostu za zdrajcę palestyńskiej sprawy, który zrezygnował z walki i uznając prawo Izraela do istnienia, poszedł na „haniebną” ugodę. Po stronie izraelskiej premier Icchak Rabin przypłacił życiem porozumienie z Oslo. W 1995 r. zginął od kuli Jigala Amira, żydowskiego studenta prawa, religijnego fundamentalisty i ekstremisty, który nie mógł pogodzić się z tym, że jego państwo może zawierać porozumienia z Palestyńczykami. Być może w przypadku Arafata mieliśmy do czynienia z lustrzanym odbiciem tej sytuacji? Byłoby to wówczas świadectwo tragicznego losu dwóch narodów, w których ci dążący do pokoju giną z ręki własnych pobratymców.

O zamordowanie Arafata można by też podejrzewać żydowskich ekstremistów. Jednak wybraliby oni raczej prostszą metodę niż otrucie. Przywódca Fatahu zginąłby wówczas najpewniej od kuli. Dlatego jeśli potwierdziłoby się, że Arafat został otruty, to drugim po Hamasie głównym podejrzanym będzie Mossad. Pytanie tylko, dlaczego Izrael miałby zabijać Arafata? Był on przecież pierwszym przywódcą palestyńskim, z którym udało się osiąść do rozmów. Nie ma sensu mordować partnera, z którym zawarło się korzystną dla obu stron umowę. Zwolennicy teorii spiskowych mają jednak odpowiedź na te zastrzeżenia. Otóż w Izraelu mógł zwyciężyć pogląd, że Arafat nie zatrzyma terroru. Być może uzyskano jakieś informacje, z których wynikało, że potajemnie zezwala na akcje wymierzone w izraelskich cywili? A może po prostu uznano, że jest zbyt słaby, by poradzić sobie z opozycją, i lepiej będzie zastąpić go kimś innym? To wytłumaczenie również wydaje się wątpliwe.

Mahmud Abbas, który zastąpił Arafata po jego śmierci, ma bowiem bez porównania słabszą pozycję niż jego legendarny poprzednik. Przecież to za jego przywództwa w Strefie Gazy powstało terrorystyczne państewko rządzone przez Hamas. Czy można było zatem liczyć na to, że ci sami palestyńscy radykałowie, którzy nie chcieli słuchać Arafata, posłuchają nagle Abbasa? Byłaby to mocno wątpliwa kalkulacja polityczna. Pozostaje jeszcze teoria najbardziej makiaweliczna, w której Izrael zabija Arafata właśnie po to, by zapobiec zaprowadzeniu pokoju. W myśl tej teorii Izraelczycy z jakichś powodów wcale nie chcą pokoju. Jest ona tak absurdalna, że nie warto jej komentować.

Wkrótce poznamy wyniki badań ekspertów z różnych krajów, ale jak to zazwyczaj bywa w takich przypadkach, spekulacje prawdopodobnie wcale się nie skończą. Jeśli potwierdzi się, że na ubraniach Arafata rzeczy-

wiecie znajduje się polon, to nadal nie będziemy wiedzieli nic na temat tego, czy znalazł się on tam przed jego śmiercią i kto otruił lidera Fatahu. Być może rozwiązanie zagadki okaże się banalne, a jego śmierć była naturalna? Pozostaje trzymać kciuki za naukowców i lekarzy, by udało im się dojść do prawdy. Tymczasem jednak od śmierci Arafata minie niebawem 10 lat, a pokoju na Bliskim Wschodzie jak nie było, tak nie ma.

„Do Rzeczy” 25 marca–1 kwietnia 2013 r.

Przebudzenie niedźwiedzia

Od ponad dwóch tygodni największą spółką paliwową świata jest rosyjski koncern Rosneft. Ma on dziś większe zapasy ropy i gazu oraz większe wydobycie surowców od dotychczasowego lidera branży – amerykańskiego Exxon-Mobil. Bezprecedensowy wzrost potęgi Rosneftu, w którym pakiet kontrolny 70 proc. akcji ma rosyjski rząd, dokonał się pod koniec marca, gdy za 56 mld dol. zakupił on kompanię naftową TNK-BP. Ta transakcja jest oczywiście posunięciem biznesowym o niespotykanej skali, ale należy ją traktować przede wszystkim jako znak czasów i symbol odradzania się potęgi Rosji.

Takich symbolicznych wydarzeń mieliśmy w ostatnim czasie więcej. Delegacja Komisji Europejskiej, która wyjechała ostatnio na konsultacje do Moskwy, była jednocześnie największą delegacją KE, jaka kiedykolwiek udała się poza granice Unii. „Mapa drogowa współpracy Unia Europejska – Rosja”, czyli zawarte w Moskwie porozumienie, zakłada, że Unia będzie promować rosyjskie inwestycje w europejskie gazownictwo, a do połowy wieku stworzy wspólny z Rosją rynek energetyczny. Choć porozumienie nie ma mocy wiążącej dla państw Unii, to wzbudziło ono zrozumiałe zaniepokojenie w Polsce. W szerszej perspektywie należy je traktować jako kolejny sukces Rosji i świadectwo wzrostu jej siły.

Prezydent Władimir Putin ma w negocjacjach z Unią asa w rękawie. Pod koniec marca Moskwę jako cel swojej pierwszej wizyty wybrał nowy prezydent Chin Xi Jinping. Chiński przywódca i prezydent Putin składali w rosyjskiej stolicy deklaracje, w których solidarnie sprzeciwiali się ewentualnej rozbudowie amerykańskiej tarczy rakietowej i podkreślali, że każdy kraj ma prawo wybierać własną drogę rozwoju. Wydźwięk tych deklaracji był jednoznaczny: Chiny i Rosja uważają się za mocarstwa równe USA i nie przyzwolą na to, by Stany Zjednoczone nadal odgrywały rolę jedyne światowego supermocarstwa i globalnego żandarma. Ważną wiadomość otrzymała również Bruksela: jeśli Unia nie będzie chciała współpracować z Rosją na rosyjskich zasadach, to Rosjanie zawsze mogą odwrócić się od Zachodu i postawić na zacieśnienie politycznych oraz gospodarczych więzi z Pekinem. Taki szantaż powinien być skuteczny, bo uzależniony od rosyjskich surowców Zachód nie może sobie pozwolić na gwałtowne pogorszenie stosunków z Moskwą.

Wygląda więc na to, że jesteśmy ostatnio świadkami całej serii rosyjskich sukcesów na arenie międzynarodowej. Należy do nich zaliczyć również częściową rezygnację USA z planów budowy tarczy antyrakietowej w Polsce, o której poinformował niedawno Pentagon. Amerykanie tłumaczą, że projekt został zarzucony z powodu braku pieniędzy oraz narastającego kryzysu na Półwyspie Koreańskim. Nieobliczalny Kim Dzong Un stanowi dziś bowiem większe niebezpieczeństwo niż irańskie rakiety, które miała zestrzeliwać tarcza. Prawda jest jednak taka, że do tej listy przyczyn należy dodać jeszcze jedną – skuteczny opór Rosji. Administracja Baracka Obamy nigdy nie była szczególnie przekonana do budowy tarczy antyrakietowej, od samego początku sygnalizowała natomiast koncyliacyjne nastawienie wobec Rosji. Władimir Putin jest zbyt dobrym politycznym graczem, by nie wykorzystać takiej okazji.

Rosyjskie sukcesy często przypisuje się tradycyjnej rusofilii, panującej w niektórych krajach Europy Zachodniej, idących Rosji na rękę nawet wówczas, gdy nie musiały tego robić. Taka diagnoza sytuacji obecna jest w Polsce i w innych krajach, które graniczyły bądź graniczą z Rosją. Ich doświadczenia z potężnym sąsiadem nakazują zachować w stosunku do niego daleko posuniętą ostrożność. Wśród wielu wschodnich Europejczyków zrozumiałą irytację budzi przychylnie Rosji nastawienie państw, dla których była ona przez wieki zwykłym partnerem w politycznej rozgrywce. Jeszcze w epoce Jelcyna, gdy Rosja była państwem słabym, ustępowanie jej rzeczywiście było często świadectwem przesadnej rusofilii. Jednak sytuacja gwałtownie się zmienia.

Dziś bowiem Rosja jest zupełnie innym krajem niż jeszcze kilkanaście lat temu. Zwycięstwo nad Związkiem Sowieckim odniesione przez Ronalda Reagana i Jana Pawła II było wyjątkowo spektakularne. Pod koniec lat 80. chyba nikt się nie spodziewał, że jego skutki będą tak daleko sięgające, a Rosja tak długo nie będzie potrafiła odzyskać utraconej pozycji. Lata 90. były właściwie nową wielką smutą, co pozwoliło krajom Europy Środkowo-Wschodniej wymknąć się spod rosyjskich wpływów. Jeszcze niedawno wydawało się, że taki stan rzeczy się utrwali. Fatalne wskaźniki ekonomiczne, katastrofa demograficzna, niekończąca się wojna na Kaukazie, wszechogarniająca korupcja i słabość władzy – to wszystko składało się na obraz upadłego mocarstwa, chorego człowieka globu, który żyje już tylko wspomnieniami dawnej świetności i potęgi.

Wygląda jednak na to, że świat zbyt szybko zdążył się przyzwyczaić do traktowania Rosji nieco po macoszemu. Rosyjska strefa wpływów, która jeszcze niedawno kurczyła się w niebywałym tempie, dziś szybko się rozrasta. Można sobie wyobrazić, że gdyby wojna domowa w Syrii wybuchła 10 lat temu, zachodnia interwencja w tym kraju zależałaby

wyłącznie od nastawienia elit rządzących i opinii publicznej w państwach Zachodu. Dziś decydujące znaczenie ma nastawienie Chin i właśnie Rosji, która nie chce pozwolić na „mieszanie się w wewnętrzne sprawy Syrii”. Gdyby podobną opinię wyraził Borys Jelcyn, można by ją uznać za czczą gadaninę. W ustach Władimira Putina jest ona jednak realną groźbą, a interwencja w Syrii bez rosyjskiej zgody oznaczałaby dziś powrót do zimnej wojny.

Wsparcie dla reżimu Baszara al-Asada jest jedynie elementem większej całości. Po arabskiej wiosnie Rosja odbudowuje na Bliskim Wschodzie stare wpływy, które niegdyś utracił tam Związek Sowiecki. Trzeba bowiem przypomnieć, że w latach 50., 60. i 70. to właśnie ZSRS dominował w tym regionie i dopiero sprawna polityka prezydenta Richarda Nixona oraz jego sekretarza stanu Henry’ego Kissingera otworzyła Amerykanom drogę na Bliski Wschód. Dziś USA znów mają w tym regionie silnego konkurenta. Odbudowę rosyjskich wpływów widać szczególnie w Egipcie. Po upadku proamerykańskiej dyktatury Mubarak dla Rosji pojawiły się w tym kraju nowe perspektywy i Kreml od razu nawiązał przyjazne stosunki z nowym prezydentem Mohamedem Mursim.

Oczywiście obecnej Rosji daleko jeszcze do potęgi Związku Sowieckiego sprzed kilkudziesięciu lat. Raczej nie uda się jej odzyskać wpływów w Ameryce Południowej. Ostały się tam wprawdzie dwa rosyjskie przyczółki, czyli Kuba i Wenezuela, ale w obliczu wzrostu znaczenia Brazylii, która aspiruje już do globalnej pierwszej ligi, trudno wyobrazić sobie, by w najbliższej przyszłości Rosja zaczęła odgrywać jakąś istotniejszą rolę na tym kontynencie. Może ona co najwyżej współpracować z Brazylijczykami, ale już nie z pozycji siły, tylko na zasadach partnerstwa, w którym żadna ze stron nie dominuje nad drugą. Zanik rosyjskich wpływów bardzo widoczny jest także w Afryce, gdzie niemal dwie dekady słabości Kremla bardzo sprawnie wykorzystali Chińczycy. Jeśli Chiny oddadzą kiedyś pole w Afryce, to prędzej na rzecz Zachodu niż Rosji.

Jednak dzisiejszej Rosji nie warto porównywać do ZSRS. Znacznie więcej dowiemy się na temat kierunku, w którym podąża kraj pod rządami Putina, jeśli zestawimy obecną sytuację z tą sprzed 20 lat. Z takiego porównania wyłania się obraz niebywałego wręcz odrodzenia upadłego kraju, którego spektakularny powrót do globalnej rozgrywki jest bezpośrednim wynikiem despotycznych rządów Putina i dość brutalnego uporządkowania spraw wewnętrznych. Przykład Rosji pokazuje również, że brak silnej opinii publicznej w kraju może być atutem w polityce zagranicznej. Kreml nie musi nawet udawać, że zależy mu na przestrzeganiu praw człowieka gdziekolwiek na świecie, bo głos organizacji, które ich bronią, jest w Rosji niemal niesłyszalny.

Putin może więc uprawiać czystą, nieskrępowaną i cyniczną Realpolitik, nie obawiając się utraty poparcia. Jest to niestety jeszcze jeden dowód na to, jak nieprawdziwa i marzycielska była powszechna do niedawna na Zachodzie opinia, jakoby tylko demokracja gwarantowała rozwój i rośnięcie w siłę. Krajom rozwijającym się Rosja udzieliła ważnej lekcji – autorytaryzm popłaca.

„Do Rzeczy” 8–14 kwietnia 2013 r.

Nowy wielobiegunowy świat

Los niedoszłej interwencji w Syrii pokazuje, że jesteśmy świadkami przełomu. Już niedługo USA stracą swoją pozycję, a światem będzie współrządzić wiele mocarstw.

Zapowiadał to w drugiej połowie lat 60. Dawid Horowitz, pochodzący z Drohobycza naukowiec i filozof polityczny, autor „Cienia przeszłości i wyzwania przyszłości”. Minął wówczas kryzys kubański. Dzięki odważnej polityce prezydenta Kennedy’ego i rozsądnej postawie Chruszczowa w stosunkach między Zachodem a blokiem komunistycznym nastąpiło pewne odprężenie. To był idealny moment, żeby zacząć się zastanawiać, jak będzie wyglądał układ sił na świecie w ciągu następnych dziesięcioleci.

Horowitz przewidział to, co wówczas wydawało się nie do pomyślenia, czyli że globalny konflikt totalitarnego Wschodu z demokratycznym Zachodem wygaśnie i przerodzi się w konflikt bogatej Północy z biednym Południem. W tym świecie, przewidywał Horowitz, nie będzie dwóch dominujących potęg, ale wiele mocarstw, które będą wspólnie kształtowały światowy ład.

Horowitz wyprzedził swoje czasy. Światem jeszcze przez kilka dekad współrządziły dwa mocarstwa, a gdy ZSRS w końcu się zawałił, na placu boju pozostała tylko Ameryka. Rosja zajęła się własnymi problemami, których miała aż nadto. Japonia nie miała pretensji do współdecydowania o losach świata, a Chiny i Indie były jeszcze o wiele za słabe. Stany Zjednoczone zaczęły więc odgrywać rolę światowego policjanta. A właściwie były to dwie role naraz: dobrego i złego policjanta, zależnie od tego, kto i z jakich powodów stanął policjantowi na drodze.

To się właśnie zmienia. Gdyby USA miały świeżo w pamięci przeprowadzoną przez George’a Busha seniora operację „Pustynna Burza” albo firmowane przez Clintona naloty NATO w byłej Jugosławii, czyli akcje, które niezależnie od ich późniejszej oceny poszły gładko i przyniosły USA oraz sojusznikom minimalne straty, Amerykanie łatwo godziliby się dziś na zagraniczne interwencje w obronie praw człowieka. Jednak później wybuchły wojny w Iraku i Afganistanie. Barack Obama musiał dokonać zmian w amerykańskiej polityce zagranicznej. Zmęczenie Amerykanów wojnami było jednym z czynników, które wyniosły go do władzy. Niemalą rolę odgrywają tu też osobiste doświadczenia prezydenta, który wywodzi się z etniczno-rasowej mniejszości, i poglądy środowiska politycznego, z którego się wywodzi.

Obama nie jest pacyfistą i zdaje sobie sprawę z tego, że użycie siły czasem jest konieczne, a przede wszystkim, jak potężnym argumentem jest sama groźba jej użycia. Jednak jednocześnie lepiej niż poprzednicy rozumie świat muzułmański. Mamy więc zmęczenie amerykańskiej opinii publicznej wojnami z jednej strony, z drugiej zaś prezydenta, który stoi na stanowisku, że użycie siły to absolutna ostateczność, a jeśli już trzeba się na nie zdecydować, to zgodę musi na to wyrazić Kongres. Niesie to ze sobą wiele pozytywnych skutków i chroni USA przed wikłaniem się w kolejne niekończące się interwencje.

Sprawa niedoszłej amerykańskiej interwencji w Syrii jest świadectwem pewnego przełomu, który dokonuje się już od jakiegoś czasu, ale który wcześniej nie był zarysowany tak jednoznacznie. Świat zmierza ku wielomocarstwowości, sytuacji, w której USA wciąż będą najpotężniejszym państwem, ale nie będą już mogły sobie pozwolić na rozstrzyganie sporów i wysyłanie wojsk w dowolne miejsce na świecie.

Rozważną politykę Obamy i zmęczenie Zachodu umiejętnie wykorzystują bowiem Rosja i Chiny. Putin po raz pierwszy ma okazję do realizacji planu, o którym marzył od zawsze. Zyskał przestrzeń, by przywracać Rosji rolę światowego mocarstwa, które ma realny wpływ na wydarzenia nawet w odległych od Moskwy regionach świata. Rosja jeszcze nie może sobie pozwolić na wysyłanie wojsk na odległe ekspedycje, ale już całkiem otwarcie zaopatruje Al-Asada w broń i amunicję, a najprawdopodobniej używa mu również doradców wojskowych. Jeszcze kilka lat temu tak ostentacyjna pomoc reżimowi, którego usunięcie rozważają Stany Zjednoczone, byłaby nie do pomyślenia. Rosja i Chiny, które również coraz odważniej sprzeciwiają się amerykańskim planom, mają duże pole manewru. Nie ogranicza ich – w przeciwieństwie do USA – własna opinia publiczna, która albo nie za bardzo przejmuje się kwestią praw człowieka w odległych krajach, albo nie ma wiele do powiedzenia.

Jednak przełamywanie dominacji USA może przysłużyć się również krajom, które kiedyś się liczyły, a dziś po mocarstwowości pozostały im, nieco na wyrost, miejsca w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Czy Wielka Brytania znów stanie się jednym z głównych rozgrywających? Czy Francja będzie w stanie wzmocnić swoją pozycję, tak by jej rola była rzeczywiście tak istotna, jak by tego chcieli jej przywódcy? W nowych realiach będzie to zależało tylko od umiejętności, ambicji i pewności siebie francuskich oraz brytyjskich przywódców. Robi się jednak ciasno, bo za chwilę do grona potęg trzeba będzie doliczyć Indie, Brazylię, odzyskujące pewność siebie Niemcy, a może również jakieś szybko rosnące w siłę kraje, które na razie pozostają na uboczu, na przykład Indonezję.

W takim nowym światowym porządku nie będzie już najpewniej wojen o prawa człowieka, bo każdy dyktator znajdzie wsparcie któregoś z rywali-

zujących potęg. Dla Izraela jest to nieciekawa perspektywa, bo coraz trudniej będzie powstrzymywać Iran przed uzyskaniem bomby atomowej. A może stabilizacja się utrzyma, zmieni się tylko jej natura? Może liderzy mocarstw będą o nią dbali na zasadzie równowagi sił? Na Bliskim Wschodzie Egipt Mubarak skłaniał się przecież ku USA, a Syria ku Rosji i przez długie lata nie przeszkadzało to w utrzymywaniu pokoju. Jakkolwiek się stanie, świat z pewnością będzie potrzebował przywódców niezwykle odpowiedzialnych, którzy będą umieli poruszać się w nowych realiach, rozpoznawać zagrożenia, znać siłę swoich państw, ale doceniać również konkurentów.

„Do Rzeczy” 30 września–6 października 2013 r.

Rozbrajanie irańskiej bomby

Kilka dni temu, gdy w Genewie przedstawiciele USA, Chin, Rosji, Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec próbowali nakłonić irańskich dyplomatów do tego, by ich kraj zrezygnował ze wzbogacania uranu, prezydent Barack Obama wystosował nietypowy apel do amerykańskich senatorów. Poprosił ich, aby wstrzymali się z nakładaniem na Iran nowych sankcji.

W świat poszło jednoznaczne przesłanie: Ameryka stawia na „miękką siłę”. Przedkłada rozmowę nad pogróżki. Obama prawdopodobnie mocno trzyma kciuki, żeby negocjacje zakończyły się sukcesem i żeby Iran przestrzegał ustaleń, bo po doświadczeniach z niedosłą interwencją w Syrii z pewnością nie ma ochoty na kolejną próbę sił na Bliskim Wschodzie.

Amerykański prezydent wraca więc do swojej starej koncepcji łągody napieć ze światem islamskim, którą w 2009 r. przedstawił podczas przemówienia w Kairze. Ma przy tym dobrego pomocnika w osobie sekretarza stanu Johna Kerry’ego. Kerry jest powszechnie znany ze swojego pokojowego nastawienia, wiary w siłę dyplomacji i dość nietypowego w USA podejścia do spraw bliskowschodnich. W Izraelu do dziś pamięta się o jego wypowiedzi sprzed lat, w której nazwał Palestyńczyków „ofiarami ofiar”. Warto o tym wspomnieć, bo każde kolejne negocjacje z Iranem są również testem współpracy amerykańsko-izraelskiej.

Przez ostatnie 10 lat Iranowi udawało się okłamywać resztę świata w sprawie prób skonstruowania głowic jądrowych. Oczywiście manipulacje, kłamstwa, hipokryzja i trzymanie pewnych spraw w tajemnicy to codzienność w międzynarodowej dyplomacji, więc wytykanie ich wyłącznie Iranowi byłoby nie na miejscu.

„Così fan tutte” – można by powtórzyć za słynną operą – wszyscy to robią. Iran nie jest w tej kwestii mniej ani bardziej cywilizowany niż inne państwa. Problem leży w czym innym. Podstawą działania irańskiego rządu jest ekstremistyczna interpretacja islamu. Rząd ten ma świetne kontakty z organizacjami na całym świecie i jest obecnie czymś w rodzaju mecenasa międzynarodowego terroryzmu. Jeśli taki kraj wejdzie w posiadanie broni jądrowej, to będzie to zagrożenie nie tylko dla Izraela. Trzeba będzie również liczyć się z ryzykiem, że organizacjom terrorystycznym będzie znacznie łatwiej ukraść, kupić albo po prostu otrzymać w prezencie bombę atomową.

Izraelscy politycy są zgodni, że nie można pozwolić irańskim naukowcom na skonstruowanie głowicy jądrowej. Spory dotyczą tylko metod, którymi należy się posłużyć. Pytanie brzmi: Bić się czy nie bić? Premier

Netanjahu jest w tej kwestii bardzo zdeterminowany. Wyzaczył „czerwoną linię”, która określa, jak bardzo irańscy naukowcy mogą wzbogacić uran. Jeśli Iran ją przekroczy, a może się to stać w ciągu kilku miesięcy, to Netanjahu jest gotów użyć siły, by przerwać irański program atomowy. Netanjahu ma poparcie ministra obrony Mosze Jaalona, ale już szef sztabu Benjamin Gantz nie jest zachwycony stawianiem sprawy na ostrzu noża.

Wiele wskazuje jednak na to, że w tym międzynarodowym spektaklu pierwszoplanową rolę może odegrać Awigdor Lieberman, szef reprezentującej Żydów z byłego Związku Sowieckiego partii Izrael Nasz Dom i sojusznik premiera Netanjahu. Lieberman wbrew przewidywaniom niechętnych jego partii głównych mediów, które spisały go już na straty, został dopiero niedawno oczyszczony z zarzutów o korupcję. Dla swoich wyborców stał się bohaterem, który przetrzymał niesłuszne oskarżenia oraz nagonkę medialną i w takiej atmosferze wrócił na stanowisko ministra spraw zagranicznych. Rychło w czas, bo jego powrót może się okazać kluczowy dla rozwiązania kwestii irańskiego problemu atomowego.

Nie jest tajemnicą, że Lieberman ma świetne stosunki z Władimirem Putinem. Jako minister spraw zagranicznych nie kwestionuje rzecz jasna sojuszu Izraela z USA, ale jednocześnie dąży do zbliżenia, a przynajmniej ściślejszej współpracy z Rosją. Dzisiaj, gdy trzeba twardo negocjować z Teheranem, który tradycyjnie bardziej skłonny jest słuchać głosu Moskwy niż Waszyngtonu, kierunek polityki Liebermana i jego osobiste kontakty mogą okazać się kluczowe. Amerykanie już zaczęli pilnie analizować nowe sygnały, które dochodzą z Izraela. Nie w smak by im było izraelsko-rosyjskie zbliżenie, choć raczej nie powinni się jego obawiać. Sojusz z USA jest dla państwa żydowskiego tak ważny, że trudno wyobrazić sobie sytuację, w której ktokolwiek w Izraelu podważałby jego sensowność, a akurat w tej chwili bliższa współpraca z Rosją może przynieść pożądanę przez wszystkich efekty.

Jeśli natomiast w najbliższym czasie nie uda się niczego wskórać, jeśli Iran nie ustąpi, a Amerykanie, Rosjanie i Izrael nie dogadają się w sprawie ewentualnej interwencji zbrojnej, to na rozwiązanie kwestii irańskiej bomby poczekamy do 2016 r. Ameryka pod wodzą nowego prezydenta, a konkretnie nowej pani prezydent Hillary Clinton, na pewno nie da się wodzić za nos Iranowi i skończy z półśrodkami.

„Do Rzeczy” 25 listopada–1 grudnia 2013 r.

Nie będzie powtórki z historii

„Nie możemy odwracać wzroku, gdy każdego dnia dochodzi do mordów i gwałtów” – te słowa nie odbiłyby się na świecie zbyt szerokim echem, gdyby nie to, że wypowiedziała je Ursula von der Leyen, nowa minister obrony w rządzie Angeli Merkel. Gdy przeprowadzający wywiad dziennikarz dopytał ją, czy oznacza to, że niemiecka armia weźmie na siebie większą odpowiedzialność za wydarzenia na świecie, von der Leyen odpowiedziała twierdząco. Niemcy nie chcą być już tylko potęgą gospodarczą. Zaczynają pretendować do roli mocarstwa wojskowego.

Kilka tygodni wcześniej świat obiegła informacja, że japoński rząd konserwatywnego premiera Shinzo Abego znacznie zwiększy wydatki na obronność. Japonia kupi nowe samoloty, okręty podwodne i wozy bojowe, stworzy również własne siły desantowe.

Jesteśmy świadkami końca ustalonego po II wojnie ładu światowego, w którym przegrane mocarstwa zostały skazane na długie dekady funkcjonowania bez sił zbrojnych. Paradoksalnie wyrok ten okazał się dla Niemiec i Japonii błogosławieństwem, bo pieniądze, które w normalnych warunkach zostałyby przeznaczone na wojsko, można było wydać na wspomaganie rozwoju gospodarczego i rozbudowę systemów opieki społecznej. Dziś obydwa odrodzone gospodarcze kolosy mogą sobie pozwolić na rozbudowę armii.

Wywołuje to zrozumiały niepokój wielu europejskich i azjatyckich polityków. „Historia lubi się powtarzać” – słysząc na obu kontynentach. Czy jednak rzeczywiście jest się czego obawiać? Raczej nie. Historia rzeczywiście lubi się powtarzać, ale najpierw muszą zaistnieć odpowiednie okoliczności.

Gwarancją pokoju między światowymi mocarstwami jest dziś równowaga nuklearna i strach przed atomową zagładą. Ani niemieckie misje wojskowe, ani japońskie okręty podwodne nie są w stanie tej równowagi naruszyć. Można więc raczej mówić o powrocie do normalności, w której potęgi gospodarcze stają się również potęgami wojskowymi. Silne, ale demokratyczne Niemcy i Japonia staną się raczej dodatkowym zabezpieczeniem pokoju niż jego rozsądnikiem.

„Do Rzeczy” 10–16 lutego 2014 r.

Imperium w gruzach

Co właściwie wydarzyło się w ostatnich tygodniach? W prasie na całym świecie można przeczytać, że aneksja Krymu przez Rosję to początek nowej zimnej wojny, a kto wie, czy nie III wojny światowej. W najlepszym wypadku czeka nas druga wojna krymska. Mamy porównania do roku 1938, a skoro zajęcie Krymu ma być powtórką z Anschlusu Austrii, dyplomatyczne zabiegi Zachodu nieuchronnie będą przywodzić na myśl politykę appeasement Chamberlaina i Daladiera. Rosyjskie działania wywołują zrozumiały strach, szczególnie w Europie Środkowo-Wschodniej, więc łatwo zapędzić się w tych porównaniach. Warto jednak spojrzeć na ostatnie wydarzenia z innej perspektywy niż wyłącznie historyczna.

Historia czasem rzeczywiście lubi się bowiem powtarzać, ale szanse na to, że historia lat 30. w jakiejś formie powtórzy się w dzisiejszym świecie, są niemal zerowe. Mamy za sobą lekcję użycia broni atomowej, a rozkład sił i potencjałów wojskowo-gospodarczych jest znacznie bardziej przechylony na korzyść wolnego oraz demokratycznego świata niż w przededniu II wojny światowej czy w momencie rozpoczęcia się zimnej wojny.

Strach przed Putinem i odwoływanie się do czarnych kart historii XX w. zachowują jednak pozory racjonalności, bo jego zwolennicy posługują się mitami, które mają rzekomo uzasadniać ich porównania. Sprowadzają się one do dwóch fundamentalnych stwierdzeń: „Putin robi, co chce, i jeśli tylko się uprze, to nikt nie jest w stanie mu przeszkodzić w realizacji planów” oraz „USA pod przywództwem Baracka Obamy wykazują się w polityce międzynarodowej naiwnością i słabością, dzięki czemu Putin ma wolną rękę w Europie”. Obydwa te stwierdzenia nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Gdy przestaniemy na chwilę wynajdować kolejne efektowne porównania historyczne i przeanalizujemy sytuację na chłodno, okaże się, że jest odwrotnie: to Rosja Putina jest dziś słaba, a USA potężne jak nigdy dotąd.

W Europie Środkowo-Wschodniej bardzo często można spotkać się z opiniami, że demokraci są zbyt miękcy i tylko twarde stanowisko republikanów daje prawdziwą gwarancję bezpieczeństwa przed rosyjskimi zakusami. Polityka demokratów rzeczywiście jest bardziej stonowana niż republikanów. Nie znaczy to jednak, że jest mniej skuteczna. Obama zastosował w dyplomacji swoje hasło „Yes, We Can”, trochę je przy tym modyfikując na „Tak, możemy wiele, ale nie wszystko trzeba robić od razu i nie wszystko za pomocą wojska”. To podejście łatwo uznać za przejaw

słabości. Niesłusznie. Po doświadczeniach z Iraku i Afganistanu wydaje się, że jest to podejście bardzo rozsądne. USA wciąż są najsilniejszym państwem na świecie, zarówno militarnie, jak i gospodarczo. Co więcej, w ostatnich latach znacząco urosły w siłę dzięki nowo odkrytym źródłom energii. Ameryka nie musi dziś niczego udowadniać, a o prawdziwości hasła „Tak, możemy” przypominają amerykańskie okręty na Morzu Czarnym i patrolujące przestrzeń powietrzną nad Polską amerykańskie samoloty.

Rosja natomiast po 15 latach rządów Putina jest silniejsza tylko pozornie. Udało mu się uporządkować sprawy wewnętrzne, znacznie ograniczyć przestępczość i nieco utemperować korupcję, ale rosyjska gospodarka jest wciąż tak samo prymitywna, jak była. Względny dobrobyt i siła Rosji zależą wyłącznie od cen surowców. Rosyjska opozycja jest słaba, bo dopływ pieniędzy ze sprzedaży ropy i gazu zapewnia Rosjanom w miarę stabilne życie. Gdy jednak strumień pieniędzy wyschnie, antyputinowska opozycja gwałtownie urośnie w siłę, a w rosyjskich miastach dojdzie do wielkich protestów.

Putin o tym wie i stara się przekonywać Zachód, że Rosja i cały prawosławny Wschód są odrębną cywilizacją z odrębnymi tradycjami, w której zachodnie wartości się nie przyjmą. Jest to nieprawda. Odrębne i niedemokratyczne tradycje miały również Włochy, Niemcy, Hiszpania i Portugalia i nie stanęło to na przeszkodzie, żeby w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat powstały w tych krajach dobrze funkcjonujące demokracje. Putin o tym wszystkim wie i dlatego tak bardzo przestraszył się kijowskiego Majdanu. Ukraińcy dali przykład, jak odsunąć od władzy złych i skorumpowanych polityków.

Putin jest dziś w defensywie. Resztki rosyjskiego imperium walą się w gruzy, strefa wpływów zanika. Agresja wobec Ukrainy jest już tylko rozpaczliwą obroną resztek stanu posiadania, które wymykają się Putinowi z rąk, i jeszcze jedną desperacką próbą odepchnięcia od swoich granic demokracji oraz praw człowieka. Jeśli te działania przyniosą efekty, to tylko krótkotrwałe. Zachód jest dziś za silny, a Rosja zbyt słaba i pozbawiona sojuszników.

„Do Rzeczy” 17–23 marca 2014 r.

Zachód kontratakuję

Wyniki przyspieszonych wyborów do ukraińskiego parlamentu, w których Ukraińcy wyraźnie opowiedzieli się przeciw Putinowi i jego propagandzie, nie są niespodzianką. Wysoki wynik zarówno prozachodniego bloku prezydenta Petra Poroszenki (zdobył ok. 21,8 proc. głosów), jak i Frontu Ludowego (ok. 22,2 proc. poparcia) proeuropejskiego premiera Arsenija Jaceniuka pokazują wyraźnie, że w ukraińskiej polityce nadal obecny jest duch Majdanu.

Ukraińcy wciąż mają nadzieję, że nowe władze zrobią wreszcie porządek z korupcją, która od lat była zmorem tego kraju. I że dzięki ich działaniom Ukraina stanie się suwerennym krajem, w którym Rosja nie będzie miała już tak wielkich wpływów. Symboliczna jest też totalna porażka Julii Tymoszenko, która Ukraińcom kojarzy się z dawnymi skorumpowanymi rządami i która prawdopodobnie na zawsze będzie musiała już odejść z polityki.

Warto też zwrócić uwagę na frekwencję, która wyniosła tylko 52,9 proc. To niewiele, jeśli weźmiemy pod uwagę rangę głosowania, które miało zadecydować o przyszłości całego kraju – o tym, czy będzie on dążył do zbliżenia z Europą, czy powróci do rosyjskiej strefy wpływów. Tak niska frekwencja to sygnał ostrzegawczy: trzeba się zastanowić, dlaczego te 47 proc. Ukraińców nie poszło do urn i jak się zachowają, jeśli prozachodnia koalicja upadnie.

Rządzący obecnie Ukrainą prozachodni politycy – prawdopodobnie premierem pozostanie Arsenij Jaceniuk – mają zaledwie dwa lata na przeprowadzenie bardzo głębokich reform gospodarczych i politycznych. Jeśli im się to uda, Ukraina ma szansę utrzymać suwerenność i zbliżyć się do UE. Jeżeli poniosą klęskę i jeśli dojdzie do konfliktu wewnątrz obozu prozachodniego, to szala poparcia przez naród ukraiński przechyli się na stronę Putina.

Jednocześnie obserwujemy zmianę na wielkiej szachownicy, jaką jest Ukraina. Wcześniej to Putin szachował, a Unia Europejska i Stany Zjednoczone robiły uniki. Dopiero wprowadzając ostrzejsze sankcje wobec Moskwy – które zaczynają przynosić rezultaty – Europejczycy i Amerykanie przeszli do kontrataku. W wielkiej grze mocarstw Putin zaczyna powoli ustępować pola.

Odbudowa ukraińskiej gospodarki i reformy polityczne nie są jednak zadaniem łatwym. Władze w Kijowie muszą być bowiem bardzo ostroż-

ne, aby nie dać Moskwie żadnego pretekstu do interwencji, żadnej szansy na prowokację.

Co zrobi sam Władimir Putin? Chociaż jego dokładnych planów nikt nie zna, to jestem przekonany, że nie chce on popełnić samobójstwa. Spodziewam się więc, że nadal prowadził on będzie niezwykle stanowczą politykę zagraniczną, pełną patriotycznych odniesień. Starając się wytworzyć wizerunek silnego przywódcy, będzie on jednocześnie uważał, aby nie przekroczyć niebezpiecznej granicy, która zmusiłaby Zachód do reakcji militarnej.

Putin nie zamierza ryzykować wywołania III wojny światowej, ponieważ Rosja w przypadku konfliktu z NATO byłaby skazana na porażkę. Pamiętajmy również o tym, że Putin sam też nie jest biednym człowiekiem. I nie chce stracić swojego majątku. Będzie się więc starał uniknąć takiej eskalacji konfliktu, która doprowadziłaby do zaostrzenia zachodnich sankcji. Kolejne restrykcje ze strony Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych mogłyby doprowadzić do ogromnego kryzysu gospodarczego w Rosji. Straciliby na tym oligarchowie, straciłby też osobiście sam Putin.

Władza w Moskwie bacznie śledzi również nastroje na rosyjskiej ulicy. A z najnowszego sondażu wynika, że Putin, którego popularność wśród Rosjan znacznie wzrosła po aneksji Krymu, zaczyna powoli tracić poparcie (według badania przeprowadzonego przez Centrum Lewady, gdyby dziś przeprowadzić wybory prezydenckie, Putin nie wygrałby ich w pierwszej turze, poparłoby go jedynie 49 proc. obywateli – przyp. red.). To pokazuje, że nawet w Rosji istnieje jednak jakaś opozycja wobec autorytarnego lidera, jakim jest Putin. Przeciwno jego polityce wojennej opowiada się wielu oligarchów, dla których najważniejsza jest zdrowa i stabilna gospodarka. Rosyjski przywódca zdaje sobie z tego sprawę. I z pewnością podejmując kolejne decyzje, będzie brał pod uwagę nie tylko zagrożenie zewnętrzne, lecz także wewnętrzne.

„Do Rzeczy” 3–9 listopada 2014 r.

Irański szach

Ubiegłotygodniowe spotkanie w Wiedniu miało być kulminacyjną fazą rozmów o irańskim programie atomowym. Przedstawicielom Iranu, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec oraz Chin nie udało się jednak osiągnąć porozumienia: negocjacje zostały przedłużone o dodatkowe pół roku, do końca czerwca 2015 r.

Iran i prowadzony przez ten kraj program jądrowy pozostają więc jednym z najważniejszych zagrożeń dla globalnego bezpieczeństwa, które spędza sen z powiek przywódcom współczesnego świata. Decyzja o przedłużeniu rozmów jest związana ze strategią przyjętą przez Baracka Obamę. Amerykański prezydent wychodzi z założenia, że jeśli tylko można coś załatwić za pomocą dyplomacji, to nie powinno się używać siły.

Przedłużenie negocjacji wydaje się najlepszym wyjściem z sytuacji, w której Irańczycy nie chcą rezygnować z programu atomowego, ale wiedzą jednocześnie, że nawet tak umiarkowany polityk jak Obama – który politycznie nie ma już nic do stracenia – nie będzie chciał prowadzić tych rozmów w nieskończoność, zastanawiając się, czy i kiedy Izrael zechce samodzielnie przeprowadzić atak prewencyjny. Te dodatkowe pół roku może więc doprowadzić do zawarcia umowy, dzięki której Stany Zjednoczone nie będą musiały posuwać się do interwencji zbrojnej, aby zapobiec uzyskaniu przez Iran broni atomowej.

Na losy tych rozmów w najbliższych miesiącach wpłynie jednak rozwój sytuacji wewnętrznej w krajach, które odgrywają w atomowych negocjacjach najważniejsze role: Iranie, USA i Izraelu.

W Stanach Zjednoczonych do końca kadencji obecnego prezydenta zostały jeszcze dwa lata. Jednak już teraz Barack Obama jest znacznie osłabiony. Przedstawiciele Partii Republikańskiej, którzy w niedawnych wyborach do Kongresu zdobyli większość zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie, będą zaś utrudniać Obamie prowadzenie obecnej polityki zagranicznej i naciskać na wprowadzenie nowych, jeszcze ostrzejszych sankcji wobec Iranu.

Sytuację skomplikuje dodatkowo to, że już w przyszłym roku poznamy nazwiska potencjalnych następców Obamy. Już podczas kampanii przedwyborczej zaczęły padać pytania: Czy do Białego Domu powróci polityk z Partii Republikańskiej? A może wprowadzi się do niego pierwsza kobieta prezydent? Jaką politykę będzie prowadzić następca Obamy? Czy powróci do „kowbojskiej” strategii prezydenta George’a W. Busha,

czy przyjmie politykę umiarkowanego stosowania siły przez Ronalda Reagana? A może zdecyduje się na powrót do polityki Billa Clintona, który jako typowy prezydent demokrata wolał skupiać się na dyplomacji, tylko czasem wspieranej militarną siłą?

Iran pod rządami prezydenta Hasana Rouhaniego podąża już inną drogą niż za prezydentury Mahmuda Ahmadineżada. W kraju rośnie liczba przedstawicieli inteligencji, którzy marzą o liberalnym czy wręcz socjaldemokratycznym państwie. W siłę rosną też kobiety, które prawdopodobnie będą głównym motorem irańskich reform. Nowy prezydent Iranu i jego stronnicy nie tylko zdają sobie sprawę z nowych inspiracji swojego narodu, lecz także zapewne sami je wspierają. Taka polityka zwiększa zaś szanse na to, że Teheran zdecyduje się na zawarcie porozumienia ze światowymi mocarstwami.

W Izraelu premier Netanjahu podkreślił ostatnio, że dla Izraela kwestia uzyskania przez Iran broni atomowej to sprawa życia i śmierci. To sprawa egzystencji nie tylko Izraela jako państwa, lecz także narodu żydowskiego, który podczas Holokaustu stracił jedną trzecią swoich członków. Jeśli Iran wyprodukuje bombę atomową i użyje jej przeciw Izraelowi, to naród żydowski zniknie z mapy świata. Oczywiście gdyby doszło do atomowego konfliktu, Iran zapewne też zostałby zmieciony z powierzchni ziemi.

Bez wątpienia władze USA zdają sobie sprawę, że jeśli Izrael dojdzie do wniosku, iż nie ma już czasu na zwłokę, to może samodzielnie podjąć decyzję o ataku. Amerykanie bez wątpienia zrobią więc dużo – a być może wszystko – aby Iran nie wszedł do klubu atomowego.

Oczywiście w grze wokół irańskiego atomu bierze udział jeszcze wielu aktorów. Są wśród nich choćby kraje arabskie – Arabia Saudyjska, Egipt, Irak (jeśli przyjmujemy, że ten kraj jeszcze istnieje) oraz Turcja pod przywództwem wyrachowanego Erdoğan. One także nie chcą, aby Iran wszedł do klubu mocarstw jądrowych. Rządy tych krajów wolałyby jednak, aby ten problem rozwiązał ktoś inny, choćby Izrael. Oczywiście nie oznacza to, że popartyby izraelską operację. Przeciwnie – gdyby doszło do ataku na Iran, z pewnością cyniczne władze tych krajów zażądałyby surowych sankcji przeciw Izraelowi. Z kolei Rosja chciałaby, aby negocjacje w tej sprawie toczyły się jak najdłużej. I aby rosyjscy dyplomaci mogli jak najdłużej odgrywać ważną rolę w rozmowach dotyczących tej jednej z najważniejszych spraw dla światowego bezpieczeństwa.

Osobiście uważam jednak, że tym razem polityka amerykańsko-europejska w kwestii irańskiego programu daje duże nadzieje na sukces.

„Do Rzeczy” 1–7 grudnia 2014 r.

Wierzę, że Putin nie popełni samobójstwa

Konferencja w Jałcie miała decydujące znaczenie dla kształtu powojennego świata, a zwłaszcza dla przyszłości Europy. 70 lat po tym wydarzeniu warto zadać pytanie, kto po latach okazał się jej największym zwycięzcą.

Gdy w lutym 1945 r. zaczynała się konferencja jałtańska, armia sowiecka zajęła już dużą część Polski i rozpoczęła kluczowy marsz na Berlin. Stalinowi bardzo zależało na tym, aby to jego żołnierze pierwsi dotarli do niemieckiej stolicy i aby to oni powiesili tam sowiecką flagę.

Przywódca ZSRS czuł się w Jałcie dużo pewniej niż w Teheranie. Tymczasem prezydent USA był już wówczas bardzo słaby (zmarł 70 dni po jałtańskiej konferencji). Franklin D. Roosevelt, słynący z ogromnej sympatii dla narodu polskiego, początkowo nie chciał nawet do Jałty lecieć. Winston Churchill – kluczowy przywódca koalicji antyfaszystowskiej – przekonał go jednak, że konferencja jałtańska jest niezwykle istotna dla dalszych losów wojny.

Brytyjski premier próbował też zabrać do Jałty Charles’a de Gaulle’a. Churchill nie był bowiem zadowolony z przedłużającego się flirtu Roosevelta ze Stalinem, a obecność francuskiego generała mogłaby sprawić, że w niektórych kwestiach przestałby być w mniejszości. Jako historyk Churchill obawiał się również, że USA po kapitulacji Niemiec mogą chcieć wrócić do polityki izolacjonizmu. Niestety, pomysł zaproszenia Charles’a de Gaulle’a nie zyskał akceptacji ani Stalina, ani Roosevelta. Churchill sprawnie zabiegał jednak o interesy Paryża. Francja – jako stały członek Rady Bezpieczeństwa ONZ – powróciła więc do grona mocarstw.

Kluczową sprawą w Jałcie był jednak los powojennej Polski. Jakie będą jej granice? W której strefie wpływów się znajdzie? Jaki będzie jej skład etniczny? Tutaj decydujący był głos Stalina, który de facto już sprawował władzę w Polsce. Wykorzystywał on też to, że w USA nastawienie antykomunistyczne nie było jeszcze tak silne, a Roosevelt – choć w Jałcie otrzymał wiadomość, że Ameryka będzie wkrótce dysponować bronią jądrową – przekonywał Stalina do zaangażowania się w wojnę z Japonią.

Ostatecznie ZSRS otrzymał zwierzchnictwo nad Polską i nad jedną trzecią Niemiec. Polsce odebrano Kresy Wschodnie i przyznano w ramach rekompensaty między innymi Pomorze Zachodnie, Prusy Wschodnie oraz część Śląska. Churchill i Roosevelt zapytali wówczas o los milionów Niem-

ców, którzy żyli dotąd na tych terenach. – Oni już uciekają – odpowiedział cynicznie Stalin, którego armia rozpoczęła proces wypędzania Niemców z tych terenów. Polska wychodziła więc z wojny jako wciąż duży kraj, o powierzchni niemal 312 tys. km kw. A także jako państwo jednolite etnicznie, dzięki czemu współcześnie unika wielu wewnętrznych konfliktów.

Rezultaty Jałty, choć miałem niecałe 10 lat, odczułem też na własnej skórze. Moja rodzina – uratowana przed Niemcami przez Sprawiedliwych wśród Narodów Świata – została wyzwolona przez armię sowiecką 14 sierpnia 1944 r. Mój tata codziennie godzinami słuchał radia. I choć ja niewiele jeszcze z tego rozumiałem, wiedziałem jedno: nie możemy zostać pod rządami ukraińskich komunistów. Już wtedy żyliśmy bowiem w strachu przed banderowcami: w nocy zawsze ktoś pełnił wartę, drzwi barykadowaliśmy stołami, krzesłami i łózkami. Wyjechaliśmy więc razem z Polakami, którzy przenosili się do Gliwic, Wrocławia, Szczecina i innych miast.

70 lat po Jałcie wiemy, że prawdziwym zwycięzcą Jałty okazał się nie Stalin – który w 1945 r. wydawał się najsilniejszym i najsprytniejszym liderem świata – lecz Winston Churchill. Europa jest dziś bowiem w większości demokratyczna i prozachodnia. Komuniści przegrali. A Stany Zjednoczone nie mogą funkcjonować w izolacji od innych państw. I chociaż amerykańscy prezydenci dzielą się na tych, którzy aktywnie wpływają na losy świata, i takich, którzy – tak jak Barack Obama – od podejścia wojskowego wolą dyplomację, to Ameryka nadal jest międzynarodowym liderem. W kontekście konfliktu na Ukrainie to dla Polski bardzo ważne. Amerykańska administracja – nawet za Obamy – jest bardziej stanowcza wobec Rosji niż Francja czy Niemcy. Polska jest za słaba, by mieć znaczący wpływ na tę grę mocarstw. Grę, podczas której na nowo mogą zostać określone nowe strefy wpływów.

Jednocześnie wierzę, że Władimir Putin nie popełni samobójstwa, którym byłoby zmuszenie NATO do zbrojnej interwencji. Wydaje mi się więc, że do nowej wojny nie dojdzie. Możliwy jest jednak podział Ukrainy i odebranie od tego kraju tej części terytorium, którą zamieszkuje w większości ludność rosyjskojęzyczna.

„Do Rzeczy” 6–22 lutego 2015 r.

Irański poker

W zeszłym tygodniu, po ciągnących się latami negocjacjach, sześć światowych mocarstw – USA, Wielka Brytania, Francja, Rosja, Chiny, Niemcy – zawarło historyczne porozumienie z Iranem w sprawie kontrowersyjnego programu nuklearnego tego kraju. Negocjatorzy uzgodnili, że irański program atomowy zostanie ograniczony. A do Iranu będą mogli przyjeżdżać ONZ-owscy inspektorzy. W zamian zniesione zostaną sankcje gospodarcze nałożone przez Radę Bezpieczeństwa ONZ.

Umowa musi jeszcze przejść między innymi procedurę ratyfikacji w parlamencie USA. Prawdopodobnie nie obędzie się bez trudności, ponieważ prezydent Barack Obama nie ma większości w Kongresie. Jestem jednak przekonany, że w kontekście przyszłorocznych wyborów prezydenckich nawet przeciwnicy umowy z Iranem prawdopodobnie nie będą mieli odwagi się w tej sprawie postawić. Nie będą bowiem chcieli narazić się milionom zmęczonych krwawymi wojnami Amerykanów, dla których polityka zagraniczna prowadzona za pomocą trudnych negocjacji jest zawsze lepszą alternatywą od interwencji zbrojnych, które zakończyły się fiaskiem i w Afganistanie, i w Iraku.

Przeciwnicy mogą przypomnieć, że porozumienie z Iranem zawarto już w 2003 r., a władze w Teheranie nie przestrzegały jego zapisów. Mimo to gdybym był amerykańskim kongresmenem, głosowałbym za ratyfikowaniem tej umowy. Tym razem bowiem istnieje realna możliwość, że Iran pod rządami prezydenta Hasana Rouhaniego wywiąże się ze swoich zobowiązań. Zwłaszcza że irańskie społeczeństwo ma już dość zaciskania pasa i oczekuje lepszego poziomu życia oraz szerszego otwarcia na świat zachodni. Społeczeństwu i gospodarce irańskiej ta umowa otwiera zaś bramy do szybszego rozwoju gospodarczego i wykorzystania ogromnego potencjału ekonomicznego tego liczącego ponad 80 mln mieszkańców kraju. Już w momencie podpisania umowy przedstawiciele władz w Ankarze ogłosili, że cieszą się na myśl o nowej turecko-irańskiej współpracy gospodarczej. Irański wiceminister ogłosił zaś, że po złagodzeniu sankcji Iran powróci na światowy rynek ropy naftowej i maksymalnie zwiększy swój potencjał eksportowy tego surowca.

Nie jestem jednak Amerykaninem, lecz Izraelczykiem. I muszę pamiętać o tym, że to w Iranie znajduje się centrum koordynujące ataki terrorystyczne przeciw Izraelczykom, że Iran popiera Hamas i Hezbollah. I że oficjalna ideologia władz w Teheranie zakłada dążenie do likwidacji Izraela.

Nie jestem więc pewien, czy to porozumienie z Iranem uspokoi izraelskie społeczeństwo.

Jaka była alternatywa dla tego porozumienia? Można było użyć siły militarnej. USA są w stanie zniszczyć instalacje jądrowe w Iranie. Również Izrael prawdopodobnie ma taką moc. Czy Izrael zaatakuje? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Tego typu operacja groziłaby wybuchem krwawej wojny, która objęłaby cały Bliski Wschód. Dla Izraela kwestia irańskich zbrojeń nuklearnych jest jednak niezwykle poważna. Niektórzy izraelscy politycy już uznali porozumienie za historyczną kapitulację Zachodu wobec osi zła pod wodzą Iranu. Izrael nie jest jednak liderem świata i musi brać pod uwagę środowisko międzynarodowe, a zwłaszcza stanowisko swego najbliższego sojusznika, jakim są USA. Bez wsparcia z Waszyngtonu Izrael może nie dać sobie rady.

Innym rozwiązaniem było przedłużenie sankcji. To właśnie one przyczyniły się do zawarcia historycznego porozumienia z Iranem, podpisane symbolicznie 14 lipca – w rocznicę rewolucji francuskiej. Irańskie społeczeństwo oraz władze tego kraju, choć osłabione sankcjami, są jednak na tyle silne, że byłyby w stanie jeszcze długo tak funkcjonować. Szef dyplomacji USA John Kerry zauważył jednak, że sama Europa jest już zmęczona sankcjami. Rosja w ogóle nie była zadowolona z ich nałożenia, a Chiny „gwizdzą” na takie restrykcje i wykorzystują je do robienia interesów.

Biorąc pod uwagę realia geopolityczne, zatrzymanie zbrojnego programu atomowego bez porozumienia było więc niemożliwe. Czy efekty tego historycznego porozumienia okażą się rzeczywiście tak dobre, jak to wymarzyli sobie amerykańscy negocjatorzy? To możliwe. Umowa zawiera bowiem zapisy, które zwiększają szanse na sukces. Są wśród nich postanowienia dotyczące permanentnej kontroli, jakiej mają być poddane irańskie instalacje. Łamanie zapisów umowy ma zaś szybko doprowadzić do powrotu sankcji, a nawet do użycia siły przez USA, i nie tylko USA.

Historyczne porozumienie z Iranem daje też szansę na otwarcie nowego rozdziału w stosunkach międzynarodowych. Jest to bowiem zwycięstwo dyplomacji nad militarną konfrontacją. Na początku 2009 r. Obama przemawiał w Kairze do muzułmanów i obiecał, że będzie przedkładał negocjacje nad używanie siły. I tę obietnicę spełnił. W Iraku i Afganistanie już prawie nie ma amerykańskich żołnierzy.

Porozumienie z Iranem może się też przyczynić do normalizacji relacji USA z Rosją. Obama na pewno będzie działał w tym kierunku, zdając sobie sprawę z tego, że Europa, a zwłaszcza Niemcy, będzie popierała umiarkowany kompromis z Rosją Putina.

„Do Rzeczy” 20–26 lipca 2015 r.

Wypuścić szpiega

Gdy w listopadzie 1985 r. cywilny analityk wywiadu amerykańskiej piechoty morskiej wyszedł z Ambasady Izraela w Waszyngtonie, drogę zablokowała mu limuzyna, z której wyskoczyło dwóch komandosów FBI.

Pochodzący z rodziny amerykańskich Żydów 31-letni Jonathan Pollard został aresztowany i oskarżony o przekazywanie Izraelowi ściśle tajnych dokumentów. Zdaniem sądu nie robił tego jednak z ideologicznych pobudek, ale dla pieniędzy i drogocennych prezentów (w podziękowaniu za pracę wywiadowczą dostał między innymi ogromny pierścionek z diamentami i szafirami, aby mógł oświadczyć się swojej ukochanej).

Schwytanie izraelskiego szpiega wykradającego sekrety Amerykanów wywołało szok zarówno w Izraelu, jak i w Stanach Zjednoczonych. Stosunki między oboma krajami są przecież bardzo dobre.

W tamtych latach, tak jak dziś, blisko współpracowały też ze sobą służby wywiadowcze obydwu państw. Początkowo Izrael twierdził więc, że działalność Pollarda nie była zatwierdzona przez kierownictwo wywiadu. W końcu Izrael przeprosił jednak za szpiegowski incydent i obiecał, że taka sytuacja już nigdy się nie powtórzy. Izraelski pułkownik Aviem Sella, który współpracował z Pollardem, został przeniesiony z USA do Izraela.

Sprawa stała się jednak bardzo głośna, a Amerykanie byli wściekli. Izraelskim premierem był wówczas Szymon Peres, a w Białym Domu urzędował Ronald Reagan, wielki przyjaciel Żydów i Izraela. Mimo to na korytarzach zarówno Kapitolu, jak i Białego Domu mówiono o „izraelskiej hucpie” lub – co ocierało się już o antysemityzm – o „hucpie żydowskiej”. Publicznie pytano, ilu jeszcze Izrael ma takich szpiegów.

W 1987 r. amerykański sąd skazał szpiega na karę dożywocia z możliwością ubiegania się o warunkowe zwolnienie po 30 latach.

O jego wcześniejsze uwolnienie i umożliwienie mu wyjazdu do Izraela od ponad 20 lat zabiegali w Waszyngtonie najwyżsi rangą izraelscy politycy, w tym premierzy, prezydenci oraz deputowani do Knesetu. Korzystanie z usług Pollarda było ogromnym błędem ze strony Izraela, żaden amerykański prezydent nie zdecydował się więc na jego ułaskawienie.

Próśb tych nie popierała ani do dziś nie popiera większość członków gminy żydowskiej w USA.

Sprawa Pollarda dla mniejszości żydowskiej w Stanach Zjednoczonych była wyjątkowo niekorzystna. Społeczność żydowska jest bowiem w USA niezwykle wpływowa i tradycyjnie zarówno w Izbie Reprezentantów, jak

i w Senacie ma dwa, trzy razy więcej przedstawicieli, niż wynikałoby to ze zwykłych proporcji członków żydowskiej wspólnoty do ogółu narodu amerykańskiego. Wśród Żydów w USA pojawiły się więc obawy, że zostaną oni oskarżeni o „podwójną lojalność”. Tymczasem Żydzi w Stanach Zjednoczonych – choć antysemityzm, rasizm czy ksenofobia istnieją wszędzie, również w USA – wiedzą, że Ameryka jest warta ich lojalności. Czuli się i nadal się czują współtwórcami tego państwa oraz pełnoprawnymi członkami tego społeczeństwa.

Szpiegowska sprawa przez niemal trzy dekady kładła się cieniem na stosunkach izraelsko-amerykańskich. Jedynym prezydentem, który obiecał, że spróbuje doprowadzić do amnestii Pollarda, był lider Partii Demokratycznej Bill Clinton – „cesarz pokoju”, który doprowadził do podpisania w 1994 r. jordańsko-izraelskiego traktatu pokojowego i wykonał ogromną pracę, próbując doprowadzić do pokoju między Izraelem a Palestyńczykami.

Nawet on nie był jednak w stanie tego zrobić. Jak tłumaczył prezydent Clinton, choć on byłby skłonny podpisać amnestię, to wielu generałów i szefów służb wywiadowczych powiedziało mu wprost, że jeśli Pollard zostanie ułaskawiony, to oni podadzą się do dymisji. W ostatnich latach przeciwnikami skrócenia kary Pollardowi byli między innymi szef CIA George Tenet, Donald Rumsfeld i Dick Cheney.

Dawny szpieg zestarzał się więc w więzieniu. W zeszłym tygodniu jego adwokat ogłosił, że w listopadzie 60-letni Pollard będzie mógł wyjść przedterminowo z amerykańskiego więzienia. Rząd USA nie zablokował jego uwolnienia – choć teoretycznie mógłby to zrobić, gdyby udowodnił, że istnieje ryzyko, iż skazany znów wróci na przestępczą drogę.

Sądzę, że to sprawiedliwa decyzja. Po wyjściu na wolność Pollard – który podczas odsiadki otrzymał już izraelskie obywatelstwo i którego druga żona mieszka w Izraelu – będzie musiał jednak jeszcze przez pięć lat pozostać na terenie Stanów Zjednoczonych. Zakaz ten może jednak uchylić prezydent Barack Obama. Czy pozwoli Pollardowi wyjechać na emeryturę do Izraela? Nie wiadomo.

Z pewnością sprawa Pollarda stała się jednak papierkiem lakmusowym stosunków izraelsko-amerykańskich. W czasach, kiedy stosunki między prezydentem Barackiem Obamą, szefem dyplomacji USA Johnem Kerryem a prezydentem Izraela Benjaminem Netanjahu są wyjątkowo napięte – nie pamiętam, by kiedykolwiek w przeszłości osobiste relacje szefów tych dwóch sojusznicznych państw były tak kiepskie – mówi się więc, że Biały Dom zwalniając Pollarda, chce udobruchać Izrael. Podpisanie porozumienia znoszącego sankcje wobec Iranu jest bowiem uważane przez izraelski rząd za historyczny błąd.

„Do Rzeczy” 3–9 sierpnia 2015 r.

Rosja nigdy nie opuściła Syrii

Zbrojna interwencja w Syrii sprawiła, że Rosję zalała fala międzynarodowej krytyki. Ostre słowa w kierunku Moskwy popłynęły i z Waszyngtonu, i z kilku europejskich stolic. Na tym tle wyróżnia się opinia kanclerz Niemiec Angeli Merkel, która w tej sprawie wyraziła bardzo umiarkowany pogląd, ale w ogóle w sprawach rosyjskich pani Merkel stara się być umiarkowana (nie tylko dlatego, że z Putinem, byłym szpiegiem w NRD, może swobodnie rozmawiać po niemiecku).

Te krytyczne głosy wynikają albo z braku wiedzy, albo z krótkiej pamięci historycznej, albo z rusofobii. A być może ze wszystkich tych powodów. Rosja nigdy nie opuściła bowiem Syrii. ZSRS bliskie stosunki gospodarcze, dyplomatyczne i wojskowe z państwami arabskimi rozwinął już w latach 50. XX w. Rosjanie dostarczali broń wszystkim krajom arabskim, a zwłaszcza Syrii, Irakowi oraz Iranowi. W 1956 r. zaczęła się zaś złota epoka w stosunkach między Rosją a Egiptem rządzonym wówczas przez Gamala Abdela Nasera, autokratycznego przywódcę, który chciał zbudować „arabski socjalizm”.

Gdy po śmierci Nasera władzę przejął Hosni Mubarak, Zachód odzyskał wpływy w Egipcie – najsilniejszym kraju arabskim z punktu widzenia demograficznego, wojskowego itd. Prozachodnia polityka pozwoliła zaś Mubarakowi m.in. na podpisanie umowy pokojowej z Izraelem, która obowiązuje do dziś. Strategiczne stosunki USA i Egiptu trwały kilka dekad. Za rządów Baracka Obamy, pod wpływem arabskiej wiosny i idei krzewienia demokracji, amerykańska taktyka uległa poważnej zmianie. USA przestały popierać Mubaraka. Opuściły też innych sojuszników w Egipcie. Z punktu widzenia obecnego prezydenta Egiptu Abd al-Fattaha as-Sisiego zachowanie Amerykanów było wówczas na granicy zdrady i uchyliło drzwi do powrotu Rosjan.

Putin stosunki międzynarodowe utrzymuje zaś z konkretnymi rządami, a nie z narodami. Rosja nie porzuciła syryjskiego dyktatora, bo brutalne mordy na własnym narodzie czy setki tysięcy ofiar wśród cywili dla Moskwy nie mają znaczenia. Władimir Putin sam prowadził przecież wojnę w Czeczenii (i nie tylko), gdzie pokazał, jak ważne są dla niego wartości promowane przez zachodnie demokracje.

Również w Syrii wojna toczy się nie tylko o przyszłość tego kraju. Dużo ważniejsza z punktu widzenia mocarstw jest walka przeciwko Państwu Islamskiemu (PI). Obecnie nie potrafimy nawet pokazać na mapie, jak kształtują się granice PI. Czy istnieje jeszcze granica iracko-syryjska? Jak

przebiega granica syryjsko-turecka? Nie wiadomo, jakie państwo lub jakie państwa powstaną na ruinach dyktatury Baszara al-Asada. Rosja musi brać pod uwagę scenariusz, w którym Państwo Islamskie wygrywa wojnę lub przynajmniej jej nie przegrywa i nadal poszerza swoje granice. Wówczas nowy kalifat – będący nie małym ogniskiem, ale wielkim ogniem fanatyzmu religijnego – może rozszerzyć się nawet do granic Rosji. Putin popiera więc Al-Asada, aby przywrócić stabilność na tych ziemiach, zatrzymać ekspansję Państwa Islamskiego, a może nawet doprowadzić do jego likwidacji. Rosja chce też nadal być ważnym graczem na Bliskim Wschodzie.

A ryzyko? Putin nie obawia się światowej opinii publicznej, bo ona nie stanowi dla niego zagrożenia. Rosyjski przywódca musi jednak brać pod uwagę doświadczenie afgańskie. Rosjanie pamiętają klęskę, którą poniosła sowiecka armia w Afganistanie. I chociaż większość z nich popiera powrót Kremla do polityki mocarstwowej, to nie chcą wysłać swoich dzieci na wojnę i czekać na ich trumny. Trudno przewidzieć, jak bardzo Rosja zaangażuje się militarnie w Syrii. Z pewnością Moskwa sprzeda Damaszkowi dowolną liczbę broni. Po upadku ZSRS rządzący w Moskwie nie zmienili bowiem struktury rosyjskiego przemysłu i gospodarka tego kraju nadal oparta jest głównie na ropie, gazie oraz przemyśle zbrojeniowym.

Uwagi Europejczyków Putina raczej nie interesują. Putin musi brać pod uwagę tylko reakcję Ameryki. USA to bowiem nadal najsilniejsze mocarstwo na świecie – z punktu widzenia zarówno ekonomii, jak i armii (choć ostatnio Ameryka skupia się na dyplomacji, gdyż Obama obiecał wyborcom, że amerykańscy chłopcy wrócą z wojen do domów). Ameryka jest w dobrej sytuacji gospodarczej. Ma też ogromny wpływ na ceny ropy i gazu. W ostatnich miesiącach Obama pokazał, jak mocno USA przy współpracy z Arabią Saudyjską mogą obniżyć ceny ropy i gazu, doprowadzając gospodarkę Rosji do głębokiego kryzysu.

Nie jest jednak powiedziane, że Ameryka wykorzysta wpływy gospodarcze i polityczne, by powstrzymać działania Putina w Syrii. USA i Rosja mają bowiem wspólne interesy. Najważniejszy z nich to likwidacja Państwa Islamskiego, które jako źródło zła i fanatyzmu jest niebezpieczne dla całego świata. Waszyngton może więc – oficjalnie lub nie – dojść do porozumienia z Moskwą. USA mogą na przykład mniej naciskać na Rosję w sprawie Ukrainy i współpracować w sprawie Syrii. Częścią takiej poufnej umowy może być zapis, że jeśli uda się ograniczyć wpływy Państwa Islamskiego, to oba mocarstwa spróbują stworzyć nowy syryjski rząd, który będzie jednak sprawował władzę na mniejszym niż kiedyś terytorium. W ramach tego porozumienia duży wpływ na nowe władze mieliby zapewne ludzie z obecnej elity reżimu Al-Asada. On sam zostałby zaś pewnie wysłany na długie wakacje.

„Do Rzeczy” 12–18 października 2015 r.

Iran w postsankcyjnym świecie

Stało się. Iran po blisko 10 latach izolacji ekonomicznej wraca jako pełnoprawny gracz na globalną arenę gospodarczą.

Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej uznała, że Iran przestrzega podpisanej w lipcu zeszłego roku umowy mającej zapobiec zbudowaniu bomby atomowej. Tym samym przestają obowiązywać ostre sankcje ekonomiczne, nałożone na ten kraj w 2006 r. przez Radę Bezpieczeństwa ONZ.

Irański prezydent Hasan Rouhani nazwał dzień, w którym zniesiono sankcje, „złotą kartą” w historii jego kraju. Barack Obama powiedział z kolei, że implementacja ustaleń umowy z Iranem – do której zawarcia amerykański prezydent dążył z wielką determinacją, wbrew ostrzeżeniom Izraela – jest wydarzeniem wręcz „historycznym”.

Oczywiście wiele osób może się z tego cieszyć. Z punktu widzenia przeciętnego mieszkańca planety oznacza to bowiem, że ceny paliwa jeszcze bardziej spadną. Eksperci szacują, że Iran w trybie natychmiastowym będzie w stanie rzucić na światowy rynek przynajmniej 300 tys. baryłek ropy naftowej dziennie. W niedługim czasie będą to już miliony baryłek irańskiej ropy, co zwiększy i tak już ogromną przewagę podaży tego surowca nad popytem.

Wiadomość o zniesieniu sankcji nie wywołała jednak entuzjazmu w stolicach wielu krajów Bliskiego Wschodu. Zdanie premiera Beniamina Netanjahu na temat zniesienia sankcji jest powszechnie znane – powrót Iranu do światowej gospodarki oznacza dopływ miliardów dolarów, które znacznie wzmocnią potencjał militarny tego kraju i sprawią, że w przyszłości dużo łatwiej będzie Teheranowi rozwinąć wojskowy program atomowy. Perspektywa olbrzymiego zastrzyku gotówki dla Iranu niepokoi też z uwagi na ekstremistyczne organizacje, które siedzą w kieszeni ajatollahów. Z perspektywy Izraela sprawa jest banalnie prosta: im lepsza jest kondycja finansowa reżimu w Teheranie, tym więcej środków na walkę z Izraelczykami będą miały Hezbollah i Hamas.

Niepokój udziela się nie tylko izraelskim władzom. Obawa przed wzmocnieniem reżimu ajatollahów łączy przecież państwa tak diametralnie różne jak Turcja, Izrael i Arabia Saudyjska. Dla reszty krajów tego regionu Iran pozostaje głównym sponsorem ugrupowań terrorystycznych i głównym czynnikiem destabilizującym sytuację na całym Bliskim Wschodzie.

Jednak nie można się obrażać na rzeczywistość. Jeżeli realizacja tej umowy faktycznie będzie przestrzegana, jeżeli reszta świata nie da się zwieść irańskim władzom i nie zbagatelizuje zagrożenia, to mimo wszystkich wad widzę tu potencjał zaistnienia głębokich zmian w bezpieczeństwie na Bliskim Wschodzie.

Być może bowiem klucz do trwałego wyhamowania irańskiej agresji leży w samym Iranie. Chociaż zwykło się myśleć, że Iran jest typowym reżimem totalitarnym, gdzie opinia publiczna nie ma żadnego znaczenia i nie jest w stanie wyrzucić nacisku na rządzących, to fakty są nieco inne. W Iranie istnieją przecież opozycja i szeroka elita, której nie po drodze z ekstremizmem w sferze wewnętrznej i zewnętrznej. W tej elicie coraz większą rolę odgrywają kobiety – już dziś ponad połowa naukowców na tamtejszych uniwersytetach to panie!

Zniesienie sankcji, co przyniesie ożywienie gospodarcze, może rozszerzyć irańską klasę średnią. To akurat zależy od tego, w którą stronę tamtejsze władze skierują strumień pieniędzy. Większa irańska klasa średnia przełoży się na większe bezpieczeństwo sąsiadów Iranu. W miarę wzbogacania się ludzie w naturalny sposób zaczynają przecież dbać o wolności obywatelskie. Niech więc Irańczycy – mówię tu o zwykłych obywatelach – się bogacą! Już niedługo będziemy obserwowali, jak w praktyce będzie się sprawdzała w Iranie ta stara socjologiczna zasada. Jeżeli wraz ze wzrostem zasobności portfeli Irańczyków rozwinie się również kultura demokratyczna, to automatycznie tamtejsze społeczeństwo mniej przyjaźnie będzie patrzyło na militaryzację kraju i chęć sięgnięcia po broń atomową. Tak wygląda optymistyczny wariant, który zamarzył się prezydentowi Obamie. Czy tak się rzeczywiście stanie? Teraz wszystko zależy od jakości kontroli irańskiego programu atomowego. Benjamin Netanjahu już zapowiedział, że ze strony izraelskiej nadzór wywiadowczy będzie w tej kwestii bezwzględnie skrupulatny. W tej sprawie można izraelskiemu premierowi wierzyć na słowo.

„Do Rzeczy” 25–31 stycznia 2016 r.

Rosyjski szach

Tuż przed końcem drugiej kadencji prezydentury Baracka Obamy na Bliskim Wschodzie powstają i rozwijają się działania, które mogą doprowadzić do diametralnej zmiany stosunków międzynarodowych.

Jednym z największych osiągnięć Obamy na arenie międzynarodowej była zmiana polityki irańsko-amerykańskiej i irańsko-europejskiej w kierunku ograniczenia rozwoju potencjału nuklearnego. Sukces Putina to wzmocnienie wpływów Rosji na Bliskim Wschodzie w rejonie Syrii, na terytorium działania Państwa Islamskiego, a teraz w Turcji.

Do niedawna byliśmy przyzwyczajeni do oceniania osiągnięć politycznych światowych mocarstw, obserwując wyścig między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim. Bliski Wschód był papierkiem lakmusowym osiągnięć w tym wyścigu. Z tego powodu Egipt jako najważniejsze mocarstwo arabskie w tamtych czasach miał ogromne znaczenie dla Związku Sowieckiego, a mały Izrael zajmował ważne miejsce w osiągnięciach amerykańskich na Bliskim Wschodzie. Dlatego do dziś Izrael i Stany Zjednoczone łączą specyficzne stosunki.

Jeszcze przed upadkiem Związku Sowieckiego rosyjskie wpływy na Bliskim Wschodzie zaczęły słabnąć, do niedawna ograniczając się w zasadzie wyłącznie do Syrii. Ostatnie wydarzenia, specyficzne miejsce Rosji, która poparła w walce w Syrii inną stronę niż Stany Zjednoczone, ale oba mocarstwa razem próbowały zniszczyć PI, nowe otwarcie między Rosją i Turcją pokazują, że w tej rozgrywce to Rosja zaszachowała USA.

Jeśli stosunki między Erdoğanem i Putinem rozwiną się tak, jak tego chcą ci dwaj autokratyczni przywódcy, to będzie się z nimi musiał zmierzyć nowy prezydent USA. W przypadku zwycięstwa Hillary Clinton Stany Zjednoczone na pewno nie będą chciały zrezygnować z pozycji czołowego światowego mocarstwa. W takim przypadku Bliski Wschód czekaą zmiany i niespokojny czas. A co do Izraela – na horyzoncie widać „normalizację” i pogłębienie stosunków z Rosją.

„Do Rzeczy” 16–21 sierpnia 2016 r.

Putin i jego świat

Bez wątpienia Władimir Putin jest jednym z najzdolniejszych rosyjskich przywódców w tym millennium. Od ponad dwóch lat Rosja jest objęta sankcjami ekonomicznymi zachodniego świata, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Mimo to Putin daje sobie radę. Nie jest jednak tak, że w polityce wewnętrznej może pozwolić sobie na wszystko. W biednej, głodnej i rozniewanej Rosji wyniki wyborów mogą być bardzo różne, mimo że atmosfera jest tam bardzo autorytarna. Putinowi udaje się jednak gospodarczo i wizerunkowo wytrzymać te sankcje gospodarcze, natomiast sankcje i konsekwencje polityczne tak naprawdę niewiele go interesują.

Czy pozycja prezydenta Rosji ulegnie zmianie w najbliższym czasie?

Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych pod rządami Trumpa w Białym Domu jest trudna do przewidzenia, ale właśnie ktoś taki jak Trump może sobie poradzić z Putinem na wielu płaszczyznach. Działania Hillary Clinton w przypadku jej zwycięstwa w wyborach będą bardzo podobne do tego, co w sferze politycznej, ideologicznej i moralnej prezentuje Barack Obama. Jeśli będą zmiany, to bardzo umiarkowane. Ameryka pod przywództwem Clinton nie włączy się w żadną nową wojnę na Bliskim Wschodzie czy gdziekolwiek na świecie. Społeczeństwo amerykańskie, ale nie tylko, bo i Kongres, nie pozwoli ponownie poświęcić życia swoich synów na wojnach.

W Niemczech szansę na kolejną kadencję ma Angela Merkel. Władimir Putin doskonale sobie z nią radzi. Nie wiadomo, kto będzie prezydentem Francji. Jeśli na stanowisku pozostanie François Hollande, to w polityce zagranicznej Francji nie będzie żadnych niespodzianek. W Wielkiej Brytanii wciąż nie widać nowego, silnego lidera. Niezależnie od sytuacji na Wyspach, jeśli w Białym Domu zamieszka Hillary Clinton (co najprawdopodobniej się stanie), to głęboki sojusz gospodarczy, wojskowy i polityczny między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią będzie priorytetem dla obu stron.

W takiej sytuacji Putin ma wielką szansę na pozostanie jednym z najważniejszych graczy na arenie międzynarodowej, o ile nie najważniejszym.

Przywódca Rosji jest oskarżany o to, że prowadzi cyniczną politykę. Zarzuca mu się, że na terenie Syrii i Iraku, w związku z tzw. wiosną narodów na Bliskim Wschodzie, prowadzi krwawą politykę. Jego celem jest pozostać tam rozgrywającym. Dąży do tego, używając wszystkich możliwości – politycznych, dyplomatycznych, strategicznych (np. odnowienie

pozytywnych stosunków z Turcją). Jeśli więc na tym obszarze zostanie zrealizowany jakikolwiek pokojowy scenariusz, to nie będzie to już Pax Americana, lecz Pax Russiana albo scenariusz rosyjsko-amerykański. To całkiem inna sytuacja niż jeszcze kilka lat temu.

Ważne miejsce na Bliskim Wschodzie, który jest teraz w centrum światowej polityki, zajmuje Izrael. Stanowisko tego kraju jest zatem ważne. Duża część mieszkańców Izraela ma sentymentalny związek z Rosją, mówi w języku rosyjskim, a posiadający podwójne obywatelstwo podczas wyborów w Rosji głosują w rosyjskiej ambasadzie w Izraelu. Putin zdobywa tam blisko 90-procentowe poparcie. Prawicowa część izraelskiego społeczeństwa (być może ta darząca Rosję sentymentem) nie jest zachwycona polityką prowadzoną przez Baracka Obamę na Bliskim Wschodzie. I to mimo że stosunki izraelsko-amerykańskie są bardzo dobre, a oba kraje mają dużo wspólnych strategicznych interesów i podobną tradycję demokratyczną.

Wszystkie te fragmenty politycznej układanki muszą brać pod uwagę również kraje europejskie. Putin w przyszłym roku zachowa swoją pozycję. Będzie miał wpływ na sposób zakończenia wojny z Państwem Islamskim, na kształt i sytuację w Syrii oraz Iraku w przyszłości. Turcja, która najpewniej w dalszym ciągu będzie ściśle współpracować z Rosją, będzie natomiast miała wpływ na przyszłość Kurdów. Izrael oraz państwa europejskie (w tym Polska) muszą się z tym liczyć, by prowadzić realną politykę.

A czy opinia publiczna w sposób realny patrzy na Rosję? Czy Europa boi się Rosji? Czy ten strach wynika z rusofobii, a może z historii? To są bardzo ważne pytania. Rządy, politycy i media powinni jednak brać pod uwagę rzeczywistą sytuację. I bez paniki. Panika zawsze przeszkadza.

„Do Rzeczy” 12–18 września 2016 r.

**Bliżej,
niż myślisz**

Pat w syryjskiej rozgrywce

Izrael rozpoczyna bombardowania Syrii – takie alarmistyczne nagłówki pojawiły się w ubiegłym tygodniu w światowej prasie. Na moment zapanował chaos informacyjny: nie wiadomo było, ile nalotów przeprowadziło izraelskie lotnictwo i co dokładnie zostało zniszczone. Agencja Reutera podała, że celem ataku był konwój ciężarówek załadowanych rakietami, syryjskie dowództwo natomiast twierdziło, że izraelskie myśliwce zbombardowały wojskowy ośrodek badawczy nieopodal Damaszku.

Dziś wiemy więcej. Izraelski minister obrony dał do zrozumienia, że za atak rzeczywiście odpowiada Izrael. Na zdjęciach satelitarnych natomiast widać wyraźnie, że ośrodek wojskowy pod Damaszkiem stoi nietknięty. Był zatem tylko jeden nalot i jeden cel ataku – konwój ciężarówek z rakietami SA-17, które miały trafić w ręce bojowników z Hezbollahu.

To nowoczesna i zaawansowana technicznie broń, która umożliwia zestrzeliwanie nie tylko śmigłowców, lecz także odrzutowców i samolotów bezzałogowych. Nalot musiał być zwieńczeniem większej operacji wywiadowczej. Izraelskie służby muszą bowiem bacznie obserwować rozwój wydarzeń w Syrii. Istnieje ryzyko, że w ogólnym chaosie arsenał syryjskiej armii, w którego skład wchodzi również broń biologiczna i chemiczna, mógłby trafić w ręce terrorystów. Próba dostarczenia rosyjskich rakiet Hezbollahowi potwierdza te obawy. To właśnie ta organizacja może najbardziej skorzystać na syryjskiej wojnie domowej, zaopatrując się w broń po drugiej stronie libańsko-syryjskiej granicy.

Świat różnie ocenia Hezbollah. Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Kanada i Izrael wpisały go na listę organizacji terrorystycznych w przeciwieństwie do większości państw Unii Europejskiej. Spór o to, jak sklasyfikować jego działalność, jest jednak dość jałowy, skoro jednym z deklarowanych celów tego ugrupowania jest zniszczenie Izraela.

Nalot zbiegł się zresztą w czasie z opublikowaniem bułgarskiego raportu na temat zamachu w lipcu zeszłego roku w Burgas. Bułgarskie ministerstwo spraw wewnętrznych podało w nim, że dwóch zamachowców, którzy zabili pięciu izraelskich turystów i bułgarskiego kierowcę autobusu, było związanych z Hezbollahem, który miał finansować całą operację. Jeśli organizacja, która dopuszcza się takich aktów terroru, próbuje zdobyć nowoczesne rakiety, to Izrael musi dokonywać uderzeń wyprzedzających.

Nalot myśliwców należy zatem interpretować nie jako początek izraelskiej interwencji w Syrii, ale jako wyjątkowy, choć niekoniecznie jednorazowy, akt samoobrony.

Bombardowanie konwoju wywołało gwałtowne reakcje wielu państw. Warto im się bliżej przyrzeć, ponieważ ukazują one aktualny rozkład sił zainteresowanych wynikiem syryjskiej wojny domowej. Izrael może w takich sytuacjach liczyć na przychylność Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Tak też było tym razem.

Nie dziwi również potępienie nalotu przez Iran. Bardzo charakterystyczne stanowisko zajęła Rosja, która napiętnowała atak, uznając go za naruszenie prawa międzynarodowego. Nastawienie Rosji, która rozpięła parasol ochronny nad Baszarem al-Asadem, jest jedną z głównych przyczyn przeciągania się syryjskiej wojny domowej. Rosja, wspólnie z Iranem i zachowującymi nieco większy dystans Chinami, blokuje wysiłki Zachodu na rzecz usunięcia Al-Asada i zakończenia wojny.

W rozgrywce dyplomatycznej wokół syryjskiego powstania dawno temu zapanował pat. Rosja nie dopuszcza do interwencji Zachodu, który zresztą i tak nie miałby wielkiej ochoty wysłać do Syrii swoich żołnierzy.

Politycy w Waszyngtonie i w stolicach europejskich z kolei, obserwując bacznie rozwój wypadków, dochodzą do wniosku, że powstańcy powinni z czasem uzyskać przewagę nad siłami reżimu. Przestali więc naciskać rosyjskie władze i cierpliwie czekają, aż porażka Baszara Al-Asada zacznie się wyraźnie zarysowywać. Zmusiłoby to bowiem Rosję do zmiany stanowiska.

Nie miałaby ona już interesu w obstawianiu przegranego przywódcy i usiłowałaby raczej tak wpłynąć na organizację nowej władzy, żeby nie utracić dotychczasowych wpływów oraz zysków z handlu.

Wszyscy zatem czekają na rozwój wydarzeń i tylko osiągnięcie znacznej przewagi przez jedną ze stron konfliktu może sprawić, że mocarstwa rzeczywiście postarają się zaprowadzić pokój.

Niestety, jak to często bywa w podobnych sytuacjach, cynizm i wyrażanie wielkich politycznych graczy wzięły górę nad zwykłymi ludzkimi odruchami niesienia pomocy potrzebującym. Liczba ofiar syryjskiej wojny domowej przekroczyła już 60 tys., a los powstańców jest nie do pozazdroszczenia. Dopóki nie zaczną wygrywać, dopóty są zdani na siebie.

„Do Rzeczy” 11–17 lutego 2013 r.

UE niepotrzebnie prowokuje Izrael

Unia Europejska zamierza wprowadzić regulacje, zgodnie z którymi towary pochodzące z Zachodniego Brzegu Jordanu będą musiały być opatrzone etykietami „wyprodukowano na okupowanych terytoriach palestyńskich”. Podobnych inicjatyw jest wiele. Co rusz w jakimś zakątku świata podejmuje ona dyskusję na temat bojkotu lub specjalnego oznaczania towarów wyprodukowanych na Zachodnim Brzegu Jordanu. Ci, którzy nawołują do takich działań, tłumaczą to zazwyczaj szczytnym celem: pragnieniem zaprowadzenia pokoju na Bliskim Wschodzie. Jest to jednak całkowicie chybiona ocena sytuacji, a tego typu piętnowanie izraelskich towarów z terytoriów okupowanych będzie przeciwnie skuteczne.

Sprawa terytoriów okupowanych jest bowiem skomplikowana. Zachodni Brzeg Jordanu, wschodnia Jerozolima, Strefa Gazy, wzgórze Golan i półwysep Synaj zostały zajęte przez Izrael w 1967 r., podczas wojny sześciodniowej, z której kraj wyszedł zwycięsko, mimo że był stroną broniącą się przed napaścią sąsiadów. Od czasu tej wojny zaszły ogromne zmiany.

W 1979 r. Izrael podpisał umowę pokojową z Egiptem i wycofał się z półwyspu Synaj. Egipski prezydent Sadat wypowiedział wówczas w Knesecie słynne słowa: „Nigdy więcej wojny”. Później, na mocy kolejnych umów, powstała Autonomia Palestyńska, a Izrael podjął jednostronną decyzję o wycofaniu się ze Strefy Gazy i likwidacji znajdujących się tam osiedli żydowskich. Beniamin Netanjahu, obejmując w 2009 r. urząd premiera, powiedział wprost, że Izrael zgadza się na współistnienie dwóch demokratycznych państw, Izraela i Palestyny. Procesy pokojowe są więc powolne, ale trzeba podkreślić, że posuwają się naprzód, mimo że regularnie na przeszkodzie stają wewnętrzne spory polityczne w Izraelu i Autonomii Palestyńskiej. Na terytoriach okupowanych, które pozostały pod kontrolą Izraela, żyje dziś ponad 400 tys. Izraelczyków. Wielu z nich już tam się urodziło. Przeniesienie tych ludzi jest dziś niemożliwe ze względów humanitarnych i politycznych. Ta sprawa nie podlega dyskusji. Od dawna jest jasne, że przyszła umowa z Palestyńczykami będzie musiała uwzględnić ten fakt i że porozumienie będzie musiało objąć wymianę ziem. Izraelczycy na terytoriach okupowanych zostaną w swoich osiedlach, a Palestyńczycy uzyskają w zamian za to tereny na południu kraju. Na razie umowy nie ma ze względu na brak porozumienia w kwestii Jerozolimy i spór o prawo do powrotu półtora miliona arabskich uchodźców, którzy opuścili Palestynę po 1948 r.

Izrael nie chce się na ten powrót zgodzić. Stoi na stanowisku, że trzeba pogodzić się z trwającym od kilkudziesięciu lat stanem rzeczy. Polacy powinni to zrozumieć, bo gdy weźmiemy pod uwagę terytoria i liczbę ludności, przyjęcie z powrotem półtora miliona Palestyńczyków można by porównać do powrotu kilku milionów Niemców na Śląsk. Warto przy tym zaznaczyć, że wojna 1948 r., która pociągnęła za sobą znaczną część tej emigracji, była dla Izraela wojną o przetrwanie z sąsiadami, którzy chcieli go unicestwić.

UE nie ma żadnego wpływu na izraelsko-palestyński proces pokojowy, a prawdopodobnie też na inne procesy na Bliskim Wschodzie. Wszystkie postępy na drodze do pokoju Izrael i jego sąsiedzi zawdzięczają USA. Tak było z umową z Egiptem za prezydentury Cartera, z umową z Jordanią i porozumieniem z Oslo zawartym za prezydentury Clintona przy współudziale Norwegii. W negocjacjach w sprawie tzw. mapy drogowej duży udział miał prezydent Bush. Dziś największe nadzieje na doprowadzenie do porozumienia z Palestyńczykami wiązane są ze zbliżającą się wizytą Baracka Obamy w Izraelu.

Jak widać, działania amerykańskie przynoszą efekty i to na nich powinna się wzorować każda organizacja, która dąży do porozumienia między Izraelem a Palestyną. Piętnowanie izraelskich towarów z terytoriów okupowanych jest natomiast działaniem prowokacyjnym i antydyplomatycznym. Skoro jasne jest, że Izrael nie może ewakuować setek tysięcy swoich obywateli z terytoriów okupowanych, to jakie pozytywne skutki mogłaby mieć rezolucja UE? Jedynym jej efektem może być skonsolidowanie izraelskiej opinii publicznej, która niezależnie od sympatii politycznych z oburzeniem reaguje na podobne pomysły i, co za tym idzie, wzrost napięcia w momencie, w którym wizyta Obamy może otworzyć nowe perspektywy.

Nie da się wymazać śladów wojen, w których Izraelczycy bronili się przed napaściami sąsiadów. Mimo to każdy rząd Izraela jest gotów na taką wymianę terytoriów, która pozwoli Palestyńczykom stworzyć własne państwo. Każdy, kto stawia sobie za cel doprowadzenie do powstania niepodległej, demokratycznej Palestyny i pokoju na Bliskim Wschodzie, musi wykazać się zrozumieniem sytuacji i dokładnie przemyśleć skutki swoich działań. W szczególności dotyczy to tych Europejczyków, których z Żydami łączą najbardziej ponure karty historii. Większość mieszkańców Izraela to przecież uchodźcy z Europy i ich potomkowie, a ich emigracja na ogół nie była dobrowolna. Posunięcia wymierzone w Izrael i Izraelczyków powinny spotkać się z reakcją europejskich sojuszników Izraela. Polska ma tu do odegrania kluczową rolę.

„Do Rzeczy” 4–10 marca 2013 r.

Turcy rosną w siłę

Poza Turcją na Bliskim Wschodzie są cztery lokalne mocarstwa: Arabia Saudyjska, Izrael, Egipt oraz Iran. Z tego grona wypadł wciąż pogrążony w chaosie i zagrożony rozpadem Irak.

Królestwo Saudów jest bardzo bogate i – wbrew powszechnemu przekonaniu – jego gospodarka nie opiera się już tylko na eksporcie ropy. Saudyjczycy z powodzeniem inwestują w nowe technologie. Ich problemami są jednak stosunkowo niewielkie zaludnienie ogromnego kraju oraz armia, która – choć coraz silniejsza i nowocześniejsza – wciąż nie należy do najpotężniejszych w regionie.

Silna armia i duża liczba ludności to atuty Egiptu. W tym przypadku gospodarka jest jednak w tak fatalnym stanie, że na południu kraju dochodzi do klęsk głodu. Branża turystyczna, która była jedną z najsilniejszych gałęzi gospodarki kraju faraonów, po rewolucji załamała się i wciąż nie może wrócić do poziomu sprzed arabskiej wiosny. Przed polityczną i gospodarczą katastrofą chroni Egipt głównie sojusz z USA.

Państwem silnym militarnie i gospodarczo jest Izrael. Według nowych statystyk jest na czwartym miejscu na świecie pod względem start-upów związanych z nowymi technologiami. Problemami są jednak mała powierzchnia i niewielka populacja. Spośród 8 mln izraelskich obywateli 6 mln to Żydzi, wśród których niski jest przyrost naturalny. Głównym konkurentem Turcji do miana najpotężniejszego kraju regionu jest Iran. Jeśli nic go nie powstrzyma, to kraj ten może wkrótce stać się mocarstwem atomowym. Jego głównym problemem jest jednak niezbyt silna gospodarka, dodatkowo osłabiana sankcjami międzynarodowymi.

Na tle tych państw zdecydowanie najlepiej wypada Turcja. Ma ona wszystkie atuty pozostałych mocarstw regionalnych, ale jest pozbawiona ich słabości. Od Egiptu różni ją to, że jej wielka, ponad 600-tysięczna armia ma oparcie w silnej gospodarce. Na tle Iranu wyróżnia się stabilnością polityczną oraz dobrymi stosunkami z Europą Zachodnią i USA, które oczywiście przekładają się na dynamikę ekonomiczną kraju. Izrael natomiast Turcy zostawiają daleko w tyle, gdy spojrzymy na potencjał ludnościowy. Jeśli trend się utrzyma, to za 30 lat w Turcji będzie żyło 125 mln ludzi, czyli o 25 mln więcej niż w Rosji! Wprawdzie tyle samo ma wówczas wynosić populacja Egiptu, ale można przewidywać, że za trzy dekady standard życia w tych dwóch krajach będzie diametralnie różny. Turcji nie będzie zamieszkiwać 125 mln biedaków, bo przy takim tempie wzrostu szybko

dołączy do grona najbogatszych państw świata. Wskaźniki demograficzne przekładają się na wzrost gospodarczy. Z roku na rok rośnie liczba Turków w wieku produkcyjnym, a dzięki sprawnym posunięciom rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) – której udało się odbiurokratyzować gospodarkę – większość młodych znajduje pracę, a coroczny wzrost PKB Turcji można porównywać jedynie do chińskiego.

Wieloletnie rządy islamskiej AKP są zresztą zaprzeczeniem zachodnich stereotypów. Po pierwsze przeczą tezie, jakoby system demokratyczny musiał ewoluować w stronę zeświecczenia, a modernizacja gospodarki była nierozzerwalnie związana ze zmianami w obyczajowości i z ciągłym zmniejszaniem roli religii w życiu publicznym. Po drugie zadają kłam powszechnej szczególnie w Europie Zachodniej opinii, że partie islamskie są z zasady nieudolne i potrafią zajmować się jedynie czuwaniem nad moralnością obywateli. Musimy przyzwyczaić się do tego, że w demokratyzujących się powoli państwach Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej partie islamskie będą z reguły wygrywać wybory. Trzeba zacząć rozróżniać radykalne od umiarkowanych i nie przyklejać tym drugim etykiety „niebezpiecznych islamistów”. Turcja jest najlepszym przykładem tego, że umiarkowane ugrupowania islamskie można raczej porównywać do partii chadeckich w tych zachodnich krajach, w których religia odgrywa jeszcze dużą rolę w życiu publicznym.

AKP jest w stanie prowadzić rozsądną, wolną od religijnego fundamentalizmu politykę zagraniczną, po dekadach wojny podjęła także w końcu negocjacje z Kurdami. Wprawdzie wciąż są problemy w sprawie ludobójstwa Ormian, Cypru czy pełnej wolności słowa, ale biorąc to wszystko pod uwagę, Turkom zdecydowanie bliżej jest do standardów krajów zachodnich niż do realiów Iranu. Co więcej, Turcję można uznać za coś więcej niż tylko lokalną potęgę. Jeśli porównamy potencjały gospodarcze i wojskowe, to Turcja wypada lepiej niż Włochy, Francja i jakiegokolwiek inne państwo z wyjątkiem Niemiec i Wielkiej Brytanii.

Dlatego źle się stało, że tak bardzo popsuły się stosunki turecko-izraelskie. Wszystko przez incydent u wybrzeży Strefy Gazy sprzed trzech lat. Izraelska marynarka wojenna przeprowadziła wówczas akcję przeciw statkom płynącym z Turcji ku wybrzeżom Strefy. Zginęło dziewięć osób. Izrael popełnił błąd – sprawę można było rozstrzygnąć, nie używając tak radykalnych środków. Trzeba jednak pamiętać, że na statkach do Strefy Gazy, w której rządzi wrogi Izraelowi Hamas, płynęli terroryści i broń.

Podczas niedawnej wizyty w Izraelu prezydentowi Obamie udało się na szczęście doprowadzić do normalizacji stosunków z Turcją. Miejmy nadzieję, że w najbliższym czasie współpraca turecko-izraelska będzie się rozwijać. Dziś jest to szczególnie ważne w kontekście wojny domowej w Syrii.

Netanjahu i Palestyna

W ostatnich miesiącach John Kerry sześć razy przyjeżdżał na Bliski Wschód, żeby nakłaniać Izraelczyków i Palestyńczyków do rozpoczęcia rozmów pokojowych. Upór amerykańskiego sekretarza stanu w końcu został nagrodzony. We wtorek w Waszyngtonie po raz pierwszy od czterech lat reprezentanci zwaśnionych narodów zasiądą do negocjacji. To będą trudne rozmowy.

I pani Cipi Liwni, minister sprawiedliwości w rządzie Beniamina Netanjahu, i główny negocjator Autonomii Palestyńskiej Saeb Erekat znani są ze swojej nieustępliwości.

Amerykański „Time” zamieścił ostatnio szczegółowy opis dziewięciu kwestii, które doprowadzą do zerwania rozmów. Są jednak powody do optymizmu. Chodzi o zmianę stanowiska premiera Netanjahu, który od pewnego czasu otwarcie deklaruje, że Palestyńczycy powinni mieć własne państwo. Mówił o tym podczas niedawnej wizyty w Polsce.

W jakich sprawach najtrudniej będzie o kompromis? Choćby w kwestii tzw. prawa do powrotu. Po wojnach izraelsko-arabskich za granicę wyemigrowało ponad 800 tys. palestyńskich uchodźców. Od tego czasu demografia zrobiła swoje i dziś emigrantów jest już kilka milionów. Palestyńczycy od lat domagają się, by wszystkim zagwarantować prawo do powrotu na tereny zamieszkane dziś przez Żydów. Jest to jednak niemożliwe do zrealizowania, podobnie jak niemożliwy byłby powrót Żydów wypędzonych z krajów arabskich. Dziś na świecie również jest ich kilka milionów. Organizacje międzynarodowe i kraje arabskie, które wypędziły Żydów, muszą włączyć się w niesienie pomocy palestyńskim uchodźcom oraz ich rodzinom. Większość z nich wciąż mieszka w położonych, głównie w Jordanii, obozach dla uchodźców, w których panują fatalne warunki.

W tej kwestii można by wzorować się na kompromisach, które znamy z XX-wiecznej historii Europy. Mogłoby to również pomóc rozwiązać kolejny izraelsko-palestyński spór, czyli kwestie terytorialne. Chodzi tu o żydowskie osiedla na Zachodnim Brzegu Jordanu, w których mieszka dziś kilkaset tysięcy ludzi. Palestyńczycy najchętniej by je zlikwidowali, ale zarówno do nich, jak i do Izraelczyków, którzy w osiedlach widzą przeszkodę na drodze do pokoju, dociera powoli, że jest to niewykonalne. Zrozumiał to również prezydent Autonomii Palestyńskiej Mahmud Abbas. Jak rozwiązać tę sprawę? Kilka lat temu Arabia Saudyjska zaproponowała plan, który przewidywał wymianę terenów. Żydzi pozostaliby w swoich osie-

dlach na Zachodnim Brzegu, w zamian za co Izrael oddałby Palestyńczykom sąsiadujące ze Strefą Gazy tereny na pustyni Negew.

Jeśli uda się porozumieć w sprawie uchodźców i wymiany terytorialnej, negocjatorów czeka przecięcie jeszcze jednego węzła gordyjskiego: kwestii Jerozolimy. Dla Izraela miasto jest nie tylko stolicą państwa, lecz także centralnym punktem żydowskiej tradycji i religii. Przez 2 tys. lat Żydzi marzyli o powrocie do Jerozolimy. Jednak dziś w tym niemal 800-tysięcznym mieście żyje prawie 300 tys. Palestyńczyków, którzy również uważają je za swoje święte miejsce i roszczą sobie do niego prawo. Jak pogodzić te przeciwstawne racje? Już w 1993 r., w trakcie rozmów pokojowych w Oslo, pojawił się pomysł, by podzielić Jerozolimę i w jednej z jej dzielnic stworzyć palestyńską stolicę. Miejsca święte natomiast podlegałyby tzw. watykanizacji. Zostałyby one objęte kuratelą ONZ, a zwierzchność nad miejscami świętymi dla chrześcijan objęłaby Stolica Apostolska.

Negocjatorzy będą mieli jeszcze jeden poważny problem. Zarówno wśród Palestyńczyków, jak i Izraelczyków silne są środowiska wykluczające kompromis. Mahmud Abbas jest jednym z czołowych przywódców Fatahu, który od pewnego czasu coraz mocniej skonfliktowany jest ze swoją polityczną konkurencją – rządzącym w Strefie Gazy Hamasem. Żeby pokój stał się możliwy, Abbas musi zawrzeć porozumienie z przedstawicielami Hamasu, którzy powinni zmienić kurs na bardziej pokojowy. Inaczej porozumienie z Izraelem będzie niewiele warte, bo znaczna część Palestyńczyków go nie uzna.

W Izraelu jest nieco lepiej. Choć nie brak polityków wykluczających kompromisy, a Netanjahu nie może być pewien, że poprze go jego własna koalicja w Knesecie, to możliwe jest inne rozwiązanie: współpraca z częścią opozycji. Porozumienie z pewnością poprą partie lewicowe i reprezentacja izraelskich Arabów. Układ sił w izraelskim parlamencie wskazuje, że przeciwnicy porozumienia znajdują się w mniejszości.

Proces pokojowy na Bliskim Wschodzie zaowocował dotychczas sześcioma Pokojowymi Nagrodami Nobla i wbrew powszechnej opinii porozumienia pokojowe przynosiły rezultaty. Sprawdza się układ pokojowy między Izraelem a Egiptem, którego nie zachwiała nawet arabska wiosna. Choć część noblistów, choćby Icchak Rabin, zapłaciła życiem za dążenia do kompromisu, wciąż nie możemy doczekać się pokoju między Izraelczykami a Palestyńczykami. Determinacja obydwu stron pozwala wierzyć, że tym razem się uda. Tak jak niegdyś syjonizm i osadnictwo żydowskie w Palestynie doprowadziły do powstania palestyńskiego ruchu narodowego, tak dziś izraelski premier może doprowadzić do powstania niepodległego państwa palestyńskiego.

„Do Rzeczy” 29 lipca–4 sierpnia 2013 r.

Bliski Wschód w ogniu

„Kto stoi za ostatnim przewrotem w Egipcie? Izrael. Dlaczego Izraelczycy podburzyli egipską armię, by obaliła prezydenta Mursiego? Ponieważ podobnie jak przywódcy państw Zachodu za nic mają demokrację. Chodzi im tylko o to, by u władzy byli ludzie im przychylni. Dowody? Proszę bardzo: w 2011 r. podczas dyskusji na Uniwersytecie w Tel Awiwie francuski filozof żydowskiego pochodzenia Bernard-Henri Lévy powiedział, że »wygrana Bractwa Muzułmańskiego nie będzie zwycięstwem demokracji, bo demokracja to nie tylko wybory, ale także wartości«. Taką analizę najnowszych wydarzeń w Egipcie przedstawił kilka dni temu turecki premier Recep Erdoğan.

Erdoğan sam sobie wystawił świadectwo, obnażając swój sposób myślenia o geopolityce. Nie jest to wprawdzie jego pierwsza antyizraelska wypowiedź, ale tym razem turecki premier oderwał się zupełnie od rzeczywistości i zaczął brnąć w spiskowe teorie, w których głównym winnym całego zła mają być Żydzi, a za dowód wystarczy obejrzane w Internecie nagranie akademickiej dyskusji. Swoją drogą cytuję, który Erdoğan wykorzystał do potwierdzenia swojej spiskowej teorii, dobrze oddaje rzeczywisty stan rzeczy. Bernard-Henri Lévy nie powiedział właściwie nic nowego. Chyba wszyscy się zgadzamy, że demokracja nie jest jedynie sposobem wybierania władzy. Wybory są tylko częścią systemu, który nie może działać, jeśli nie towarzyszą mu fundamentalne wartości: prawa człowieka, tolerancja, wolność prasy i niezawisłość sądów. Lévy nie powiedział niczego, czego byśmy nie wiedzieli, mieliśmy już wiele przykładów prawdziwości jego tezy, Egipt pod rządami Mursiego jest najnowszym z nich. Można tylko żałować, że Turcją rządzą ludzie, którzy nie rozumieją tych podstawowych spraw. Jeszcze kilka lat temu się wydawało, że jest to jedno z nielicznych państw regionu, w którym bardzo dobrze ugruntowana jest świadomość tego, czym jest demokracja. Powszechnie wierzone, że demokratyczna, stabilna i coraz potężniejsza Turcja wkrótce stanie się rozjemcą licznych bliskowschodnich konfliktów.

Polityka Erdoğan, który najpierw udowodnił, że nie potrafi nawiązać normalnego i pokojowego dialogu z własną opozycją, a potem w swej retoryce niebezpiecznie zbliżył się do byłego prezydenta Iranu Mahmuda Ahmadińezada, pogrzebała te nadzieje w najgorszym możliwym momencie. Bliski Wschód stoi w ogniu, kolejne kraje potrzebują zewnętrznych mediatorów, planów pokojowych i stabilizacyjnych. Nie można więc liczyć na żadne regionalne mocarstwo. Trudno również pokładać nadzieje w Rosji, której polityka odznacza się – łagodnie rzecz ujmując – daleko posuniętym prag-

matyzmem. Francja z kolei wykazuje się – by nie użyć mocniejszych sformułowań – trochę zbyt dużą elastycznością w podejściu do wydarzeń na Bliskim Wschodzie. Pozostaje zatem powrót do starego schematu. Świat kolejny raz z nadzieją wpatruje się w Stany Zjednoczone. USA mają do odegrania historyczną rolę. Dopóki świat nie przestawi się na odnawialne źródła energii, dopóty Bliski Wschód będzie dla niego tym, czym przed I wojną światową były Bałkany, czyli punktem zapalnym, w którym krzyżują się sprzeczne interesy wielkich mocarstw. Co robi Obama? Amerykański prezydent jest w trudnej sytuacji. Z jednej strony społeczeństwa Zachodu wywierają ogromną presję, by w końcu przerwać coraz okrutniejszą wojnę w Syrii. Z drugiej amerykańscy rodzice nie chcą już wysyłać swoich synów i córek na kolejne wojny na drugim końcu świata. Obamie daleko do odzyskującego popularność w USA izolacjonizmu, ale amerykański prezydent musi się liczyć z własnymi wyborcami. Co mu pozostaje?

W Egipcie USA nie mają obecnie zbyt dużego pola manewru. Ameryka, podobnie jak cały Zachód, jest w nieco schizofrenicznej sytuacji. Europa i USA chcą koniecznie wspierać przemiany demokratyczne, ale gdy przychodzi do liczenia głosów, okazuje się, że arabskie społeczeństwa wybierają bardziej lub mniej niechętnych Zachodowi radykalnych islamistów. Przedsmak tej sytuacji mieliśmy w 2005 r., gdy wybory w Autonomii Palestyńskiej wygrał radykalny Hamas. Do dziś odczuwamy skutki tamtych wydarzeń, bo islamiści utworzyli swoje państewko w Strefie Gazy, w którym mocno się okopali i z którego łatwo nie dadzą się usunąć. O ile Hamas i Strefa Gazy były głównie problemem Izraela, o tyle teraz ten sam mechanizm sprawia, że zagrożona jest stabilność całego regionu. Prezydent Mursi nie był ulubieńcem Zachodu i nikt przesadnie nie rozpaczał po jego obaleniu, ale wspieranie wojskowych, którzy przejęli władzę, jest przecież zaprzeczeniem poprzednich prodemokratycznych działań. Jedynym wyjściem z tej pułapki jest naciskanie na gen. As-Sisiego, by jak najszybciej przywrócił w kraju konstytucyjny porządek. Czy jednak nie jest już za późno? Polało się wiele krwi, wojsko strzelało do demonstrantów. Odbudowa demokracji w Egipcie będzie dla Obamy nie lada wyzwaniem. Potrzebna będzie umiejętna rozgrywka dyplomatyczna.

Zupełnie inaczej zarysowuje się sytuacja w Syrii. Prezydent Al-Asad, używając broni chemicznej, przekroczył czerwoną linię. Świat nie ma wyboru, musi zareagować. Będziemy więc prawdopodobnie świadkami jakiejś akcji wojskowej w Syrii. Dzisiaj łatwo nam przychodzi krytykowanie prezydenta Obamy za bezczynność. Tymczasem amerykański prezydent jako lider wolnego świata ma obowiązek działać rozważnie. Nie można od niego wymagać gwałtownych ruchów, które mogłyby przynieść więcej szkody niż pożytku. Dajmy Amerykanom jeszcze trochę czasu.

„Do Rzeczy” 2–8 września 2013 r.

Krótkie mgnienie arabskiej wiosny

Egiptowski sąd skazał na śmierć 529 członków islamistycznego Bractwa Muzułmańskiego. Tak drastyczne wyroki nie zapadały nawet za rządów Mubarak. Czy Egipt jest skazany na dyktatorskie rządy generałów?

Surowy wyrok zapadł w sprawie ataku na posterunek policji, w którym zginął policjant, i kilku innych aktów przemocy, do jakich doszło w sierpniu ubiegłego roku. Na ulicach Kairu trwały wówczas gwałtowne protesty. Wojsko właśnie zmusiło do ustąpienia wywodzącego się z Bractwa Muzułmańskiego prezydenta Muhammada Mursiego, który po wygranych wyborach zaczął wydawać dekrety niebezpiecznie poszerzające zakres jego władzy. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Opozycja już od dłuższego czasu biła na alarm, że Bractwo Muzułmańskie planuje przekształcić kraj w teokrację na wzór Iranu. W czerwcu 2013 r. rozpoczęły się masowe demonstracje przeciwników prezydenta, na ulicach dochodziło do starć z policją i zamieszek.

Po kilku dniach sprawy w swoje ręce wzięło wojsko. Na początku lipca armia pod przewodnictwem gen. As-Sisiego, dziś najważniejszego człowieka w Egipcie, usunęła Mursiego ze stanowiska i przystąpiła do aresztowań członków Bractwa, które jednak nie chciało dać za wygraną. Rozpoczęły się walki uliczne zwolenników Mursiego z siłami bezpieczeństwa. Podczas brutalnej pacyfikacji ich obozowisk w Kairze zginęło ośmiu funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa i ponad 600 cywili. Wzburzeni masakra członkowie Bractwa zaatakowali komisariat i wywołali zamieszki, w których zginął policjant. To w tej sprawie zapadł horrendalny wyrok. Nie będzie łatwo go wykonać, bo większość skazanych się ukrywa albo uciekła z kraju.

W Egipcie nigdy nie udało się zaprowadzić trwałych demokratycznych rządów. Od początku lat 50. ubiegłego wieku krajem rządili kolejni generałowie – Naguib, Naser, Sadat i Mubarak. Przez chwilę się wydawało, że rewolucja w końcu przyniesie Egipcjanom prawdziwą wolność, Mursi wygrał przecież demokratyczne i uczciwe wybory. Dziś już wiadomo, że w podręcznikach historii do listy nazwisk czterech generałów trzeba będzie dopisać piąte: gen. As-Sisiego, pod którego rządami islamistyczna opozycja jest traktowana znacznie gorzej niż za Mubarak, za którego, mimo wszystkich jego wad i dyktatorskich zapędów, taki wyrok byłby nie do pomyślenia. Generał As-Sisi będzie najprawdopodobniej kandydował w nadchodzących wyborach prezy-

denckich i zapewne je wygra. W obecnych warunkach zanosi się jednak na to, że będą to raczej wybory pod względem standardów bliższe białoruskim niż zachodnioeuropejskim.

W większości krajów Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej arabska wiosna trwała bardzo krótko. Kolejny raz musimy porzucić nadzieje na „koniec historii”, na obalenie dyktatur, triumf demokracji w coraz to nowych państwach. Dlaczego przemiany, które 25 lat temu udało się przeprowadzić w Europie Środkowo-Wschodniej, w krajach arabskich napotykały przeszkody nie do pokonania? Wydaje się, że kluczowe znaczenie ma demografia. W warunkach ogromnego przyrostu naturalnego trudno zapewnić zatrudnienie rzeszom młodych obywateli, którzy nie widząc dla siebie perspektyw, łatwo się radykalizują. Ponieważ według prognoz wzrost liczby ludności będzie w następnych latach utrzymywał się na stałym, wysokim poziomie albo nawet przyspieszy, można się spodziewać, że sytuacja nie ulegnie zmianie.

Nie wygląda więc na to, by Zachód zamierzał wywierać jakąś szczególną presję na As-Sisiego w kwestii przestrzegania praw człowieka. Świat zajęty jest dziś kryzysem na Ukrainie. Zachód przymyka oczy na to, co się dzieje w Egipcie. USA i Unia Europejska potępiają oczywiście brutalne pacyfikowanie opozycji, ale większość europejskich i amerykańskich polityków tak naprawdę woli widzieć u władzy przewidywalny oraz świecki reżim As-Sisiego niż potencjalnie groźnych islamistów. Nie ma więc co liczyć na to, że presja Zachodu załagodzi napięcia w Egipcie. Tymczasem prześladowania i egzekucje działaczy opozycji jeszcze bardziej radykalizują nastroje w Bractwie Muzułmańskim. Dzisiaj wszyscy na chwilę odwrócili wzrok od świata arabskiego, ale Bliski Wschód znów zaczyna wrzeć i już wkrótce o sobie przypomni.

„Do Rzeczy” 31 marca–6 kwietnia 2014 r.

Cały naród wojskiem

„Żydzi umieją handlować, ale nie umieją walczyć”. Ten stereotyp przez setki lat zapuszczał korzenie w świadomości Europejczyków, a później także Amerykanów. Jak to często ze stereotypami bywa, nie ma on wiele wspólnego z rzeczywistością. Przykładów tego, że Żydzi jednak potrafią walczyć, jest w całej historii bez liku. Weźmy choćby II wojnę światową. Historyk Israel Gutman wyliczył, że podczas II wojny światowej na różnych frontach w skład sił aliantów wchodziło prawie 1,5 mln Żydów. Były społeczności żydowskie, w których na wojnę z Niemcami poszli niemal wszyscy mężczyźni. Na przykład w Australii, z której do walki ruszyło 20 tys. żydowskich żołnierzy.

W drugiej połowie lat 40. doświadczenia wyniesione z II wojny światowej pozwoliły stworzyć w rodzącym się Izraelu sprawną i nowoczesną armię. Jednak stereotyp o „Żydach, którzy nie umieją się bić”, był na tyle silny, że uwierzyli w niego Arabowie, którzy w 1948 r. próbowali unicestwić rodzące się państwo żydowskie. Izraelczyków nie udało się jednak, tak jak to planowali arabscy przywódcy, „zepchnąć do morza”. To w tej zwycięskiej dla Izraela, ale niezwykle krwawej wojnie narodziło się popularne do dziś hasło: „Cały kraj jest frontem, cały naród – wojskiem”.

Nie jest ono tylko sloganem, który ma podnieść ducha bojowego. W Izraelu rzeczywiście każdy jest żołnierzem. Do wojska idą wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety po ukończeniu szkoły średniej. Ze służby zwolnieni są ortodoksi, nie muszą odbywać jej absolwenci szkół religijnych. Kobiety natomiast nie biorą udziału w walkach i na ogół pełnią funkcję radiooperatorów, kierowców czy instruktorek. Służba trwa trzy lata, ale w razie potrzeby do wojska można być powołanym do ukończenia 49. roku życia. Ten system jest powszechnie akceptowany przez społeczeństwo, niemal nikt przeciwko niemu nie protestuje.

O ile jednak przekonanie, że za obronę kraju odpowiada każdy obywatel, istniało w Izraelu od samego początku, o tyle mit niezwyciężonej izraelskiej armii narodził się dopiero później. Jego początki to 1956 r., gdy w czasie konfliktu z Egiptem Izrael w trzy dni zajął cały półwysep Synaj. Przełomowe były jednak wojna sześciodniowa i błyskawiczne zajęcie Zachodniego Brzegu Jordanu, Wschodniej Jerozolimy, wzgórz Golan i ponownie półwyspu Synaj. W ciągu pierwszych godzin wojny izraelscy żołnierze zniszczyli całe syryjskie i egipskie lotnictwo, prawie 400 myśliwców MiG i Suchoj.

Wojna sześciodniowa wywarła ogromny wpływ na postrzeganie izraelskiej armii. W oczach światowej i krajowej opinii publicznej państwo żydowskie stało się mocarstwem, którego nie sposób pokonać. Jednak już wkrótce Izraelczycy musieli zejść na ziemię. W 1973 r. wojna Jom Kippur wywróciła do góry nogami wszystkie te mity. Po tragicznych błędach wywiadu konflikt przerodził się w krwawą jatkę. Na froncie południowym w walkach brało udział ponad 4 tys. czołgów, więcej niż na froncie stalingradzkim w czasie II wojny światowej. Nad krajem zawisło widmo klęski. Sytuacja była tak poważna, że minister obrony zaproponował premier Goldzie Meir użycie „ostatecznej broni”. Na szczęście do tego nie doszło. Izrael zwyciężył, ale było to zwycięstwo okupione 3 tys. ofiar wśród żołnierzy i utratą pewności siebie. Mit niezwyciężonej armii upadł. Trzeba było wielu lat, by Izraelczycy znów uwierzyli w jej potęgę.

Dzisiaj ta wiara ma jeszcze lepiej ugruntowane podstawy niż kilkadziesiąt lat temu. W latach 60. i 70. Izrael miał trochę lepszy sprzęt oraz znacznie lepiej wyszkolonych żołnierzy. Obecnie nadal góruje nad sąsiadami pod względem wyszkolenia, ale przewaga technologiczna powiększyła się do gigantycznych rozmiarów. Izrael jest w tej dziedzinie równorzędnym partnerem USA.

Największym problemem izraelskiej armii jest jej wizerunek. Na wojсковych nieustająco spływają kolejne fale krytyki zarówno z kraju, jak i z zagranicy. Armię oskarża się głównie o zbytnią brutalność lub skłonność do nadużywania przemocy. Ta krytyka często bywa niesprawiedliwa, ale w ostatecznym rozrachunku można się z niej tylko cieszyć. Światowa opinia publiczna krytykuje izraelską armię, bo ma wobec niej bardzo wysokie wymagania, dokładnie takie, jak wobec armii niemieckiej, francuskiej czy polskiej. Wynika to z faktu, że Izrael należy do demokratycznej i wolnej części świata. Najlepszym tego dowodem jest właśnie krytyka armii przez rozmaite środowiska w kraju, której nikt nie próbuje ograniczać ani dławić. I choć walka z terroryzmem niestety zawsze będzie niosła ze sobą ryzyko ofiar wśród cywili, dzięki patrzeniu jej na ręce izraelska armia cały czas podnosi i tak już wyśrubowane standardy.

„Do Rzeczy” 14–21 kwietnia 2014 r.

Sztuczne granice, sztuczne państwa

W 1916 r. dwóch dyplomatów, sir Mark Sykes reprezentujący Wielką Brytanię i François Georges-Picot reprezentujący Francję, spotykało się wielokrotnie z rozmaitymi specjalistami przy koniaku, whisky i drogich cygarach. W wyniku tych rozmów powstał plan tego, jak będzie wyglądał Bliski Wschód po I wojnie światowej. Już czuć było bowiem, że imperium osmańskie jest w kryzysie i zaczyna się rozpadać. Gdy spojrzymy na granice państw Bliskiego Wschodu, które stworzono w ramach tego planu i owej umowy, znanej dziś jako umowa Sykes-Picot, zobaczymy wyraźnie sztuczność tych granic. Wyglądają one jak wyrysowane od linijki.

Z punktu widzenia historii Bliskiego Wschodu rok później wydarzyło się coś jeszcze: w listopadzie 1917 r. minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii lord Arthur James Balfour stworzył tajny dokument, znany w historii jako Deklaracja Balfouru, który umożliwił powstanie Państwa Izrael. To też była dramatyczna zmiana, sztuczna dla wszystkich Arabów – oni do dziś nie pojmują idei, że naród, który spędził prawie 2 tys. lat w Europie pod wpływem judeochrześcijańskiej kultury, którego nawet skóra wygląda inaczej, wrócił do swojej starej ojczyzny akurat na Bliskim Wschodzie. W efekcie do dziś trwa konflikt arabsko-izraelski.

Na całym świecie po 1950 r. ruszył szybki, dramatyczny proces dekolonizacji. Większość państw i narodów w Afryce i na Dalekim Wschodzie zdobyła samodzielność. Dzisiaj, po wielu kryzysach i wojnach, w większości krajów obowiązuje system demokratyczny albo demokratyczno-autokratyczny, tak jak w Rosji Putina.

Czy sięgniemy do teorii politycznej Immanuela Kanta, czy filozofii politycznej Hannah Arendt, czy nawet słów prezydenta USA Woodrowa Wilsona, z tych wszystkich teorii naukowych płynie podobny wniosek: trudno uniknąć krwawych wojen między państwami, w których brakuje demokratycznej kultury politycznej. Istnienie państw demokratycznych to fundament pokoju na świecie.

Tymczasem na Bliskim Wschodzie nie ma ani nie było państwa, w którym zaistniałby system konstytucyjno-demokratyczny i trwał dłuższy czas. To się po prostu nie udaje. Obserwujemy przejście z dyktatury do dyktatury, z wojny wewnętrznej do wojny zewnętrznej. Była długa, krwawa wojna między Irakiem a Iranem, od trzech lat trwa straszna wojna domowa w Syrii, która pochłonęła już ponad 200 tys. ludzi.

Co się tam dzieje? Żeby to wyjaśnić, można odwołać się do teorii zderzenia cywilizacji prof. Samuela Huntingtona, ale mam wrażenie, że w tej książce zbyt wiele jest pychy zachodniego, judeochrześcijańskiego świata. Stawia się w niej tezę, że jedna cywilizacja jest lepsza, a druga gorsza. W podobnym tonie utrzymana była wypowiedź papieża Benedykta XVI, który oskarżał wyznających islam o agresję, używanie siły, o to, że islamiści to społeczeństwa niższe i mniej cywilizowane. Co prawda od razu wycofał się z tych słów. Są przecież demokratyczne muzułmańskie państwa, wielu muzułmanów jest w Indiach – światowym fenomenie demokratycznym.

Są także tacy, którzy szukają przyczyny tego stanu rzeczy w samym fakcie istnienia niepodległego Izraela, jedynego demokratycznego państwa na Bliskim Wschodzie. Twierdzą oni, że to właśnie konflikt izraelsko-arabski jest przyczyną tych dziejów. To głupota. Tak, konflikt istnieje, było kilka okropnych wojen, ale jest też postęp, choćby umowy pokojowe Izraela z Egiptem czy Jordanią. Co ma wspólnego wojna iracko-irańska z Izraelem? Co ma wspólnego z Izraelem wojna domowa w Syrii? Co miały z nim wspólnego wszystkie powstania i wewnętrzne konflikty w tych państwach czy inwazja Saddama Husajna na Kuwejt?

To są arabskie sprawy, zawsze związane z głębokim konfliktem religijnym, etnicznym, a zatem związane ze sztucznymi granicami. Ten ogień nie ugaśnie tak szybko. Można lepiej zrozumieć ten długi, wręcz wieczny brak pokoju na Bliskim Wschodzie, pamiętając o sztucznych granicach umowy Sykes-Picot z 1916 r., sprzed prawie stu lat.

„Do Rzeczy” 30 czerwca–6 lipca 2014 r.

Wojna z Hamasem

Tym razem konflikt w Strefie Gazy jest tylko jednym z tematów w światowych mediach. W innych miejscach wiele się dzieje, opinię publiczną w dużym stopniu zajmują choćby wydarzenia na Ukrainie czy w Iraku. Tym łatwiej jest czytelnikom i widzom nie wnikać w szczegóły aktualnych wydarzeń i wydawać opinie na podstawie płynących z mediów uproszczeń.

Chyba najbardziej niesprawiedliwym w stosunku do Izraela uproszczeniem jest przedstawianie konfliktu jako „starcia między Izraelem a Palestyńczykami”. Działania zbrojne nie są wymierzone w Palestyńczyków jako naród. Toczą się wyłącznie przeciwko Hamasowi – organizacji, której celem jest likwidacja Izraela i która w 2005 r. stworzyła sobie w Strefie Gazy samodzielne państewko. Strefa Gazy nie jest, jak to się przedstawia, „obłożona” ani „odcięta od świata” przez Izrael. Izraelska armia w niej nie stacjonuje, Hamas rządzi się w niej sam i gdy nie wystrzeliwuje rakiet na izraelskie miasta oraz gdy nie toczą się działania zbrojne, bramy do Strefy Gazy są otwarte. Wjeżdżają do niej i wyjeżdżają z niej setki ciężarówek z towarami, trwa normalny handel między obiema stronami. Strefa Gazy jest zazwyczaj zamknięta tylko od strony Egiptu. Hamas podejmuje działania wymierzone w egipską armię i Egipcjanie bez specjalnych sentymentów wprowadzili po swojej stronie blokadę, której od strony izraelskiej nie ma.

Większość pomocy międzynarodowej, która trafia do Strefy Gazy z państw arabskich i Europy, przeznaczana jest na budowę instalacji wojskowych, z których większość znajduje się w podziemnych tunelach. To te instalacje, a nie palestyński naród, są celem ataku. Warto pamiętać, że władze Autonomii Palestyńskiej z jej prezydentem Mahmudem Abbasem na czele starają się nakłonić Hamas do ustępstw i doprowadzić do zawieszenia broni. Te propozycje Hamas jednak odrzuca. Gdy piszę te słowa, jego kierownictwo wciąż nie chce się zgodzić na zaakceptowane przez Izrael propozycje pokojowe.

Media oskarżają Izrael, że morduje cywili. Posługują się przy tym różnymi liczbami ofiar. W momencie powstawania tego artykułu zginęło ok. 700 Palestyńczyków i mniej niż 40 Izraelczyków. Różnica jest oczywiście bardzo duża i od razu wzbudza współczucie dla Palestyńczyków oraz antypatię do „mocarstwowego Izraela”, który „atakuję niewinnych ludzi”. Zamiast jednak skupiać się na samych liczbach, warto się zastano-

wić, gdzie tkwią przyczyny tej dysproporcji. Otóż głównym powodem, dla którego zginęło znacznie mniej Izraelczyków, jest to, że Izrael ma dobry system obrony przeciwrakietowej. Bez niego liczba izraelskich ofiar wystrzeliwanych ze Strefy Gazy rakiety szłaby co najmniej w setki, jeśli nie tysiące, bo Hamas udoskonalił ostatnio swoje rakiety i teraz obejmują one zasięgiem już cały Izrael. Włącznie z jego najdalszymi, północnymi regionami. Różnica w liczbie ofiar wynika więc nie z tego, że Hamas w jakiś sposób oszczędza izraelską ludność cywilną, tylko z tego, że Izrael ma dobry system obrony.

Jest jeszcze jeden powód różnicy w liczbie ofiar – Hamas z rozmysłem rozmieszcza swoje instalacje i stanowiska dowodzenia jak najbliżej szpitali, szkół, meczetów, klubów młodzieżowych oraz innych instytucji, w których gromadzą się cywile. W takiej sytuacji są oni narażeni na ogromne ryzyko, co sprzyja Hamasowi, który może ich śmierć wykorzystać propagandowo. Armia izraelska robi jednak wszystko, żeby niewinnych ofiar było jak najmniej. Przed uderzeniem rozrzuca ulotki z ostrzeżeniami dla ludności cywilnej, która ma czas, żeby się ewakuować, dzwoni do ludzi, którzy mogą przebywać w atakowanych regionach. Przed wystrzeleniem uzbrojonej rakiety wystrzeliwuje nieuzbrojoną, która nie wybucha, tylko ma skłonić ludzi do opuszczenia miejsca ataku itd. Nie ma chyba innej armii na świecie, która wymyślałaby tyle sposobów, żeby uniknąć strat wśród cywili.

Jak to wszystko się skończy? Trudno być optymistą. Konflikt ma źródło w ideologii i celach, które postawili sobie dążący do likwidacji Izraela terroryści. Jeśli nic się nie zmieni, to pokój zapanuje dopiero, gdy Izraelczycy się poddadzą, ustąpią i dadzą się zepchnąć do morza. Izraelczycy nie mają jednak zamiaru rezygnować z własnego państwa. Sytuacja z XX w. z pewnością się nie powtórzy. Żeby doszło do przełomu, Hamas musiałby zrezygnować z atakowania Izraela i postulatów jego likwidacji. Na to się jednak również nie zanosi. Jedyne, co można w tej chwili zrobić, to dążyć do umowy z Autonomią Palestyńską i dojść do porozumienia z tymi Palestyńczykami, którzy chcą żyć w pokoju. W kwestii trwałego pokoju ruch jest po stronie Hamasu.

„Do Rzeczy” 28 lipca–3 sierpnia 2014 r.

Czy Niemcy broniliby Hamburga?

Wojna w Izraelu dobiega końca. „Wojna w Izraelu” to właściwy termin, który powinien zastąpić używane przez media na całym świecie określenie „wojna w Strefie Gazy”. Ta wojna toczy się w całym kraju. Rakiety, których Hamas wystrzelił w momencie, gdy piszę te słowa, już ponad 3,6 tys., dolatują nad cały Izrael, nawet nad jego najbardziej wysunięte na północ regiony. Gdyby Izrael nie miał najlepszego na świecie systemu antyrakietowego, mielibyśmy już tysiące cywilnych ofiar po stronie izraelskiej.

Ciekawe, czy gdyby Izrael nie miał tego systemu antyrakietowego i izraelskich ofiar – zarówno wśród Żydów, jak i wśród Arabów (a ci ostatni stanowią 20 proc. populacji Izraela) – byłoby dziś pięć czy sześć tysięcy, medialny przekaz na temat tej wojny byłby tak jednoznacznie antyizraelski jak dziś. Wygląda na to, że nie, bo głównym argumentem za tezą o „nieadekwatności” działań izraelskich jest właśnie dysproporcja w liczbie ofiar. Wniosek z tego taki, że jeśli Izrael chce mieć lepszą prasę na świecie, to musi pozwolić na zabijanie swoich obywateli.

Strefa Gazy jest zniszczona, jest już ponad 1,8 tys. ofiar po stronie palestyńskiej. Międzynarodowe naciski, żeby zakończyć tę wojnę, są zrozumiałe. W Europie i USA rządy są pod presją opinii publicznej, do której co rusz dochodzą informacje o kolejnych cywilnych ofiarach. Tymczasem warto się zastanowić, co w sytuacji Izraela zrobiłoby jakiegokolwiek inne państwo. Jak reagowałyby na ostrzał rakietowy swojego terytorium Stany Zjednoczone albo nawet tak pokojowo w ostatnich dekadach nastawione Niemcy. Czy niemieccy politycy mówiliby o „adekwatnej i umiarkowanej reakcji”, gdyby rakiety spadały na dzielnice mieszkalne niemieckich miast od Hamburga do Monachium, a sztaby, posterunki i stanowiska ogniowe organizacji odpowiedzialnej za ten ostrzał znajdowałyby się na gęsto zaludnionym, pełnym cywili terytorium? Można postawić tezę, że w sytuacji Izraela każde państwo zachowywałoby się dokładnie tak samo.

Izrael jest otoczony. Wprawdzie wbrew powszechnemu przekonaniu proces pokojowy na Bliskim Wschodzie postępuje, podpisane są umowy pokojowe z Egiptem i Jordanią, a negocjacje z palestyńskim Fatahem właśnie trwają, ale Izrael wciąż jest małym państwkiem otoczonym przez państwa, których ludność jest do niego w przytłaczającej większości nastawiona wrogo. Gdy Amerykanie prowadzili działania w Afganistanie i Iraku, wojna była daleko od ich terytorium. Mogli się praktycznie w każdej chwili wycofać. Ryzykowali pozostawienie tych państw w stanie

totalnego chaosu, ale powrót amerykańskich żołnierzy do domu nie był równoznaczny ze wzrostem bezpośredniego zagrożenia dla mieszkańców USA. Izrael nie ma tak wygodnej sytuacji. Nie może się po prostu wycofać i zapomnieć o sprawie. Klęska armii USA oznaczałaby kłopoty dla amerykańskich polityków i być może jakieś wzburzenie w kraju. Klęska armii izraelskiej oznaczałaby likwidację Państwa Izrael. Izraelczycy nie mogą sobie pozwolić na porażkę.

Właśnie dlatego Izrael wydaje rokrocznie 27,5 proc. PKB, czyli procentowo niemal cztery razy więcej niż USA, na wojsko. Właśnie dlatego wszyscy młodzi Izraelczycy, mężczyźni i kobiety, idą obowiązkowo do wojska. I właśnie dlatego zła prasa za granicą niczego nie zmienia. Nic również nie zmienia stanowisko Rady Praw Człowieka ONZ, w której zasiadają przedstawiciele między innymi Wietnamu, Arabii Saudyjskiej i Kuby, czyli państw niemających prawa nikogo w kwestii praw człowieka pouczać, i która nie zważając na to, że od momentu rozpoczęcia wojny w Izraelu w Syrii zginęło 10 tys. ludzi, a na Ukrainie codziennie giną dziesiątki cywili, uznaje za stosowne skupić całą swoją krytykę na Izraelu. Wybór między złą opinią za granicą a ustępstwami, które równają się likwidacji państwa, jest oczywisty.

Żydzi dostali w historii pierwszą od tysięcy lat szansę na zbudowanie własnego państwa i nie zamierzają tej szansy zaprzepaścić. Izrael będzie się bronił, a Żydzi nie wrócą do Europy. Tam już byliśmy i nie trzeba przypominać, jak to się skończyło.

„Do Rzeczy” 11–17 sierpnia 2014 r.

Islamiści mogą sprawić, że Europa zrozumie Izrael

Władze Szwecji formalnie uznały państwo palestyńskie. Decyzja władz w Sztokholmie to odpowiedź na głos opinii publicznej. Widzowie w różnych krajach stoją po stronie Palestyńczyków, bo w dzisiejszym globalnym świecie, gdy telewizje pokazują setki ofiar, między innymi dzieci, ludzie odruchowo stają po stronie słabszych.

Izrael nie może sobie pozwolić na to, by nie być silnym. Już kiedyś naród żydowski był słabszy i wszyscy wiedzą, jak się to skończyło. Podczas wojen, choćby podczas ostatniego konfliktu w Strefie Gazy, zawsze o wiele więcej ofiar jest po stronie palestyńskiej. Kiedy terroryści ostrzeliwują izraelskie miasta swoimi rakietami, do akcji muszą wchodzić regularne oddziały armii i jednostki lotnictwa. Izraelczycy walczą bowiem o dalszą egzystencję swojego państwa.

Jestem jednak przekonany, że – przynajmniej w ciągu najbliższego roku – w ślady Szwecji nie pójdą inne europejskie kraje. Wprawdzie politycy w państwach UE krytykują Izrael, równocześnie zdają sobie jednak sprawę, jak skomplikowana jest obecnie sytuacja na Bliskim Wschodzie. Wiedzą, że aby można było kontynuować proces pokojowy, konieczne są uspokojenie sytuacji w krajach sąsiadujących z Izraelem, a także totalna demilitaryzacja Strefy Gazy. W takiej sytuacji nawet premier Benjamin Netanjahu – który ma do tej kwestii ideologiczne, prawicowe podejście – podpisze porozumienie pokojowe uznające samodzielne państwo palestyńskie.

Umowie z Palestyńczykami musiałyby towarzyszyć porozumienia z państwami sąsiadującymi z Izraelem. Tymczasem nawet rząd prezydenta Egiptu Abd el-Fatah es-Sisiego jest w praktyce przeciwko powstaniu samodzielnego państwa palestyńskiego. Egipcjanie obawiają się bowiem, że w kraju tym rządziłby Hamas – śmiertelny wróg dzisiejszych władz w Kairze. Nadal groźna jest również sytuacja w regionie. Nikt nie wie, jak się zakończy wojna w Syrii, jak wielkie tereny zajmie Państwo Islamskie, a także czy Irak nadal będzie niezależnym państwem oraz czy będzie Izraelowi przyjazny czy wrogi. W takich warunkach żaden premier Izraela nie byłby w stanie zdobyć większości koniecznej do przyjęcia porozumienia pokojowego. Istotnym punktem spornym jest też nadal kwestia statusu Jerozolimy. Prezydent Mahmud Abbas chce, aby stolicą samodzielnego

państwa palestyńskiego było właśnie to miasto. A przecież Jerozolima jest historyczną stolicą narodu żydowskiego.

Plany powstania samodzielnego państwa palestyńskiego w sąsiedztwie Izraela istnieją od 1993 r., gdy rząd na czele z Icchakiem Rabinem rozpoczął negocjacje z liderami Fatahu. W porozumieniu, które zawarto wówczas w Oslo, nie przewidywano jeszcze stworzenia samodzielnego państwa palestyńskiego, mówiono o szerokiej autonomii w Judei, Samarii i Strefie Gazy. W 1994 r. główni autorzy porozumienia – Szymon Peres, Icchak Rabin i Jasir Arafat – dostali Pokojową Nagrodę Nobla. Niestety, w kolejnych latach doszło do wznowienia ataków terrorystycznych, w których ginęły setki Izraelczyków. Osobiście byłem świadkiem spotkań, podczas których przywódcy Izraela zwracali się do Arafata z apelami o powstrzymanie zamachów. Krwawe akty przemocy, do których dochodziło już po podpisaniu umowy z Palestyńczykami, doprowadziły jednak do wewnętrznych sporów w Izraelu.

4 listopada 1994 r., po wielkim wiecu w Tel Awiwie, Icchak Rabin został zabity przez żydowskiego nacjonalistę. Nigdy tego nie zapomnę. Tuż przed jego śmiercią jako przewodniczący Knesetu siedziałem obok Icchaka Rabina. To była tragedia dla narodu żydowskiego i dla zwolenników procesu pokojowego. Pół roku później władzę przejęła partia Likud, która zmieniła podejście do Palestyńczyków. Doszło też do kolejnych zamachów oraz wybuchu drugiej intifady. W 2005 r. Ariel Szaron postanowił wycofać armię izraelską ze Strefy Gazy. Nawet tak odważna decyzja nie doprowadziła jednak do pokoju. W Strefie Gazy powstało terrorystyczne państwo-koło z bojownikami Hamasu na czele. Ich cel jest jasny: zlikwidować Izrael.

Trudno się więc dziwić, że premier Netanjahu – który sześć lat temu ogłosił, że jest gotów zgodzić się na powstanie państwa palestyńskiego – nie spieszy się z realizacją planu pokojowego. Cyniczną grę prowadzi też prezydent Autonomii Palestyńskiej Mahmud Abbas, który nie jest pewny, czy po dołączeniu Strefy Gazy do państwa palestyńskiego nie przegra z Hamasem. To dlatego, choć podczas pierwszej kadencji Obamy sekretarz stanu USA John Kerry spędził na Bliskim Wschodzie więcej czasu niż w Waszyngtonie, Ameryce nie udało się doprowadzić do przełomu.

Wiem, że w Europie nie brakuje osób, które uważają postawę Izraela za cyniczną. Jeśli jednak Państwo Islamskie będzie nadal zdobywać nowe terytoria, jeśli przybędzie islamskich fanatyków, a w Egipcie do władzy wróci Bractwo Muzułmańskie, to Europejczycy zrozumieją trudną sytuację Izraela.

„Do Rzeczy” 17–23 listopada 2014 r.

Izrael nie zniknie

Jak będzie wyglądał Izrael za sto lat? Dla Żyda odpowiedź na to pytanie jest nieco kłopotliwa. Bawienie się w proroctwa jest w moim kręgu kulturowo-religijnym uważane za grzech. Stary Testament i Talmud mówią wprost, że człowiek, który to robi, jest... durniem. Mając to na uwadze, postaram się, żeby puszczając wodze fantazji, nie oddalić się za bardzo od realnych przesłanek.

Zanim przeniesiemy się na Bliski Wschód w roku 2115, najpierw spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, które może sobie w tym kontekście zadawać wielu czytelników: Czy Izrael w ogóle przetrwa najbliższe sto lat? Wiemy przecież doskonale, jak duże problemy od lat piętrzą się w tym państwie i wokół jego granic.

Jeżeli spojrzeć na to jedynie pod kątem militarnym, to Izraelczycy mogą być zupełnie spokojni o swoją przyszłość. Nasza duma narodowa – potężna armia – jest najlepszym gwarantem przetrwania mojej ojczyzny. Pod pewnymi względami jesteśmy nawet mocarstwem militarnym na skalę światową. Przez lata zagrożeń nauczyliśmy się bronić jak żaden inny naród na świecie. Nie jest to żadna przechwałka. O potęgze Izraela najlepiej świadczy chyba system przeciwrakietowy Żelazna Kopuła rodzimej produkcji, który ostatniego lata nie pozwolił, by tysiące wystrzelonych przez Hamas pocisków zdeorganizowało życie w moim kraju. Poza tym jesteśmy światowym liderem w produkcji broni przyszłości – dronów, a nasze czółgi Merkava (po hebrajsku „rydwan”) od lat są koszmarem planistów w sztabach generalnych naszych potencjalnych wrogów. Izrael to ucieleśnienie słynnego rzymskiego przysłowia: „Si vis pacem, para bellum” (Chcesz pokoju, szykuj się do wojny). Tak było, jest i będzie za sto lat. Nawet najbardziej lewicowe izraelskie partie polityczne doskonale to rozumieją i nie wyobrażam sobie, żeby próbowały to zmienić.

Izrael taki, jaki dziś znamy, może przestać istnieć z zupełnie innego powodu niż militarny – w wyniku przegranej „wojny” demograficznej. W Izraelu żyje ok. 6,25 mln Żydów. Co piąty obywatel naszego państwa jest pochodzenia arabskiego. Problem w tym, że palestyńska społeczność przyrasta 2,5 razy szybciej od żydowskiej. Sprawa jest więc oczywista: jeżeli nie powstanie niepodległe państwo palestyńskie, to Izrael straci swój żydowski charakter. Stanie się państwem większości swoich obywateli, czyli będzie arabski. Takie zagrożenie widziała wyraźnie już w latach 60. premier Golda Meir. Szefowa izraelskiego rządu powiedzia-

ła, że w dniu, gdy urodzi się pierwsze arabskie dziecko przechylające demograficzną szalę na stronę palestyńską, rozpocznie się koniec istnienia naszego Izraela.

Wolna Palestyna potrzebna jest więc do tego, by przetrwał Izrael, jaki dziś znamy. Modłę się, by po stronie palestyńskiej znalazł się ktoś taki jak Nelson Mandela, kto będzie rozumiał, że jedynie zawarcie bolesnego – dla obu stron – kompromisu terytorialnego będzie oznaczało spokojniejszą przyszłość. Jestem pewien, że za sto lat, a nawet znacznie wcześniej, obok Izraela będzie istniało niepodległe państwo palestyńskie.

Chciałbym w tej kwestii mieć takie samo wyczucie jak Theodor Herzl, twórca ruchu syjonistycznego, który mógłby być ekspertem w dziedzinie futurologii. Herzl zapowiedział w 1897 r., że maksymalnie w ciągu 50 lat powstanie Izrael. W tamtym okresie brzmiało to jak mrzonka. Okazało się jednak, że Herzl miał rację – w 1947 r. ONZ ogłosiło powstanie na terenach palestyńskich dwóch państw: palestyńskiego i żydowskiego.

Każdy, kto ma za sobą wizytę w Izraelu, na pewno zauważył, jak bardzo zrosnięte są u nas ze sobą sfery świecka i duchowa. Izrael jest jedynym demokratycznym państwem na świecie, gdzie nie istnieje rozdział państwa od religii. Goście z zagranicy mogą to odczuć na własnej skórze choćby w szabas w Jerozolimie. Tego dnia komunikacja publiczna tam nie kursuje. Wydaje mi się, że podobnie rzecz będzie wyglądała za sto lat. Państwo żydowskie wciąż będzie pod tym względem żydowskie. Sprawy religijne zrosły się u nas również z tradycją. Nie oznacza to jednak, że na mapie Izraela nie będzie widać modernistycznych wysp – takich, jaką dziś jest choćby Hajfa (szabas nie ma tam wpływu na komunikację publiczną). Tel Awiw z kolei porównywany często bywa – jeżeli chodzi o liberalizm – do Amsterdamu. Wprawdzie wciąż w czasie szabasu przypomina trochę Jerozolimę, ale podejrzewam, że w najbliższym czasie temu nadmorskiemu kurortowi będzie bliżej do Hajfy. Również za sto lat Izrael w sensie podejścia do religii pozostanie podzielony na dwa państwa: „jerozolimskie” i „telawiwskie”.

Nie każdy z perspektywy Europy potrafi zauważyć, że żydowskie społeczeństwo w Izraelu składa się z dwóch głównych pierwiastków: aszkenazyjskiego i sefardyjskiego. Aszkenazyjczycy to potomkowie Żydów zamieszkujących głównie Europę Środkową i Wschodnią. Sefardyjczycy to z kolei potomkowie tych przedstawicieli narodu wybranego, którzy zostali wypędzeni z Hiszpanii pod koniec XV w. i rozeszli się po świecie. Ci pierwsi używali jidysz, a drudzy porozumiewali się w języku ladino. Wśród twórców dzisiejszego państwa żydowskiego dominowali aszkenazyjczycy. Do tej pory nie mieliśmy jeszcze premiera, który by był sefardyjczykiem. Te dwie grupy powoli scalały się ze sobą dzięki służbie w armii i językowi hebrajskiemu. Dzisiaj już wyraźnie widać, że stare napięcia międzyetniczne

powoli odchodzą do historii. Obecnie aż 40 proc. małżeństw żydowskich jest mieszanych, a wśród 10 najbogatszych Żydów mieszkających w Izraelu sześciu to potomkowie wypędzonych z Hiszpanii. Za sto lat podział na aszkenazyjczyków i sefardyjczyków będzie już zapewne należał tylko do folkloru i dzieci z małżeństw mieszanych nie będą się określały pod tym kątem. Będą po prostu Żydami.

A czy Żydzi za sto lat wciąż będą żyli w kibucach? Oczywiście, że tak! Nasze wioski budowane zgodnie z założeniami totalnej komuny stały się poniekąd marką Izraela. Niegdyś, w początkach istnienia naszego państwa, królowała w nich niesłychana równość. To były wręcz oazy superdemokracji. Wtedy jednak tendencje socjalistyczne były w Izraelu dominującą siłą, przypominał on pod względem modelu państwa opiekuńczego Szwecję. Nasze społeczeństwo zmęczyło się tym jednak i zaczęło się pojawiać coraz więcej egocentryzmu. Wielka szkoda.

W każdą sobotę w kibucach odbywały się walne spotkania, na których podejmowano – w demokratyczny sposób – decyzje w najważniejszych sprawach. Zdarzało się nawet, że decydowano, czy kondycja gospodarcza pozwala w danym roku mieszkankom komuny na rodzenie dzieci, czy nie. Dzisiaj wygląda to zupełnie inaczej. Bujny rozwój gospodarczy Izraela sprawił, że nasilił się proces indywidualizacji społeczeństwa. Obecnie kibuce nie są już podobne do tych sprzed lat. Ich mieszkańcy w większości pracują w miastach, a kibuce bardziej przypominają szczęśliwe wioski, gdzie miło się spędza czas wolny po pracy. Te miejsca prędko nie znikną, bo przecież każdy chciałby tak żyć...

Jak może wyglądać za sto lat mapa polityczna całego Bliskiego Wschodu? Już dziś widać, że wkrótce niewiele będzie pozostałości granic wytyczonych w 1916 r. przez Francję i Wielką Brytanię w umowie Sykes-Picot. Irak i Syria rozpadną się na kilka państwek. Granice państw arabskich będą lepiej odzwierciedlały podziały religijno-etniczne. Nie podejmuje próby przewidzenia tego, jak będą wyglądały nasze stosunki z Egiptem i Iranem. Sytuacja jest tak dynamiczna, że trudno o prognozy wybiegające w przyszłość choćby o dwa lata. Na pewno będą to jednak regionalne potęgi. O stwarzającym dziś mnóstwo problemów Państwie Islamskim mało kto będzie za sto lat pamiętał. Jestem przekonany, że najdalej za dwa lata Amerykanie na czele koalicji antyterrorystycznej wgniotą ten „kalifat” w ziemię.

Trudno sobie wyobrazić, że na początku przyszłego stulecia sojusz amerykańsko-izraelski mógłby ulec rozluźnieniu. Żydów będzie już wówczas w USA przynajmniej 10 mln, a ich głos może być jeszcze lepiej słyszalny na Kapitolu i w Białym Domu niż dziś. Zagrożenia dla pozycji międzynarodowej Izraela upatrywałbym raczej w nadciągającej wielkimi krokami reformie ONZ. Rada Bezpieczeństwa ONZ zostanie z pewnością posze-

rzona o kilka ważnych państw, takich jak choćby Indie, Brazylia i Niemcy. Najprawdopodobniej zniknie z jej regulaminu instytucja weta. A to dzięki temu mechanizmowi USA już 37 razy blokowały rezolucje wymierzone w Izrael. W przyszłości ten parasol ochronny przestanie istnieć, co wymusi na Izraelu zajmowanie nieco bardziej „obrotowej” pozycji na scenie międzynarodowej. Nie wykluczam, że Rosja stanie się dla nas ważniejszym partnerem. W końcu już dziś milion naszych obywateli to ludzie, którzy przybyli do nas z terenu byłego ZSRS. Ich wpływ na politykę zagraniczną jest niebagatelny, a sympatie jasne – w ostatnich wyborach prezydenckich w Rosji ludzie głosujący w rosyjskiej ambasadzie w Izraelu w 92 proc. opowiedzieli się za Władimirem Putinem...

Na koniec będzie osobiście. Za sto lat będę pochowany – wraz z moją ukochaną żoną Ester – na Wzgórzu Herzla w Jerozolimie. Mieści się tam cmentarz ojców państwa. Pochowani tam są prezydenci, premierzy i przewodniczący Knesetu (prof. Szewach Weiss był w latach 1992–1996 przewodniczącym izraelskiego parlamentu – przyp. red.). Moje prochy zostaną złożone niedaleko mojego ukochanego premiera Icchaka Rabina, który został zamordowany w 1995 r.

Za sto lat w Polsce będzie żyło o wiele więcej Żydów niż dziś. Polska na pewno będzie dla wielu z nich krajem atrakcyjnym do osiedlenia się, kojarzącym się im bardziej z ziemią, która dała życie wielu pokoleniom ich przodków, niż z cmentarzem narodu wybranego, w który starali się zamienić polskie ziemie Niemcy. Mam nadzieję, że jakiś gość z Polski położy czasem na moim grobie na Wzgórzu Herzla kilka biało-czerwonych kwiatków i westchnie: „Dobrze się przysłużył ten Weiss pojednaniu naszych narodów”.

„Do Rzeczy” 4 stycznia 2015 r.

Przedwczesna sukcesja

Zbyt szybko śmierć zabrała króla Abdullaha. Jako były przewodniczący Knesetu mam wszelkie powody, by podejrzewać, że rząd Izraela zupełnie szczerze życzył temu 90-letniemu saudyjskiemu monarsze dożycia stu lat. I to mimo tego, że król Abdullah nie był dla Izraela partnerem w rozmowach na tematy bliskowschodnie – nasze kraje nie utrzymują przecież stosunków dyplomatycznych i trudno sobie wyobrazić, by w przewidywalnej przyszłości w Rijadzie została otwarta ambasada Izraela. Jednak mimo braku relacji między naszymi krajami do dnia śmierci króla Abdullaha Arabia Saudyjska kojarzyła się ze stabilnością.

Dzisiaj ten element przewidywalności nie jest już tak dobrze widoczny. Władzę w Arabii Saudyjskiej przejął 79-letni Salman, przyrodni brat zmarłego monarchy. Jak będzie wyglądało jego panowanie? Trudno odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ wiele wskazuje na to, że nowy władca cierpi na demencję. Nie mamy w związku z tym pewności co do tego, kto w rzeczywistości będzie rządził Arabią Saudyjską – królewski ród liczy przecież kilka tysięcy książąt! Śmierć króla Abdullaha przyniosła więc ogromny znak zapytania.

Każda zmiana na tronie tego pustynnego królestwa budzi żywe zainteresowanie ekspertów. Nie ma się co dziwić, wszak chodzi o państwo, które ma olbrzymi wpływ na to, jak wygląda Bliski Wschód. Obecnie siła Rijadu jest niepomierne większa niż kiedykolwiek wcześniej, ponieważ Egipt – tradycyjny hegemon świata arabskiego – wciąż zmagą się ze skutkami chaosu, który nad Nil przyniosła arabska wiosna.

Arabia Saudyjska to formalnie królestwo konstytucyjne, ale w rzeczywistości jest to monarchia absolutna opierająca swój ustrój na szariacie, religijnym prawie islamskim. Mimo radykalizmu w sprawach wewnętrznych Arabia Saudyjska prowadziła dotąd bardzo umiarkowaną i opierającą się na realistycznych przesłankach politykę zagraniczną. Akurat w tej kwestii nikt poważny nie zarzuci Saudom radykalizmu.

Ten umiar w polityce zagranicznej docenia zwłaszcza Ameryka. Z perspektywy Waszyngtonu Arabia Saudyjska jest podstawową siłą broniącą na Bliskim Wschodzie interesów zachodnich. To przecież saudyjskie myśliwce biorą udział w nalotach na cele wojskowe w tzw. Państwie Islamskim, a miliardy dolarów z olbrzymiego (i wypełnionego po brzegi) saudyjskiego skarbcza przekazywane są na wsparcie tych sił, które uważane są przez Rijad – a także Waszyngton – za czynniki stabilizujące sytuację na

Bliskim Wschodzie. Obecnie najwięcej powodów do okazywania wdzięczności Saudyjczykom za ich szczodrość ma Abd el-Fatah es-Sisi, prezydent Egiptu, który pacyfikuje Bractwo Muzułmańskie. Działalność tej organizacji od lat niepokoi Saudów – w zeszłym roku Rijad oficjalnie uznał Bractwo Muzułmańskie za organizację terrorystyczną. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że ta umiarkowana polityka zagraniczna Arabii Saudyjskiej nie zmieni się ani o jotę pod rządami nowego króla.

„Do Rzeczy” 2–8 lutego 2015 r.

Arabowie i sekrety Izraela

Żyję w Izraelu od dziecka, pamiętam wszystkie kampanie wyborcze, ale tak ostrej walki politycznej jeszcze u nas nie było. Temperatura obecnego sporu politycznego nie wynika jednak bezpośrednio z nadzwyczajnego trybu wyborczego – przyspieszone głosowanie, do którego dojdzie 17 marca, stało się w Izraelu właściwie czymś normalnym. W ostatnich dwóch dekadach żaden Kneset nie dokończył swojej kadencji.

Tym razem jednak walka jest niezwykle brutalna, ponieważ premier Benjamin Netanjahu robi wszystko, co w jego mocy, by nie stracić władzy, a Izraelska Partia Pracy, która już blisko dekadę jest w opozycji, ewidentnie nie może się doczekać, by przejąć ster. Widać ogromną determinację po obu stronach.

Lewica już dawno przestała być w Izraelu siłą dominującą. Od 14 lat nasi premierzy wywodzą się z prawicy. Podczas obecnej debaty wyborczej było widać, że Beniaminowi Netanjahu nie można odmówić politycznego doświadczenia. Przewodniczący partii Likud już dziewiąty rok jest szefem rządu. Dłużej sprawował władzę jedynie twórca Izraela, lider Izraelskiej Partii Pracy David Ben Gurion, który był premierem aż 13 lat. Czy Beniaminowi Netanjahu uda się pobić ten rekord?

Sondaże dają Likudowi ok. 23–24 mandatów (w Knesecie zasiada 120 deputowanych). Tak samo wyglądają przedwyborcze wyniki Izraelskiej Partii Pracy, która poєднаła się z partią Kadima.

Jeżeli wyniki wyborcze odzwierciedlą dane sondażowe, to bardzo prawdopodobne, że w Izraelu będzie musiała powstać wielka koalicja. Nie będzie to z punktu widzenia naszej historii nic niezwykłego. Pojawienie się u władzy Izraelskiej Partii Pracy z pewnością przybliżyłoby rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego, więc osobiście trzymam kciuki za taki scenariusz.

Tym razem jednak powstanie wielkiej koalicji doprowadziłoby do sytuacji bez precedensu w naszej polityce. Otóż główną siłą opozycyjną staliby się deputowani reprezentujący społeczność izraelskich Arabów, którzy mogą liczyć na 12–13 mandatów. W poprzednich Knesetach mieliśmy po trzy–cztery partie arabskie. Tym razem doszło jednak między nimi do pojednania. Izraelskie prawo przewiduje, że premier musi się spotykać z szefem opozycji przynajmniej raz w miesiącu. Jeżeli więc dojdzie do zawarcia wielkiej koalicji, to z politycznego punktu widzenia izraelscy Arabowie będą o wiele ważniejsi niż dziś. Do tej

pory praktyka przewidywała też, że przedstawiciele mniejszych partii nie mieli dostępu do tajemnic państwowych omawianych na forum komisji parlamentarnych. Teraz jednak, w związku ze zjednoczeniem partii izraelskich Arabów, będą oni mieli wgląd do naszych największych tajemnic.

Przy okazji relacjonowania naszej kampanii wyborczej światowe media najwięcej uwagi poświęciły planowanemu przemówieniu Beniamina Netanjahu, które ma wygłosić 3 marca w amerykańskim Kongresie. Barack Obama wydaje się obrażony, że zostało to załatwione ponad jego głową. Benjamin Netanjahu podkreśla jednak, że został zaproszony do Waszyngtonu przez republikańskiego przewodniczącego Izby Reprezentantów Johna Boehnera. Jak wiadomo, prezydent Obama nie spotka się z izraelskim premierem, oficjalnie tłumaczył to tym, że amerykański zwyczaj nie przewiduje spotkań z przywódcami, którzy prowadzą kampanie wyborcze. Stosunki między naszymi państwami są fantastyczne, ale obaj politycy ewidentnie za sobą nie przepadają.

Izraelski premier tłumaczy, że jedzie do Waszyngtonu, aby walczyć o sprawę najbardziej egzystencjalną dla Izraela, czyli niedopuszczenie do budowy irańskiej bomby atomowej. Izraelska Partia Pracy w mocnych słowach krytykuje za to Beniamina Netanjahu, zarzucając mu, że psuje w ten sposób stosunki z USA, a poza tym wykorzystuje tę sprawę w kampanii wyborczej. Faktycznie – sondaże pokazują, że Likud może tylko zyskać na przemówieniu w Kongresie.

Nie głosuję na partię Beniamina Netanjahu, ale uważam, że wyjazd do Waszyngtonu to szczerą chęć zabezpieczenia przyszłości Izraela. Cały nasz kraj obawia się irańskiej bomby atomowej. Z dyplomatycznego punktu widzenia można to było zapewne załatwić inaczej, ale skoro już Benjamin Netanjahu postanowił, że wygłosi to przemówienie przed Kongresem, to życzyć mu, aby było to najlepsze przemówienie w jego życiu.

„Do Rzeczy” 2–8 marca 2015 r.

Demokracja ze skazą

Jak to się stało, że niemal 70 lat po proklamacji niepodległości Izrael na przekór wszystkiemu wciąż nie jest dyktaturą?

Izrael pozostaje jedyną demokracją na Bliskim Wschodzie. Jest to dość dziwne, bo Izraelczycy od dawna mają wiele powodów, by się z demokracją pożegnać. Większość z nich przyjechała do Izraela z krajów niedemokratycznych: z państw bloku wschodniego, Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Ci ludzie nie powinni być zbyt przywiązani do demokratycznych wartości. Druga, być może ważniejsza groźba dla demokracji to wojsko. Izrael wydaje 20 proc. budżetu na armię. Ogromna część krajowej gospodarki jest powiązana ze zbrojeniami, a wojsko jest bodajże najważniejszą instytucją społeczną. W takiej sytuacji bardzo łatwo mogłoby dojść do tego, by armia uzyskała decydujący wpływ na politykę.

Jak to się więc stało, że Izrael wciąż jest demokratyczny? Zaważyły tu trzy sprawy. Po pierwsze, tradycja żydowska, w której nigdy nie było centralizmu, a naczelny rabin nie jest odpowiednikiem papieża, tylko pełni funkcje administracyjne. Każdy odłam sam wybiera sobie rabinów i cadyków. Po drugie, zanim Żydzi przyjechali do Izraela, w dużej mierze wchodzili w swoich państwach w skład elit intelektualnych, które z zasady są na ogół bardziej liberalne niż większość społeczeństwa. Po trzecie, połowa Żydów wciąż mieszka poza granicami Izraela, głównie w państwach demokratycznych. Ich wsparcie jest bardzo ważne dla dalszego istnienia państwa żydowskiego, a gdyby Izrael odszedł od demokracji, żydowska diaspora mogłaby się od niego odwrócić.

Nie można jednak nie zauważyć skazy na izraelskiej demokracji. To Zachodni Brzeg Jordanu, który w Izraelu nazywany jest Judeą i Samarią. W efekcie wojny sześciodniowej w 1967 r. te zamieszkane przez Palestyńczyków ziemie znajdują się pod izraelską okupacją. Władzę sprawuje na nich izraelska armia, która współpracuje ze służbami podlegającymi prezydentowi Autonomii Palestyńskiej Mahmudowi Abbasowi.

O prawdziwej demokracji będzie można zatem mówić, gdy dojdziemy do porozumienia z naszymi sąsiadami i okupacja się skończy. W jednej sprawie na pewno nic się nie zmieni: Izrael pozostanie jedynym państwem na świecie, w którym prawo do powrotu przysługuje Żydom i tylko Żydom. Dla ludzi innych narodowości procedura imigracyjna jest bardzo trudna do przejścia.

Czy Jerozolima się pali?

Od kilku tygodni napięcie między Palestyńczykami a Izraelczykami gwałtownie rośnie.

W Jerozolimie i jej okolicach, a także w innych miastach i miasteczkach Izraela, dochodzi do krwawych starć między młodymi Palestyńczykami a policją i armią izraelską, a także do ataków Palestyńczyków na Żydów.

Wiele osób o tym nie wie, ponieważ tego typu wiadomości płynące z Izraela nie są już żadną nowością i biorąc pod uwagę inne wydarzenia na świecie, nie mają szans przebić się do najważniejszych mediów. Tego typu starcia obserwujemy już od kilku pokoleń, a kolejne etapy tej batalii my, Izraelczycy, nazywamy „terrorem”, a Palestyńczycy „walką o wolność”.

Ogromną tragedią jest też to, że udział w tym konflikcie bierze już trzecie pokolenie. Walka palestyńsko-izraelska przypomina więc starcia w Irlandii Północnej sprzed 20, 30 lat. Do ataków dochodzi na ulicach, w parkach, sklepach, na dworcach autobusowych i kolejowych. Mieszkańcy Jerozolimy wieczorami boją się wyjść z domu. Tylko w ciągu ostatnich tygodni zginęło 10 Izraelczyków oraz ok. 50 Palestyńczyków.

Za wybuchem najnowszej fali przemocy stoją bardzo młodzi ludzie, przeciętnie w wieku 17–18 lat. Złapanych często nie można nawet postawić przed sądem, ponieważ mają mniej niż 13 lat. Wśród walczących jest też wiele dziewcząt: 14-, 15- lub 16-letnich. Dały się one wciągnąć w starcia, których podłożem są oskarżenia palestyńskich liderów o to, że władze Izraela próbują zmienić status quo na Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie. Wzgórze Świątynne to zaś miejsce święte zarówno dla Żydów – wciąż znajdują się tu ruiny najświętszej Świątyni Jerozolimskiej – jak i dla muzułmanów, którzy wierzą, że to z tego miejsca prorok Mahomet poszedł do nieba. Po Mekce i Medynie jest to najważniejsze miejsce dla wyznawców islamu.

Palestyńczycy nie chcieliby widzieć na tej górze zbyt wielu Żydów. Tymczasem zarówno dla rządzącej prawicowej koalicji, jak i dla ugrupowań uznawanych za pokojowe Wzgórze Świątynne powinno być żydowskie nie tylko teoretycznie, lecz także faktycznie. To jest bowiem duchowa stolica dla Żydów i w Izraelu, i na całym świecie. Mamy więc do czynienia ze starciami nie tylko na tle religijnym, lecz także na tle nacjonalistycznym. A takie połączenie niesie ze sobą ogromną energię.

Jerozolima od wieków jest jednak centrum konfliktów. W VII w. zdołana została przez muzułmanów – wówczas zbudowano meczet Al-Ak-

sa. Na przełomie XI i XII w. podbita przez armię krzyżowców, a w XVI w. przez Turków, przez lata była centrum starć i konfliktów. I chociaż sama nazwa „Jerozolima” – po hebrajsku Jeruszalajim – pochodzi od słowa „szalom”, czyli „pokój”, to pokoju nigdy tam nie było i w najbliższej przyszłości raczej go nie będzie.

Nawet umiarkowane partie w Izraelu nie są bowiem gotowe do rezygnacji ze „zjednoczonej Jerozolimy” jako stolicy Państwa Izrael. Z kolei dla Arabów porozumienie pokojowe nie ma sensu, jeśli Wschodnia Jerozolima nie będzie częścią państwa palestyńskiego.

Abu Mazin, prezydent Autonomii Palestyńskiej, ma również pretensje do Izraelczyków o dalszą rozbudowę osiedli, co dla Palestyńczyków ma znaczenie nie tylko symboliczne, lecz także praktyczne. Palestyńczycy obawiają się bowiem, że gdy w końcu dojdzie do podpisania traktatu pokojowego, liczba osiedli żydowskich będzie już tak duża, iż nie będzie miejsca na nic innego niż małe państewko palestyńskie.

Co dalej? Administracja Baracka Obamy bardzo mocno naciska na obie strony konfliktu, aby wróciły do stołu negocjacyjnego i doprowadziły wreszcie do realizacji planów pokojowych, zarysowanych w Oslo w latach 90. XX w. Takie rozmowy są jednak trudne, gdy na ulicach leje się krew. A także gdy w polityce krajowej i zewnętrznej jest tak wiele niewiadomych.

Nie wiemy na przykład, czy w ostatnim roku rządów Barack Obama nadal będzie przykładł do tej kwestii tak wielką wagę. Nie wiemy, kto zastąpi go w Białym Domu i jakie podejście do konfliktu palestyńsko-izraelskiego będzie miał nowy prezydent USA. Trudno także prognozować, czy koalicja Beniamina Netanjahu zdoła utrzymać kruchą większość, czy może w Izraelu dojdzie do przyspieszonych wyborów. Nie wiemy też, kto mógłby je wygrać. Wiadomo jedynie, że mieszkańcy Izraela nie zamierzają ulec nowej fali terroru.

Dla przyszłości Izraelczyków i Palestyńczyków kluczowe są dwa pytania. Pierwsze: Kto podejmie się pełnienia funkcji straży pożarnej, gaszącej nowy pożar w Jerozolimie?

I drugie, o wiele bardziej ogólne, choć bardzo ważne: Quo vadis? Dokąd zmierzamy?

„Do Rzeczy” 2–8 listopada 2015 r.

Bliski Wschód na drodze do pokoju?

Kilka dni temu, niby spontanicznie, w Izraelu z oficjalną wizytą pojawił się egipski minister spraw zagranicznych Samih Szukri. Spotkał się z premierem Benjaminem Netanjahu w Jerozolimie. Od prawie 10 lat nie doszło w Izraelu do tak ważnej wizyty z przedstawicielami egipskich władz. Miejsce spotkania ma ogromne znaczenie, ponieważ od czasu zawarcia pokoju między tymi krajami w 1979 r. Egipt nie uznawał Jerozolimy za stolicę Izraela.

Od jakiegoś czasu, po odsunięciu od władzy prezydenta Muhammada Mursiego, Izrael i Egipt łączą bliższe stosunki, zwłaszcza wojskowe (wspólna walka przeciwko PI) oraz gospodarcze. Izraelczycy, nieco po cichu, prowadzą również rozmowy z politykami Arabii Saudyjskiej oraz Kuwejtu. Kilka dni temu premier Netanjahu odwiedził miasto Entebbe w Ugandzie, gdzie zginął jego brat, który dowodził akcją odbicia porwanego samolotu. W spotkaniu tym uczestniczyli liderzy siedmiu państw afrykańskich. Z kolei tydzień temu Izrael podpisał umowę z Turcją, która łagodzi sześciolatekny kryzys i prowadzenie przez Turcję agresywnej polityki popierającej Hamas w Strefie Gazy, opartej na nienawiści prezydenta Erdoğan do Izraela.

Do poprawy stosunków na Bliskim Wschodzie przyczyniają się partykularne interesy poszczególnych państw. Egipskie władze obawiają się radykalnych muzułmanów popieranych przez Hamas rządzący w Strefie Gazy. Z tego powodu ze strony egipskiej Strefa Gazy jest praktycznie zamknięta. Na półwyspie Synaj niemal codziennie dochodzi do ataków terrorystycznych przeprowadzanych przeważnie przez obywateli Egiptu popierających PI. Egipt i Izrael łączy więc bardzo ważny wspólny interes – pokonanie PI na półwyspie Synaj. Napięte stosunki, które mogą doprowadzić nawet do wybuchu wojny, panują między Egiptem a Etiopią. Powodem jest budowana przez Etiopię na Nilu ogromna tama. Kraje te spierają się o podział wody w rzece, która dla Egiptu ma znaczenie gospodarcze, społeczne i historyczne. Władze w Kairze zdają sobie przy tym sprawę z bliskich relacji łączących Etiopię z Izraelem.

Turcja z kolei ma ogromny problem z mniejszością kurdyjską, która stanowi ponad jedną czwartą obywateli. W części państwa opanowanej przez Kurdów rząd turecki nie ma praktycznie żadnej władzy i obawia się, że rozwine się silna tendencja do stworzenia państwa Kurdów. A to byłoby dla Turcji katastrofalne, zmniejszyłoby znaczenie tego kraju, który chce

przecież pozostać bliskowschodnim imperium. Nawet podczas ostatniego kryzysu między Turcją a Izraelem współpraca tych państw nadal trwała. Turcja była chętnie odwiedzana przez izraelskich turystów i mogła liczyć na współpracę wojskową, zwłaszcza dostęp do nowoczesnej technologii.

Realizowany zatem jest plan zaprowadzenia pokoju między Izraelem i większością świata arabskiego. Jego elementem jest powrót do negocjacji z Autonomią Palestyńską. Czy szeroko otwiera się zatem „window of opportunities” (okno możliwości – przyp. red.), czy jest to zaledwie małe okienko? Prawdopodobnie dojdzie do szczytu w Egipcie z udziałem Izraela i Autonomii Palestyńskiej. Jednak koalicja rządząca w Izraelu nie widzi możliwości powstania samodzielnego państwa palestyńskiego w Judei, Samarii i Strefie Gazy. Choć sam Benjamin Netanjahu podkreśla, że pod pewnymi warunkami istnieje taka możliwość, to będąca w koalicji z jego Likudem partia Żydowski Dom jest ortodoksyjna i nie zgadza się na dalszy kompromis terytorialny z Palestyńczykami. Nie wiadomo, jaką politykę bliskowschodnią będzie prowadził nowy prezydent Stanów Zjednoczonych. Jeśli wygra Hillary Clinton, to być może będzie kontynuowała dzieło swojego męża, który stał na czele izraelsko-palestyńskich rozmów pokojowych w latach 90. Europa też nie pozostanie obojętna, choć będzie miała dużo mniejszy wpływ niż USA.

Miejmy zatem nadzieję, że ostatnie wydarzenia na Bliskim Wschodzie wydadzą owoce.

„Do Rzeczy” 18–24 lipca 2016 r.

Polska blisko Izraela

Po bardzo długiej przerwie w stosunkach dyplomatycznych Polski i Izraela w 1991 r. prezydent Lech Wałęsa udał się do Izraela z oficjalną wizytą. Byliśmy wtedy szczęśliwi, że odnawia się współpraca, która powinna być naturalna i stała. Od tamtej pory większość polskich premierów i prezydentów odwiedzała Izrael.

Każda z wizyt, również ostatnia podróż premier Beaty Szydło, dotyczy kilku konkretnych spraw ważnych dla obu krajów, a także wzmacnia stosunki między państwami i narodami. Relacje Polski z Izraelem są bardzo dobre już od początku lat 90. Każdemu z izraelskich ambasadorów w Polsce zależało na tym, by z myślą o przyszłości wzmacniać współpracę, pamiętając o historii, również tej tragicznej. Stosunki dyplomatyczne obu państw są bliskie, Polska wspiera Izrael w instytucjach i strukturach międzynarodowych, w tym ONZ i UE.

Ciągle rozwija się też współpraca gospodarcza. Oficjalne statystyki nie zawsze stanowią pełną informację w tej kwestii, ponieważ obywatele Izraela są udziałowcami firm międzynarodowych, które inwestują w Polsce, albo nimi zarządzają. Kooperują ze sobą także polskie i izraelskie środowiska naukowe oraz akademickie. Współdziałają uczelnie i szpitale obu krajów.

Coraz więcej obywateli Izraela odwiedza Polskę nie tylko z potrzeby zmierzenia się z trudną historią dziejącą się w niemieckich obozach zagłady na polskiej ziemi. Rozwija się także zwyczajna turystyka. Warszawa staje się typową europejską stolicą, atrakcyjną dla potencjalnego izraelskiego turysty. A może nawet ciekawszą od innych ze względu na naszą trudną historię i możliwość odwiedzenia takich miejsc jak Muzeum Historii Żydów Polskich i Dom Sierot Janusza Korczaka. Są między nami jeszcze tacy Żydzi, którzy ze względu na tragiczne wspomnienia nie mają siły wracać na ziemię, gdzie stracili swoje rodziny i cierpieli podczas II wojny światowej. Młode pokolenie coraz częściej wyjeżdża jednak do Polski, interesuje się historią polsko-żydowską. O zainteresowaniu Warszawą mieszkańców Izraela mam okazję przekonywać się osobiście podczas moich podróży. Coraz trudniej zdobyć bilety, muszę je rezerwować z dużym wyprzedzeniem. To mnie jednak cieszy.

Mam nadzieję, że wizyta pani premier Beaty Szydło w Izraelu jeszcze umocni te stosunki. Tym bardziej że większość Żydów w Izraelu ma

feministyczne nastawienie, a przybywające do nas liderki polityczne podejmowane są z wyjątkowymi honorami.

„Do Rzeczy” 28 listopada–4 grudnia 2016 r.

Donald Trump i stary Izrael

Podczas kampanii wyborczej Donald Trump miał bardzo pozytywne, z punktu widzenia koalicji rządzącej na czele z Beniaminem Netanjahu, podejście do kilku kluczowych kwestii dotyczących Izraela. Kwestii, które są powodem podziałów politycznych w samym Izraelu. Beniamin Netanjahu rządzi już czwartą kadencję. Cieszy się poparciem w okolicach 25 proc., ale ze względu na jego podejście do kwestii stosunków z Palestyńczykami i ze światem arabskim ma duże możliwości koalicyjne, popierają go bowiem partie prawicowe i religijne. Ideologicznie Donald Trump był im bliski.

Pierwsze tygodnie sprawowania prezydentury przez Donalda Trumpa pokazały, że błyskawicznie realizuje on część swojego programu wyborczego. Śledząc jego działalność, wydaje się, że pracuje 24 godziny na dobę. Wywołuje przy tym konflikty powyborcze w Stanach Zjednoczonych i nie tylko tam. Jednak sprawa Izraela ma swoją specyfikę z kilku powodów.

Po pierwsze, Donald Trump w kampanii wyborczej obiecał, że przeniesie ambasadę Stanów Zjednoczonych w Izraelu z Tel Awiwu do Jerozolimy. Ambasady wszystkich krajów w Izraelu działają w Tel Awiwie. Z punktu widzenia światowej tradycji politycznej sprawa Jerozolimy wciąż znajduje się na stole negocjacyjnym. Trudno zawrzeć jakąkolwiek umowę pokojową z Palestyńczykami, w której Jerozolima nie stanowiłaby centrum sporu.

De facto Jerozolima jest stuprocentową stolicą Izraela. Tam działają: parlament, rząd, sąd najwyższy, ministerstwa, organizowane są centralne obchody wszystkich uroczystości i świąt narodowych. Ambasadorowie, chcąc załatwić sprawy polityczne czy gospodarcze między krajami, jadą z Tel Awiwu do Jerozolimy. Tam przyjeżdżają prezydenci i światowi liderzy, odwiedzają siedzibę izraelskiego prezydenta, przemawiają w Knesecie i prowadzą negocjacje. Jeśli dojdzie do realizacji obietnicy Trumpa i przeniesienia ambasady USA, to najprawdopodobniej wybuchnie kolejna intifada. Nie jest oczywiście tak, że teraz Jerozolima i cały Izrael są wolne od zamachów, ale specjaliści do spraw bezpieczeństwa ostrzegają, że taki krok ze strony Stanów Zjednoczonych może być odebrany jako zbyt duże poparcie Izraela i gest wyraźnie antyarabski.

Beniamin Netanjahu znalazł się więc w bardzo delikatnej sytuacji politycznej. Realizacja obietnicy amerykańskiego prezydenta zdaje się spełnieniem ideologicznych i politycznych snów jego oraz koalicji, na której

czyle stoi. Jednak ani on, ani naród nie chcą powrotu do totalnego stanu wojennego. Wiedzą to również Palestyńczycy, prawdopodobnie zdaje sobie z tego sprawę również Donald Trump. W błyskawicznej realizacji swoich planów nie zdecydował się zatem jeszcze na taki krok. Coś się dzieje w zakulisowych rozmowach dyplomatycznych.

Po drugie, Stany Zjednoczone jako najbliższy sojusznik Izraela, nawet w czasie prezydentury Baracka Obamy, nigdy nie zgodziły się na tworzenie przez Izrael osiedli w Judei i Samarii. Ma to być część procesu pokojowego. Więcej, nawet premier Ariel Szaron w ostatnim roku sprawowania rządów zdecydował o likwidacji osiedli na południu Izraela. Rozmawiając o pokoju w przyszłości, nie można tworzyć nowych osiedli. Trzeba zostawić terytorium dla Palestyńczyków, by mogli na nim stworzyć swoje niepodległe i samodzielne państwo.

Donald Trump ostro skrytykował grudniową rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ, potępiającą budowę izraelskich osiedli. Stany Zjednoczone na forum ONZ nie skorzystały z prawa weta, dotychczas przeważnie broniły spraw Izraela. Większość parlamentarna w Knesecie ostro krytykowała za to Baracka Obamę, ale opozycja popiera taką politykę, a krytykuje raczej Donalda Trumpa, czując, że z takim podejściem nie uda się doprowadzić do zawarcia umowy pokojowej z Palestyńczykami.

To egzamin, który będzie musiał zdać Donald Trump. Te dwie sprawy są najważniejsze z punktu widzenia pokoju w Izraelu i bardzo ważne z punktu widzenia całego Bliskiego Wschodu, choć obecnie na pierwszym planie są oczywiście sytuacja w Syrii, gdzie przelewana jest krew, i problem Państwa Islamskiego. Jednak sprawa konfliktu izraelsko-palestyńskiego również jest ważna, bo toczy się on już zbyt długo i kiedyś musi się skończyć.

Powstała zatem sytuacja, w której – choć Donald Trump podczas kampanii wyborczej wypowiadał się po myśli koalicji Beniamina Netanjahu – części składanych obietnic prawdopodobnie nie będzie można spełnić. A na pewno nie w najbliższym czasie.

Wielu Żydów dotknęło to, że 27 stycznia – podczas Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu – nikt w imieniu prezydenta Donalda Trumpa nie podkreślił tego, co zwykle w tym dniu jest sprawą centralną – Holokaustu jako systemowego morderstwa narodu żydowskiego. Setki Żydów demonstrowały wtedy prawdziwą pretensję o to, że pomija się tak ważny fakt historyczny. Kilka lat temu prezydent Barack Obama mówił o „polskich obozach”, obecny prezydent milczy o narodowości ofiar Holokaustu. Może to tylko przypadek, a może jest w tym coś głębszego.

„Do Rzeczy” 6–12 lutego 2017 r.

Kto służy w izraelskiej armii

Służba w armii izraelskiej jest obowiązkowa nie tylko dla mężczyzn (prawie trzy lata służby), lecz także dla kobiet (dwa lata). W armii nie muszą służyć zamężne kobiety, zwolnienie z tego obowiązku mogą też uzyskać z powodów religijnych. Jednym z pierwszych praw wprowadzonych po powstaniu Państwa Izrael było zwolnienie ze służby wojskowej części religijnych ortodoksów, młodych mężczyzn uczących się w jesziwach (wyższych szkołach religijnych). Powodem tego było to, że podczas II wojny światowej zamordowano wielu rabinów i religijnych Żydów oraz zburzono jesziwy. W tworzącym się państwie potrzeba było kilkuset studentów w jesziwach, żeby odnowić, podnieść i rozszerzać życie religijne. Minister obrony ma prawo zmobilizować do służby wszystkich obywateli Państwa Izrael, ale nie musi tego robić. Z oczywistych powodów większość Arabów, którzy mają izraelskie obywatelstwo, pracują i mieszkają w Izraelu oraz biorą udział w wyborach (w Knesecie ponad 10 proc. posłów należy do zjednoczonego klubu partii arabskich), nie służy w armii. Jednak w izraelskim wojsku są też arabscy ochotnicy, Beduini i Gruzini. W wojsku są więc również żołnierze, oficerowie i nawet jeden generał, którzy nie są Żydami.

Przed izraelską armią od początku stały wyzwania związane z tworzeniem nowoczesnego społeczeństwa, z integracją etniczną, narodową. Wojsko zajmowało się np. edukacją, gdyż większość młodych Żydów emigrujących z całego świata nie znała języka hebrajskiego ani historii Izraela. Zawodowa służba w Izraelu trwa 25 lat, a więc bardzo wielu czterdziesto-kilkuletnich oficerów, przechodząc na emeryturę, robi drugą karierę – na uczelniach, w polityce, biznesie, samorządach itp. Już David Ben Gurion chciał, żeby żołnierze rozszerzali swoją wiedzę, więc ustalono warunki awansów. Major musiał mieć maturę, podpułkownik pierwszy etap uniwersytecki, a na pułkownika mogli awansować tylko żołnierze z wyższym pełnym wykształceniem. Wojsko umożliwiło też kształcenie się na jego koszt na kierunkach potrzebnych w armii i społeczeństwie, np. medycynie, fizyce, matematyce.

Wróćmy do sprawy służby religijnych ortodoksów w armii. W Izraelu żyje ok. 6,5 mln Żydów, z czego prawie 15 proc. to ortodoksi. Nie wiemy dokładnie, ilu Żydów żyje zgodnie z religijną tradycją, ale w soboty do synagogi chodzi ok. 30–40 proc., w święta mniej więcej 50 proc., a w najważniejsze żydowskie święto – Jom Kippur – prawie 70 proc., a są lata,

że więcej. Innym wskaźnikiem jest koszerne jedzenie. Według statystyk kupuje je prawie połowa Żydów. Kolejnym wskaźnikiem może być tradycyjny żydowski pogrzeb, który ma 95 proc. Żydów. Trzeba podkreślić, że nie istnieje system, który pozwoliłby rozdzielić religię od narodowości żydowskiej. Nawet z formalnego punktu widzenia.

Ostatnio w Jerozolimie odbywają się wielkie demonstracje, w których uczestniczą dziesiątki tysięcy, a czasem ponad 100 tys. osób. Ludzie ci oskarżają rząd, że zmusza religijnych ortodoksów do służby w armii. Fakty jednak są inne. W koalicji Beniamina Netanjahu są trzy partie religijne (w tym dwie ortodoksyjne). Przez ostatnie cztery kadencje w Izraelu rządzą właśnie partie religijne. Co więcej, każdy ortodoksyjny Żyd może być zwolniony ze służby wojskowej. Musi się tylko pojawić w biurze bezpieczeństwa i przekonać o swojej religijności. A to jest proste. Na tym tle wywiązały się w Izraelu dyskusje, bo wielu Żydów uważa, że istnieje tu bardzo duża niesprawiedliwość. Armia broni Izraela, który od czasów powstania państwa (a nawet wcześniej) jest w ciągłym stanie napięć wojennych. Kilka lat temu na tle równości w stosunku do obligatoryjnej służby wojskowej powstała nawet partia antyklerykalna.

Tutaj trzeba coś powiedzieć o partiach ortodoksyjnych. One nie należą do ruchu syjonistycznego. Z punktu widzenia ideologicznego ortodoksów państwo żydowskie nie powinno powstać bez konkretnej pomocy Boga. Są więc z założenia antypaństwowi. Najwięksi ortodoksi żyją w Izraelu, wchodzą w skład rządów, ale w dalszym ciągu czekają na Mesjasza. Istnieje też partia religijna Żydowski Dom, która uważa, że nie można dopuścić do ponownego podziału Izraela, nie zgadza się na utworzenie państwa palestyńskiego po zachodniej stronie Jordanu ani jakiegokolwiek podział Jerozolimy.

W historii narodu żydowskiego żyjącego przez 2 tys. lat w diasporze religia nie ograniczała się do sfery sacrum. Żydowskie gminy, kasy chorych, system pomocy socjalnej, wewnętrzne sądy powstawały i działały w ścisłym związku z synagogami oraz instytucjami religijnymi. Te zwyczaje, kultura, filozofia religijna istnieją w dalszym ciągu. Prawdopodobnie tak będzie wyglądało życie polityczne i społeczne w Izraelu jeszcze przez wiele lat.

„Do Rzeczy” 3–9 kwietnia 2017 r.

Trzecia wojna światowa

Policzone dni kalifatu

Szanse na odtworzenie kalifatu w świecie arabskim są mniej więcej takie same jak szanse na odtworzenie Austro-Węgier w Europie.

Terrorystom z Państwa Islamskiego udało się osiągnąć sukces. Wiadomość o utworzeniu przez nich kalifatu na części terytorium Iraku i Syrii obiegła świat. Media podchwyciły temat i straszą czytelników oraz widzów perspektywą wielkiego, rządzonego przez fanatyków kraju, który niedługo może powtórzyć sukces imperium osmańskiego i zjednoczyć zamieszkane przez muzułmanów terytoria – od Maroka do Iranu i od Arabii Saudyjskiej do tureckiego wybrzeża Morza Czarnego. Terrorysty tymczasem potęgują grozę, mordując chrześcijan, jazydów, zachodnich dziennikarzy i generalnie każdego, kto nie podziela ich fanatycznej wersji sunnizmu.

Prawda jest jednak taka, że sukces Państwa Islamskiego jest wyłącznie propagandowy. Szanse na to, że kalifat stanie się czymś więcej niż tylko efemerycznym tworem, są zerowe. Państwo Islamskie wykorzystało nadarzającą się okazję, czyli narastające animozje między szyitami a sunnitami w Iraku i chaotyczną wojnę domową w Syrii. Wojska kalifa Ibrahima zajęły tereny, których w powszechnym chaosie nikt specjalnie przed nimi nie bronił. I doszli do ściany.

Granic kalifatu nie da się już w tej chwili poszerzyć. Na południu Iraku nie mają już żadnych sojuszników, szyici są przerażeni wizją nadejścia zbrojnych band sunnickich terrorystów, a niezbyt liczne i kiepsko uzbrojone oddziały Państwa Islamskiego nie mają najmniejszych szans na podbój terenów, na których nie sprzyja im duża część ludności cywilnej. Na północy wojska kalifatu zatrzymują Kurdowie. Na wschodzie jego granica opiera się o szyicki Iran, czyli państwo, którego armia mogłaby zakończyć istnienie kalifatu w kilka tygodni.

Podobnie jest na zachodzie. Kalifat ma wrogów, z którymi Państwo Islamskie nie ma szans nawiązać równorzędnej walki: Turcję, członka NATO, z 700-tysięczną armią, potężną Arabię Saudyjską i Izrael ze swoim nowoczesnym i sprawnym wojskiem. Jednak oczywiście nie chodzi wyłącznie o potencjały militarne. Kalif oraz jego ludzie chcieliby, żeby po ich stronie stanęli zwykli muzułmańscy obywatele państw arabskich i żeby z ich pomocą można było poszerzać granice kalifatu bez walki. Czy to jest możliwe? Na Bliskim Wschodzie na pewno da się zauważyć jakąś tęsknotę za wspólnym islamskim państwem. Marzenia o kalifacie są bliskie ludziom

w tych regionach, w których system szkolny praktycznie nie działa, a całą zachodnią kulturę z jej demokracją i humanizmem uważa się za dzieło szatana. Tylko że takich miejsc i ludzi, którzy wydawaliby tak jednoznacznie radykalne sądy, nie ma wcale aż tak wielu, żeby ludzie kalifa mogli liczyć na jakieś masowe poparcie.

W tej chwili dzięki chaosowi w Iraku i Syrii terroryści mogą liczyć na to, że ich władza jeszcze przez jakiś czas się utrzyma. Jednak od kiedy islamistami zainteresowali się Turcy, Saudowie i Amerykanie, dni kalifatu są policzone.

„Do Rzeczy” 25–31 sierpnia 2014 r.

W cieniu islamistów

„Odmówiłem im, bo mają brudne ręce” – powiedział ajatollah Chamenei, przywódca Iranu, zapytany o to, czy jego kraj przyjmie ofertę współpracy przy zwalczaniu Państwa Islamskiego złożoną przez USA. Wkrótce po tej wypowiedzi sekretarz stanu John Kerry ogłosił, że nie życzy sobie obecności Irańczyków na paryskiej międzynarodowej konferencji w sprawie powołania koalicji przeciw kalifatowi, bo Iran udziela wojskowego i finansowego wsparcia reżimowi Baszara al-Asada.

I chociaż do współpracy na razie nie doszło, to same próby jej podjęcia pokazują, jak bardzo powstanie Państwa Islamskiego zmieniło sytuację na Bliskim Wschodzie. Jeszcze niedawno same rozmowy na temat jakiejś formy współdziałania między USA a Iranem byłyby nie do pomyślenia. Tymczasem dziś ajatollah Chamenei mówi, że w Teheranie „są politycy, którzy ucieszyli się z amerykańskiej propozycji”, rzeczniczka Departamentu Stanu deklaruje zaś, że będą jeszcze okazje do amerykańsko-irańskich rozmów na temat sytuacji w Iraku.

Irański prezydent Hasan Rouhani, który przygotował grunt pod tę poprawę stosunków, cieszy się opinią polityka umiarkowanego i łagodnego reformatora, który chciałby doprowadzić do zakończenia trwającej od lat zimnej wojny między Iranem a Zachodem. Różni się pod tym względem od swojego poprzednika Mahmuda Ahmadineżada. Rouhani waży słowa i co rusz wykonuje pojednawcze gesty pod adresem Zachodu. Iran nie jest jednak zachodnią demokracją i obok głosu prezydenta jest jeszcze drugi, równie ważny, a może ważniejszy głos – duchowego przywódcy kraju. Ajatollah Chamenei wciąż trzyma się zaś retoryki, w której Ameryka jest wcieleniem zła, a Izrael „krajem, którego istnienie jest obrazą dla ludzkości”, albo „nowotworem, który trzeba usunąć”.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że irańscy liderzy grają dobrych i złych policjantów. Zachód nie może się dać na to nabrać. Przyjazny reformator Rouhani i zacięty dogmatyk Chamenei współrządzają państwem, które od lat zwodzi Zachód w sprawie wstrzymania programu nuklearnego. A jednocześnie wciąż wspiera różne ruchy terrorystyczne, na czele z Hamasem i Hezbollahem.

Powstanie Państwa Islamskiego sprawiło, że w oczach wielu zachodnich polityków Iran nagle przestał być krajem półbandyckim i awansował do rangi jednego z niewielu stabilnych państw w regionie oraz potencjalnego sojusznika. To bardzo groźne. Może się bowiem okazać, że gdy mię-

dzynarodowa koalicja rozprawi się w końcu z Państwem Islamskim, świat stanie przed znacznie poważniejszym problemem w postaci irańskiej bomby atomowej.

Oczywiście nadal planowane są nowe rundy negocjacji w sprawie irańskiego programu nuklearnego. Problem zszedł jednak na dalszy plan. Irańczycy wiedzą zaś, że ich pozycja negocjacyjna bardzo się umocniła, i będą próbowali to wykorzystać. Jeśli jednak okaże się, że sprawy przybierają zły obrót, to Izrael na pewno nie będzie się temu biernie przyglądał. Izraelczycy nie mogą beczynn timer czekać na zagładę.

„Do Rzeczy” 22–28 września 2014 r.

Jak namierzyć wroga

Powinniśmy mobilizować każdego, również muzułmanów, do sprzeciwiania się barbarzyństwu. Tylko tak można wygrać wojnę z terroryzmem.

Strzały, które w środowe przedpołudnie padły w redakcji tygodnika „Charlie Hebdo”, były wymierzone nie tylko w jego dziennikarzy i rysowników. Były wymierzone w cały wolny świat. Atak terrorystyczny na paryskich dziennikarzy to kolejna bitwa, którą naszej zachodniej cywilizacji wytoczył barbarzyński terroryzm.

Trwa trzecia wojna światowa, wojna z terroryzmem. Nie ma na niej wprowadzie linii frontu ani milionowych armii, nikt nie zrównuje z ziemią miast, nie ma masowych rzezi ani czystek etnicznych. Nie bardzo wiadomo, czy i jak można tę wojnę definitywnie rozstrzygnąć, a często niejasne jest nawet to, gdzie skierować uderzenie odwetowe. Nie ma z kim negocjować warunków zawieszenia broni. Jednak choć nie jest to konflikt podobny do tych, które znamy z historii, to nie ma wątpliwości, że jesteśmy na wojnie.

Mimo wszystkich trudności związanych z tą wojną nowego typu trzeba koniecznie starannie zdiagnozować, kim jest nasz wróg. Są nim muzułmańscy fundamentaliści posługujący się zdziczałą interpretacją islamu. Na świecie żyją setki milionów muzułmanów, dla których zachowanie terrorystów to wstyd i hańba. W krajach arabskich wyznawcy Allaha stanowią ogromną część ofiar fundamentalistów.

Warto o tym pamiętać, bo w takich tragicznych momentach jak ostatni zamach w Paryżu oburzenie i gniew często biorą górę nad racjonalną oceną sytuacji. Łatwo oskarżać o zbrodniczość wszystkich muzułmanów albo islam. Takie postawienie sprawy nie tylko nie zbliży nas jednak do zakończenia wojny, ale jeszcze ją podsyca, nakręcając spiralę przemocy.

Krótko mówiąc, walcząc z terrorystami, musimy przestrzegać reguł, które nas od nich odróżniają. Jest to niezwykle trudne, o czym najlepiej świadczą doświadczenia Izraela. Broniąc się, państwo żydowskie wyrządza krzywdy Palestyńczykom, co skutkuje potępieniem ze strony dużej części zachodniego świata. Gdy walczy się o własną egzystencję, przestrzeganie wyśrubowanych norm jest często bardzo trudne. Nie znaczy to jednak, że można o tych normach zapominać. Jeśli do celów walki z terroryzmem zniszczymy naszą demokrację, pogwałcimy nasze konstytucje i porzucimy ugruntowany w zachodniej tradycji szacunek dla każdego człowieka, to terroryści odniosą największe zwycięstwo. Właśnie zniszczenie tych wszystkich wartości jest ich celem.

Jeśli dziś pójdziemy w stronę zderzenia cywilizacji, to będziemy realizować cel, który postawiło sobie Państwo Islamskie. O totalnej wojnie muzułmanów z niewiernymi mówią dziś kalif Al-Baghdadi i jego zwolennicy. Nasza strategia powinna być inna. Powinniśmy mobilizować każdego, również muzułmanów, do sprzeciwiania się barbarzyństwu. Tylko tak można tę wojnę wygrać.

W Europie i USA po kolejnych zamachach życie dość szybko wraca do normy. Paryż nie płonie, a przeciętny Francuz czy Amerykanin na co dzień nie odczuwa zagrożenia życia. Jednak wojna z terroryzmem jest nieprzewidywalna. W każdej chwili może nabrać tempa.

Zamachów coraz częściej dokonują „samotne wilki”, ludzie niepowiązani z organizacjami terrorystycznymi, którzy działają na własną rękę i których niemal nie sposób zawczasu wytropić. Każdy taki zamach to większe prawdopodobieństwo, że dojdzie do następnych, bo jeden fanatyk daje przykład kolejnym.

Jest jednak scenariusz o wiele gorszy niż po prostu nasilenie się pojedynczych ataków terrorystycznych. Można sobie wyobrazić, że w ręce fundamentalistów wpada wyprodukowana w Iranie bomba atomowa. Chociaż niebezpieczeństwo jest realne, to duża część świata jest na to obojętna. Izrael i Stany Zjednoczone, które próbują zapobiec wyprodukowaniu w Iranie takiej bomby, są w tej sprawie niemal osamotnione. Jeśli świat się nie obudzi, to takie zamachy jak ten sprzed kilku dni w Paryżu zapamiętamy jedynie jako wstęp do prawdziwej apokalipsy.

„Do Rzeczy” 12–18 stycznia 2015 r.

Dżihadyci jak naziści

W dawnych czasach każda wojna, która kończyła się decydującym zwycięstwem jednej ze stron, oznaczała całkowitą ruinę dla przegranych. Mordowanie mieszkańców całych miast było na porządku dziennym, nikt nie brał jeńców. Domy i święte miejsca zrównywano z ziemią. Tak to wyglądało tysiące lat temu.

Chcielibyśmy wierzyć, że dziś jest inaczej, że nawet jeśli już dochodzi do wojen, to toczą się one w bardziej cywilizowany sposób. Wydaje nam się, że szacunek do życia ludzkiego i dorobku kulturowego jest większy niż u barbarzyńskich plemion sprzed stuleci. Nie mieści nam się w głowie, że ktoś mógłby z rozmysłem niszczyć skarby kulturowego dziedzictwa ludzkości. To dlatego takie poruszenie wywołały na całym świecie filmy opublikowane ostatnio przez Państwo Islamskie (PI). Widać na nich, jak jego bojownicy niszczą liczące 3 tys. lat posągi.

Światowym mediom łatwo przychodzą więc porównania do barbarzyńskich plemion, do band łupiących Rzym Wandalów. Prawda jest jednak taka, że Zachód nie musi sięgać do tak dalekiej historii, żeby znaleźć odpowiednie porównania. Całkiem niedawno w samym środku cywilizowanej Europy działo się to samo, tylko na znacznie większą skalę. Niemcy, chcąc całkowicie zlikwidować naród żydowski, nie tylko mordowali ludzi, lecz także burzyli synagogi, niszczyli cmentarze, palili książki. Małą część publikacji autorstwa Żydów i o Żydach zgromadzili w magazynach w mieście Offenbach. Minister III Rzeszy do spraw okupowanych terytoriów wschodnich Alfred Rosenberg chciał prawdopodobnie stworzyć coś na kształt małego muzeum, w którym można byłoby oglądać próbkę zlikwidowanej przez Niemców żydowskiej kultury. Wszystko poza tym miało być zniszczone. Wyższość, z jaką Zachód odnosi się do „prymitywów” z PI, jest więc podszyta chęcią zapomnienia o własnej, nie tak odległej historii.

Można zatem zadać pytanie: Czy obecne wydarzenia na Bliskim Wschodzie i szaleństwa kalifatu są elementem wojny cywilizacji czy po prostu wynikiem uniwersalnej pod każdą szerokością geograficzną tendencji społeczeństw do utraty zdrowego rozsądku i ślepego zawierzenia zbrodniczym ideologiom, jeśli zaistnieją dobre ku temu warunki?

Jednocześnie pisze się często, że bojownicy PI dokonują drastycznych zbrodni i robią rzeczy szokujące, by bulwersować Zachód. Miałby to być element wojny psychologicznej, pokaz siły i gotowości na wszystko. Takie postawienie sprawy to błąd. Masakry, brutalne mordy i niszczenie zabyt-

ków to nie jest propagandowa prowokacja islamistów. To jest ich cel i powód, dla którego w ogóle zaczęli walczyć. Wszystko, co nie jest związane z islamem, ma zniknąć z powierzchni ziemi.

Czy reszta świata zdobędzie się na wysiłek zduszenia kalifatu? Czy ktoś podejmie próbę ratowania honoru ludzkiej cywilizacji? Na razie brak odpowiedzi na to pytanie, ale dotychczasowe doświadczenia nie nastrajają optymistycznie. Ze sprawą PI ściśle związana jest kwestia Iranu. Jest on jednym z cichych centrów światowego terroryzmu. Prawie nie ma organizacji terrorystycznych, których nie wspiera Iran. Chociaż jego przywódcy deklarują co innego, prawda jest taka, że popierają oni PI, którego cele są co do zasady zbieżne z celami irańskiej elity politycznej. Iran jest państwem, którego ideologiczną podstawą jest religia i które jednocześnie jest regionalnym mocarstwem, a niedługo może stać się mocarstwem światowym. Stanie się tak, jeżeli świat dopuści do tego, by Irańczycy skonstruowali bombę atomową.

Jeszcze niedawno dla większości państw zachodnich to wszystko było dość jasne. Gdy jednak nad Bliskim Wschodem zawisła groźba PI, zachodni politycy zaczęli postrzegać Iran jako umiarkowaną siłę w zapalnym regionie świata. To niebezpieczne podejście. Iranowi istnienie PI jest na rękę z różnych powodów, a jednym z nich jest możliwość wykorzystania kryzysu do uzyskania ustępstw w negocjacjach z Zachodem. Dlatego zadanie, które stoi dziś przed światem, to nie tylko pokonanie PI. Należy to zrobić w taki sposób, żeby obok nie wyrosło jeszcze większe zagrożenie.

„Do Rzeczy” 6–22 marca 2015 r.

Jak przeżyć trzecią wojnę światową

To już dla mnie tradycja, że gdy w Polsce wchodzę do pokoju, od razu włączam programy historyczne Bogusława Wołoszańskiego. Odcinki ukazujące dzieje XX w. są mi bardzo bliskie. Doskonale pamiętam tamte dramatyczne czasy. Można więc powiedzieć, że poniekąd to moja prywatna historia.

Bez wątpienia porównując to, czego doświadczyły społeczeństwa w XX w., z warunkami życia dzisiaj, każdy dojdzie do wniosku, że obecnie jest o wiele bezpieczniej niż za czasów naszych rodziców, dziadków i pradziadków. To bezpieczeństwo jest oczywiście tylko pozorne. Powszechny terror sprawia bowiem, że mamy do czynienia z trzecią wojną światową. Wystarczy włączyć telewizor, aby usłyszeć, jak serwisy informacyjne donoszą o kolejnym ataku terrorystycznym: we Francji, w Turcji, Izraelu lub Afganistanie. W Kabulu podczas tylko jednego zamachu zginęło 12 osób, a niemal 70 zostało rannych. W Iraku do podobnych eksplozji, w których giną dziesiątki lub setki osób, dochodzi minimum raz w tygodniu. Setki cywili ginie też co miesiąc w Somalii, Sudanie, Nigerii. Codziennego terroru doświadczają mieszkańcy Syrii, którzy żyją w kraju objętym już nie tylko wojną domową, lecz także konfliktem, w którym ścierają się między innymi bojownicy libańskiego Hezbollahu, islamskiego kalifatu, wojsownicy z Iranu etc.

Informacje o zamachach, o nowych ofiarach są tak częste, że zaczęliśmy rozmawiać o terrorze jak o pogodzie. Pojawili się już nawet tacy, którzy twierdzą, że z terrorystami nie da się wygrać i że nie jesteśmy już w stanie wypłenić tego dzikiego, brutalnego, szatańskiego zjawiska. Przekonują, że z terrorem trzeba się nauczyć żyć. A o tym, że są na świecie ludzie, dla których życie innego człowieka jest nic niewarte, przekonaliśmy się już w XX w. W Polsce nie ma bowiem rodziny, która nie straciłaby kogoś podczas II wojny światowej.

Człowiek ma w sobie prawdopodobnie dwie dusze: tę dobrą i tę złą. Te dwie strony istoty ludzkiej widać wyraźnie w dramatycznych sytuacjach, w czasach kryzysu, biedy, epidemii. Widać, gdy do władzy dochodzą lewicowi i prawicowi populiści, demagodzy i faszyci. Wówczas zło staje się codziennością. Wówczas każdy gestapowiec staje się nagle panem życia i śmierci, który może zabić z byle powodu. Tylko dlatego, że ktoś jest Żydem, Polakiem, Romem lub niepełnosprawnym. Bez sądu. Bez przyczyny.

Z nienawiści. Reżim hitlerowski nie był rzeczą jasną jedynym, który obudził w milionach ludzi ich ciemną stronę.

Dzisiaj można się zastanawiać, jak to możliwe, że islamistycznym przywódcom udaje się znaleźć tylu mężczyzn i tyle kobiet, którzy chcą stać się dżihadystami. Którzy są gotowi poświęcić życie dla realizacji pseudoreligijnego celu i którzy tak chętnie odbierają życie innym w kolejnych aktach terroru.

Niestety tzw. postępowcy na Zachodzie po międzynarodowych interwencjach w Iraku i Afganistanie przekonują, że świat nie powinien interweniować, że nie powinien mieszać się w sprawy innych narodów. Takie antymoralne podejście nie tylko sprzyja poczuciu obojętności wobec dyktatorów i terrorystów, lecz także legitymizuje nieograniczoną władzę tyranów i despotów nad milionami ludzkich istnień.

To właśnie z tego powodu ONZ jest tak straszliwie bezsilne. Polityczna poprawność i propagowanie ideologii niemieszania się „w wewnętrzne sprawy” danego kraju sprawiają, że błękitne hełmy nie mogą zaangażować się w powstrzymanie rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Z tego powodu ta światowa organizacja, którą tworzono z tak ogromnymi nadziejami, nie ma odwagi interweniować w Korei Północnej. A przecież w tym kraju terror państwowy panuje od dziesięcioleci!

Jak więc przetrwać tę trzecią wojnę światową? Należy robić, co tylko można, by walczyć z terrorem, by chronić naszą kulturę, nasze zabytki, nasze wartości. Zbliży się bowiem czas, kiedy takie reżimy jak irański lub północnokoreański będą gotowe do użycia broni masowego rażenia. W Izraelu od lat musimy już żyć od jednego aktu terroru do drugiego i od jednych negocjacji pokojowych do drugih. Oczywiście w tym samym czasie ludzie chodzą do restauracji, pisarze tworzą wielkie dzieła, a architekci zmieniają Tel Awiw w drugi Paryż. Nie wszyscy zdołali się jednak przyzwyczaić do normalnego życia w nienormalnych warunkach. Niemal 800 tys. Izraelczyków wyemigrowało z Izraela. Terror był jednym z powodów ich decyzji. Zagrożenie terrorem rośnie również w Europie, której mieszkańcy cieszą się obecnie wyjątkowo długim okresem bez wojen i otwartymi granicami. Ufam jednak, że Europejczycy zdają sobie sprawę z tego, jak wielka to wartość, i nie popełnią znaczących błędów.

Wielkiej katastrofie zapobiec może jednak tylko współpraca między mocarstwami. I to współpraca na podstawie nie tylko wspólnych interesów, lecz także wspólnych wartości.

„Do Rzeczy” 31 sierpnia–6 września 2015 r.

Sen o zniszczeniu islamistów

Magazyn „Forbes” opublikował doroczny ranking najpotężniejszych ludzi świata. Jako Izraelczyk jestem zadowolony, że Benjamin Netanjahu znalazł się na 21. miejscu. Pierwsze, kolejny raz, zajął prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin. Na drugiej pozycji znalazła się Angela Merkel, a na trzeciej Barack Obama.

Z pierwszą trójką w tym zestawieniu mam problem. Czy autorzy rankingu wzięli pod uwagę popularność przywódców, ich wagę na świecie lub potęgę militarną państw, na których czele stoją?

Bez wątpienia już od kilku dekad najpotężniejszym przywódcą jest bowiem każdy kolejny prezydent USA, nawet jeśli w mediach nazywany jest „słabym”. Oczywiście nie mamy możliwości merytorycznego zbadania „słabości”. Taka ocena wynika z osądu opinii publicznej, która zmienia się w świetle dramatycznych działań i zjawisk, jakimi zajmują się media.

Słusznie drugie miejsce przypadło Angeli Merkel, która odgrywa rolę cesarza Europy. To dzięki niej Niemcy rządzą obecnie UE. Oczywiście można powiedzieć, że Brytyjczycy nie mają takich aspiracji, a i Francuzi wolą obecnie grać drugie skrzypce. Na to wszystko z przymrużeniem oka patrzą Chińczycy – choć ich przywódca w rankingu znalazł się na piątym miejscu, zapewne są oni przekonani, że Chinom należy się miejsce w ścisłej czołówce.

W zestawieniu wysoko powinni być też niestety terroryści, a zwłaszcza przywódca najpotężniejszej obecnie organizacji terrorystycznej, czyli Państwa Islamskiego (PI). Nie ma wątpliwości, że to ich działania doprowadziły do katastrofy rosyjskiego samolotu na półwyspie Synaj – nieopodal Izraela – w której zginęły 224 osoby. To zapewne odpowiedź na wojskową interwencję Rosji przeciw PI, która dotychczas nie przyniosła i zapewne nie przyniesie oczekiwanego rezultatu. Zwłaszcza że katastrofa samolotu sprawiła, iż coraz więcej Rosjan negatywnie ocenia działania Moskwy w Syrii. Sam Putin – choć nadal niezwykle popularny – nie może tego lekceważyć.

Również obecna polityka amerykańska skazana jest na niepowodzenie. Barack Obama wychodzi z założenia, że każdy scenariusz rozwiązania konfliktu musi się wiązać z końcem reżimu Al-Asada. To zaś oznacza, że USA pomagają „liberalnej” opozycji syryjskiej. Ta jest jednak słaba. Miliony potencjalnych zwolenników liberalnych władz uciekły już do Jordanii, Syrii, a także do Europy. Wśród nich była ogromna część syryjskiej elity,

która po wydostaniu się z piekła z pewnością nie będzie chciała już do niego wrócić. Nie ma więc szans na sformowanie liberalnego rządu przyszłej Syrii, obejmującej zapewne o wiele mniejsze terytorium. Spodziewam się jednak, że Obama będzie się trzymał swojej strategii do końca, czyli do stycznia 2017 r.

Putin pragmatycznie podchodzi do kwestii przyszłości Syrii. Po ucieczce 5 mln osób dla władz w Moskwie mówienie o budowaniu demokracji na Bliskim Wschodzie to po prostu „fantazje proroka Obamy”. Kreml ma jednak ograniczone pole manewru, zwłaszcza że rosyjska gospodarka wciąż jest zależna od eksportu ropy i gazu.

Islamscy terroryści zajmują więc kolejne terytoria. Dysponują też ogromnymi pieniędzmi. Udało im się pograżyć w chaosie Bliski Wschód, który zawsze był wielką beczką prochu. Wystarczy jedna zapalکا, żeby rozpać ten region. I przywódcy PI mają w ręku taką zapalکا. W czasach, gdy ani Rosja, ani USA, ani Europa nie chcą ryzykować wybuchu trzeciej wojny światowej, już wywołali ją terroryści.

Prawdopodobnie jedynym rozwiązaniem byłoby stworzenie przeciw Państwu Islamskiemu ogromnej koalicji, w której skład weszłyby: USA, Rosja, Iran, a także kraje arabskie. Izrael nie będzie mógł być formalnie częścią takiego sojuszu, aby nie tworzyć wśród muzułmanów negatywnego podejścia do całej inicjatywy. Jednocześnie trzydniowa wizyta premiera Netanjahu w USA i spotkanie z prezydentem Obamą pokazały, że Izrael ma w walce z Państwem Islamskim do odegrania ogromną rolę z trzech powodów. Po pierwsze, ze względu na świetne służby wywiadowcze. To właśnie Izrael przekazał USA kluczowe informacje o ostatnim zamachu na rosyjski samolot. Po drugie, izraelscy eksperci są świetnie przygotowani do prowadzenia cyberwojny, a cyberataki to przecież nieodłączna część współczesnego terroryzmu. Po trzecie wreszcie, jeśli w przyszłości Państwo Islamskie zagrozi bezpośrednio Jordanii lub Egiptowi, to już teraz intensywna współpraca wywiadowcza między naszymi krajami stanie się jeszcze bardziej prężna. W ten sposób Izrael pomoże nie tylko USA, lecz także całemu światu, który potencjalnie może pać ofiarą islamistów. Wracając do oficjalnego sojuszu, powstanie tak szerokiej koalicji wymaga zawarcia porozumienia przywódców różnych państw, a przecież wiele krajów, np. Chiny, zamierza zarobić na tym konflikcie.

Tylko taki sojusz może jednak doprowadzić do likwidacji PI i powstania nowych stabilnych Syrii i Iraku. Zdaję sobie sprawę, że ten scenariusz też wygląda obecnie jak fantazja. Bez fantazji, bez marzeń i bez snów nie da się jednak naprawić świata. Dlatego nie można ich lekceważyć.

„Do Rzeczy” 16–22 listopada 2015 r.

Zachód czeka trudny rok

Na przełomie lat 2015 i 2016 w centrum izraelskiej stolicy Tel Awiwie mężczyzna ostrzelał pub. Terrorysta, najprawdopodobniej 29-letni Arab, obywatel Izraela, zamordował w barze dwóch Izraelczyków, ośmiu innych ranił, trzech ciężko. Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” nie został schwytany ani zabity. Niestety, nie był to odosobniony incydent, ale element fali przemocy, która od października narasta w Jerozolimie, Tel Awiwie i na terytoriach Autonomii Palestyńskiej.

W atakach dokonywanych za pomocą noża, broni palnej czy bomb – których sprawcami są najczęściej młodzi ludzie, czasem studenci – zginęło już co najmniej ośmiu Izraelczyków. Część mieszkańców dużych izraelskich miast coraz bardziej boi się więc wychodzić na ulice czy posyłać dzieci do szkół.

Podobny strach odczuwają mieszkańcy Paryża i wielu zachodnich metropolii. Terrorysty z Daesh grożą atakami całemu światu. Tylko w ostatnich tygodniach bestialsko zamordowali kilku Brytyjczyków i 14 Amerykanów. Prawdopodobnie zaś od momentu napisania do publikacji tego felietonu ofiar będzie jeszcze więcej.

Z islamskimi terrorystami walczy już więc prawie cały wolny świat. Niestety, nawet jeśli wojskowe operacje prowadzone przez Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Francję, Rosję, armie iracką i kurdyjską doprowadzą w końcu do zmniejszenia tzw. Państwa Islamskiego, to Daesh nadal będzie istnieć. Terrorysty do działania nie potrzebują bowiem nawet centymetra ziemi okupowanej przez Daesh. Do brutalnych mordów wystarczy im ideologia. I nie uda się ich pokonać dopóty, dopóki w świecie muzułmańskim będą istnieć osoby, które są gotowe poświęcić swoje życie, aby mordować niewinnych ludzi należących do innych religii czy innych odłamów islamu.

Zarówno po pierwszej, jak i po drugiej wojnie światowej wielu miało nadzieję, że więcej globalnych konfliktów już nie będzie. I choć na świecie nigdy nie było spokoju – wybuchały krwawe konflikty w byłej Jugosławii, Rwandzie, Kambodży, Korei, w krajach Ameryki Południowej czy Czeczenii, toczyły się wojny między Irakiem i Iranem, między państwami arabskimi i Izraelem – to obecny świat jest lepszy, niż był jeszcze 20–30 lat temu. Przybyło państw demokratycznych. Niemalże zniknął kolonializm. Lepiej radzimy sobie z problemem głodu na świecie, skuteczniej walczymy z epidemiami.

Obecna wojna, wojna z islamskimi terrorystami, wywołuje jednak strach na całym świecie i gasi ducha mieszkańców wolnego świata.

Nazywałem już ten konflikt na łamach „Do Rzeczy” trzecią wojną światową. Jest ona inna niż poprzednie dwie. To bowiem konflikt, u którego podstaw leży zderzenie cywilizacji, zderzenie religii.

Trzecia wojna światowa – za którą stoją islamисти z Daesh – toczy się według zupełnie innych reguł. I dlatego tysiące terrorystów jest w stanie sprawić, że w strachu na Zachodzie żyją miliony. W 2015 r. mieszkańcy metropolii bali się pójść na spacer do centrum, świętować nadejście nowego roku na miejskich placach czy pójść do restauracji lub do pubu.

Czy w roku 2016 zachodnim rządów uda się uspokoić sytuację? Czy władze zdołają sprawić, że będziemy świadkami choćby początku końca Daesh? Prawdopodobnie nie. Świat zachodni musi jednak bronić swoich osiągnięć, wartości i praw. Powinien więc polepszyć służby wywiadowcze i doprowadzić do ich efektywniejszego współdziałania.

Powinien też próbować sprawić, by terrorystom trudniej było rekrutować nowych bojowników. Nie jest to jednak łatwe. Weźmy znów przykład z Izraela. 30 grudnia izraelskie władze postanowiły przeznaczyć 15 mld szekli (ok. 15 mld zł) na plan rozwoju miasteczek i wiosek arabskich w Izraelu. Dzień po tym doszło do wspomnianego przeze mnie ataku terrorystycznego – zamachowiec pochodził z jednej z wiosek, które mają otrzymać owe pieniądze.

Podobne problemy może mieć zachodni świat, który co roku przyjmuje setki tysięcy uchodźców. Nigdy w historii państwa demokratyczne nie musiały jeszcze zdawać tak trudnego egzaminu. Jak długo świat zachodni przetrwa? Czy nie „zarazi się” od terrorystów? Na razie wiadomo jedynie, że czeka nas bardzo trudny 2016 r. I chociaż wnukom czy studentom zawsze powtarzam, że nie wolno tracić nadziei, to obecna wojna sprawia, że nadziei tej nie mam zbyt wiele.

„Do Rzeczy” 11–17 stycznia 2016 r.

Pamiętnik czasów terroru

Zachód zbyt łatwo zapomniał o terrorze. Po zakończeniu zimnej wojny zachodnie społeczeństwa za szybko ogłosiły czas niczym niezmałconego spokoju, w którym największą bolączką był co najwyżej strach przed spowolnieniem gospodarczym. Zachód bardzo nieroztropnie zapadł w głęboki, spokojny sen.

Brutalne wybudzenie przyniósł ze sobą 11 września 2001 r. Nagle okazało się, że odtrąbienie końca wszelkich niebezpieczeństw było przedwczesne. Bomby, które zaczęły potem wybuchać w Europie, pogłębiały poczucie bezsilności w starciu z ekstremizmem islamskim. Zwykle jest tak, że im wyżej się wejdzie, tym bardziej boli upadek. Podobnie jest moim zdaniem z reakcją Zachodu na zagrożenie terrorystyczne: zderzenie z rzeczywistością było tym brutalniejsze, im bardziej wierzone, że zagrożenia już nie ma.

Ten głęboki sen w poczuciu pełnego bezpieczeństwa zranił psychikę zachodnich społeczeństw. Widać to świetnie dziś, gdy obserwujemy reakcję Europejczyków na kolejne zamachy. Szczególnie listopadowe ataki w Paryżu i marcowe zamachy w Brukseli pokazują, że Zachód pod względem psychologicznym powoli ulega terrorowi. W pewnym stopniu ekstremiści dopięli swego: czarny cień terroru sparaliżował Europejczyków. Zupełnie niepotrzebnie. Terror nie jest bowiem czymś wyjątkowym ani charakterystycznym tylko dla naszych czasów. W XX w. – choć pod różnymi postaciami – terror męczył ludzi niemal pod każdą szerokością geograficzną. Skoro jednak nasi dziadkowie i ojcowie potrafili w jego cieniu żyć i nie dali mu się obezwładnić, to dlaczego nam miałoby się to nie udać? Czyżbyśmy byli ulepieni z gorszej gliny? Oczywiście, że nie. My również możemy nauczyć się żyć w świecie, w którym nasi przeciwnicy na różne sposoby próbują za pomocą terroru wywrócić nasze życie do góry nogami. Zachodnie społeczeństwa nie mogą jednak wyzbyć się złudzeń i muszą się pogodzić z rzeczywistością: świat to nie bajka, ale brutalne miejsce.

Żyję już wystarczająco długo, żeby napisać coś w rodzaju pamiętnika terroru.

Kiedy urodziłem się w 1935 r. w Borysławiu we wschodniej Polsce, tuż za granicą w ZSRS mordowano codziennie tysiące ludzi. Czy to nie był terror? Ten wewnętrzny terror jest nawet gorszy niż zewnętrzny, ponieważ jest zinstytucjonalizowany, zakrojony na szerszą skalę i staje się elementem codzienności.

W tym samym czasie w Niemczech już od dwóch lat trwał terror wewnętrzny innego rodzaju. Naziści jeszcze nie zaczęli systematycznej likwidacji Żydów, ale już rozpoczęli krwawą rozprawę z liberałami i lewicową elitą.

Apogeum terroru to II wojna światowa: ludzie na trzech kontynentach odczuli ten koszmar, a jeden naród został w tym czasie nieomal unicestwiony.

A czy kolonializm europejski w Afryce i na Dalekim Wschodzie nie był terrorem? Przecież każdy imperializm zawiera w sobie elementy terrorystyczne. Na temat zimnej wojny i ówczesnego terroru nuklearnego nawet nie będę się rozpisywał.

Wydawać by się mogło, że to wszystko oczywiste rzeczy, ale gdy patrzę dziś na zachodnie społeczeństwa, mam wrażenie, iż ludzie zapomnieli, czym był prawdziwy terror. Skoro cywilizowany świat poradził sobie z różnymi odmianami totalitarnego terroru, który zabijał miliony ludzi, to dzisiejszy radykalny islamizm nie powinien nas chwycić za gardło. Czasem terrorystom uda się zabić trzy osoby, czasem 33, a czasem 130. Dla rodzin, które tracą swoich bliskich, każda strata bliskiego to koniec świata, ale te „punktowe” tragedie nie mogą paraliżować całych narodów!

Być może ktoś powie, że łatwo wzywać do opamiętania obywatelowi Izraela, kraju bardzo zmilitaryzowanego, który od samego początku żyje w cieniu terroru i po prostu przyzwyczaił się do trudnych warunków. Kraju, w którym kobiety służą w armii ramię w ramię z mężczyznami. To prawda, że my, Izraelczycy, mieliśmy wiele okazji, żeby zahartować się przed strachem, który niesie ze sobą terror. To nie jest łatwy proces, ale jeżeli się go nie rozpocznie, to prędzej czy później terror zupełnie obez władni swoje ofiary. Nie dajmy tej satysfakcji terrorystom.

„Do Rzeczy” 11–17 kwietnia 2016 r.

Wojna bez końca

Dwóch palestyńskich kuzynów z wioski pod Hebronem przeprowadziło 8 czerwca w Tel Awiwie zamach, w którym zginęły cztery osoby, a kilka zostało ciężko rannych. Zamachowcy zostali złapani. To niby dość zwyczajna sytuacja. Konflikt izraelsko-palestyński trwa już ponad 100 lat. Były zdarzenia przed powstaniem państwa izraelskiego, po jego utworzeniu, no i m.in. też sześć wojen, nie tylko z Palestyńczykami, lecz także z różnymi państwami arabskimi, oraz trzy powstania samych Palestyńczyków, tzw. intifady. Tego, co się dzieje w ostatnim półroczu, jeszcze nie nazywamy intifadą, tylko osobistym terroryzmem. Co to znaczy? Tyle, że jeden Palestyńczyk czy dwóch z własnej inicjatywy przechodzą na stronę izraelską i dokonują zamachów. Chociaż Izrael jest okrażony murami, co utrudnia przekroczenie granicy, to jednak są jeszcze miejsca, gdzie nie ma murów – np. w okolicach miasta Hebron.

Społeczeństwo Izraela jakoś z tym żyje, jednak do śmierci nie można się przyzwyczaić. Wojna terrorystyczna nie ma granic i przeważnie nie ma możliwości zawarcia jakiegokolwiek rozejmu. Podobnie jak w Orlando. Sam prezydent Obama podkreślił, że to była konkretna inicjatywa jednego człowieka. A ze znalezieniem pojedynczego terrorysty planującego zamach nawet najlepsze służby bezpieczeństwa nie zawsze dają sobie radę. Nie udaje się to w Izraelu, w Stanach Zjednoczonych, we Francji ani w innych miejscach. Ta wojna nie ma reguł, jest w nią zaangażowany cały świat. Każda masakra tworzy i potęguje strach, więc z tego punktu widzenia terrorystom już się udało. Strach wywiera ogromny wpływ na politykę wewnętrzną i międzynarodową państw na całym świecie. Walka z terroryzmem w Izraelu, tak jak w innych krajach demokratycznych, jest nierówna. Terrorysty mogą robić wszystko – mordować, strzelać w każdym kierunku, do każdego, o każdej porze, w każdym miejscu. Państwo demokratyczne ma reguły, ma wartości, ma sądy.

Dzielnica Tel Awiwu, w której dokonano zamachu, nazywa się Sarona. Ma bardzo ciekawą historię. Została stworzona w XIX w. przez Niemców, którzy przyjechali do Ziemi Świętej z powodów religijnych i utworzyli kilka wiosek. Sarona stała się jednym z najpiękniejszych miejsc w Tel Awiwie. Dziesiątki tysięcy Żydów i Arabów z całego Izraela spędzają tam wolny czas. Dwóch terrorystów wybrało więc tę dzielnicę na cel ataków nieprzypadkowo. Wiedzieli, że można dokonać tam prawdziwej masakry

i zabić wielu Żydów. W zamachu mogło też zginąć wielu izraelskich Arabów, przecież społeczeństwo izraelskie to w 20 proc. Arabowie. Jednak to nie miało dla terrorystów żadnego znaczenia.

Bardzo efektywnym izraelskim tajnym służbom nie zawsze udaje się powstrzymać terrorystów. Według upublicznionych w ostatnim czasie statystyk mniej więcej 85 proc. planowanych zamachów zostaje udaremnionych, ale 15 proc. dochodzi do skutku. Izrael próbuje się bronić przed terroryzmem również poprzez odgradzanie się murami albo zamykanie granic. Jednak nie można tego zrobić na długi czas, ponieważ nawet w sytuacji takiej osobistej intifady prawie 100 tys. Arabów przekracza legalnie granice. Pracują w Izraelu, a wieczorem wracają do swoich domów w Autonomii Palestyńskiej. Długotrwałe zamknięcie granic może doprowadzić do głodu w Autonomii, a do tego Izrael nie chce dopuścić nie tylko z powodów humanitarnych, lecz także praktycznych. Wtedy wojna się rozszerzy, wielu Palestyńczyków nie będzie już miało niczego do stracenia.

Wojna z terroryzmem nie ma końca, bo nawet jeżeli uda się zniszczyć Państwo Islamskie, to idea tego typu walki i motywacja do niej już zdobyła samodzielność. W dodatku ma bardzo efektywnych kurierów – wszystkie nowoczesne instrumenty elektronicznej komunikacji. Podstawową ideą grup terrorystycznych działających obecnie na świecie jest zniszczenie wszystkiego, co jest nowoczesne, co nie jest islamskie i co nie jest islamskie według ich interpretacji. Dlatego też mordują systematycznie także muzułmanów.

Wydaje się, że Europa nie ma takich możliwości jak Izrael. Nie można zamknąć np. Francji, Belgii czy całego Paryża, Brukseli lub Londynu tylko z tego powodu, że stamtąd wychodzi jakiś terrorysta. Powrót do czasów sprzed Schengen oznaczałby totalną zmianę polityczną i ideologiczną Unii Europejskiej. Ja bym aż tak daleko nie szedł i nie pozwolił terroryzmowi odnieść tak dużego zwycięstwa. Chociaż cała Unia powoli zaczyna się zamykać. Początkiem takiego zamknięcia jest umowa z Turcją w sprawie uchodźców.

Trzeba zrobić wszystko, by terroryzm miał jak najmniejsze konsekwencje. Należy wzmacniać służby bezpieczeństwa, jednak tak, aby nie przekroczyć wartości demokratycznych i humanitarnych, zacieśniać współpracę międzynarodową, bo terroryzm jest uniwersalny i w tej sprawie mamy jeszcze bardzo dużo do zrobienia. I – co bardzo ważne – nie możemy się poddawać, musimy prowadzić normalne życie dopóty, dopóki tylko można.

„Do Rzeczy” 20–26 czerwca 2016 r.

Wojna po nowemu

Mosul, miasto położone w północnym Iraku, jest w centrum tragedii, która rozgrywa się już od kilku lat na Bliskim Wschodzie. Używam słowa „tragedia”, a nie „wojna”, bo lepiej opisuje tę sytuację. Z podobnymi tragediami mieliśmy już w historii do czynienia, ale tym razem dzieje się ona w świecie, w którym tak dużo mówi się o prawach człowieka. W świecie nadziei, w którym już od ponad dekady w Ameryce Południowej panuje spokój (z wyjątkiem Kolumbii). W świecie, w którym sytuacja uspokoiła się również na Dalekim Wschodzie, nastąpiło status quo. W świecie, w którym powstała Unia Europejska i na Starym Kontynencie sytuacja z punktu widzenia dążenia do utrzymania pokoju wygląda zdecydowanie lepiej niż kilka dekad temu. Większy spokój zapanował również w Sudanie, Afryce Północnej i Jugosławii oraz w innych miejscach, w których jeszcze jakiś czas temu trwały konflikty.

To, co obecnie dzieje się w Mosulu, jest zjawiskiem straszniejszym niż sam terror. A to dlatego, że biorą w tym udział światowe mocarstwa – Rosja, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania – i inne nacje oraz kraje takie jak Iran, w jakimś stopniu Irak, Turcja i Kurdowie.

W ostatnich latach pojawiła się praca naukowa filozofa Zygmunta Baumana, w której profesor nie pierwszy raz pisał, że szybki i dramatyczny rozwój technologii wojskowej, powstawanie nowej broni, rakiet i narzędzi wojennych umożliwiają dokonanie coraz szybszego ludobójstwa, na coraz większą skalę. Tak jak to było podczas II wojny światowej, gdy technika od czasów pierwszej wielkiej wojny mocno się rozwinęła i przyspieszyła dokonywanie ludobójstwa. Te możliwości technologiczne tworzą dziś inne zjawisko – psychologiczne. Za sprawą nowej broni i nowoczesnej technologii żołnierze mogą być daleko od swoich ofiar. Nie mają ich przed oczami na kilka sekund przed ich śmiercią, co może powodować pewną „obojętność”.

Wojna to tragedia, zawsze jest przyczyną nowej nienawiści, szerzy strach i śmierć. Kiedyś pojawiła się teoria, że nowa technologia wojskowa doprowadzi do tego, iż wojny będą trwać krócej, będą szybsze. Jednak to, co się dzieje na Bliskim Wschodzie w kontekście konfliktu z Państwem Islamskim, przypomina manewry różnych mocarstw, testy nowej broni kosztem setek tysięcy cywili z Syrii, Iraku i innych miejsc, którzy uciekają stamtąd w poczuciu, że świat już ich nie chce, czując wyobcowanie i jakąś obojętność na ich los.

Nawet Rosja pod autorytarnymi rządami nie może sobie pozwolić na wysłanie żołnierzy na front. Władimir Putin ma ograniczoną możliwość używania armii przeciwko armii. Może nie ma w Rosji tak transparentnych wyborów jak np. w Stanach Zjednoczonych, ale wybory są, istnieje opinia publiczna. W Stanach Zjednoczonych posyłanie żołnierzy na odległe wojny jest już zupełnie niemożliwe, podobnie zresztą jak, od dawna, w Europie. Społeczeństwa demokratyczne, a nawet niedemokratyczne, w których istnieje jakakolwiek opinia publiczna, nie mogą sobie pozwolić na wysyłanie swoich córek i synów na zagraniczne wojny, a potem czekanie na lotniskach na ich trumny. Jest to już niemożliwe po wielu tragicznych doświadczeniach – w Korei, Wietnamie, Afganistanie i Iraku.

Jednak ten fakt nie spowodował, że wojen jest mniej. Teraz walczy się inaczej – z powietrza albo z daleka. To bardziej przypomina polowanie niż tradycyjną wojnę. Polowanie spowodowane różnymi interesami, ale jednak polowanie na ludzi. Jest to więc najważniejsza sprawa moralna, strategiczna, historyczna, kulturowa, a nawet religijna w dzisiejszych czasach. I z nią się muszą zmierzyć nowi liderzy w USA i Europie.

Być może po wyborach w Stanach Zjednoczonych nowa współpraca dyplomatyczna pojednanego świata zadba o mądrą wspólną politykę i da nadzieję na pokój również mieszkańcom Mosul.

„Do Rzeczy” 31 października–6 listopada 2016 r.

Pamięć i odpowiedzialność

Słuszna zemsta

„Żydzi się nie bronili, poddali się, szli jak owce na rzeź”. Ten mit do dziś jest żywy wśród wielu społeczeństw, a nawet wśród samych Żydów. Jest to pogląd zdumiewający. Jak wyglądała w czasie II wojny światowej sytuacja w Europie? Kolejne wielkie kraje padały jak muchy pod uderzeniami hitlerowskiej potęgi, a rozproszeni Żydzi nie tylko nie mieli własnej organizacji państwowej, własnych struktur, które pomogłyby się im zorganizować, lecz także oparcia w niemal żadnym z państw, w których żyli.

Czego można było się spodziewać po wysyłanych na śmierć Żydach, którzy nie posiadali bazy, na której mogliby oprzeć samoobronę? Otóż można było się spodziewać, że nie podejmą takiego wysiłku, jaki w rzeczywistości podjęli. Niemal 450 tys. Żydów walczyło w szeregach Armii Czerwonej, 140 tys. w armii amerykańskiej, 20 tys. w australijskiej, 80 tys. w szeregach różnych polskich formacji zbrojnych, kilkanaście tysięcy biło się w armii greckiej przeciw Włochom i Niemcom, istniała Brygada Żydowska przy armii brytyjskiej, a w szeregach samej British Army również walczyły tysiące Żydów. Można tak długo wymieniać. Niemal 1,2 mln Żydów chwyciło za broń, by walczyć z niemieckim nazizmem. W momencie rozpoczęcia wojny naród żydowski liczył 18 mln ludzi, a przeżyło ją 12 mln. Statystyki mówią same za siebie. Niewielki naród wystawił do walki ogromną liczbę ludzi. Kiedy mówimy o powstaniu w getcie, warto pamiętać o tym, że choć było ono wyjątkowym, doniosłym i bohaterskim przedsięwzięciem, to nie stanowiło odosobnionego przypadku żydowskiej walki z nazistowskimi Niemcami.

Przed wybuchem powstania w kwietniu 1943 r. rozgrywała się jednak również inna historia. W przedwojennej Polsce 10 proc. mieszkańców stanowili Żydzi. W Warszawie było ich procentowo więcej niż w innych częściach kraju. W polskiej stolicy żyło ok. 400 tys. Żydów, którzy stanowili jedną trzecią warszawiaków. Systematyczna zagłada żydowskiej ludności rozpoczęła się w 1939 r., po niemieckiej napaści na Polskę. Można powiedzieć, że Żydzi z zajętej przez bolszewików wschodniej części kraju dostali dwa dodatkowe lata życia. Jak się jednak okazało, oni też skazani już byli na śmierć. W 1942 r., po niesławnej konferencji w Wannsee, ogromna i wszechwładna niemiecka machina biurokratyczna została zaprzęgnięta do realizacji najbardziej barbarzyńskiego zadania w historii ludzkości. Rozpoczęło się tzw. ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej, czyli totalne i masowe ludobójstwo. Powstał jedyny w swym rodzaju przemysł

śmierci. Złamano wszelkie zasady cywilizacji chrześcijańskiej, a humanitaryzm stał się nic niewartym frazesem. W niemieckich obozach zagłady zginęły miliony ludzi. Właśnie w takich okolicznościach wybuchało powstanie w getcie. Tylko pamiętając o tym kontekście, możemy zrozumieć jego sens.

Według ostatnich badań w 1943 r. istniało w Europie prawie 30 tys. miejsc kaźni. Wlicza się w to obozy dla jeńców wojennych, obozy koncentracyjne i wiele tysięcy „zakładów śmierci” dla niepełnosprawnych, chorych i przedstawicieli różnych narodowości, w tym głównie Żydów. O tym, czyje życie było nic niewarte, decydowali Niemcy. Po tej bezprecedensowej zbrodni świat musiał odbudowywać nie tylko zrujnowane miasta i spalone wsie. Musiał odbudowywać wartości i reguły współżycia między ludźmi, które po tysiącach lat ewolucji i udoskonalania w ciągu kilku lat za sprawą Niemców legły w gruzach. Szacuje się obecnie, że w Zagładzie zginęło 50 tys. Żydów austriackich, 29 tys. belgijskich, 150 tys. czechosłowackich, 2 tys. estońskich, 60 tys. greckich, 212 tys. Żydów litewskich (czyli prawie 100 proc. Żydów zamieszkujących tamte rejony), 71 tys. łotewskich, 150 tys. niemieckich, ponad 70 tys. francuskich, ponad 100 tys. holenderskich, niemal 300 tys. rumuńskich, prawie 600 tys. węgierskich, prawie 70 tys. jugosłowiańskich, 1,2 mln rosyjskich. Żydów duńskich udało się na czas przenieść do Szwecji i zginęło ich ostatecznie 116.

W Norwegii z kolei Niemcom udało się zamordować 760 Żydów. Główny akt tego potwornego dramatu rozgrywał się w Polsce, która straciła 3 mln swoich żydowskich mieszkańców. To jest właśnie kontekst powstania w getcie warszawskim. 19 kwietnia 1943 r. w Warszawie niemal nie było już Żydów. Zostało ich 40, może 50 tys. Całą resztę Niemcy wywieźli do obozów zagłady. Umschlagplatz pracował wówczas dzień i noc. Niemcy wysyłali Żydów do Treblinki, która była ostatnią stacją w ich życiu.

Mówi się często, że powstanie w getcie było czynem desperackim, a celem powstańców było poniesienie godnej śmierci. Rzeczywiście, tak było, ale istniał też inny, niezwykle ważny, a być może najważniejszy aspekt żydowskiego zrywu. Powstanie w getcie było aktem zemsty i należy podkreślić, że w tej sytuacji zemsta była nie tylko uzasadniona z racjonalnego i emocjonalnego punktu widzenia. Była także słusznym wyborem moralnym. Niemoralna byłaby wówczas bezczynność. Również w tym kontekście zemsty narodu żydowskiego za potworne krzywdy należy odnotować jedno niezwykle istotne wydarzenie, które rozegrało się tuż po rozpoczęciu walk. 19 kwietnia przed południem Niemcy wkroczyli do getta, by je zlikwidować, i napotkali opór. Rozpoczęła się obrona getta. Niemcy się wycofali, przegrupowali i wrócili po południu już pod dowództwem Jürgena Stroopa. Walki toczyły się wówczas na ul. Gęsiej oraz na pl. Muranowskim. I właśnie wtedy żołnierze żydowskiego podziemia wywiesili w jednym

z budynków przy ul. Muranowskiej dwie flagi: biało-niebieską żydowską i biało-czerwoną polską. To doniosłe wydarzenie zostało potwierdzone przez wielu świadków.

W tym czasie polskie podziemie przeprowadziło kilka akcji solidarnościowych z walczącym gettem, które zakończyły się niepowodzeniem. Powstanie w getcie upadło po kilku tygodniach krwawych walk, gdy Niemcy sprowadzili posiłki. Ci Żydzi, którzy zostali w podziemnych schronach, zginęli, ponieważ Niemcy, chodząc od domu do domu, niszczyli i palili wszystko, co napotkali, do momentu, aż w getcie nie pozostał kamień na kamieniu. Ci natomiast, którym udało się wyskoczyć z ognia czy wyjść z piwnic, byli łapani i natychmiast wysyłani do Treblinki lub Majdanka. 8 maja przy ul. Miłej 18 samobójstwo popełniła grupa bojowców Żydowskiej Organizacji Bojowej z Mordechajem Anielewiczem na czele. Niektórzy Żydzi, na przykład Marek Edelman, przedostali się kanałami na aryjską stronę Warszawy i walczyli dalej w szeregach Armii Krajowej lub Armii Ludowej.

Powstanie w getcie z pewnością miało wpływ na wybuch kolejnego warszawskiego powstania w sierpniu 1944 r. Warszawa żydowska i Warszawa polska, czyli wspólne miasto dwóch narodów, odświeżyła w trakcie żydowskiego powstania swoją starą, chlubną tradycję niepoddawania się i walki do końca. Nie było w Europie drugiej miejscowości, która tak odważnie i nieustępliwie sprzeciwiała się hitleryzmowi. Po 70 latach od wybuchu powstania w getcie powinniśmy nie tylko wspominać bohaterów tamtych strasznych czasów, lecz także przypomnieć sobie samym o przesłaniu tego wydarzenia.

Obowiązkiem każdego z nas jest natychmiastowa reakcja na wzrost sił totalitarnych, które należy dusić w zarodku. Świat jest wbrew pozorom wciąż daleko od punktu, w którym wszyscy będą przekonani o kilku prostych prawdach: że ludzie są równi, a rasizm i ksenofobia prowadzą wyłącznie do tragedii. Nie zapominajmy słów prezydenta Ronalda Reagana, który mówił, że „wolność nigdy nie jest bezpieczna na dłużej niż jedno pokolenie”.

„Do Rzeczy” 15–21 kwietnia 2013 r.

Dlaczego Żydzi nie wracają do Polski

Za kilka dni na otwarcie nowej ekspozycji w muzeum w Auschwitz przyjeżdża premier Izraela Benjamin Netanjahu. Netanjahu nie pojawi się w Oświęcimiu ani Brzezince, tylko właśnie w Auschwitz i Birkenau – niemieckich obozach koncentracyjnych na polskich ziemiach. W Izraelu nikt nie ma wątpliwości, że Zagłady dokonali Niemcy, że nie było czegoś takiego jak „polskie obozy koncentracyjne”. A jednak wśród wielu Żydów Polska nie cieszy się dobrą opinią.

Na polskich ziemiach zamordowano ponad 4 mln Żydów. Dla narodu żydowskiego Polska stała się ziemią przeklętą. Ten psychiczny uraz jest wbudowany w zbiorową świadomość Żydów i ma ogromny wpływ na postrzeganie narodu polskiego. Z różnych przyczyn – głównie politycznych – Polska przez wiele dziesięcioleci nie zrobiła nic, żeby zmienić ten stan rzeczy. Efekt jest taki, że wielu Żydom Polska kojarzy się źle.

Jednak są też inne powody tej niechęci. Smutna prawda jest bowiem taka, że niemal wszystkie XX-wieczne fale migracyjne z Polski do Palestyny i Izraela były tak naprawdę ucieczkami. Kilkadziesiąt tysięcy Żydów wyjechało z Polski po wprowadzeniu wymierzonych w nich reform premiera Grabskiego w 1924 r. Po śmierci marszałka Piłsudskiego do Palestyny znów uciekło 150 tys. polskich Żydów, którzy nie mogli znieść zagęszczającej się endeckiej atmosfery w kraju. W 1946 r., po pogromie w Kielcach, z Polski znów wyniosło się ponad 100 tys. Żydów, wśród nich ja i moja rodzina. Następna fala wyjazdów to lata 1956–1957 i reformy Gomułki, gdy do Palestyny wyjechało 30 tys. Żydów, nie tylko komunistów. Większość tych, którzy jeszcze w Polsce zostali, wyrzucono z niej w 1968 r.

Wielu powojennych migrantów z Polski jeszcze żyje, chowa w sercach urazę do Polski i przekazuje ją dzieciom. W Polsce rzadko pada pytanie o to, dlaczego Żydzi w ogóle nie wracają do kraju. Polska jest pod tym względem wyjątkiem. W Rosji żyje ponad 200 tys. Żydów. Na Ukrainie jest ich ponad 70 tys. Na Węgrzech, które kolaborowały z Niemcami – 50 tys. We Francji, w której rząd Petaina pomagał Niemcom w Holokauście, żyje ich dziś pół miliona, a w Niemczech – w byłym centrum nazistowskiego zła – co najmniej 120 tys. Dlaczego zatem nie ma Żydów w Polsce? Polska jest wolnym, demokratycznym i rozwiniętym krajem, a dla polskich elit oraz młodzieży antysemityzm to hańba. A jednak Żydzi wciąż nie chcą tu wracać.

Przed Muzeum Historii Żydów Polskich stoi ogromne wyzwanie. Będą do niego przyjeżdżać Żydzi z całego świata, spośród których wielu ma ogromny wpływ na kulturę, politykę i opinię publiczną w swoich państwach. Trzeba ich przekonać, że stosunki polsko-żydowskie wprawdzie zazwyczaj układały się źle, ale często były też dobre, a zakorzenione w historii lub w mitach historycznych stereotypy na temat dzisiejszej Polski i Polaków są nieprawdziwe. Za 10 lat nie będzie już ofiar ani oprawców. Zostaną filmy, książki i świadectwa świadków historii. Jest to ostatni moment, by spróbować przywrócić zachwianą równowagę między faktami historycznymi a świadomością historyczną.

„Do Rzeczy” 10–16 czerwca 2013 r.

Niemiecka ucieczka od odpowiedzialności

Niemiecki film „Nasze matki, nasi ojcowie”, który kilka dni temu wyemitowała Telewizja Polska, jest kolejnym dowodem na to, że w Niemczech na dobre umocniła się narracja historyczna, którą można nazwać narracją „ale”. Czym jest narracja „ale”? Niemcy mówią: „Byliśmy źli, ale inni wcale nie byli lepsi”, „Jesteśmy odpowiedzialni za Holokaust, ale inni z nami współpracowali”, „Zbrodnie wojenne naszych dziadków były potworne, ale to, co robili Polacy, również było okropne”.

Właśnie to chcieli przekazać twórcy niemieckiego filmu, pokazując w nim polskich partyzantów z Armii Krajowej jako skrajnych antysemitów. Twórcy filmu się bronią, że przecież wśród żołnierzy Armii Krajowej byli antysemita. To prawda, że byli. W Polsce był antysemityzm i byli szmalcownicy. Jednak w niemieckim filmie całkowicie zachwiane są proporcje, zupełnie wypaczony został obraz podziemia, którego jednym z głównych zajęć – jeśli wierzyć niemieckiemu filmowi – miało być polowanie na Żydów.

Dlaczego niemieccy twórcy dopuścili się czegoś takiego? Taka postawa jest nawet zrozumiała z psychologicznego punktu widzenia. Wygodnie jest przekonywać siebie samego, że nie jest się gorszym od innych, że wszyscy wokół również są źli i odpowiedzialni za zbrodnie. Problem leży jednak głębiej. Rozmywanie odpowiedzialności za Holokaust ma w Niemczech silną podbudowę naukową. Od lat 80. istnieje grupa historyków takich jak Joachim Fest i Ernst Nolte, którzy wskazują, że hitlerowcy czerpali inspirację z sowieckiego totalitaryzmu i syberyjskich łagrów. Wypracowali koncepcję, zgodnie z którą różnym narodom zdarza się przechodzić kryzys moralny, w czasie którego na jakiś czas zaczynają dominować mordercze instynkty. Taki kryzys mieli w latach 30. i 40. przechodzić Niemcy. Wniosek z tego taki, że niemieckie zbrodnie nie były niczym szczególnie wyjątkowym. Jednym słowem, tworzy się wrażenie, jakby to nie Niemcy wybrali Hitlera i nazistów, ale jakby to nazizm napadł na niewinnych Niemców. Taka szkoła historyczna bierze w ostatnich latach górę.

Coraz więcej Niemców zaczyna wierzyć w to, że nie było niczego wyjątkowego w tym dokładnie zorganizowanym przemyśle śmierci, w którym tysiące ludzi szło codziennie rano do pracy, by mordować niewinnych, mleć ich kości, palić ich zwłoki, po czym wracało do swoich żon i dzieci,

by odpocząć z nimi przy muzyce Straussa czy Wagnera, a następnego dnia znów szło mordować, mleć kości i palić zwłoki. Niemcy urzeczywistnili zbrodniczą makabrę, jakiej świat nigdy wcześniej nie widział. I warto pamiętać, że gdyby Rommel pod El-Alamejn nie miał problemów z paliwem do czołgów i wygrałby bitwę, to przemysł śmierci rozrósłby się na Bliski Wschód i Afrykę Północną, a Niemcy wymordowaliby kolejne setki tysięcy Żydów. Przykre jest to, że trzeba wciąż powtarzać oczywistą prawdę: takiego bestialstwa, jakim Niemcy odznaczyli się w stosunku do Żydów, nie było w historii świata. Żaden naród nie zgotował innemu narodowi takiego losu.

Niemcy mają problem z Polską. W Polsce nie było kolaboracyjnego, faszystowskiego rządu, który by wydał Żydów na śmierć, tak jak to zrobiły rządy Francji i Chorwacji. Polacy się nie poddali, walczyli z okupantem. Lista niemieckich win wobec Polaków jest długa. Polacy byli dla Niemców podludźmi, mieli zostać niewolnikami w niemieckim Lebensraumie. Dlatego kilkadziesiąt lat po wojnie następne pokolenie Niemców przedstawia Polaków niemal jak współwinnych niemieckich zbrodni?

Można by uznać, że twórcy filmu są po prostu ignorantami, nie znają historii. Problem w tym, że pracowali przy nim konsultanci historyczni. Dlatego film „Nasze matki, nasi ojcowie” jest sztandarowym przykładem rozmywania odpowiedzialności. Polacy są najbardziej narażeni na niemieckie manipulacje historyczne. To tutaj mieszkało ponad 3 mln Żydów, to tu odbyła się Zagłada. Niemcy pozostawili na polskich ziemiach krwawą plamę. Dlatego to Polaków najłatwiej oskarżać o udział w Holokauście i o sprzyjanie Niemcom. Bardzo łatwo wykorzystać tu przedwojennych polskich antysemitów, przedstawić ich jako siłę dominującą w społeczeństwie. Tymczasem dyskusja na temat stosunków polsko-żydowskich przed wojną, po wojnie i w czasie okupacji jest trudna. Wymaga delikatności oraz niuansowania. W tę trudną dyskusję twórcy niemieckiego filmu wchodzi brutalnie i wypaczają historię, by wybielić własną przeszłość.

Wkrótce odejdzie ostatnie pokolenie ludzi, którzy pamiętają okupację w Polsce. Odejdą kaci, ofiary i tacy jak ja – ocaleni z Zagłady. Pozostaną książki, sztuki teatralne, poezja i przede wszystkim filmy. To właśnie one wpływają na masową świadomość. Dlatego „Nasze matki, nasi ojcowie” to film niezwykle niebezpieczny, który będzie miał fatalny wpływ na pamięć historyczną przyszłych pokoleń Niemców.

„Do Rzeczy” 24–30 czerwca 2013 r.

Wspólna przeszłość, wspólna przyszłość

Wizyty polskich prezydentów i premierów w Izraelu zawsze budzą duże zainteresowanie. Gazety piszą o nich więcej niż o innych politycznych spotkaniach. Przypominają oczywiście o strasznej historii II wojny światowej, ale również o wielkiej zmianie, która zaszła w stosunkach między naszymi krajami przez ostatnie 20 lat. Początki tej zmiany to oczywiście przełomowe przemówienie Lecha Wałęsy w Knesecie w 1991 r., w którym polski prezydent przeprosił Żydów za zło, jakie spotkało ich z polskich rąk. Później go za to krytykowano, że przesadził, bo to przecież Niemcy byli odpowiedzialni za Zagładę. Jednak w Izraelu nikt nie ma co do tego wątpliwości, więc ta krytyka była chybiona. Dzisiaj wiemy, że tanto przemówienie Wałęsy było niezwykle ważne. Zbliżyło do siebie nasze narody i ułatwiło późniejszy dialog.

Po tej wizycie Wałęsy rozmowy polsko-izraelskie były bardzo ułatwione. Odczuł to na pewno prezydent Kwaśniewski, który ma duże zasługi dla poprawy stosunków polsko-izraelskich. Za jego kadencji udało się zacieśnić współpracę w walce z terroryzmem i nawiązać dialog na temat często bolesnej przeszłości.

Wizyta Lecha Kaczyńskiego była szczególnie ciekawa, bo Kaczyński świetnie znał historię współżycia naszych dwóch narodów. Był na spotkaniu z Żydami, którzy przyjechali do Izraela z Polski. Ci przyjęli go bardzo ciepło. Kaczyński budował mosty, dzięki którym nadrobiliśmy stracone dziesięciolecia przerwane dialogu. Komorowski natomiast dał się poznać od dobrej strony już jako minister obrony narodowej w rządzie Jerzego Buzka. Zrobił wówczas wiele, by przełożyć deklaracje polityczne na konkretną współpracę w dziedzinie obronności. Dzisiaj ma w Izraelu dużo przyjaciół.

Lista problemów poruszanych w czasie takich wizyt wygląda od wielu lat podobnie. Polacy rozmawiają z Izraelczykami o wspólnej walce z terroryzmem i o zmianach w organizacji wycieczek izraelskiej młodzieży do Polski, tak by mogła ona wspólnie z polską młodzieżą kultywować pamięć nie tylko o tragedii polskich Żydów, lecz także o długich okresach pokojowego współżycia naszych narodów. Rozmowy dotyczą również stosunków gospodarczych, które są coraz lepsze.

W czasie ostatniej wizyty prezydentowi Komorowskiemu towarzyszyła delegacja polskich przedsiębiorców, którzy spotkali się z przed-

siębiorcami izraelskimi. Był tam na przykład prezes PES-y, która będzie chciała eksportować do Izraela swoje pojazdy szynowe. Stałymi punktami rozmów są również rozwijanie kontaktów między polskimi i izraelskimi naukowcami oraz polityka pamięci, dla której przełomowa była budowa Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie.

Wizyty polskiej delegacji są o tyle specyficzne, że w trakcie wielu rozmów nikt nie potrzebuje pomocy tłumacza. Kiedy godzinę przed uroczystą kolacją spotkaliśmy się z delegacją prezydenta Komorowskiego, okazało się, że większość przedstawicieli strony izraelskiej mówi po polsku. Nowa prezes izraelskiego banku centralnego Karnit Flug jest córką emigranta z Polski Noaha Fluga i dobrze posługuje się językiem swojego ojca. Po polsku mówili też jeden z najważniejszych i najbardziej znanych izraelskich dziennikarzy Sever Plotzker oraz wielu innych.

Język polski wciąż jest powszechnie znany wśród izraelskich elit. Lekarze, artyści, politycy i prawnicy starszego pokolenia to imigranci z Polski albo ich dzieci. Wspomnienia tych ludzi o wojnie i powojennej Polsce często nie są dobre. Z jednej strony jest to przeszkoda na drodze do pojednania, z drugiej to właśnie z tymi ludźmi trzeba dziś rozmawiać, bo jest to ostatnie pokolenie, które zachowało żywą pamięć o kraju swoich przodków. Niestychanie ważne jest więc nawiązywanie z nimi dialogu i podejmowanie kolejnych prób zmieniania ich nastawienia. Na szczęście zarówno w Polsce, jak i Izraelu niemal wszyscy to rozumieją i zbliżenie naszych narodów nie jest tylko frazesem powtarzanym przez polityków. Jest to postępujący proces, którego efekty już widać.

Pod koniec wizyty prezydenta Komorowskiego odbyła się uroczystość, którą można uznać za symbol tego, co udało się nam osiągnąć w ostatnich latach. W Centrum Icchaka Rabina w Tel Awiwie uroczyste otwarto wystawę poświęconą Janowi Karskiemu. Ta ekspozycja jest kolejnym mostem między kolektywną pamięcią Polaków i Żydów. Nie ma chyba lepszego patrona polepszającej się współpracy między naszymi krajami niż Karski, Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, Polak, który w najmroczniejszych czasach dokonał cudów, by ratować Żydów.

„Do Rzeczy” 12–17 listopada 2013 r.

Gdy zamilkną świadkowie

W poniedziałek mija 69 lat od wyzwolenia obozu śmierci w Auschwitz. Z tej okazji do Polski przyjeżdża 60 posłów Knesetu, czyli połowa składu izraelskiego parlamentu. Po uroczystościach rocznicowych w Krakowie odbędzie się sesja międzyparlamentarna o bezprecedensowej w historii dyplomacji skali. Posłowie Knesetu będą obradować razem z parlamentaryzami z Polski, Niemiec, Czech, Węgier i wielu innych europejskich krajów. Obrady odbędą się pod hasłem „Refleksje o Auschwitz – pamiętając o przeszłości, patrząc w przyszłość”.

Co w kontekście pamięci o Holokauście oznacza to „patrzenie w przyszłość”? Z dnia na dzień coraz mniej jest wśród nas tych, którzy pamiętają Zagładę. Pokolenie ocalałych z Holokaustu odchodzi coraz szybciej. Już dziś nie żyje większość z nich, a ze statystyk wynika, że w Izraelu co godzina umiera kolejny ocalony. Niedługo nie będzie już ludzi, którzy będą mogli opowiedzieć o Zagładzie. Zostaną nam tylko spisane wspomnienia, archiwalne filmy i dokumenty. Mogłoby się wydawać, że pamięć o Holokauście jest niezagrożona. Jest to przecież jedna z najlepiej udokumentowanych i najwnikliwiej zbadanych tragedii w dziejach ludzkości. To jednak w dużej mierze pozory.

W ostatnich latach jesteśmy świadkami coraz częściej powtarzanych kłamstw i manipulacji związanych z Zagładą. Prasa na całym świecie pisze o „polskich obozach koncentracyjnych”, pojawiają się również zmanipulowane produkcje fabularne, takie jak wyprodukowany przez niemiecką telewizję publiczną ZDF serial „Nasze matki, nasi ojcowie”, którego twórcy zaszerwowali milionom ludzi na całym świecie zakłamany obraz wojennej rzeczywistości, wypaczając kwestie winy i odpowiedzialności za wojenne tragedie.

Toczy się dziś walka o przekazanie przyszłym pokoleniom prawdziwej wersji wydarzeń. Uroczystości takie jak te poniedziałkowe organizowane są więc nie tylko po to, by pielęgnować pamięć o milionach ofiar Zagłady, lecz także po to, by bronić prawdy historycznej, w której za Holokaust odpowiadają Niemcy, a obozy koncentracyjne nie były „polskimi obozami”, tylko niemieckimi wyspami na polskim oceanie.

Wspólna sesja parlamentarna ma jeszcze jeden wymiar. Chodzi o stosunki polsko-żydowskie, na których od czasów II wojny światowej cieniem kładzie się Zagłada. Wojna oddaliła od siebie nasze dwa narody, które przecież przed 1939 r. na ogół żyły ze sobą w zgodzie. Później, gdy ci,

k którzy przetrwali wojnę, zostali zmuszeni do emigracji z Polski, a PRL zerwał stosunki dyplomatyczne z Izraelem, wśród Izraelczyków nasiliły się nastroje antypolskie, a przepaść między Polakami a Żydami się pogłębiała. Gdy po 1989 r. nasze kraje nawiązały normalne, zdrowe relacje, wydawało się, że odbudowanie zaufania będzie zadaniem wręcz karkołomnym.

Jednak dziś, po dwóch dekadach starań, możemy już powiedzieć, że przepaść udało się w dużej mierze zasypać. Każda wizyta izraelskich polityków w wolnej i demokratycznej Polsce i każda polska wizyta w Izraelu to krok w dobrą stronę. Czasem w stosunkach polsko-żydowskich dochodziło do prawdziwych pozytywnych rewolucji. Taką rewolucją była wizyta Jana Pawła II w Izraelu w 2000 r. Jest duża szansa, że bezprecedensowa międzyparlamentarna sesja z udziałem połowy posłów Knesetu będzie kolejną taką rewolucją. Być może jednak, skoro taka wizyta w ogóle jest możliwa, zaszliśmy tak daleko, że nie trzeba nam już żadnych rewolucji?

Historia stosunków polsko-żydowskich ma sporo ciemnych kart. Nie wolno o nich zapominać. Nie znaczy to jednak, że powinny nam one przesłaniać wiele lat spokojnego współżycia naszych dwóch narodów. Ze wszystkich krajów Europy Środkowo-Wschodniej to właśnie w Polsce relacje Żydów z narodową większością układały się najlepiej. Symbolem pozytywnych aspektów tych wspólnych dziejów są tysiące polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. To oni są najlepszymi patronami naszej wspólnej przeszłości.

„Do Rzeczy” 27 stycznia–2 lutego 2014 r.

Na przeprosiny nigdy nie jest za późno

W 1492 r. współrządzający Hiszpanią Izabela Kastylijska i Ferdynand II Aragoński wydali edykt, nazwany później edyktem z Alhambry, w którym nakazali wszystkim Żydom opuszczenie kraju w ciągu czterech miesięcy. Oskarżono ich o to, że „usiłują obalić świętą wiarę katolicką i odciągnąć chrześcijan od ich wiary”. Kilkaset tysięcy Żydów musiało sprzedać swoje majątki i wyjechać z Hiszpanii, a jeśli odważyliby się wrócić, to czekała ich kara śmierci. Znaczna ich część wyemigrowała do sąsiedniej Portugalii, skąd kilka lat później również ich wygoniono.

Hiszpańscy i portugalscy Żydzi rozpierzchli się na wszystkie strony świata. Uciekli do Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Belgii i na dopiero co odkryty kontynent amerykański. Jednak najwięcej uchodźców znalazło nowy dom w krajach zamieszkałych przez muzułmanów, na terenie dzisiejszego Maroka, Tunezji, Algierii, Libii i Turcji. Do dziś istnieją jeszcze w Turcji żydowskie wspólnoty, w których używa się judeohiszpańskiego języka ladino, a co druga osoba nosi hiszpańsko brzmiące nazwisko. Współżycie z wyznawcami Allaha układało się na ogół bardzo dobrze. Zresztą na Półwyspie Iberyjskim Żydzi osiedlali się na długo przed rekonkwistą, gdy rządził na nim Maurowie. To za ich czasów żyło im się tam najlepiej. W Izraelu często przypomina się dziś o tej historii, bo jest ona przykładem tego, że Żydzi i muzułmanie mogą żyć ze sobą w zgodzie.

Wygnanie z Hiszpanii było jednym z kluczowych wydarzeń w historii narodu żydowskiego. Profesor Szymon Dubnow, jeden z najwybitniejszych żydowskich historyków, zamordowany w 1941 r. przez Niemców, pisał, że po zburzeniu Drugiej Świątyni przez Rzymian i wygnaniu z Palestyny Żydzi przez setki lat tworzyli w różnych miejscach na świecie centralne ośrodki żydowskiego życia. W tych ośrodkach żyło najwięcej Żydów, ale znaczenie miała nie tylko ich liczba. To właśnie tam rozwijała się żydowska kultura, tam pielęgnowano zwyczaje i tradycje religijne oraz dbano o przetrwanie języka hebrajskiego.

Pierwszy taki ośrodek powstał w Persji. Przetrwał kilkaset lat, by następnie przenieść się do Egiptu, a po kolejnych kilku wiekach właśnie do Hiszpanii. Wygnanie Żydów z Półwyspu Iberyjskiego było więc nie tylko prywatną tragedią setek tysięcy ludzi, lecz także oznaczało katastrofę dla żydowskiej kultury. Niedawna decyzja Hiszpanii, by nadać obywatelstwo potomkom wygnańców, zarówno jest więc aktem sprawiedliwości

wobec konkretnych ludzi, jak i ma symboliczne znaczenie dla całego narodu żydowskiego.

Czy można przyjąć przeprosiny spóźnione o pół tysiąca lat? W Izraelu zdania są podzielone. Słysząc gdzieś głosy, że nie warto już w ogóle zajmować się tak zamierzchłą historią. Jednak te poglądy są mniejszościowe. Naród żydowski, podobnie zresztą jak naród polski, ma szczególny stosunek do historii, jest w niej wręcz zanurzony. Historia jest w Izraelu ważnym i nieodłącznym elementem polityki. Dlatego bardzo cieszy nas decyzja hiszpańskiego rządu, zwłaszcza że Hiszpania działa nieco pod prąd, wydając taką decyzję w momencie, w którym na Zachodzie narasta fala nowego antysemityzmu, dla niepoznaki skrywającego się pod płaszczykiem krytyki Państwa Izrael, a w rzeczywistości przekraczającego jakiegokolwiek granice dopuszczalnej krytyki i podsycającego nienawiść do Żydów.

Decyzja Hiszpanii jest również świadectwem pewnej zmiany w kulturze politycznej. Choć wciąż daleko nam do ideału, to jednak światowi politycy coraz częściej kierują się w swoich decyzjach poszanowaniem dla praw człowieka, zdrową polityczną poprawnością i szacunkiem dla wszystkich ludzi, niezależnie od ich narodowości, koloru skóry czy wyznania. Oczywiście można z miejsca przytoczyć dziesiątki przykładów tego, że jest wręcz odwrotnie, że polityka jest domeną cyników albo że szacunek dla praw człowieka jest tylko maskaradą obliczoną na pozyskanie przychylności wyborców, ale rządy Baracka Obamy w USA, reakcja zachodniego świata na arabską wiosnę, a nawet takie symboliczne decyzje jak ta rządu Hiszpanii świadczą o tym, że kultura polityczna przechodzi powolną ewolucję w dobrym kierunku.

„Do Rzeczy” 3–9 marca 2014 r.

Odważny apel o pokój

Żydzi mają jeszcze jednego przyjaciela. Takie wrażenie pozostało po wizycie papieża Franciszka w Izraelu. Nie ze wszystkimi przywódcami Kościoła stosunki układały się tak dobrze.

Na przełomie lat 50. i 60. w Izraelu bardzo oczekiwano wizyty Jana XXIII. Do dziś pamięta się u nas, że w czasie wojny i Holokaustu jeszcze jako abp Giuseppe Roncalli pomagał Żydom. Organizował szlaki przerzutowe do Palestyny i Ameryki, ratując w ten sposób od śmierci tysiące ludzi. Później Żydzi widzieli w nim pierwszego papieża, który otworzył dla nich swoje serce i starał się poprawić stosunki Kościoła z wyznawcami judaizmu. Jan XXIII niestety nigdy nie przyjechał do Izraela.

Pierwszym przywódcą Kościoła, który zdecydował się na taką pielgrzymkę, był Paweł VI. Wrażenie po jego pielgrzymce z 1964 r. nie było jednak zbyt dobre. Papież długo się wahał, czy w ogóle przyjechać do państwa żydowskiego, i ostatecznie złożył jedynie króciutką wizytę, która miała charakter wyłącznie religijny.

Odwiedził bazylikę Zwiastowania w Nazarecie i odprawił mszę w Grocie Betlejemskiej. Spotkał się wprawdzie z przedstawicielami lokalnych władz, ale wstrzymał się od jakichkolwiek dalej idących deklaracji na temat stosunków chrześcijańsko-żydowskich. Obydwie strony miały do siebie duży dystans i izraelskie media zastanawiały się później, czy ta wizyta w ogóle była potrzebna.

Przez następne 40 lat Izrael nie miał okazji ugościć papieża. Jednak – jak się okazało – warto było czekać. Wizyta Jana Pawła II w 2000 r. była wręcz rewolucyjna, stała się dowodem na prawdziwą zmianę na lepsze w stosunkach katolików z Żydami. W Izraelu nazywano wówczas Jana Pawła II „naszym papieżem”.

Ogromne znaczenie miała jego narodowość. Zarówno papież, jak i Żydzi mieli świadomość, że państwo żydowskie tak naprawdę narodziło się w Polsce, że w pierwszej połowie XX w. Polska nosiła w sobie Izrael, jak kobieta nosi dziecko w czasie ciąży. Tak obfitującej w symbolikę i przepętnionej obustronną sympatią wizyty głowy Kościoła w Izraelu już potem nie było i raczej nigdy nie będzie.

Za Benedykta XVI nie obyło się bez problemów. Jego wizyta odbyła się w cieniu nieprzyjemnej dla Żydów sprawy lefebrystycznego bp. Richarda Williamsona, który był znany z kwestionowania liczby ofiar Holokaustu. Papież, chcąc przywrócić lefebrystów na łono Kościoła, zdjął

z biskupa ekskomunikę, co spotkało się z dużym oburzeniem w Izraelu. Świetne stosunki z czasów Jana Pawła II bardzo się ochłodziły.

Izraelczycy nie wiedzieli, czego się spodziewać po wizycie Franciszka. Po tak skromnym i dość liberalnym papieżu, dla którego najważniejsza jest duchowość, a nie dyplomacja, nikt nie oczekiwał jakichś politycznych deklaracji. Dlatego wszystkich nieco zaskoczyły jego odważny apel o pokój między Żydami a Arabami, jego otwartość na naród żydowski i troska o przyszłość regionu. Franciszek jeszcze raz udowodnił, że ma odwagę mówić szczerze o sprawach, o których inni wolą dyplomatycznie milczeć.

„Do Rzeczy” 2–8 czerwca 2014 r.

Bolesna pustka

Kilka dni temu skończył się Festiwal Kultury Żydowskiej w Krakowie. Dwudziesty czwarty rok z rzędu tysiące Polaków przychodziły na spotkania i wykłady, słuchały żydowskiej muzyki, próbowały koszernych potraw. Ostatniego dnia festiwalu impreza na ul. Szerokiej na Kazimierzu trwała do północy.

Festiwal Kultury Żydowskiej to tak naprawdę festiwal polski. Przyjeżdża na niego wprawdzie trochę Żydów z Izraela i innych obcokrajowców, ale zdecydowana większość uczestników to Polacy. Żydów w Polsce jest bowiem jedynie garstka. Ilu dokładnie? W spisie powszechnym narodowość żydowską jako jedyną zadeklarowało 2 tys. ludzi, a kolejne 5 tys. wpisało ją jako drugą, po polskiej. Z danych samych gmin żydowskich wynika z kolei, że nad Wisłą mieszka od 3 do 4 tys. Żydów, co pokrywa się mniej więcej z liczbą członków organizacji żydowskich, takich jak Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce i stowarzyszenie Dzieci Holocaustu.

Te rozbieżności nie mają jednak większego znaczenia. Prawda jest taka, że Żydów w Polsce właściwie nie ma. Nie ma ich statystycznie, bo moralnie, duchowo i wirtualnie wciąż są tu obecni. Słysząc głos milionów tych, którzy żyli wśród Polaków przed wojną w ponad tysiącu żydowskich gmin rozsiansych po całym kraju. Teraz można je znaleźć już tylko w instytucie Yad Vashem w Jerozolimie, w Dolinie Zniszczonych Wspólnot Żydowskich, gdzie ich nazwy wryto w kamieniach na wieczną pamiątkę. Można tam znaleźć mapę Europy, na której w granicach Polski zaznaczono ponad 1 tys. miast i miasteczek, w których żyli Żydzi.

Jednym z tych miast był Kraków. Gdy dziś przy dźwiękach żydowskiej muzyki, wśród tańczącego tłumu patrzy się na domy na Kazimierzu, z łańcuchem można sobie wyobrazić, że w każdym z okien widać piękne żydowskie firanki z gwiazdami Dawida, a za nimi żydowskie mamy i babcie przygotowujące czulent, którego zapach roznosi się po okolicy, i czekające na męża oraz dzieci wracających z jednej z okolicznych synagog. Dobiegający z nich śpiew kantorów był kiedyś tak głośny, że słysząc go było w całym Krakowie. W jednej z tych żydowskich kamienic mieszkała kiedyś Helena Rubinstein i jeśli puści się wodze fantazji, to można – przechadzając się po jej domu – poczuć zapach perfum, które stworzyła.

To wszystko przeszłość, która ożywa na chwilę w czasie festiwalu, ale której przywrócić już nie można. Tak się złożyło, że to właśnie na pol-

skich ziemiach Niemcy zorganizowali Zagładę, po której zostały miliony nieobecnych. Spośród 250 tys. tych, którzy przetrwali, większość opuściła powojenną Polskę. Bolesna pustka, która została po polskich Żydach, jest dziś przyczyną wielu krzywdzących oskarżeń. Co rusz jakaś izraelska gazeta, jakiś polonofob albo pseudohistoryk obwinia Polaków o rzekomą współpracę z Niemcami przy eksterminacji Żydów. Nawet prezydent Obama, któremu zdarzyło się wspomnieć o „polskich obozach zagłady”, miał swój udział w utrwalaniu nieprawdziwych stereotypów.

Swoje trzy grosze dokładają czasem izraelscy nauczyciele, którzy przyjeżdżają do Polski z wycieczkami. Ich uczestnicy odwiedzają nie tylko obozy zagłady. Widzą również, że w domach w Białymstoku, Krakowie czy jakimkolwiek innym polskim mieście, w których kiedyś wisiały firanki z gwiazdami Dawida, dziś mieszkają Polacy. Trudno czasem wytłumaczyć, że przecież dzisiejszych mieszkańców tych domów nie można o to obwiniać, że oni dostali te mieszkania od państwa. I że próba odebrania im ich dzisiejszej własności byłaby naprawianiem starej krzywdy nową krzywdą.

Choć powoli odchodzą pokolenia, które bezpośrednio pamiętają wojenną tragedię, to nie ma wątpliwości, że w zbiorowej pamięci Izraelczyków Polska pozostanie symbolem milionów nieobecnych Żydów. Trzeba zatem skupić się na tym, żeby wprowadzić do tej zbiorowej pamięci więcej refleksji na temat polsko-żydowskiej historii i sytuacji w Polsce w czasie II wojny światowej. Nadzieję na przełom jest tu Muzeum Historii Żydów Polskich. Przed jego twórcami stoi niezwykle trudne, skomplikowane i wymagające zadanie.

„Do Rzeczy” 14–20 lipca 2014 r.

Co powinien powiedzieć nowy prezydent Izraela?

Reuven Riwlin w pierwszą podróż zagraniczną wyruszy do Polski. Pod koniec miesiąca weźmie udział w uroczystym otwarciu wystawy głównej Muzeum Historii Żydów Polskich.

Do powstania tego obiektu przyczynili się dobrzy ludzie w polskim rządzie, w samorządzie warszawskim, a także darczyńcy z Polski i całego świata. To dzięki ich zaangażowaniu możliwe było powstanie muzeum na poziomie światowym, które poświęcone jest nie tylko dramatowi śmierci Żydów. Mówi też o kilku wiekach, które Żydzi spędzili w Polsce, w kraju, w którym znaleźli schronienie i mogli kultywować swoje wartości, uczyć się języka hebrajskiego i wyznawać swoją religię.

Otwarcie wystawy głównej będzie ważnym testem dla organizatorów, naukowców i historyków. Okaże się, czy i w jakim stopniu pracownikom muzeum udało się przybliżyć tę długą i ciekawą historię zarówno współczesnym Polakom, jak i żydowskiej diasporze oraz turystom z całego świata. W uroczystym otwarciu wezmą udział polityczni przywódcy, naukowcy i członkowie polskiej elity. Ciekawa będzie też przemowa nowego prezydenta Izraela Reuvena Riwlina, który został wybrany w lipcu. Wcześniej przez dwie kadencje pełnił funkcję szefa Knesetu, w którym służył również jako poseł.

To bardzo znana postać w izraelskim społeczeństwie. Jest on bardzo związany z Jerozolimą, w której się urodził jako członek siódmego pokolenia żydowskiego. Jego rodzina do Izraela wyemigrowała z Litwy.

Z nowym prezydentem Izraela przyjaźnił się od dawna. Spędziliśmy razem wiele lat w Knesecie, w którym razem byliśmy autorami wielu ustaw. Nieraz w parlamencie Reuven Riwlin dość ostro wyrażał się o Polakach w kontekście ich zachowania podczas Holokaustu. Nie on jeden. W Izraelu takie negatywne, krytyczne podejście jest dość popularne, na co wpłynęły zarówno stosunek endecji do narodu żydowskiego, jak i działania szmalcowników, pogrom w Kielcach i wydarzenia z marca 1968 r. Poczucia krzywdy wyrządzonej przez polskie rządy i niektórych Polaków nie równoważy wiedza o odważnych bohaterach, polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Niestety, Izraelczycy i Polacy stracili wiele okazji do dialogu, gdy przez powojenne lata oba kraje nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych.

Co powinien powiedzieć w Warszawie nowy prezydent Izraela, który do niedawna nie chciał wybaczyć Polsce? Wielokrotnie o tym z nim rozmawiałem. Oczywiście nie może pominąć czasów Zagłady. Zrozumie to każdy porządny człowiek – a takich jest dużo i po stronie żydowskiej, i polskiej. Na miejscu Reuwena Riwlina podkreśliłbym jednak, że na polskich ziemiach Żydzi najdłużej mieli schronienie, że Polska już od XIV w. stała się domem dla Żydów wypędzonych z różnych innych państw europejskich, że właśnie w Polsce mogli tęsknić za swoją historyczną ojczyzną, za Syjonem, że to na polskich ziemiach powstały różne judaistyczne ruchy religijne, a dzieci żydowskie od przedszkola mogły uczyć się hebrajskiego.

Zaznaczyłbym też w przemówieniu, że zarówno my, jak i Polacy padliśmy ofiarą tego samego dzikiego niemieckiego reżimu. A w niemieckich obozach zagłady na polskich ziemiach ginęli nie tylko Żydzi, lecz także Polacy. Przypomniabym jednocześnie, że najdramatyczniejsze dwa powstania przeciwko okupantom niemieckim – powstanie w getcie i powstanie warszawskie – wybuchły właśnie w stolicy Polski, w Warszawie. I toczyły się na tych samych terenach, w tym samym miejscu, na którym dziś stoi niezwykle Muzeum Historii Żydów Polskich. Na miejscu izraelskiego prezydenta wielokrotnie podziękowałbym też wszystkim tym odważnym Polakom, którzy znaleźli się w gronie Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Zauważyłbym również, że w pierwszym izraelskim rządzie, który powstał po proklamacji niepodległości Izraela 14 maja 1948 r., wśród 12 ministrów było pięciu polskich Żydów, którzy doskonale mówili po polsku. Na ich czele stał zaś premier David Ben Gurion, pochodzący z Płońsk twórca Państwa Izrael. Dodałbym też, że inni popularni i ważni politycy izraelscy również mieli polskie korzenie. Wśród nich byli między innymi pochodzący z Brześcia nad Bugiem Menachem Begin, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego i laureat Pokojowej Nagrody Nobla za podpisanie izraelsko-egipskiego traktatu pokojowego. A także premier Icchak Szamir oraz pochodzący z Wiszniewa prezydent Szymon Peres, który nawet po odejściu z urzędu pozostaje najważniejszym żyjącym obecnie Żydem na świecie.

Jestem przekonany, że właśnie te słowa i idee będą częścią historycznej przemowy Reuwena Riwlina.

„Do Rzeczy” 6–12 października 2014 r.

Znów jesteśmy sobie obcy?

Siedzę w Łazienkach Królewskich w Warszawie. Trzymam w ręku jeden z ostatnich numerów „Do Rzeczy” – mojego tygodnika – i patrzę na okładkę.

Z lewej strony widzę starszego, „typowego” Żyda – z kapeluszem, siwą brodą. Jego nos, choć krótszy od nosa Charles’a de Gaulle’a, jest jednak dłuższy od mojego. Naprzeciw niego stoi młody żołnierz Armii Czerwonej. Gdyby dołożyć mu tę siwą brodę, wyglądałby jak syn Żyda stojącego z lewej strony. Uśmiechnięty. Ma miłą twarz. Między tymi dwiema postaciami napisane ogromnymi literami słowa: „Żydokomuna czy chamokomuna”. I mniejszą czcionką: „Piotr Zychowicz niszczy polityczną poprawność”.

Wiem, że problematyka tzw. judeokomuny jest ważna dla historyków, a także dla tożsamości naszych narodów – polskiego i żydowskiego. Temat ten stał się jednak mocno związany z teraźniejszą polityką pamięci. Chciałbym więc wziąć udział w dyskusji historyków, bo z tej iskry może rozgorzeć ogień, zdolny zniszczyć delikatne stosunki polsko-żydowskie, o których odnowienie i odbudowanie w III Rzeczypospolitej zabiegałem osobiście, wkładając w poprawę naszych wzajemnych relacji dużo serca.

Piotr Zychowicz jest moim młodym przyjacielem. Spędził u mnie w Hajfie kilka dni podczas drugiej wojny libańskiej w roku 2006. Razem szukaliśmy schronienia przed rakietami. Z mego punktu widzenia Piotr Zychowicz należy do młodego pokolenia bardzo utalentowanych dziennikarzy, których wielu pracuje w moim „Do Rzeczy”.

Tym bardziej dziwi mnie ta okładka. Przecież skoro zdjęcie to tysięcy słów, to okładka znaczy tyle co milion słów. Mogły ją bowiem zobaczyć miliony ludzi. Nie tylko w kioskach, lecz także w restauracjach, hotelowych lobby czy w Internecie. Ludzie oglądają okładki, ale nie zawsze czytają zapowiedziane na nich teksty. Okładka głębiej trafia więc do świadomości i niczym flaga staje się częścią tożsamości indywidualnej oraz kolektywnej.

A co mówi do mnie ta konkretna okładka? Starszy Żyd jest podobny do mego dziadzia Icka i dziadzia Hirsza. Jest podobny do wszystkich naszych dziadków, bo jest stereotypowy. Właśnie z tego powodu, że wyglądali stereotypowo, moi dziadkowie stracili życie podczas wojny. Jak i gdzie? Nie wiadomo. Takich dziadków już dziś nie ma. Po II wojnie światowej prawie całe pokolenie Żydów żyjących w Palestynie żyło bez rodziców, a ich dzieci nigdy nie widziały swoich dziadków.

Co ten Żyd ma do czynienia z komuną? Wiadomo, że w czasach komuny kilkuset Żydów współpracowało z różnymi instytucjami – tajnymi

i jawnymi. Tak samo jak setki tysięcy czy miliony Polaków. Statystyki nie mają sensu. Mówią bowiem o kilkuset Żydach w konkretnym instytucie, nie biorąc w rachubę milionów Polaków, którzy z różnych powodów – ideologicznych czy instrumentalnych – wzięli udział w budowie nowej powojennej, komunistycznej Polski. Nie bawmy się więc statystyką.

Podczas wojny Niemcy na polskich ziemiach stworzyli piekło. Bez reguł. Bez wartości. W tym piekle zebrano prawie wszystkich europejskich i nie tylko europejskich Żydów oraz ich zlikwidowano. Naród żydowski był totalną ofiarą tamtych czasów. Polacy również byli ofiarami. To nas łączy. Byli też Żydzi, którzy padli ofiarą Polaków. Nie tylko w Jedwabnem. I to nas dzieli. Byli Polacy, którzy współczuli, którzy pomagali Żydom – Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Dla nas na wieki będą to anioły. Byli też polscy szmalcownicy, którzy wykorzystali piekielną sytuację i mordowali lub rabowali Żydów. Tu nie jest ważna statystyka. W obliczu 6 mln zabitych Żydów inne rozliczenia pozostają w cieniu.

Patrzę też na tego rosyjskiego żołnierza. Kim był? Może był jednym z morderców ponad 20 tys. Polaków w Katyniu, w tym m.in. tysiąca Żydów należących do polskiej elity: oficerów, lekarzy, profesorów. Może zamordował tam nawet syna tego starszego Żyda, na którego patrzy na okładce. A może sam jest Żydem? To możliwe, bo ma typowo żydowską twarz. Ten sowiecki żołnierz może być też jednym z tych, którzy dotarli do Reichstagu, zerwali swastykę i powiesili tam flagę będącą symbolem zwycięstwa nad najbardziej nieludzkim z reżimów w historii świata. Jeśli był Żydem, to należał do grona 450 tys. żołnierzy żydowskich, którzy w szeregach Armii Czerwonej walczyli z hitlerowcami. W różnych armiach polskich – na Wschodzie i Zachodzie – walczyło ok. 100 tys. Żydów. Część z nich zginęła w polskich mundurach, pod polską flagą. Na przykład pod Monte Cassino.

Jak zwyczajny człowiek, a każdy z nas takim jest, czyta tę okładkę? „Żydokomuna czy chamokomuna”. Jakie to ma znaczenie po freudowsku (Freud też był Żydem)? Być komunistą to chamstwo, ale być Żydem komunistą to podwójne chamstwo. Znam Piotra Zychowicza i nie wyobrażam sobie, że on planował tę okładkę. Będąc wieloletnim członkiem redakcji „Do Rzeczy”, znając osobiście redaktorów tygodnika i wiedząc, że to przeciwnicy rasizmu, zwolennicy tolerancji, którzy walczą z każdym przejawem antysemityzmu i mają otwarte serca na cierpiących ludzi, nie potrafię zrozumieć, co się wydarzyło. Ta okładka mnie obraża.

Teraz zadaję pytania sobie, Piotrowi, redakcji „Do Rzeczy” i wszystkim polskim mediom: Jak to się stało, że w Polsce – która przez setki lat była najlepszym miejscem dla żydowskiej diaspory, w której żyła największa część narodu żydowskiego, która mogła być dumna z takich osób jak Artur Rubinstein, który podczas pierwszej konferencji ONZ w 1945 r. wyraził rozczarowanie brakiem polskiej delegacji, a koncert rozpoczął od „Mazur-

ka Dąbrowskiego” – zostało tak mało Żydów i że do tej Polski Żydzi poważnie nie wracają?

To jest pytanie na przyszłość. Nie znam pełnej odpowiedzi. Jako człowiek, który w Jedwabnem podkreślał, że zna też inne stodoły, stodoły, w których Polacy ratowali Żydów, jako człowiek, który w różnych krajach świata podkreśla, że obozy były „niemieckie”, a nie „polskie”, pozwalam sobie jednak zwrócić uwagę moim bliskim przyjaciołom, że ta okładka była niepotrzebna. Tego typu pierwsze strony niosą bowiem ze sobą ryzyko, że znów staniemy się sobie bardziej obcy.

„Do Rzeczy” 6–12 czerwca 2016 r.

Auschwitz koło Reichstagu

Każda wizyta w niemieckim obozie zagłady Auschwitz przenosi nas do innego świata. Czy to rzeczywiście był inny świat? Można postawić to samo pytanie, które zadał Primo Levi w swojej monumentalnej książce „Czy to jest człowiek?”.

Podczas procesu zbrodniarza wojennego Adolfa Eichmanna jednym ze świadków był Yehiel De-Nur, żydowski pisarz, więzień obozu Auschwitz, który wydał kilka książek pod pseudonimem Ka-Tzetnik 135633 (z niem. Konzentrationslager – obóz koncentracyjny – przyp. red.). De-Nur uważał, że ktoś, kto nie doświadczył okrucieństw obozu koncentracyjnego, nigdy tak naprawdę nie zrozumie jego piekła. Nie da się tego zrobić, uciekając się nawet do najbardziej wybujałej wyobraźni. Nie jest w stanie tego zrozumieć ani pojedynczy człowiek, ani całe społeczeństwo. Dlatego będąc świadkiem na sądzie Eichmanna, powiedział, że przybył z innej planety, na której wszyscy byli ubrani tak samo, a żaden człowiek nie miał ani imienia, ani nazwiska, tylko numer. Kiedy to powiedział, zemdlął i nie dokończył swoich zeznań.

Takie podejście, które prezentował nie tylko De-Nur, jest problematyczne. Jeżeli obozy koncentracyjne były na innej planecie, to nie tyle trudne, ile nawet niemożliwe staje się sądenie oprawców reżimu, który stworzył tę „planetę”. Tak jak tsunami, trzęsienie ziemi czy inne zjawisko, na które ludzie nie mają najmniejszego wpływu. Oprawcy oczywiście chcieliby przyjąć taką historiozofię i geozofię. Nawet dla ich potomków, dla drugiego, trzeciego pokolenia, dla ludzi, których dziadkowie i pokolenie dziadków stworzyło tę gehennę, i dla całego narodu niemieckiego ta wina, ten ciężar są tak ogromne, że chcą się podzielić nimi z innymi. Albo z innymi narodami, albo z innymi siłami. Jednak Auschwitz było tu. Auschwitz jest na tej ziemi. I nie tylko Auschwitz-Birkenau, lecz także: Bełżec, Sobibor, Stutthof, Majdanek, Treblinka, Dachau, Theresienstadt i setki mniejszych obozów.

Były w całej Europie. Kiedyś poeta Paul Celan, również więzień obozów, przyrównał Europę do wielkiego jeziora zamrożonej krwi żydowskiej. Ja dodam, że jest to jezioro zamrożonej krwi wielu narodów, ale przeważnie jest to żydowska krew.

Auschwitz stało się symbolem tego zła. Jest czarną dziurą w historii ludzkości. Czy to było jednorazowe zjawisko, załamanie moralności ludzi? Nie. Właśnie ci, którzy chcieliby podzielić się tą winą, np. historycy niemiec-

ki Ernst Nolte, doszukują się początków zła w bolszewickich gułagach. W każdym wieku można znaleźć przykłady ludobójstwa i okrucieństw. Są tacy, którzy podkreślają, że faktycznie krwawa historia się nie skończyła – były Kambodża, Rwanda, rządy faszystowskie w południowej Ameryce, była wojna w Jugosławii, jest wiosna narodów na Bliskim Wschodzie, przeważnie na ziemiach Syrii.

Jednak Auschwitz i Holokaust zajmują specyficzne miejsce w krwawej historii świata. Z kilku powodów. Było to zaplanowane działanie w centrum Europy, gdzie świadomość i poczucie tożsamości były związane z wartościami rewolucji francuskiej, wartościami demokratycznymi świata anglosaskiego. Jakże szybko demokratyczne europejskie państwa zmieniły się w despotyczne reżimy, tyle państw zachodniego świata współpracowało z tym złem. Poczucie winy, wyrzuty sumienia, nie tylko indywidualne, lecz także odczuwane przez całe narody, doprowadzają do prób ucieczki od tej winy. Często poprzez fałszerstwa, takie jak nazywanie miejsc zagłady polskimi obozami śmierci, gdy wiemy dokładnie, że były to niemieckie, barbarzyńskie wyspy na polskim oceanie. Przykładów jest więcej – chociażby miniseriały „Nasze matki, nasi ojcowie”. Te próby zmazania win są właśnie symbolem wielkich wyrzutów sumienia.

Effektem Holokaustu jest również nadzieja, która zaczęła kiełkować już od 1945 r. i w kolejnych latach, że taka tragedia NIGDY WIĘCEJ się nie powtórzy. Holokaust stał się kultem międzynarodowym. Do tego stopnia, że w 2005 r. Organizacja Narodów Zjednoczonych ustanowiła 27 stycznia Międzynarodowym Dniem Pamięci o Ofiarach Holokaustu. To dzień wyzwolenia obozu w Auschwitz, które znów staje się symbolem żyjącym w naszej pamięci. To prawdopodobnie jedyny dzień w roku, który na całym świecie łączy pamięć z nadzieją i ogromnym wyzwaniem, by taka tragedia nie wydarzyła się „nigdy więcej”.

Tak jak religie mają swoje świątynie, kapłanów, uroczystości i święta, tak już zaczyna dziać się z Holokaustem. Chyba nie ma stolicy państwa w judeochrześcijańskiej części świata, w której nie powstały muzea, pomniki i inne symbole poświęcone Holokaustowi. 27 stycznia w większości państw na świecie poświęca się mu posiedzenia parlamentarne, przemówienia liderów, modlitwy ekumeniczne itd.

Wizyta w Auschwitz papieża, człowieka stojącego na czele Kościoła katolickiego, który ma wpływ na półtora miliarda katolików, a także na wyznawców innych religii, zawsze jest dramatyczna. Kościół ma niemało grzechów historycznych, również nastrojów antysemickich. Taka wizyta oraz słowa o wyrzutach sumienia i grzechach są też rachunkiem sumienia religijnych liderów. Jest to duża odpowiedzialność, która oddziałuje nie tylko na teraźniejszy świat, lecz także na przyszłość.

Nie czułem się najlepiej jako Żyd podczas wizyty Benedykta XVI w Auschwitz. W czasie II wojny światowej był bardzo młodym, ale na pewno niezwykle inteligentnym człowiekiem. Z pewnością nie wiedział o wszystkich zbrodniach, ale mniej więcej miał świadomość tego, co się dzieje. W Auschwitz mówił o złu, które opanowało Niemcy i cały świat.

Nie wiem, jakie słowa padną z ust Franciszka. Ten papież pod wieloma względami przypomina mi jednak Jana Pawła II. Z punktu widzenia moralnego życzyłbym sobie, by tak jak on czuł, mówił, działał i modlił się każdy lider religijny.

Holokaust wywołuje też dylematy teologiczne. Wśród Żydów padają pytania: „Gdzie był wtedy Bóg?”, „Czy nie słyszał, nie widział cierpienia ludzi?”, „Czy nie czuł dymu z kominów krematoriów?”, „Czy wziął sobie urlop?”.

W wielu Żydach te zdarzenia jeszcze umocniły wiarę w Boga, ale zadają mu pytania i czekają na odpowiedź. Ten dialog jest częścią naszej teologicznej kultury. Podobnie jak większość ja również czekam na odpowiedzi.

Eksterminacja Żydów odcisnęła również ogromne piętno na całej kulturze judeochrześcijańskiej, bo wśród dokonujących tej zagłady byli także chrześcijanie. Jednak nie należy zapominać, że z niemieckim reżimem i jego ideą zagłady walczyło bardzo wiele osób. Wśród nich ponad milion żołnierzy żydowskich, którzy walczyli w armiach sowieckiej, polskiej, Stanów Zjednoczonych czy Kanady. Żydzi z Palestyny, syjoniści, Żydzi z Francji, z całego świata. Każdy, kto tylko mógł, walczył w imię wspólnego zwycięstwa.

Czy faktycznie było to zwycięstwo? Z punktu widzenia żydowskiego Hitler i Niemcy wygrali. Nie tylko zamordowali 6 mln Żydów, wśród nich 1,5 mln dzieci, lecz także przez Holokaust miliony Żydów nigdy nie przyszły na świat, tracąc swoich potencjalnych rodziców. O tym napisał w swojej najważniejszej książce – „Kadysz za nienarodzone dziecko” – Imre Kertész.

Jestem pewien, że ten kadysz będzie częścią przemowy Franciszka w Auschwitz niezależnie od tego, w jakim języku. Idąc w kierunku mitów i fantazji, nieraz myślę sobie, jak byśmy mogli przenieść do Niemiec te obozy zagłady. Auschwitz jako wieczna plama na tym globie powinno być koło Reichstagu.

„Do Rzeczy” 25–31 lipca 2016 r.

Żydzi i język niemiecki

Moja córka, prof. Yfat Weiss-Schneider, prodziekan ds. naukowych na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, podczas naszej rozmowy wspomniała o swoim ostatnim artykule napisanym na podstawie badań naukowych przedstawiających sytuację z lat 30. XX w. na Uniwersytecie Hebrajskim, gdy naukowcy przestali używać języka niemieckiego. Trzeba podkreślić, że duża część z nich pochodziła z Niemiec i niemiecki był dla nich ojczystym językiem, w którym rozmawiali z rodzinami, ale był on również bardzo popularny w rozmowach czysto naukowych. W XIX i XX w. język ten był w wielu krajach (m.in. na ziemiach wchodzących w skład imperium Habsburgów) najważniejszym językiem w świecie kultury i nauki. Ponad połowa książek w moim rodzinnym domu, zwłaszcza pozycje naukowe, była w języku niemieckim. Nawet po wojnie moi rodzice, będąc w Izraelu, czytali tygodniki i czasopisma w języku, którym posługiwali się oprawcy w Auschwitz i w innych miejscach. Jednak naukowcy Uniwersytetu Hebrajskiego, słysząc przemówienia Hitlera, wykrzykiwaną nienawiść, zrezygnowali z posługiwania się tym językiem.

Jeden z najwybitniejszych izraelskich pisarzy i poetów, Tuvia Rivner, był bardzo krytykowany za to, że po wojnie tworzył również w języku niemieckim. Odpowiadając na krytykę, stwierdził, że są dwa języki niemieckie. Jest język Goethego, Heinego, Einsteina, Freuda i jest inny język niemiecki, który on nazwał „mord-deutsch”, czyli język morderców. Gramatyka jest w nim prosta, słów się nie wypowiada, ale się je wykrzykuje, pełno w nim stwierdzeń rasistowskich i przekleństw pod adresem Żydów i innych narodów.

Żydzi przez prawie 2 tys. lat życia w diasporze mieli kilka swoich języków. Najważniejszy zawsze był hebrajski, w którym się modlili i który był spoiwem narodu żyjącego przez tyle lat z dala od swojej historycznej ojczyzny. Jednak oprócz tego tworzone inne języki. Najpopularniejszy z nich to jidysz, stworzony na podstawie języka niemieckiego.

Ogromną tragedią jest to, że w niemieckich obozach zagłady niemal wszyscy Żydzi – skazani albo na natychmiastową, albo opóźnioną o kilka tygodni śmierć – doskonale rozumieli język swoich oprawców. To był właśnie „mord-deutsch”. Pamiętam jedną z moich pierwszych wycieczek do Europy, na którą wybrałem się samochodem. Gdy wjeżdżałem z północnych Włoch do Austrii, w jakimś miasteczku w Alpach na skrzyżowaniu stał policjant. Dawał znaki ręką i dość głośno krzyczał: „Links!”, „Rechts!”.

Ja w tej sekundzie byłem sparaliżowany. Przypomniiał mi się system skazywania ludzi na natychmiastową lub opóźnioną śmierć stosowany przez Josefa Mengele.

Pierwszy raz pojechałem do Niemiec w 1985 r., by w imieniu Knese-tu i instytucji historycznych wziąć udział w debacie w Bonn, ówczesnej stolicy Republiki Federalnej Niemiec. Po zakończeniu konferencji, czekając na pociąg do Frankfurtu, skąd miałem lecieć do Izraela, usłyszałem z głośników: „Achtung! Achtung!”. I znowu byłem sparaliżowany. Pamiętam to „Achtung!” z dzieciństwa – kiedy z głośników padało takie „Achtung!”, potem „zapraszano” Żydów do synagogi czy innego miejsca w getcie, a wiedzieliśmy dokładnie, że zapraszają nas do wyjazdu na śmierć. To „Achtung!” oznaczało ogromny strach. To właśnie „mord-deutsch”. Nie sam język, ale ten dźwięk, krzyk.

Kiedy wracam myślami do niemieckiej okupacji i miesięcy spędzonych w piwnicze w Borystawiu, przypominam sobie coś jeszcze. Mój ojciec Meir przeniósł z naszej domowej biblioteki do tej piwnicy kilka książek, a wśród nich atlas świata w języku niemieckim. W ciemnej piwnicy połączonych z kanałami spędziliśmy 20 miesięcy. Z moim kuzynem, będąc pod wpływem wojny i towarzyszącego jej strachu, z błota i gliny tworzyliśmy swoje armie. Jedną z zabaw polegała na tym, że rozkładaliśmy niemieckojęzyczny atlas i leżąc przy nim – ja wyciągałem wszy ze swoich włosów, a kuzyn ze swoich – prowadziliśmy wojnę. Był to ciąg dalszy II wojny światowej w wykonaniu dwóch strategów. Stawiałem swoje wszy na Moskwie, on na Berlinie i zmagaliśmy się, kto zwycięży. Mając przy tym nadzieję, że wszy z Moskwy jednak wygrają. Żyliśmy wtedy w strasznych warunkach, w okropnym brudzie. Wyobraźcie sobie, co na taki widok powiedzieliby Niemcy, właśnie w języku „mord-deutsch”. „Verfluchte Juden!”. To określenie człowieka brudnego, takiego, od którego można się czymś zarazić, kogoś niewiele lepszego od szczura. Jednak nawet wtedy, podczas okupacji, jako dzieci bawiliśmy się na atlasie w języku niemieckim.

Nie da się wymazać historii również, a może przede wszystkim, z kultury, literatury ani sztuki. Jeśli ktoś chce poszerzyć wiedzę o wpływie niemieckojęzycznej kultury na Żydów, a także kontynuacji kultury polskich Żydów w Izraelu, to powinien zainteresować się pracami naukowymi dr Elżbiety Kossewskiej.

„Do Rzeczy” 20–26 lutego 2017 r.

Dlaczego od Polaków wymaga się więcej

Kiedy kilka miesięcy temu odwiedziłem mój rodzinny Borysław, burmistrz tego miasta, młody człowiek mówiący po polsku, zaprosił mnie na spotkanie. Naprzeciw wyjścia z ratusza stoi ogromny pomnik Bandery, człowieka, który w dzisiejszych czasach stał się bohaterem narodowym Ukrainy. Dla Żydów i Polaków w latach 40. był on zbrodniarzem stojącym na czele grupy morderców. Odwiedziliśmy centrum Borysławia, gdzie stoi czteropiętrowy ładny budynek, w którym mieści się poczta. Naprzeciw niego znajduje się pomnik ze słowami depeszy gratulującej armii sowieckiej wyzwolenia Borysławia. Na depeszy podpisał się generalissimus Józef Stalin. Dla większości ludzi Stalin jest mordercą. Dla nas w 1944 r. armia sowiecka była tą, która wyzwoliła nas spod diabelskiej okupacji niemieckiej i po prostu uratowała nam życie.

Niedawno miałem spotkanie w szkole w miasteczku pod Warszawą, w której znajduje się muzeum poświęcone Władysławowi Grabskiemu. Dla Polaków jest on ważnym i zdolnym premierem. Dla Żydów stał się jednak wrogiem. Pod jego rządami nałożono specjalne podatki na żydowskie sklepy, których ich właściciele nie byli w stanie płacić. W czasach premiershipy Grabskiego Polskę opuściło ponad 100 tys. Żydów. Wydaje mi się, że i Polacy, i Żydzi mają wyjątkowy sentyment do Józefa Piłsudskiego. Żydzi darzą go szczególną sympatią, bo szanował prawa człowieka i prawa obywatelskie mniejszości, w tym żydowskiej.

To tylko kilka dość przypadkowych przykładów, jak różna może być pamięć osobista, narodowa i religijna. O niektórych wydarzeniach sprzed setek lat zapominamy, pojawiają się w książkach historycznych, ale nie powodują bólu. Natomiast wszystko, co wydarzyło się w XX w., zwłaszcza podczas II wojny światowej, żyje w naszej pamięci, a dla Żydów zagłada ich narodu stała się bolesną religią. Wyobrażam sobie, że Polacy mają podobne odczucia, byli bowiem podczas niemieckiej okupacji poniżani. Gdyby II wojna światowa nie skończyła się w maju 1945 r. totalną kapitulacją Niemiec, kto wie, czy Polaków nie czekałby podobny los do losu Żydów.

Polska ma tu specyficzne i nie zawsze sprawiedliwe miejsce. Jako przewodniczący Rady Instytutu Pamięci Yad Vashem i przewodniczący Knesetu gościłem wielu światowych liderów. Część z nich, w imieniu swoich narodów i ich historii, prosiła o wybaczenie. Tak robili polscy prezydenci.

Nigdy nie usłyszałem takich przeprosin z ust prezydenta Francji (która współpracowała z Niemcami i utworzyła faszystowski rząd), przywódców Belgii, Słowacji czy Włoch. Od polskich liderów oczekuje się takich słów, a kiedy nie wypowiadają ich przywódcy innych państw, nie wybuchają z tego powodu afery. Prawdą jest, że największe nieszczęście narodu żydowskiego rozgrywało się głównie na ziemiach polskich. Prawdą jest również, że to naród pruski w historii zachowywał się najgorzej, a Polacy walczyli z hitleryzmem jak tylko mogli. Ogromny grzech popełniła ta część Europy, która w różny sposób współpracowała z hitleryzmem. Mam nadzieję, że po latach porozumienia, pozytywnych stosunków między Polską a Izraelem to nierówne podejście się zmieni.

Pojawia się również problem: jak przełożyć pamięć na nowe pokolenia, które rodzą się z historycznym brzemieniem, którym się przypomina – nie tylko na naukowych konferencjach, lecz także m.in. w sztuce – wydarzenia, w jakich ich przodkowie byli sprawcami diabelskich czynów, a grzech historyczny idzie dalej i dalej. Pojawia się zatem problem moralny – do kiedy pamiętać. Odpowiedzialność kryminalną ponoszą wyłącznie sprawcy. Niestety, większość z nich uniknęła sądu.

Co do odpowiedzialności historycznej problem jest bardziej skomplikowany. Jeśli zrezygnujemy z tej pamięci już po pierwszym pokoleniu, to te wieczne grzechy, które miały tak ogromny wpływ na historię ludzi, narodów i kultur, też tak po prostu wymażemy. Wymażemy także kontekst odpowiedzialności narodowej.

Uczestnicząc w uroczystościach rocznicowych powstania w getcie, powstania warszawskiego czy wyzwolenia Auschwitz, zadają sobie pytanie: Do kiedy powinna trwać i jak powinna wyglądać pamięć o tych tragediach? Wydaje mi się, że nie mamy prawa wybaczać w imieniu zamordowanych. Ich prawa człowieka, zamordowanego człowieka, są wieczne. Takie wybaczenie, nawet motywowane religijnie, mogłoby doprowadzić do inflacji tych dziejów i lekceważenia barbarzyńskich zachowań. Natomiast to, jak działać w imię pamięci, jest zapisane na wielu tablicach w Polsce i Izraelu: „Nigdy więcej”. Te dwa słowa i jedno z dziesięciorga przykazań Bożych – „Nie zabijaj” – powinny być celem pedagogicznym i moralnym naszego pokolenia oraz przyszłych generacji.

„Do Rzeczy” 6–12 marca 2017 r.

Prawa autorskie do Holocaustu

Z Szewachem Weisssem, profesorem politologii, byłym przewodniczącym Knesetu i ambasadorem Izraela w Polsce, komentatorem „Do Rzeczy”, rozmawia Jacek Przybylski

JACEK PRZYBYLSKI: Turyści stają pod bramą obozu w Auschwitz i spoglądają na napis: „Arbeit macht frei”. Jeden pyta: Co tu jest napisane? – Nie wiem, nie znam polskiego – odpowiada drugi. Ten rysunek stał się popularny w mediach społecznościowych po wypowiedzi szefa FBI, w której James Comey zasugerował, że Polacy są – obok Niemców i Węgrów – współodpowiedzialni za Holocaust.

SZEWACH WEISS: To mocny przekaz, który dobrze oddaje istotę problemu fałszowania historii. Obozy zagłady były niemieckimi fabrykami śmierci, utworzonymi na okupowanych przez hitlerowców ziemiach Polski. Każdy wie, jak potworne rzeczy się wówczas działy. Opublikowano na ten temat setki tysięcy książek i prac naukowych.

Sam napis: „Arbeit macht frei” to nie tylko szczyt niemieckiego cynizmu. To również jeden z dowodów na to, jak bardzo podczas II wojny światowej Niemcy dbali o swoje prawa autorskie do Zagłady. O prawa autorskie do likwidacji narodu żydowskiego. Nie bez powodu niemieccy żołnierze zamiast użyć polskiej nazwy, stworzyli nazwę Auschwitz. Również pobliską wioskę – Brzezinkę – przemianowali na Birkenau.

To niemieccy prominenci podczas konferencji w Wannsee 20 stycznia 1942 r. radzili nad „Ostatecznym rozwiązaniem europejskiej kwestii żydowskiej”. W protokole tej konferencji napisano: załatwiliśmy już sprawę 1,5 mln Żydów, a teraz nadszedł czas, aby zlikwidować pozostałych. Przygotowane bardzo dokładnie – z niemiecką precyzją – dokumenty nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że Auschwitz, Birkenau, Treblinka, Majdanek, Chełmno, Bełżec, Sobibór, tak samo jak położone już w Niemczech Dachau, Buchenwald, Ravensbrück i znajdujący się niedaleko Linzu w Austrii obóz Mauthausen to były niemieckie fabryki śmierci!

Polska była pierwszym krajem, który stawiał zacięty opór niemieckiej armii. Jak to możliwe, że 70 lat po zakończeniu wojny tak ważna postać jak szef FBI niemalże zrównuje odpowiedzialność Polaków za Holocaust z winą Niemców?

Nie wiem. Chciałbym móc zobaczyć dusze tych, którzy używają określenia „polskie obozy śmierci”. Nie chodzi przecież tylko o szefa FBI. Trzy lata temu o „polskim obozie śmierci” wspomniał sam prezydent Barack Obama, i to podczas uroczystości pośmiertnego uhonorowania Medalem Wolności Jana Karskiego. Z rąk prezydenta Baracka Obamy odbierał go wówczas mój przyjaciel, były szef polskiej dyplomacji Adam Daniel Rotfeld. Stała się rzecz okropna. I to niezależnie od tego, czy tamto przemówienie pisał sam Obama czy któryś z prezydenckich doradców – z pewnością człowiek wykształcony i bardzo inteligentny.

20 lat temu w podobny sposób o obozach zagłady wypowiedział się jeden z ministrów w Izraelu. Prezydent Lech Wałęsa wysłał wówczas do Izraela ministra kultury, który wystąpił chyba we wszystkich możliwych izraelskich mediach i jasno wytłumaczył, jak poważnym błędem jest mówienie o „polskich obozach”.

Tym razem polskie władze również szybko zażądały oficjalnych przeprosin. Szef FBI nie ma jednak zamiaru za tę wypowiedź przeproszać. Napisał jedynie, że żałuje, iż powiązał Polskę z Niemcami. Co pan – człowiek, który żyje dzięki temu, że Polacy z narażeniem życia ukrywali pana i pańską rodzinę – czuje, gdy ktoś w taki sposób fałszuje historię?

Gdy dowiedziałem się o słowach szefa FBI, byłem wściekły. To stwierdzenie nie ma bowiem żadnego pokrycia w faktach. Chociaż wiem, że nie ma racji, i chociaż się z nim nie zgadzam, to jednak mogę się domyślać, co on czuł i dlaczego wypowiedział takie słowa. Europa była centrum życia narodu żydowskiego przez mniej więcej tysiąc lat. W 1939 r. więcej niż 5 mln Żydów na świecie, czyli jedna trzecia całego narodu żydowskiego, miała polskie korzenie. W samej Polsce mieszkało 3,5 mln Żydów. Niemcy – i celowo mówię „Niemcy”, a nie „naziści”, bo Hitlera popierała większość narodu niemieckiego – podczas wojny wymordowali na polskich ziemiach ponad milion Żydów.

Szef FBI powinien przeprosić?

Nie jestem jego pedagogiem. Warto spróbować go przekonać. Nie będzie to jednak łatwe.

Może polski rząd powinien go zaprosić na lekcję do Auschwitz?

Ja bym tego nie zrobił. On przecież doskonale wie, co się tam działo. Szef FBI musi być człowiekiem świetnie wykształconym i błyskotliwym. Moim zdaniem lepiej by było, gdyby na przykład prof. Zbigniew Brzeziński lub jakiś wielki polski albo żydowski pisarz wysłał do pana Comey'a osobisty list.

Czy to znaczy, że nie wierzy pan, iż wypowiedzi dyrektora FBI czy prezydenta USA to po prostu wyraz ignorancji?

Nie wyobrażam sobie, żeby tak wysokie stanowiska mogli piastować ignoranci. Barack Obama to absolwent Harvardu, doktor prawa i jeden z najinteligentniejszych prezydentów w historii USA. Za tymi błędami musi więc kryć się coś głębszego.

To znaczy?

Te błędy mogą wynikać po prostu z „krwawej geografii”, czyli z tego, że Niemcy właśnie na polskich ziemiach wymordowali aż tylu Żydów. Gdy ktoś mówi Auschwitz, przypomina sobie Polskę. Podobnie jeśli mówi Jan Paweł II, to też myśli o Polsce.

A jeśli ktoś mówi Al-Kaida, to przypomina sobie zamachy na Nowy Jork. Jakoś nikt nie mówi o amerykańskim ataku na World Trade Center.

To dobry przykład. Dlatego podkreślam, że należy walczyć z określeniami typu „polski obóz zagłady”. Takie uproszczenia z czasem mogą bowiem prowadzić do rozmycia winy i głębokiej niesprawiedliwości.

Dyrektor James Comey, mówiąc o współnikach Niemców, wymienił Polaków i Węgrów. Nie zająknął się o Austriakach, Włochach, Francuzach ani Holendrach. Dlaczego to Polacy wciąż padają ofiarą fałszowania historii?

Holendrzy stworzyli faszystowską policję, której funkcjonariusze złapali i oddali Niemcom między innymi Annę Frank. We Francji władzę sprawował faszystowski rząd Vichy. Węgrzy w obozach zagłady wymordowali tysiące Żydów. Faszystom pomagali też Litwini i Łotysze.

Mówienie o „polskich obozach zagłady” to albo celowe kłamstwo, albo wyraz ignorancji. Trzeba sobie jednak uświadomić, skąd bierze się negatywny stereotyp Polaków. Wynika on z faktu, że przed wojną w Polsce żyło wiele milionów Żydów. I to na okupowanych polskich ziemiach byli masowo mordowani. Zniknęły tysiące żydowskich synagog, osiedli, wsi. Skala tej zbrodni sprawia, że dla milionów Żydów polska ziemia jest przekłętą. W zbiorowej żydowskiej pamięci wielu Polaków zapisało się bardzo źle – między innymi szmalcownicy. Wielu Polaków wspominamy jednak również bardzo dobrze: Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Innymi słowy: niemieccy okupanci zostawili na polskich ziemiach i na polskiej historii wielką plamę. Do jej wywabienia potrzeba czasu.

Wielu osobom zależy jednak, aby tej plamy nie czyścić. Kilka lat temu fałg oburzenia w Polsce wywołał opublikowany przez „Der Spiegel”

artykuł „Wspólnicy. Europejscy pomocnicy Hitlera w mordowaniu Żydów”. Jego autorzy wprost sugerowali, że Holocaust był możliwy, bo Niemcy znaleźli pomocników w okupowanych krajach.

Czy przed wybuchem II wojny w Polsce istniał problem antysemityzmu? Tak. Niemcy wiedzieli więc, że z realizacją swojego zbrodniczego planu nie będą mieli zbyt wielkiego problemu. Aby jednak uniknąć manipulacji historycznej, trzeba wyraźnie podkreślić, że podczas wojny Niemcy rządili Polską jak krajem niewolników. Dla nich Polska miała być Lebensraumem (przestrzenią życiową). Warszawa nie miała szans stworzenia niczym Paryż swojego rządu Vichy. W Polsce prześladowania ze strony gestapo były najsurowsze w całej Europie. I gdyby II wojna światowa nie skończyła się 70 lat temu zwycięstwem aliantów, to Niemcy wymordowaliby miliony Polaków, a z reszty uczyniliby niewolników.

Za niezwykle szkodliwy uważam serial „Nasze matki, nasi ojcowie”, który jasno pokazywał, że Niemcy już naprawdę nie mogą znieść tej hańby, którą okryli ich przodkowie i która przechodzi z pokolenia na pokolenie. Jednocześnie niektórzy niemieccy historycy – choćby Ernst Nolte – próbują umniejszać zbrodnie nazistowskie, sugerując, że to komuniści doprowadzili do powstania niemieckiego antysemityzmu. Niektórzy Niemcy od lat konsekwentnie próbują rozszerzyć odpowiedzialność za Zagładę i chociaż trochę wyzwolić swój naród z tego okropnego jarzma.

Wypowiedź Comeya pokazuje, że odnoszą sukces.

Jestem przekonany, że w niedalekiej przyszłości nie unikniemy podobnych wypowiedzi. Mam jednak nadzieję, że krytyka, która w ostatnich dniach spadła na szefa FBI, sprawi, iż z biegiem lat tego typu wypowiedzi będzie coraz mniej.

Oficjalnie wypowiedane słowa o „polskich obozach” czy polskiej współodpowiedzialności można traktować jak swoisty sejsmograf. Jeśli je słyszymy, to znaczy, że trzeba używać wszelkich dostępnych środków – medialnych, politycznych etc. – aby wysyłać takie osoby na krótki kurs prawdziwej historii. W ostatecznym rozrachunku to wiedza jest najważniejsza.

A nie lepiej po prostu wytaczać procesy i żądać wysokich odszkodowań?

Nie sądzę, by w praktyce było to możliwe. Oskarżeni mogą bowiem wówczas powołać setki świadków z Polski, którzy będą na przykład opowiadać o polskich szmalcownikach, o Jedwabnem. Zamiast pozwów najlepší polscy reżyserzy, pisarze czy dziennikarze powinni opowiadać światu prawdziwą historię o Polsce.

„Do Rzeczy” 27 kwietnia–3 maja 2015 r.

Posłowie

Mój Szewach Weiss

Trudno mi sobie wyobrazić ambasadora Izraela w Polsce lepszego od Szewacha Weissa – lepszego dla Izraelczyków i Polaków. Lepszego od Szewacha Weissa – profesora politologii, wieloletniego przewodniczącego Knesetu i Rady Instytutu Pamięci Yad Vashem, dla którego ambasadorska służba zaczęła się na długo przed objęciem formalnego urzędu ambasadora Izraela w Polsce, a która trwa w najlepsze, bo choć Szewach Weiss był ambasadorem zaledwie przez cztery lata – od roku 2001 do 2004 – to przecież w istocie pozostaje nim do dziś. I w dodatku, bo to jest kwintesencja i znak szczególny misji Szewacha Weissa, stara się on być zarazem ambasadorem Izraela w Polsce i Polski w Izraelu.

Dowodem wysokiego uznania dla niespotykanej jakości tej jego ambasadorskiej posługi jest przyznanie mu w 2016 r. najwyższego polskiego odznaczenia – Orderu Orła Białego. Choć kto wie, czy w jeszcze większym stopniu nie są nim spontaniczne reakcje Polaków na widok Szewacha Weissa, których wiele razy byłem świadkiem. Reakcje pełne szacunku i wdzięczności za jego odważną postawę, m.in. wobec historycznych fałszerstw, w tym uciekania od winy za Holokaust przez Niemców i prób przerzucania jej na Polaków.

Szewach Weiss jest jednak kimś niezwykle ważnym także dla mnie osobiście. Miałem zaszczyt poznać go, gdy był ambasadorem Izraela w Polsce, a więc przed z górą 15 laty, i ta nasza znajomość także trwa w najlepsze. W felietonie „Moja Polska” Szewach Weiss przedstawia to tak: „Ważną część mojej obecności w Polsce stanowią media. Prawie na początku służby ambasadorskiej spotkałem Piotra Gabryela i od tej pory w tytułach, w których on się pojawia, obecny jestem i ja. Teraz jesteśmy razem w »Do Rzeczy« – jestem pod wrażeniem poziomu intelektualnego tygodnika mojego przyjaciela Pawła Lisickiego”.

Najpierw współpracowaliśmy więc w tygodniku „Wprost”, potem przez kilka lat w „Rzeczpospolitej”, gdzie Szewach Weiss m.in. przez niemal rok, raz w tygodniu, prezentował sylwetki najznamienitszych polskich Żydów, potem w tygodniku „Uważam Rze” – do chwili rozstania się z nim ekipy Pawła Lisickiego, a teraz, od ponad czterech lat, w tygodniku „Do Rzeczy”. Ta współpraca to nie tylko regularnie publikowane przez Szewacha Weissa felietony; to także nasze spotkania – w redakcji i poza nią, podczas których równie często wybiegamy w przyszłość, co wracamy do przeszłości.

„Ja, Szewach Weiss, ocalony z Zagłady, syn Meira i Geni, którzy przeżyli, wnuk Hirsza, Szewy, Icka i Minci, zamordowanych przez hitlerowców, widzę wielką symbolikę w fakcie, że moje pierwsze przemówienie jako ambasadora Izraela w Polsce wygłaszam tu, przed pomnikiem Bohaterów Getta Warszawskiego” – tak Szewach Weiss zaczął swe wystąpienie w styczniu 2001 r., 60 lat po tym, jak ukrywał się przed polującymi na Żydów Niemcami w podwójnej ścianie rodzinnego domu w Borysławiu.

Weiss urodził się w polskim Borysławiu w 1935 r. Pierwsza część jego dzieciństwa była tym, do czego chętnie wraca się myślami. Na pożółkłych zdjęciach widać dom rodziny Weissów, uśmiechniętego Szewacha, jego ojca Meira Wolfa we własnym sklepie, jego babcię Szewę i dziadka Hirsza. Z drugiej części dzieciństwa Weissa nie ma zdjęć, jest za to mnóstwo koszmarnych wspomnień, od których trudno się uwolnić.

Gdy Szewach Weiss zaczął się ukrywać, w 1941 r., miał sześć lat, gdy wyszedł z ukrycia – w sierpniu 1944 r. – miał ich dziewięć. Po ucieczce z borysławskiego getta Weissowie najpierw schronili się u Anny i Michała Góralów – znajomych rodziców Szewacha. Później przez osiem miesięcy – w dziewięć osób – ukrywali się w kryjówce przygotowanej przez ojca Szewacha między ścianą ich sklepu a ścianą magazynu, w pomieszczeniu o szerokości 60 cm. Przez kolejne 21 miesięcy ukrywali się w małej piwnicy, w której nie można się było wyprostować. Nie przeżyliby, gdyby nie codzienna pomoc Julii Lasotowej, Marii Potężnej i jej syna Tadeusza.

I to o takich bohaterach często przypomina Szewach Weiss. Uczynił to także podczas ceremonii wręczenia mu Orderu Orła Białego przez prezydenta Andrzeja Dudę w Jerozolimie: „Byłem w Jedwabnem, znam inne stodoły też. Są i były inne stodoły, dlatego Sprawiedliwych wśród Narodów Świata nikt nie zapomni. To jest szczyt moralności światowej. Bądźcie dumni z tego, co łączy moralnie cały świat”.

W czerwcu 2001 r. Szewach Weiss – jako ambasador Izraela w Polsce – wręczył Tadeuszowi Potężnemu dyplom Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Wcześniej, w kwietniu 2001 r., taki sam dyplom odebrał z jego rąk – w imieniu nieżyjących dziadków – Jan Góral, wnuk Anny i Michała Góralów.

Szewach, po hebrajsku „sława” – takie imię otrzymał po przyjeździe do Izraela w 1947 r. Dostał się tam z Wałbrzycha, po trwającej wiele miesięcy podróży przez Czechosłowację, Austrię i Włochy. Od początku brał udział w budowie Izraela. Po skończeniu szkoły rolniczej przez dwa lata służył w wojsku. Później studiował nauki polityczne i prawo. W 1969 r. uzyskał doktorat na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, w 1975 r. został profesorem Uniwersytetu w Hajfie, gdzie mieszkał wraz z żoną, dziećmi i rodzicami, którzy przybyli do Izraela dopiero w 1952 r.

W latach 80. poświęcił się polityce. Jako poseł Partii Pracy został najpierw wiceprzewodniczącym Knesetu (1988–1992), a potem jego przewodniczącym (1992–1996). Przez wiele lat reprezentował Kneset w Radzie Europy. Był jednym z najbliższych współpracowników premiera Icchaka Rabina, aż do zamachu na niego 4 listopada 1995 r.

Szewach Weiss po raz pierwszy po wojnie przyjechał do Polski w 1985 r. – na obchody 40. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz. Doprowadził tam do wciągnięcia na maszt sztandaru Izraela, mimo że gospodarze uroczystości nie mieli tego w planach. 16 lat później, w 2001 r., przyleciał do Warszawy w randze ambasadora Izraela. I już tu pozostał, dzieląc swój czas między Hajfę a Warszawę – między Izrael a Polskę.

Piotr Gabryel

